DARIUSZ KORTKO, MARCIN PIETRASZEWSKI

CENA NIEWAŻKOŚCI

KULISY LOTU POLAKA W KOSMOS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

DARIUSZ KORTKO, MARCIN PIETRASZEWSKI

CENA NIEWAŻKOŚCI

KULISY LOTU POLAKA W KOSMOS

Redakcja: Paweł Goźliński
Korekta: Danuta Sabała

Projekt graficzny okładki: Tomasz Majewski
Opracowanie graficzne: Elżbieta Wastkowska
Fotoedycja: Marta Błażejowska
Przygotowanie zdjęć do druku: Paweł Bajer
Zdjęcia: Dariusz Kortko str. 10, 268; PAP/ITAR-TASS/Mikhail Klimentyev str. 13, PAP/ITAR-TAS str. 186, 258, PAP str. 192, PAP/Ireneusz Radkiewicz str. 196, PAP/Zbigniew Wdowiński str. 199, PAP/Jan Morek str. 253, PAP/ITAR-TASS/Valentin Mastyukov str. 264, PAP/Wojciech Stan str. 303, PAP/ITAR-TAS/Albert Pushkarev str. 151, 164, 228, PAP/Tadeusz Zagoździński str. 152, 178, PAP/CAF str. 34, PAP/ITAR-TAS/Vasily Yegorov str. 61, PAP/Zbigniew Staszyszyn str. 64; archiwum Zenona Jankowskiego str. 41, 52, 86, 206, 314, 317, 322; Bogdan Kułakowski str. 254; NASA str. 142, 144, 220, 294, 310, 326, 334; NAC str. 16, 19, 21, 22, 25, 38, 42, 75, 201, 232, 236, 244, 282, 287, 291, 312, 320; Narodowe Muzeum Morskie w Gdańsku str. 298; Archiwum Hermaszewski/East News str. 14, 48, 78, 351; Laski Diffusion/East News str. 28, 98, 159; Enrus/East News str. 31; Alexander Mokletsov/East News str. 68, 94, 102, 270, 292; akg-images/East News str. 113, 148; Ria Novosti/East News str. 115, 124, 138; East News str. 8, 118, 126, 134, 169; Włodzimierz Wasyluk/East News str. 160, 252; Sovfoto/Universal Images Group/East News str. 180; East News /AFP str. 273.

Wydawnictwo Agora

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
www.wydawnictwoagora.pl

DYREKTOR WYDAWNICZY: Małgorzata Skowrońska
REDAKTOR NACZELNY: Paweł Goźliński
KOORDYNACJA PROJEKTU: Katarzyna Kubicka

© copyright by Agora SA 2018
© copyright by Dariusz Kortko & Marcin Pietraszewski 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2018
ISBN: 978-83-268-2157-8 (epub), 978-83-268-2158-5 (mobi)

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

publio

Spis treści

WSTĘP

ROZDZIAŁ 1. Takich pilotów trzeba nam było

ROZDZIAŁ 2. Kosmonauta idealny dźwiga ciężar sławy

ROZDZIAŁ 3. Jak odpowiadać na pytania, żeby było dobrze?

ROZDZIAŁ 4. Marzę o tym, żeby pojechać z mężem do Moskwy

ROZDZIAŁ 5. Jesteście chorzy, bardzo chorzy

ROZDZIAŁ 6. Myśliwce mają pierwszeństwo przed bombowcami

ROZDZIAŁ 7. Nasza ojczyzna potrzebuje atomowej tarczy

ROZDZIAŁ 8. Śmierć czai się wszędzie, ale warto ryzykować

ROZDZIAŁ 9. Twarz się nadyma, skóra napina, oczy nabiegają krwią

ROZDZIAŁ 10. Gwiazdy to tylko dziurki w starym kocu

ROZDZIAŁ 11. Wsiąść do rakiety Hermaszewskiego, nie dbać o szynkę z komercyjnego

ROZDZIAŁ 12. Gwiezdne Miasteczko utonęło w ciemnościach
ROZDZIAŁ 13. Kosmonauta ma odpowiadać za dostawy mleka w proszku
ROZDZIAŁ 14. My jeszcze w kosmosie tak naprawdę nie byliśmy!
ROZDZIAŁ 15. Trzymaj się, Zenek!
ROZDZIAŁ 16. Generalnie proszę: nie zaśmiecajmy kosmosu!
Epilog
Bibliografia

Żadnego bohaterstwa nie da się zaplanować.
Może się ono jedynie przytrafić

Karel Čapek

Major Mirosław Hermaszewski. Oficjalne zdjęcie wykonane w kosmodromie Bajkonur tuż przed lotem w kosmos, w czerwcu 1978 roku

WSTĘP

Trudno się spotkać z generałem Piotrem Klimukiem, rosyjskim kosmonautą, dwukrotnym bohaterem Związku Radzieckiego.

Chcemy go zapytać o 27 czerwca 1978 roku. Z kosmodromu Bajkonur startuje wtedy statek Sojuz 30 z pierwszym polskim kosmonautą Mirosławem Hermaszewskim na pokładzie. Klimuk jest dowódcą.

Niestety, telefon generała milczy.

– Ode mnie też ostatnio nie odbiera – dziwi się Mirosław Hermaszewski.

Co się stało?

– Nic się nie dzieje. Emeryt, mieszka pod Moskwą, często bywa w Gwiezdnym Miasteczku. Pewnie zmienił numer – uspokajają jego znajomi.

Chciał lecieć z Polakiem. Czy to przypadek? Polubili się od razu czy po czasie? O czym rozmawiali? Przy wódce czy przy herbacie?

Ale generał Klimuk wciąż nie odbiera.

Józefina Piątkowska, nasza tłumaczka, proponuje inaczej. Ma znajomych w Moskwie, spróbują zadzwonić stamtąd.

Klimuk od razu podnosi słuchawkę. Tak, wie, że ktoś wydzwania, ale to numer z Polski, a on z zasady nie odbiera telefonów z Polski. Kiedyś kochał Polaków, teraz nie lubi. Mówi otwarcie, co myśli. Polska zdradziła Rosję, Polska szkaluje Rosjan, jest nieprzyjazna i niewdzięczna. Nie chce rozmawiać z Polakami, Polska już go nie obchodzi.

Październik 2017 roku. Generał Piotr Klimuk, dowódca Mirosława Hermaszewskiego podczas lotu Sojuzem 30. Od lat jest na emeryturze,

wybudował dom pod Moskwą, w pobliżu Gwiezdnego Miasteczka

Kiedy Sojuzem 30 latał nad Polską, zachwycał się widokami Wrocławia, Warszawy i Helu jak Hermaszewski? Rozumiał po polsku czy mówili z Hermaszewskim tylko po rosyjsku? Przyjaźnili się naprawdę czy na pokaz? Już polskiego kosmonauty nie lubi?

Lubi, ale telefonu z Polski nie odbierze. Mamy przyjechać do Moskwy i zadzwonić. Może wtedy się z nami spotka.

Lecimy.

Z lotniska Szeremietiewo szybką kolejką na Dworzec Białoruski, skąd już blisko do hotelu. Wczesny wieczór. Dzwonimy, ale generał Klimuk nadal nie odbiera.

Znamy go ze starych zdjęć. Niewysoki, szczupły, przystojny, z burzą czarnych, gęstych włosów. Miły uśmiech. Ciekawe, jak teraz wygląda. To już czterdzieści lat.

Na szczęście rano odbiera telefon. – Nie wiem, naprawdę nie wiem, kiedy się spotkamy. Zadzwońcie wieczorem.

Wieczorem: – Jutro rano.

Rano: – Wieczorem.

Wieczorem: – Jeszcze nie jestem gotowy, dzwońcie rano.

Co dał mu kosmos, a co odebrał? Czuje się szczęśliwy czy nie bardzo? Trzy razy na orbicie to za mało czy w sam raz? Co mu z tego zostało?

Kończy nam się rosyjska wiza.

– No dobrze, przyjeżdżajcie do Gwiezdnego Miasteczka.

Skaczemy z radości.

Sobota rano, na drodze potężny korek, jakby cała Moskwa w tym samym czasie wyjeżdżała na podmiejskie dacze. Niecałe dwie godziny jedziemy marszrutką (mikrobus, który jeździ po ustalonej trasie), w końcu docieramy pod bramę Gwiezdnego Miasteczka. Środek lasu, niewielki parking, nowoczesny budynek biurowy. Drogi, która prowadzi do osiedla, strzegą budka strażnicza i szlaban.

– Stop! Przepustka jest? – Strażnik przy szlabanie robi groźną minę.

– Jesteśmy umówieni w Domu Kosmonauty z generałem Piotrem Klimukiem – wyjaśniamy.

– Możliwe, ale bez przepustki nie wejdziecie – mówi. – Trzeba się zarejestrować w biurze.

Do okienka kolejka. Kobieta po drugiej stronie dokładnie ogląda dokumenty, sprawdza jakieś listy i starannie, bez pośpiechu wypisuje przepustki. Nasza kolej, podajemy polskie paszporty.

– A to co!? – Kobietę z okienka aż zatyka ze zdziwienia.

– Chcemy wejść na teren Gwiezdnego Miasteczka, mamy spotkanie z generałem Klimukiem.

– Na polskie paszporty przepustek nie ma, trzeba mieć dokumenty rosyjskie.

– Ale...

– Zresztą nawet nie mam was na liście.

– Bo...

– Nic nie wskóracie, nie mogę was wpuścić.

– Może przynajmniej zadzwoni pani do generała Klimuka, powie mu, że tu czekamy.

Kobieta z niechęcią spełnia życzenie. Niestety, generał nie podnosi słuchawki.

Czy pamięta polskich, czeskich i niemieckich kosmonautów, którzy byli tu czterdzieści lat temu? Po co Rosjanom byli kosmonauci z satelickich państw? Wnieśli realny wkład czy był to wymiar wyłącznie propagandowy?

Nie możemy zrezygnować. Mamy w komórce rosyjski numer, dzwonimy, w końcu słyszymy głos generała: – A, już jesteście? Czekajcie, zaraz będę.

Wysiada z czarnego terenowego lexusa. Malutki, trochę przy kości, ale cera wciąż gładka. I burza gęstych włosów, tylko siwych. Nie ma wątpliwości, że to generał Klimuk.

– No co tam, wsiadajcie – zaprasza do auta.

Nie potrzebujemy żadnych przepustek. Strażnik staje na baczność i podnosi szlaban, nikt już nie chce od nas dokumentów. Wjeżdżamy do Gwiezdnego Miasteczka.

Jak bardzo się zmieniło? Czy kosmonauci wciąż przygotowują się tutaj do lotów? Ilu ludzi tu pracuje? Ilu mieszka?

– Spokojnie, po kolei – mówi generał Klimuk. – Najpierw coś zjemy.

Prowadzi do niedużej salki wyłożonej drewnopodobną okładziną. Na stole sałatki, pielmieni, drożdżowe ciasteczka z jabłkami. Wino.

Wypada zacząć od toastu.

Pijemy za spotkanie, za przyjaźń polsko-rosyjską, za kosmonautów, za loty w kosmos. Jedna butelka, druga...

– W tej sali przyjmowałem prezydenta Putina – zdradza generał Klimuk. – Dawajcie, za prezydenta, za kobiety, za przyszłość, za pokój...

– Na zdrowie!

Butelka trzecia, czwarta. Piąta już na jego daczy.
Stan nieważkości.

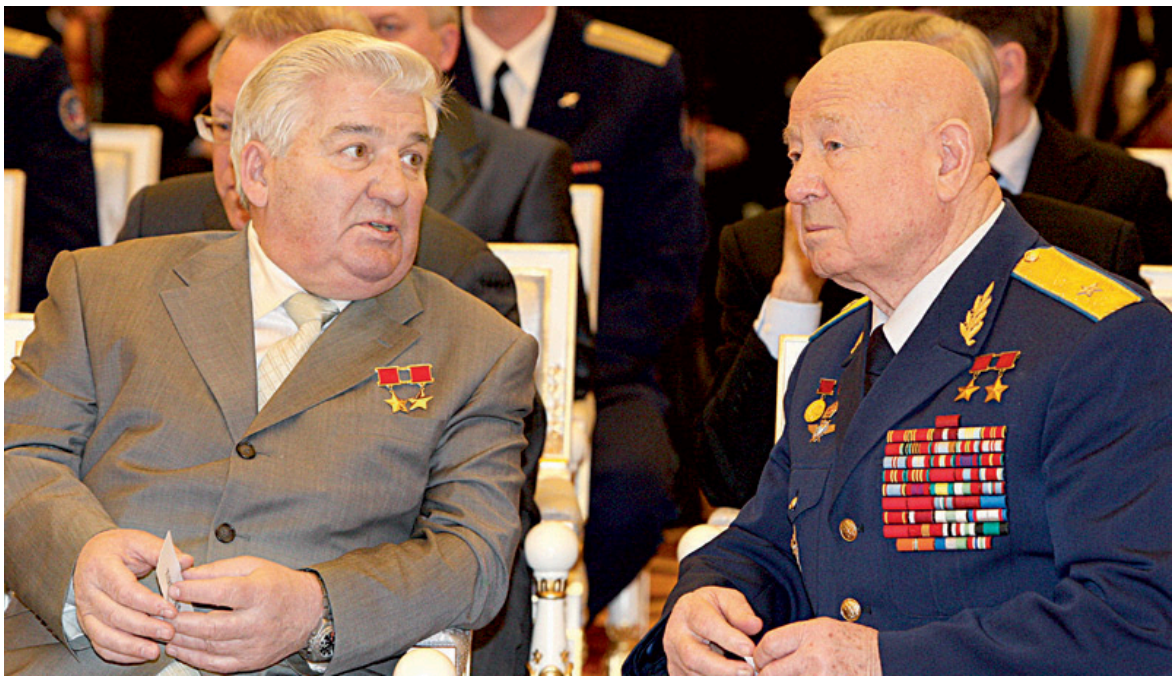

Generałowie Piotr Klimuk i Aleksiej Leonow (pierwszy człowiek, który w 1965 roku spacerował w otwartej przestrzeni kosmicznej) podczas spotkania kosmonautów na Kremlu w kwietniu 2009 roku

W marcu 1964 roku Mirosław Hermaszewski kończy Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych w Dęblinie w stopniu podporucznika

ROZDZIAŁ 1

Takich pilotów trzeba nam było

Rozkaz jest jasny, ale intrygujący. Każda jednostka wojsk lotniczych wytypuje swoich najlepszych pilotów. Mają się jak najszybciej stawić na badania w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej w Warszawie. Oficjalnie: chodzi o testowanie maszyn najnowszej generacji. Wszystkich obowiązuje ścisła tajemnica.

Rosjanie przysyłają do Bydgoszczy myśliwsko-szturmowe Su-7. Samoloty stoją w hangarach, można się do nich zbliżać tylko za okazaniem przepustki. Dopiero potem wyjaśnia się, skąd te tajemnice. Su-7 mogą przenosić bomby jądrowe. Piloci zaczynają się z nimi oswajać. Między sobą mówią, że są bardziej szturmowe niż myśliwskie. Paliwożerne, szczególnie przy lotach na małych wysokościach. Su-7 potrafi osiągać 1,5-1,7 macha, ale w Polsce nie ma się gdzie rozpędzić. Samolot w miarę bezpieczny, wybacza małe błędy, ale kardynalnych nigdy.

Tadeusz Kuziora (dzisiaj generał) latem 1976 roku jest już po pierwszym roku studiów w Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie i ma praktyki w jednostce w Bydgoszczy. Lata na Su-7. – W sierpniu dowódca jednostki powiedział, że w WIML-u jest jakaś akcja, badają dodatkowo pilotów. Jedziesz! – wspomina.

Porucznik Tadeusz Kuziora, 1976 rok

Z całej Polski zgłasza się około osiemdziesięciu pilotów.

– Zastanawialiśmy się w instytucie, czy dowódcy jednostek wysłali nam swoich najlepszych ludzi, czy najgorszych. Przecież nikt nie chce się pozbywać swoich asów, zwykle wypycha się zawalidrogi – mówi profesor Jan Terelak, psycholog, który wtedy

pracował w WIML-u. – Po pierwszych testach już wiedzieliśmy, że jednak przysłali dobrych. Może nie wszyscy, ale ponad połowa dowódców się spisała. Dali młodych, bojowych pilotów. Takich nam było trzeba.

Piloci słyszą: od dzisiaj podlegacie specjalnym rygorom, przez wiele tygodni nie będzie was w domu, z nikim, nawet z najbliższymi, nie możecie rozmawiać o tym, co tutaj będziecie robili. Mundury zmienicie na szpitalne pidżamy.

Lotnicy się znają, choćby ze słyszenia. Stacjonują w różnych jednostkach, ale kończą te same szkoły, spotykają się na szkoleniach, poligonach, obozach kondycyjnych w Mrągowie. Wieczorem w hotelu zastanawiają się, o co chodzi. Każdy lata na samolotach naddźwiękowych. Pewnie przyślą nowe rosyjskie samoloty – ale jakie? Nowa broń? Ekscytujące!

Pułkownik Stanisław Barański, komendant instytutu, wyjaśnia pilotom, ile może: – Jesteśmy lekarzami i musimy spośród was wybrać najzdrowszych, najbardziej wytrzymałych fizycznie, odpornych na stres, którzy zniosą niedotlenienie i duże przyspieszenia.

Przez trzy tygodnie są zamknięci w hotelu, od rana badania krwi, moczu, kału, do analiz paznokcie, włosy, ścinki skóry; wirówki przeciążeniowe, komory niskich ciśnień, wirujące fotele, huśtawki, koła reńskie. Uderzenia prądem za błąd przy ćwiczeniach z koordynacji ruchowej, testy psychologiczne.

Piloci coraz bardziej pewni: – Nie ma innej możliwości. Chodzi o nowy, ruski sprzęt.

– Profesor Barański wczesnym latem 1976 roku zapytał, czy chciałbym uczestniczyć w ciekawym programie. Miałem pomóc wybrać pilotów do obsługi nowego sprzętu. Zgodziłem się bez wahania, ale profesor do sprawy nie wracał, więc o tym zapomniałem – wspomina Krzysztof Klukowski, dzisiaj profesor, wtedy jeden z lekarzy wojskowych w WIML-u.

Dwa razy w tygodniu pracownicy instytutu grają w siatkówkę w sali gimnastycznej. W sierpniu w drzwiach sali staje zastępca komendanta instytutu do spraw naukowych. Nigdy dotąd nie interesował się sportem, salę gimnastyczną omijał z daleka. Co się stało?

– Idziemy do Chrząszczyka! – woła. Zdrobniale nazywa tak swojego przyjaciela, profesora Barańskiego.

W jego gabinecie czeka już szef departamentu kadr Ministerstwa Obrony Narodowej generał dywizji Zygmunt Zieliński i dwóch pułkowników. – Będziecie odpowiadać za treningi specjalne i badania pilotów – rozkazuje.

W sekretariacie stoi w mundurach czternastu rozentuzjazmowanych lotników. – To doktor, który będzie odpowiedzialny za waszą grupę – mówi im generał Zieliński.

Klukowski: – Dali mi dwa dni na spakowanie się i wyjazd na zgrupowanie do Mrągowa.

– Wybrano nas czternastu, z różnych jednostek. Byli tam piloci niemal wszystkich rodzajów samolotów, którymi wtedy latało polskie wojsko: migów-23, migów-21, Su-7 i Su-20 – mówi generał Kuziora. – Oprócz badań i ćwiczeń mieliśmy intensywne lekcje rosyjskiego. Przyjechał jeszcze psycholog z całą stertą testów.

Piloci dobrze wiedzieli, że grają o wysoką stawkę. I kłamali. Tak mówi profesor Jan Terelak, wtedy psycholog z WIML-u.

– Ukrywali swoje wady, testy pokazywały za wysoki wskaźnik motywacyjny. Gdy się zorientowałem, niektóre testy musiałem wyrzucić do kosza. Rywalizacja między nimi była ogromna. Narosło tyle kontrowersji, że niektórzy nie odzywają się do siebie do dzisiaj. Obowiązywała selekcja negatywna – kto nie pasował, odpadał. No i trzeba było ich zmęczyć fizycznie, żeby sami zaczęli się wykruszać.

Ośrodek w Mrągowie leży nad jeziorem Czos. Doskonałe warunki na urlop. Ale doktor Klukowski od rana serwuje pilotom ostrą zaprawę. Do wody, potem bieg, podnoszenie ciężarów. Potem rzucają nimi z katapulty, żeby uzyskać duże przeciążenia. I sadzają na obrotowym krześle Barany'ego – kręcą, aż im błędniki oszaleją.

To wszystko jeszcze przed obiadem. Ale czasami obrotowe krzesło było zaraz po posiłku. Efekt? Do przewidzenia.

– Pewnie mnie szczerze za to nienawidzili. – Profesor Klukowski śmieje się.

Każdego dnia musi wysłać raport do WIML-u – kto najlepszy, a kto odpada. Przez kilka dni w rankingach prowadzi major Henryk Hałka, pilot pierwszej klasy, urodzony w Olchowcu na Lubelszczyźnie. Trzydzieści pięć lat, żona, dwójka dzieci. Pochodzenie społeczne właściwie. Syn właścicieli gospodarstwa rolnego, ojciec w czasie wojny był członkiem Batalionów Chłopskich. Jest dobrze, ale musi być perfekcyjnie.

Major Henryk Hałka, 1976 rok

Klukowskiego wzywa wydział propagandy Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

– Słuchajcie, towarzyszu. Hałka to, wiecie, nie jest do końca polskie nazwisko. Obracacie się teraz wśród pilotów, powiedzcie, jak zostałoby odebrane, gdybyśmy zmienili Hałce nazwisko na Hałkowski?

– Wszyscy wiedzą, że on jest Hałka. Taka zmiana z pewnością nie zostanie dobrze odebrana – odpowiada Klukowski.

– Tak myślicie? Hm...

Wkrótce problemu nie ma, bo Hałka, choć wciąż w pierwszej trójce, przestaje prowadzić w rankingach.

Z czternastki po zgrupowaniu w Mrągowie odpada sześciu pilotów. Reszta jedzie na zgrupowanie do Zakopanego. Kwaterują ich w ośrodku dla pilotów WOSzk-Gronik.

Doktryna wojenna Związku Radzieckiego przewiduje masowy atak z zaskoczenia na kraje Zachodu. Najpierw uderzenia jądrowe w newralgiczne punkty przeciwnika oraz operacje wojsk specjalnych, potem uderzenie wojsk pancernych i zmechanizowanych. Wielkie ćwiczenia „Tarcza 76" mają odpowiedzieć na pytanie, czy wojska Układu Warszawskiego są gotowe do konfrontacji.

Podpułkownik Zenon Jankowski, pilot z jednostki w Powidzu niedaleko Poznania, świeżo po szkoleniu w Krasnodarze, lata na nowoczesnych szturmowych Su-20. Pierwszy taki samolot w polskim wojsku. Naddźwiękowa prędkość, możliwość wykonania lotu na małej wysokości, krótki start i lądowanie na lotniskach z pasami o długości tysiąca-tysiąca dwustu metrów, z toną bomb może polecieć nad cele oddalone o siedemset-osiemset kilometrów. Wszystko dzięki zmiennej geometrii skrzydeł. Gdy są „przytulone" do kadłuba, samolot osiąga prędkości naddźwiękowe, gdy pilot rozłoży skrzydła, może lecieć bardzo daleko.

Podpułkownik Zenon Jankowski, 1976 rok

Klukowski: – Podczas „Tarczy” Jankowski wsławił się brawurowym lądowaniem na drogowym odcinku lotniskowym.

– Przesada – mówi Jankowski. – Nic wielkiego nie zdziałałem.

Ale przełożeni każą mu się zgłosić do WIML-u. – Wszyscy wiedzieliśmy, że po jednostkach jeździli ludzie z dowództwa wojsk lotniczych i pytali o chętnych do testowania nowego sprzętu. Na ziemi nigdy się przed nikogo nie wpychałem, ale w powietrzu to co innego. Nowy sprzęt? Ja pierwszy do niego! Ucieszyłem się – wspomina pułkownik Jankowski. Badania w instytucie przechodzi

bez problemów. – Zawsze miałem dobre parametry, chociaż nigdy nie uprawiałem wyczynowo sportu – mówi.

Szybka decyzja „góry”: Jankowski ma dołączyć do grupy kandydatów, która przebywa już w zakopiańskim Groniku.

Jankowski wchodzi do grupy oficerów, którzy już się zdążyli ze sobą zżyć, przeszli przez zgrupowanie w WIML-u, obóz w Mrągowie. Zdążyli się już dobrze poznać. Na pierwszy rzut oka widać, kto jest liderem.

– Zobaczyłem Mirka Hermaszewskiego – wspomina Jankowski – otoczonego wianuszkiem pochlebców.

Major Mirosław Hermaszewski, 1976 rok

W Zakopanem dowiadują się wszystkiego.

– Gratuluję panom wysiłku i zaangażowania. Wiem, jak dużo włożyliście wysiłku, ale oczekuję od was więcej, bo przed wami długa droga. Najlepsi polecą w kosmos na rosyjskim statku. Taka sama grupa przyszłych kosmonautów trenuje także w Czechosłowacji i Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Taką przemowę strzelił im Stanisław Barański, szef WIML-u. Obok stał Jan Rychlewski, zastępca kierownika wydziału nauki i oświaty KC PZPR (potem został szefem Centrum Badań Kosmicznych Polskiej Akademii Nauk).

Piloci zaczynają głęboko oddychać.

Generał Kuziora: – Zrozumieliśmy, po co to wszystko. Kosmos! Ciśnienie mi się podniosło.

Dostają zgodę na spotkanie z rodzinami. Tak, mogą im powiedzieć, co robią.

– Pamiętam ten dzień lepiej niż paciorek. – Grażyna Kuziora śmieje się. – Mąż wchodzi do domu i mówi: Słuchaj, chyba polecę w kosmos.

– Naprawdę!?

– Nooo... Ta grupa, z którą ćwiczymy, to do lotu w kosmos.

Mój Boże, młody chłopak, pomyślałam. Mało co latał i już w kosmos!? Jak to możliwe? Nierealne, bo jak to? W sklepach niczego nie ma, stoję w kolejkach po mleko, a mój mąż wybiera się w kosmos!? Jeny! Dla mnie to było niesamowite.

– I co ty na to? – pyta mąż.

– Przecież ci nie zabronię.

Nie bałam się. Żona pilota musi się oswoić ze strachem. Przeżywałam to już wcześniej dziesiątki razy. Garnizony lotnicze

zwykle są w lasach. Mężowie mają nocne loty, co chwila słychać huk startujących i lądujących maszyn. Czasem zdarza się nagła cisza i serce staje. Człowiek myśli, że znowu ktoś zginął, że wypadek, dlatego jest cicho. Lata siedemdziesiąte. Nie ma telefonów komórkowych, nie można się niczego dowiedzieć, więc my, żony, umieramy ze strachu. Dopiero potem się okazuje, że to tylko pogoda się popsuła.

Dlatego gdy Tadziu powiedział, że może polecieć w kosmos, wcale się nie bałam. Byłam dumna. Najbardziej chyba z tego, że zdał testy psychologiczne. Kosmonauta musi być opanowany, zdecydowany, stanowczy. Mogłam się chwalić: O jeny, patrzcie, jakiego mam świetnego męża!

Zabawa się kończy, zaczyna się ostra jazda.

Tadeusz Kuziora: – Zostało nas dziesięciu, w kosmos może polecieć tylko jeden. Czy coś lepszego może się przytrafić w życiu pilotowi samolotu naddźwiękowego?

Tak, liderem wyścigu jest Hermaszewski. Ma do tego najpoważniejsze stanowisko służbowe, jest dowódcą pułku. Ale jest też najwyższy. To wada, lepiej, żeby kosmonauta był niski.

– Za to przeciążenia znosiłem najlepiej – opowiada Hermaszewski. – 8,2 grama bez kostiumu. To jest wyczyn! Wyniki psychologiczne też miałem najlepsze. Pod względem wytrzymałości i kondycji drugi. Zacząłem się wewnętrznie mobilizować. Pomyślałem, że jak trafię do czwórki, która pojedzie pod Moskwę, do Gwiezdnego Miasteczka, to zobaczę prawdziwych kosmonautów. Marzyłem o tym, odkąd Gagarin poleciał pierwszy.

Zenon Jankowski: – Ale i tak najlepszy z nas był Andrzej Bugała, dowódca eskadry migów-21.

Major Andrzej Bugała, 1976 rok

Hermaszewski: – Profesor Barański zapoznał nas z wynikami badań. Ucieszyłem się, bo we wszystkich dyscyplinach zajmowałem pierwsze miejsce. Tylko Heniu Hałka miał lepszą ode mnie wydolność.

Profesor Klukowski: – Bardzo ze sobą konkurowali, zdarzały się męskie złośliwości. Wyraźnych różnic w odporności u nich nie było.

Generał Kuziora: – Klukowski chciał nas wykończyć. Co chwilę mierzył nam tętno. Co!? Tylko sto dwadzieścia!? Zwiększamy tempo!

Po Tatrach dosłownie biegaliśmy. Nawet w gazetach pisali, że w górach pokazała się grupa niezrównoważonych osobników. „Tam, gdzie wykwalifikowani przewodnicy pokonują szlak w dwie godziny, oni robią to w godzinę. Szaleńcy". Wbiegaliśmy na Kasprowy Wierch i prosiliśmy, że pobiegniemy jeszcze na Giewont. Przewodnicy pytali, czy koniecznie chcemy. Chcemy! Wychodziliśmy z Gronika o dziewiątej rano, wracaliśmy o osiemnastej.

Hermaszewski: – Z Zakopanego pamiętam tylko nogi kolegi idącego przede mną. Niewyraźnie, bo oczy zalewał mi pot. Na Przełęczy Szpiglasowej ostatnie piętnaście metrów pokonałem na czworakach, rękami darłem zmarzniętą ziemię, zębami czepiałem się kosodrzewiny, tak się zawziąłem.

Kuziora: – Każdy chciał udowodnić, że się nadaje.

Profesor Klukowski: – Wydolnościowo wszyscy byli mniej więcej na tym samym poziomie. Decydujący głos mieli psychologowie.

– Kosmonauta powinien być pewny siebie, agresywny... – mówi profesor Jan Terelak.

– Agresywny!?

– O tak! Ale nie chodzi o chuligaństwo, tylko o agresję. A ona przejawia się w stanowczości. Liczy się także inteligencja, ale nie jej iloraz. Wysoki ma nawet Doda, ale nic z tego nie wynika. Test polega na rozwiązywaniu problemów, trzeba szybko wybierać najlepsze i najbardziej logiczne rozwiązania. Liczy się nie tylko wiedza, ale i doświadczenie. Bada się poziom lęku, zrzuca kandydatów do wody, topi. Muszą wiedzieć, jak przeżyć

w trudnym terenie, chociażby w tundrze. Przecież nie wiadomo, gdzie wylądują. Introwersja i neurotyzm dyskwalifikują.

Ważna jest też świadomość sytuacyjna.

– Ki czort? – dopytujemy.

– Kosmonauta musi cały czas wiedzieć, co się dzieje, nie może ani na moment rozłożyć rąk i przyznać, że jest bezradny. Amerykańscy astronauci byli asertywni. Kiedy lądowali na Księżycu, NASA źle im podpowiedziała miejsce lądowania – na zboczu nachylonym pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Astronauta w ostatniej chwili podjął decyzję, że wyląduje gdzie indziej. I miał rację. Gdyby nie był asertywny, nie przeżyliby.

Po przeanalizowaniu stosu testów profesor Terelak jest niemal pewien, kto z grupy pilotów powinien polecieć w kosmos. A kandydaci wreszcie mogą przez chwilę odpocząć.

Dom wczasowy Kościelisko organizuje wieczorek zapoznawczy dla swoich gości.

– Może byśmy poszli? – proszą piloci doktora Klukowskiego.

– Dobrze, ale dwa warunki: ani grama alkoholu i nikt się nie może dowiedzieć, co my tu robimy.

W Kościelisku trwa zabawa. Orkiestra na żywo, tańce, alkohol. Na środku sali stół przykryty białym obrusem, na nim oranżady i woda gazowana, zagrycha i dziesięciu zdrowych byków. Siedzą na smutno. Nagle orkiestra tusz! Werble, kierownik Kościeliska (potem się okazuje, że kolega z liceum jednego z lotników) wskakuje na scenę, podbiega do mikrofonu i krzyczy: – Serdecznie witamy w naszym gronie kandydatów na kosmonautów!

Major Jurij Gagarin 12 kwietnia 1961 roku jako pierwszy człowiek w dziejach ludzkości poleciał na orbitę okołoziemską. Za ten czyn został obsypany medalami i orderami, w tym najważniejszym w ZSRR tytułem Bohatera Związku Radzieckiego

ROZDZIAŁ 2

Kosmonauta idealny dźwiga ciężar sławy

Kosmonauta idealny to doskonały pilot. Niski, sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, szczupły, żeby się zmieścił w kabinie statku kosmicznego. Odporny na nagłe i intensywne bodźce, opanowany, ciekawy świata, odważny. Ćwiczenia na symulatorach powinien wykonywać spokojnie i pewnie. Ujmujący? Koniecznie – to jeden z atrybutów bohatera.

Pochodzenie społeczne robotnicze lub chłopskie, żeby awans był dostrzegalny i inspirujący dla innych. Patrzcie, możecie sięgnąć po to samo. Wystarczy się bardzo starać.

Godny zaufania, przywódca, cieszący się estymą wśród kolegów.

Taki był Jurij. Trzecie dziecko cieśli Aleksieja Gagarina i jego żony Anny, urodzony 9 marca 1934 roku we wsi Kłuszyno niedaleko Smoleńska. Robotnik w fabryce maszyn górniczych, student politechniki w Saratowie, projektant maszyn odlewniczych, marzyciel. Zapisuje się do aeroklubu i lata na szkolno-treningowych jakach-18. Potem służba w wojsku w szkole lotniczej w Orenburgu

na Uralu. Żeni się z felczerką Walentyną, zostaje w armii z przydziałem w bazie lotniczej pod Murmańskiem.

Armia szuka wśród pilotów kandydatów na kosmonautów, Jurij wypełnia formularz. Ma dwadzieścia pięć lat, jest zdrowy, spełnia wszystkie kryteria. Przez rok szkoli się w Gwiezdnym Miasteczku – tajnym kompleksie pod Moskwą. W wolnym czasie gra w badmintona, szachy, czyta albo spaceruje. Pełna tajemnica.

Po udanym locie musi udźwignąć ciężar sławy. Jego twarz staje się ikoną. Jest na znaczkach, plakatach, monetach, pocztówkach, na zdjęciach w gazetach, w filmach, książkach. Na jego cześć nazywane są place, ulice i skwery, rosną pomniki. Awansują go ze starszego lejtnanta od razu na majora, dają tytuł lotnika kosmonauty, przypinają medale, tytułują Bohaterem Związku Radzieckiego. Zakuwają go w brąz.

W ojczyźnie największa feta od pokoleń: specjalny samolot z eskortą myśliwców, ulice pełne ludzi, kwiaty rzucane pod samochód, którym go obwożą, wiwaty podczas wiecu na placu Czerwonym. Radzieckie gazety obwołują go nadczłowiekiem o maksymalnej sprawności mózgu i ciała. Niezawodnym, na którego można liczyć w każdej sytuacji. Pogodny, życzliwy, z poczuciem humoru. Przedstawiciel ludzkości, najlepszy spośród nas wszystkich. Ale nie koturnowy. Bliski – taki, którego każdy z nas chciałby mieć za przyjaciela.

Odtąd ani słowa o życiu prywatnym, wizerunek musi być idealny, a historia życia jak z antycznego mitu.

Nikt więc nie dowie się o wakacjach na Krymie i pielęgniarce, która tak bardzo mu się spodobała. Idą razem do pokoju, ale wszystkie oczy na niego patrzą, a języki gadają. Żona wali w drzwi, Jurij nie zdąży się ubrać, zaplątany w spodnie wyskakuje przez

okno, przewraca się, wali głową w beton, skóra na twarzy zdarta, zalewa się krwią.

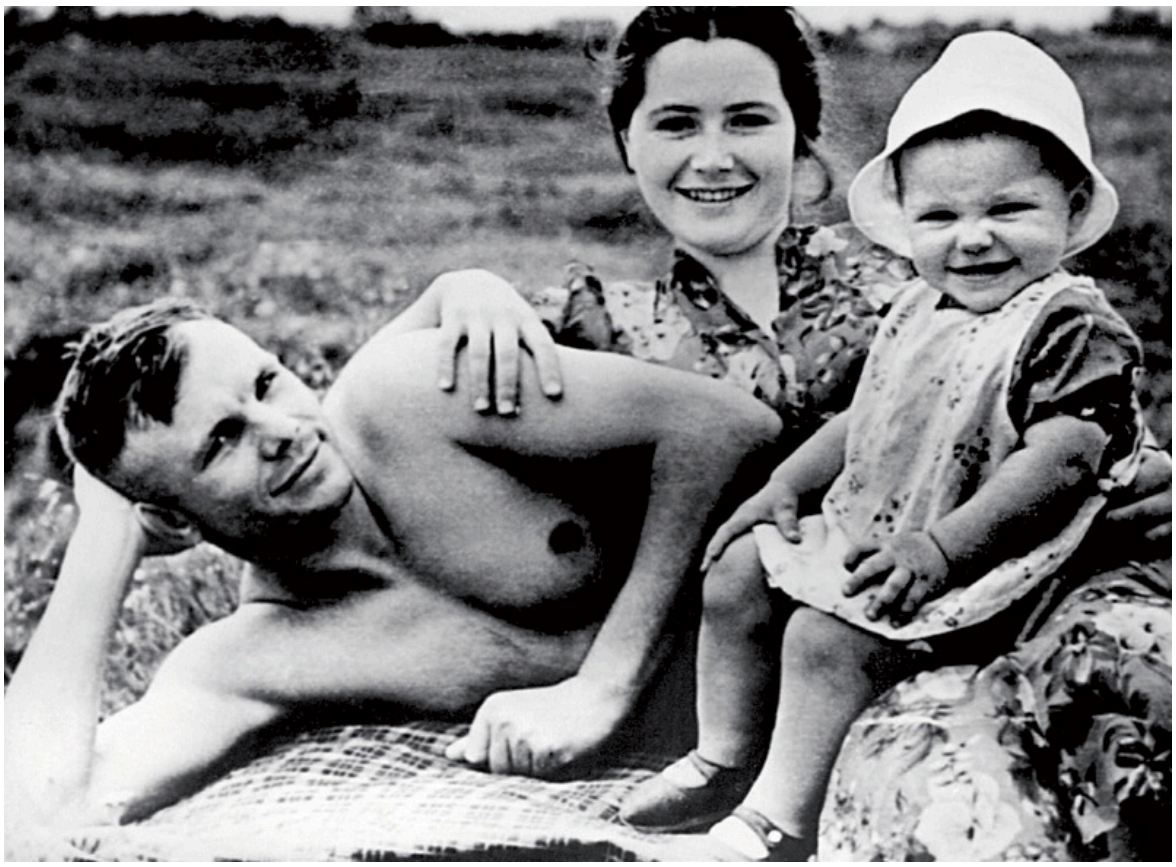

Jurij Gagarin z żoną Walentyną i córką Leną na plaży w 1960 roku. Przed lotem w kosmos napisał do żony list pożegnalny: „Mam nadzieję, że nigdy nie przeczytasz tych słów, ale czasem ludzie potykają się na ziemi i łamią karki. Coś może wydarzyć się i tutaj...”

Lepiej opowiadać tak:

Wszystko wokół usiane dywanem żółtych liści, miota nimi jesienny wiatr. Błękitnoszare oczy Jurija błyszczą radością. Jutro pobierają się z Walentyną. On szepcze do niej czule: – Wypuszczono właśnie satelitę Ziemi. Ale to ty będziesz moim satelitą.

Ona się śmieje. – Kawalarz z ciebie.

Albo tak:

Zaśnieżone wzgórza, wzgórza, wzgórza. A między wzgórzami niewielkie wojskowe osiedle. W domku fińskim wesoło trzaskają

polana w piecu. Płonącym szczapom przypatruje się młoda kobieta. Blask płomieni odbija się w jej ciemnych oczach, w grubym kasztanowym warkoczu. Jej mąż Jurij wyleciał, a ona znowu sama. Ale nie żałuje, że pojechała z nim na północ, pod Murmańsk. Są szczęśliwi. Gdy Jurij jest w domu, pomaga we wszystkim – drew narąbie, wody nanosi, wykąpie ich malutką córeczkę Lenę.

Pewnego dnia wrócił ze służby wielce podniecony.

– Walusiu, zaproponowano mi...

– Co, Jureczku?

– Widzisz... Rozumiesz, chciałbym zostać kosmonautą. Będę leciał do gwiazd albo chociaż na Marsa, on bliżej. Co o tym myślisz?

Co myślała? Można co prawda zachować wewnętrzny spokój, ale serce zawsze szybciej bije, kiedy ukochany wyjeżdża na lotnisko. Samolot to coś znajomego, ale rakieta?

– Naprawdę chcesz zostać kosmonautą? – pyta żona z czułością.

– Bardzo.

A więc postanowione. Oboje podjęli tę decyzję, oboje wybrali drogę do gwiazd.

Do takiej opowieści nie pasują plotki, że Gagarin nie wytrzymuje napięcia i coraz częściej zagląda do kieliszka, a Walentyna nie potrafi go już upilnować. Przyjęcie za przyjęciem, na każdym ją oszukują. Jura oficjalnie pije wodę, ale wystarczy, że żona odwróci wzrok, koledzy podają mu swoje kieliszki.

Takie plotki trzeba ucinać. I ani słowa o tym, że zdarzają się przyjęcia, po których musi odpoczywać przez kilka dni.

Ważne, by mówić o wizerunku „człowieka radzieckiego” – dobrodusznego, otwartego, skromnego, umniejszającego swoje

zasługi. Na przykład, że zrezygnował z odpoczynku, bo czekała na niego delegacja pionierów ze wsi Kuszkino. Należy też prostować bzdury, które piszą o nim na Zachodzie, na przykład że pochodzi z książęcego rodu. Można pokazać jego rodzinny dom, niewielki, drewniany, z małym gankiem, pomalowany na zielono. Porozmawiać z matką bohatera, która opowie o swoim weselu z chłopakiem z wioski, a nie z żadnym księciem: „Stoły nakryliśmy, niewiele jedzenia na nich było – nóżki w galarecie, ogóreczki, pierożki z kartofli. Czasy były ciężkie, rok dwudziesty trzeci. Ale jak śpiewaliśmy, jak tańcowaliśmy, tupaliśmy bez picia, bo nawet piwa nie było z czego zrobić".

Wspomni o narodzinach swoich synów. Niech się wszyscy dowiedzą, że Anna Timofiejewna z samego rana poszła do żniw, zrobiło się jej słabo, jakoś dobrnęła do domu. Teściowa posłała po „babkę", poród nie był trudny. Mąż wrócił z pola i ucieszył się, że ma syna. Zrobił wspaniałą kołyskę. Po sześciu latach znowu wynosili kołyskę z komórki, tym razem dla Jurija.

Niech pierwszy radziecki kosmonauta opowiada o matce, jak przed lotem czuł jej obecność, jakby weszła do statku, nachyliła się nad nim i – jak w dzieciństwie – pocałowała go do snu. Może też dodać, jak poczuł na twarzy jej ciepły oddech.

Gagarin nie musi tak bardzo udawać. Każdy, kto się z nim spotyka, potwierdza, że to „fajny chłop". Gierman Titow, dubler Gagarina, przyzna: „Jurę trzeba było kochać. Mnie nie mógł kochać nikt".

Wszyscy chcą zobaczyć pierwszego kosmonautę, dotknąć, zagadać. Włodzimierz Modestow, jeden z pracowników biura

projektów rakiet, ma szczęście. Na jednym z zamkniętych przyjęć Gagarin rozdaje autografy. Modestow nie ma kartki, podsuwa swoje prawo jazdy, odtąd nie musi się już martwić o wykroczenia. Każdy milicjant na widok podpisu Gagarina staje na baczność, salutuje i odpuszcza.

Świat chce poznać pierwszego kosmonautę. Wszędzie to samo, w Stanach Zjednoczonych, Europie, Afryce. Tłumy, flesze, ochrona. Tysiące pytań, ciągle te same. Nawet chwili prywatności.

Włoska aktorka Gina Lollobrigida podczas spotkania docieka, czy Gagarin lepiej się czuje w kosmosie, czy na Ziemi. Chce też wiedzieć, co kosmonauta myśli o popularności.

– Jest ciężka – przyznaje Gagarin.

W Londynie śniadanie z angielską królową Elżbietą II, tysiące londyńczyków witają go jak gwiazdę rocka. Ściskają go amerykański prezydent John Kennedy, prezydent Indii Nehru, kubański przywódca Fidel Castro.

W lipcu 1961 roku Jurij Gagarin objeżdża Polskę. Na Górnym Śląsku wita go ponad milion ludzi

Gagarin reprezentuje Związek Radziecki, ma być symbolem radzieckiego mitu nieograniczonych możliwości, jest twarzą sukcesu partii komunistycznej, musi być idealny. Nie wolno mu nic powiedzieć od siebie, każde zdanie należy uzgodnić z władzą.

Mówi więc tak: „Lot w kosmos nie był moim osobistym wyczynem – to osiągnięcie całego narodu radzieckiego. Jestem dumny, że się urodziłem na radzieckiej ziemi, gdzie zbudowano nowe życie i skąd utorowana została pierwsza droga ku gwiazdom".

Albo tak: „Mogę stwierdzić z całą odpowiedzialnością, że pasażerów kosmolotu udającego się na Marsa czy na Wenus zadziwi przede wszystkim nie kosmos, ale Ziemia. Zadziwiająco

piękne są jej zielone kontynenty i błyszcząca łuska oceanów, niezapomniane wschodzące nad nią zorze. Gdy zobaczyłem naszą wiosenną planetę, pomyślałem, że głównym celem żyjących na niej ludzi jest strzec i mnożyć to piękno, uczynić życie ludzkie radosnym i spokojnym".

Kosmonauta Władimir Dżanibekow o zaletach swojego przyjaciela Jurija: „Można o nich mówić bez końca, ale trzeba powiedzieć o tym, co najważniejsze. Przeszedł zwycięsko trudną próbę popularności. Pozostał sobą".

Na pytanie o ciężar sławy Gagarin zwykle odpowiada: „Jest to sława mojego narodu i powinienem ją nosić z honorem".

20 lipca 1961 roku Kolumb Kosmosu ląduje w Polsce. Nie przypomina starych i posępnych przywódców z Kremla. Z Okęcia do centrum Warszawy wiezie go odkryty samochód. Na trasie tysiące ludzi obsypują go kwiatami. „Szofer z trudem daje sobie radę z tą lawiną zasypującą mu przednią szybę i kierownicę. Jurij Gagarin ma refleks. Wybiera co ładniejsze kwiaty i odrzuca je warszawiankom, które nagradzają go za ten szarmancki gest uśmiechami" – odnotowuje dziennikarz „Życia Warszawy".

Następnego dnia Gagarin specjalnym pociągiem jedzie do Katowic. Na peronie czekają na niego pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR Edward Gierek ze świtą, górnicy z kopalni Wujek i dziewczyny ze Studenckiego Zespołu Pieśni i Tańca „Katowice".

Na fasadzie katowickiego dworca wisi gigantyczny portret kosmonauty. Podczas przejazdu Gagarina przez Katowice, Chorzów, Bytom, Zabrze i Rudę Śląską na ulice wylega ponad milion ludzi.

Na ulicy Katowickiej w Rybniku górnicy kilkakrotnie podnoszą odkrytą limuzynę z kosmonautą. Tłum śpiewa mu „Sto lat".

Wieczorem w Katowicach akademia z okazji siedemnastej rocznicy ogłoszenia Manifestu PKWN. Na lodowisku Torkat gromadzi się osiemnaście tysięcy ludzi. Przy stole prezydialnym Jurij Gagarin, za nim transparent „Siedemnaście lat władzy ludowej w Polsce – to praca dla pokoju i szczęścia narodu". Obok siedzą Władysław Gomułka i Edward Gierek.

– Jestem do głębi wzruszony serdecznym przyjęciem, pięknymi uśmiechami i gorącymi sercami, którymi wita mnie społeczeństwo Śląska – mówi do tłumu Gagarin.

W liście otwartym do polskiej młodzieży pisze: „Wierzę, że w przyszłości, kiedy we wszechświat polecą karawany kosmicznych rakiet, u steru jednej z nich zasiądzie chłopak o polskim imieniu".

Ale czy Polska znajdzie takiego jak Gagarin?

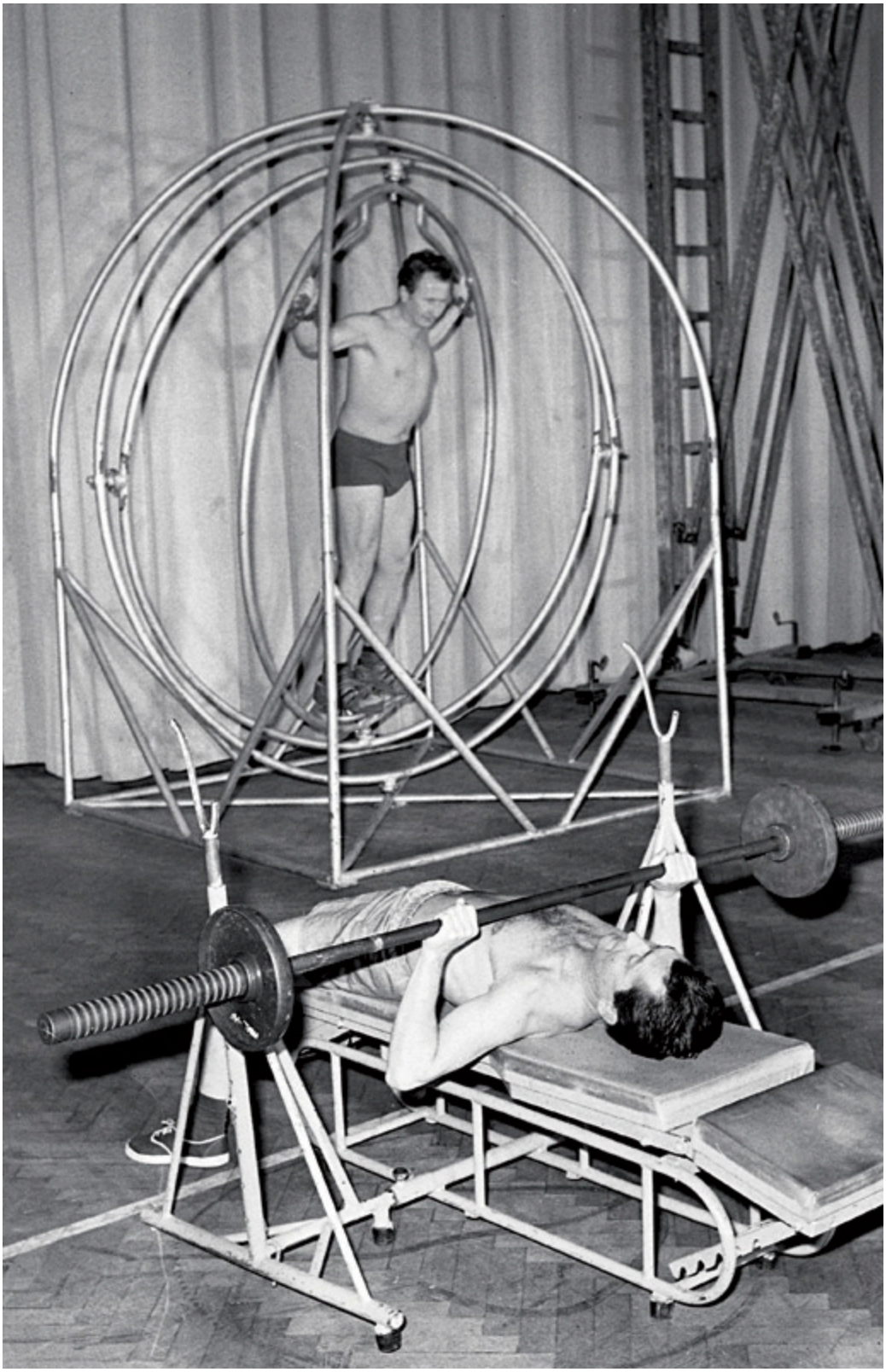

Lekarze z Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej w Warszawie muszą wybrać najlepszych kandydatów do lotu w kosmos. Codziennie obowiązuje ciężka zaprawa fizyczna

ROZDZIAŁ 3

Jak odpowiadać na pytania, żeby było dobrze?

Do Warszawy przyjeżdżają Rosjanie z Gwiezdnego Miasteczka. Delegacji przewodniczy pułkownik lekarz kosmonauta Wasilij Łazariew. Siadają w sali konferencyjnej Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej. Stół przykryty zielonym suknem, na nim pięć teczek.

Strasznie oficjalnie.

– Czy jesteśmy pewni, że przeprowadzono wszystkie, powtarzam: wszystkie badania? – pyta współpracowników szef instytutu Stanisław Barański.

– Wszystkie – potwierdzają.

– Chirurdzy?

– Zgodnie z instrukcją.

Ktoś dopowiada: – Tylko Hermaszewskiemu zrobimy jeszcze rentgen.

Lekarze podejrzewają, że ma niewielką przepuklinę rozworu przełykowego. Żołądek przesuwa się do góry i jego część z jamy

brzucha przedostaje się do klatki piersiowej. Winna jest przepona – szeroki mięsień rozpięty między dolnymi żebrami, który obejmuje dolny odcinek przełyku. Jeśli rozwór jest powiększony, nie potrafi utrzymać części wpustowej żołądka w jamie brzusznej. Objawy: zgaga, dyskomfort w klatce piersiowej.

Profesor Klukowski: – Nic wielkiego, ma to jakieś czterdzieści procent ludzi.

Wymiana uprzejmości.

– Wszyscy radzieccy kosmonauci już oczekują polskich kolegów w Gwiezdnym Miasteczku – zapewnia Łazariew.

– Będzie nam miło, jeśli radzieccy goście zwiedzą nasz instytut – odpowiada z kurtuazją profesor Barański.

Goście nie odmawiają. Ktoś próbuje tłumaczyć na rosyjski. – Nie trzeba, wszystko jasne – przerywają goście.

Wracają do sali konferencyjnej.

Kogo wybiorą Rosjanie?

Bohdan Świątkiewicz, reżyser z Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego „Czołówka", włącza kamerę. Kandydat na kosmonautę musi być wojskowym. „Wojsko od lat szuka modelowej sylwetki człowieka w nowoczesnym, przeżywającym rewolucję naukowo-techniczną świecie. Wojsko kształtuje odwagę, hart ducha, dyscyplinę, szybkość reakcji, odpowiedzialność, dba o kondycję fizyczną, koleżeństwo, współodpowiedzialność za losy kolektywu. To jest model współczesnego człowieka" – zapisuje w notesie.

Rosjanie czytają akta i analizują wyniki badań, kandydaci czekają w hotelu. Świątkiewicz namawia ich na wywiady.

Major Hermaszewski: – Proponuję, żebyśmy do filmowania założyli mundury.

Major Henryk Hałka zniechęcony: – Mirek, daj spokój, przecież przed chwilą przebrałem się w cywilne ubranie...

Ale wystarczy karcące spojrzenie Hermaszewskiego. Wstaje z fotela i idzie po mundur do swojego pokoju. Mruczy pod nosem: – Chętnie wycofałbym się z tej gry.

Pułkownik Wasilij Łazariew, lekarz i kosmonauta (trzeci od lewej), w rozmowie z polskimi kandydatami do lotu orbitalnego: Henrykiem Hałką, Mirosławem Hermaszewskim, Tadeuszem Kuziorą, Andrzejem Bugałą i Zenonem Jankowskim

Pierwszy przed kamerą siada porucznik Tadeusz Kuziora. Pod świeżo wyprasowanym mundurem biała koszula.

– Komu zawdzięcza pan swoją dotychczasową karierę? – pyta dziennikarz.

– Wojsku, przede wszystkim wojsku. To dobra szkoła życia – odpowiada Kuziora. – Wojsko to doskonała szkoła wychowania. Przychodzą do wojska chłopcy z różnych stron Polski, z różnych środowisk i z różnym zasobem wiedzy. Dla wielu z nich to szkoła charakteru, okazja do nauki, kontaktu z działami kultury polskiej w jej najwartościowszych przejawach. Myślę, że dla chłopaka z Bieszczad wizyta w renomowanym teatrze musi stanowić niezapomniane przeżycie. Dzięki wojsku chłopak poznaje galerie malarstwa, zabytki architektury, sztuki, uczestniczy w spotkaniach z wybitnymi pisarzami, reżyserami, aktorami...

Świetnie! Teraz major Andrzej Bugała: – Jutro komisja lekarska zdecyduje, kto przejdzie do następnej rundy szkolenia. Oczywiście wybrani będą najzdrowsi. Życzę każdemu z kolegów, by jako pierwszy z Polaków poleciał w kosmos. Tak się akurat interesująco w moim życiorysie złożyło, że dokładnie w tym dniu, kiedy wykonywałem swój pierwszy lot na samolocie odrzutowym, wystartował w kosmos pierwszy człowiek – Jurij Gagarin.

Też dobrze, kolej na majora Hermaszewskiego. – Wydaje mi się, że ten, kto lubi przestrzeń, powietrzny żywioł i ceni lotniczy, męski zawód, zawsze nosi w sobie ukrytą iskierkę nadziei, że pewnego dnia poleci jeszcze wyżej, jeszcze szybciej, jeszcze dalej. Czy znajdę się wyżej, zadecydują moje predyspozycje – mówi. – Zdaję sobie sprawę, że poleci jeden z nas, ale na dnie duszy marzy mi się wspólny lot. Żebyśmy wszyscy mogli odczuwać tę wielką przygodę tam daleko, w stanie nieważkości.

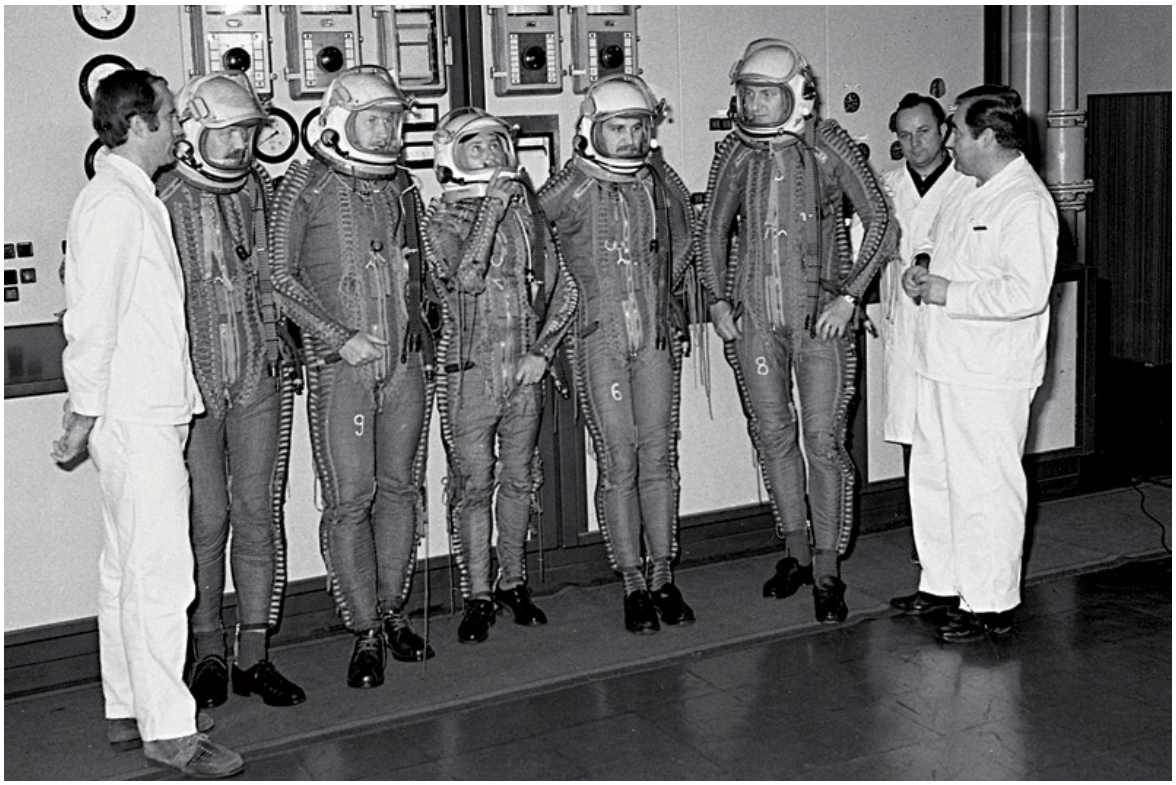

Kandydaci na kosmonautów przechodzą mordercze testy w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej w Warszawie: w wirówkach, komorach ciśnień, symulatorach

Podpułkownik Zenon Jankowski bez patosu: – Kiedy zastanawiam się nad sobą, wydaje mi się, że moja lotnicza droga była zwykłą drogą każdego pilota. Nie ma w niej nic szczególnego, jest typowa.

Major Henryk Hałka wręcz przeciwnie: – Ten z nas, który zostanie zakwalifikowany, będzie reprezentował cały naród. W tej sytuacji mniej ważne jest, kto z naszej piątki poleci pierwszy. Istotne jest to, że Polak będzie uczestniczył w dalszym poznawaniu kosmosu. To napawa dumą.

Rosjanie jeszcze nie podejmą decyzji, każą powtórzyć niektóre badania. Andrzejowi Bugale zaglądają do nosa. Chodzi po korytarzu z tamponem z ligniny.

Kuziora wystraszony. – Rosjanie odkryli problem z zębami – wspomina. – Miałem złamane dwie jedynki, dentysta nałożył na nie koronki. Korzeni nie usunął. Mogłyby się psuć. Stomatolodzy z WIML-u zastrzegli, że nie są chirurgami szczękowymi. Znaleźli specjalistę na zewnątrz. Powiedział, żebym zszedł do bufetu i najadł się do syta, bo przez parę dni będę głodował. Potem znieczulił szczękę, naciął dziąsło, wyjął korzenie i zszył ranę. Dwa dni leżałem na brzuchu, co dwie godziny pielęgniarka podawała mi nowy woreczek z lodem na twarz. W końcu lekarz uznał, że dobrze wyglądam, a wąsy maskują opuchliznę. Naprawdę już nic nie widać. Pojechałem na chwilę do domu.

Grażyna Kuziora: – Zobaczyłam męża i niemal zemdlałam. Boże, jak on wyglądał! Cała twarz napuchnięta, warga nad górną szczęką jak bania. O jeny!

– Nie było wyjścia – tłumaczy jej Kuziora. – Powiedzieli, że albo wyrywam korzenie, albo mnie skreślają.

Spekulacje. Doktor Klukowski zdradza dziennikarzom wojskowym, że w biegach i marszach najlepsi są Hermaszewski i Hałka, w pływaniu nikt nie pokona Kuziory, wszyscy świetnie grają w siatkówkę. Hałka jest królem tenisa, w gimnastyce Jankowski jest klasą samą w sobie. Trudno jednoznacznie wskazać najlepszego.

Rosjanie jeszcze nie podejmą decyzji, chcą przesłuchać kandydatów.

Na pierwszy ogień Hałka. Zdenerwowany, staje przed komisją wyciągnięty jak struna, salutuje. Łazariew wstaje od stołu, podaje Hałce dłoń, uśmiecha się. – Nie denerwujcie się – mówi.

Hałka spodziewa się ciężkiego egzaminu. Padają pytania:

– Jaki jest wasz ulubiony sport?

– Koszykówka.

– Jak myślicie, która z dyscyplin sportowych jest najbardziej przydatna lotnikowi?

Hałka zdezorientowany: – Zbiorowe gry sportowe.

– Wasze hobby?

– Zbieram znaczki – odpowiada. – Szczególnie dotyczące astronautyki – dodaje szybko.

– Radość i smutek wolicie przeżywać sami czy z innymi?

– Radość z innymi, a smutek sam.

– A porażki?

– Biorę je na siebie.

– To wszystko, dziękujemy.

– Nie wiedzieliśmy, o co chodzi – mówi generał Kuziora. – Jak odpowiadać na takie pytania? I czy to odpowiedzi dobre, czy złe?

Oni: – Jakiej muzyki słuchacie?

Ja: – Współczesnej, lekkiej.

Oni: – A nie Chopina!?

Oni: – Jakie książki czytacie?

Ja: – Sienkiewicza.

Oni: – A nie Mickiewicza!?

Ja: – Mickiewicza też!

Cholera, naprawdę nie wiadomo, co mówić.

Przy Hermaszewskim zaskoczenie.

– Macie do nas jakieś pytania? – zaczyna Łazariew.

Konsternacja.

– Co czytaliście ostatnio w języku rosyjskim?

– „W obłokach" i książkę Szatałowa.

– Widzę na waszej twarzy dwie nieduże szramy. Od czego to?

– Z dzieciństwa. Bawiłem się nie tak, jak mama chciała, stąd szrama na policzku. Druga powstała w wyniku zjazdu z górki na wózku.

– Kto was podniósł po upadku?

– Sam się poderwałem z ziemi jak na sprężynie.

Członkowie komisji kiwają głowami. To dobrze czy źle?

– Wasze hobby?

– Modelarstwo redukcyjne samolotów i myślistwo. Interesuję się także historią minionej wojny, szczególnie historią walk naszych lotników. Pasjonuję się teatrem, lubię literaturę piękną, urzeka mnie muzyka. Uwielbiam przede wszystkim Chopina, jego mazurki i polonezy.

Jankowskiego pytają o „Tarczę 76". Mówi, że za sterami samolotów przesiedział już dwa tysiące godzin.

– Dwa tysiące! – na Rosjanach ta liczba robi wrażenie.

Do sali wchodzi Andrzej Bugała. Absolwent Akademii Lotniczej im. Gagarina w Monino pod Moskwą. Najlepiej zna rosyjski.

– Zdarzyły się wam awaryjne sytuacje? – pyta ktoś z komisji.

– Tak, jedna. Podczas skoku ze spadochronem spadł mi but.

Nikt się nie śmieje.

Na korytarzu jak po egzaminie. Kandydaci się przekomarzają, żartują. Jankowski poza grupą, siedzi z boku i czyta gazetę.

Fotoreporter z Wojskowej Agencji Fotograficznej chce zrobić portrety kandydatom na kosmonautów. Ustawia ich na tle białego murku przy WIML-u. Bugała i Hermaszewski muszą przykucnąć, żeby ich głowy nie wystawały nad murkiem. Niziutki Jankowski stoi wyprostowany jak struna. – Nareszcie jakaś sprawiedliwość – komentuje.

Rosjanie podjęli decyzję, są gotowi, ale plotka jest szybsza. Bugała odpada. Na dalsze szkolenie do Gwiezdnego Miasteczka pojadą: Hałka, Hermaszewski, Jankowski i Kuziora.

Profesor Barański wyjaśnia kandydatom: – Bugała zdrowy jak koń, ale jest za duży, nie odpowiada normom antropologicznym.

Profesor Klukowski: – Miał złe proporcje ciała. Za długi tułów, nie zmieściłby się w fotelu statku.

– Co za głupstwa! – oburza się nawet po czterdziestu latach Zenon Jankowski. – Proporcje ciała nie miały żadnego znaczenia! Przecież przy lotach na orbitę nie ma mowy o katapultowaniu, bo wtedy, owszem, Bugała mógłby sobie uszkodzić kręgosłup. Ale tam cały moduł spadał z kosmonautami, którzy siedzą w środku. Tu chodziło o coś innego.

– O co? – pytamy Jankowskiego.

– Odrzucili chłopaka, który miał największe szanse – twierdzi po latach. – Odpadł, bo w tym wyścigu mógł pokonać Hermaszewskiego.

Po oficjalnym ogłoszeniu werdyktu do gabinetu profesora Barańskiego, szefa WIML-u, wpada major Hermaszewski. – Jestem delegatem grupy, czekamy z kawą.

Ale zanim wyjdą, rozmawiają o samolotach. Hermaszewski opowiada o nocnych lotach z taką pasją, że Świątkiewicz jest pewien. W notesie zapisze: „To on zostanie kosmonautą".

Koledzy organizują pożegnanie Bugały w hotelu WIML-u w Warszawie. Wszyscy w galowych mundurach, śnieżnobiałych koszulach. Stół nakryty obrusem, kolorowy świecznik, butelka szampana. Ale jest sztywno, bo spotkanie nagrywa ekipa wytwórni Czołówka. Bugała, spięty, wznosi toast: – Spotkaliśmy się dwa miesiące temu, aby stanąć do męskiej próby. Dwa miesiące wydaje się niedługo, ale razem przeżyliśmy wiele wspaniałych i trudnych chwil. Przeszliśmy naszą ciężką próbę zwycięsko w iście olimpijskiej rywalizacji. Okazaliście się wspaniałymi kolegami.

Hermaszewski uśmiechnięty przejmuje inicjatywę. – Andrzeju, znałem cię jako dobrego lotnika, zaimponowałeś mi opanowaniem i zdecydowaniem. Zawsze, gdziekolwiek będziemy, musimy pamiętać o sobie i powstałej tutaj wzajemnej sympatii. Heniu... – mówi do Hałki wskazując na butelkę – zajmij się tym. Chciałbym zaproponować toast za pomyślność!

Kamera rejestruje jeszcze, jak strzela korek od szampana.

Mirosław Hermaszewski i Piotr Klimuk podczas ćwiczeń w symulatorze stacji kosmicznej Salut 6. Gwiezdne Miasteczko, 1978 rok

ROZDZIAŁ 4

Marzę o tym, żeby pojechać z mężem do Moskwy

To już tradycja. Każdy, kto po raz pierwszy odwiedza Gwiezdne Miasteczko, powinien złożyć kwiaty pod pomnikiem Jurija Gagarina.

Nie trzeba się o nie martwić – gospodarze pilnują, żeby wiązanki były pod ręką. Major Henryk Hałka reprezentuje Polaków, odbiera kwiaty i prowadzi grupę do stóp pomnika.

Można jechać dalej. Droga prosta, prowadzi przez piękny świerkowy las i kończy się wielką polaną, na której stoją wieżowce (mieszkają w nich kosmonauci, ich rodziny, lekarze, laboranci, technicy i pracownicy obsługi), hale i pawilony. Z pozoru niewielkie, samowystarczalne miasteczko ze szkołami i sklepami. Ulice czyste, dokładnie pozamiatane. Trawniki nienagannie przystrzyżone i podlane. Tylko cały teren ogrodzony betonowym murem. Na drogach wjazdowych budki z wartownikami. Gwiezdnego Miasteczka nie można znaleźć na żadnej mapie.

Otwarte w 1960 roku, ma przygotowywać radzieckich pilotów do lotów w kosmos. Położenie ściśle tajne.

Razem z Polakami w hotelu mieszkają kandydaci na kosmonautów z Czech i Niemiec, ale nie ma czasu, żeby się lepiej poznać. Każda grupa pracuje według dokładnie rozpisanego harmonogramu. Od rana do wieczora ćwiczenia, testy, badania krwi, moczu, prześwietlenia.

Wirówka ta sama, na której trenował Gagarin. Sprawdzają tu, jak człowiek znosi przeciążenia. Musi usiąść w fotelu umocowanym w niedużej kapsule. Osiemnastometrowe ramię łączy się z silnikiem, który potrafi rozpędzić urządzenie do dwustu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. W środku ośmiokrotność siły ziemskiego przyciągania. Czujniki podłączone do ciała kosmonauty przez cały czas rejestrują temperaturę i ciśnienie krwi. Kamera zamontowana w kapsule obserwuje, czy poddawany testom kosmonauta nie stracił przytomności. Jeśli chce lecieć w kosmos, powinien wytrzymać.

Badanie błędnika na obrotowym krześle Barany'ego, z głową lekko pochyloną do przodu. Wkrótce pojawia się oczopląs, trzeba zapisać, jak długo trwają mimowolne ruchy gałek ocznych, a potem kręcenie w drugą stronę. I znów pomiar. Zwykle oczopląs trwa od dwudziestu do pięćdziesięciu sekund. Jeśli różnica czasu trwania oczopląsu jest zbyt duża, może to świadczyć o zaburzeniach narządu równowagi. Wtedy dyskwalifikacja.

Można też do przewodu słuchowego włożyć balon Politzera – niewielką gumową piłeczkę, nacisnąć ją i zwiększyć ciśnienie powietrza w uchu. Łatwo wtedy sprawdzić, czy część kostna

błędnika nie jest uszkodzona. Jeśli tak, pojawi się oczopląs. Dyskwalifikacja.

A jeszcze komora niskich ciśnień, huśtawki, loopingi, koła reńskie. I znowu pomiar ciśnienia krwi, temperatura, puls.

– Wódka? Nieeee... Jaka wódka!? – krzywi się generał Kuziora. – Pamiętam tylko herbatki, jakie urządzaliśmy w holu hotelu. Ale wszystko odbywało się kulturalnie.

Profesor Klukowski puszcza oko. – Wszyscy piloci żyją dniem dzisiejszym. Jak mają luz, dają sobie w palnik. W powietrzu są jak artyści, na ziemi zawsze wymyślą coś, żeby nie było nudno – mówi. – Za kołnierz na pewno nie wylewają. W swoim gronie powtarzają, że nie pije tylko pilot automatyczny. Kosmonauci to też piloci. Od Łazariewa, który się nami opiekował, zawsze jechało wodą kolońską.

W Związku Radzieckim wszyscy piją. Pół litra czystej kosztuje cztery ruble. Każdego stać, alkohol wszędzie można kupić. Statystyczny obywatel ZSRR wypija rocznie jedenaście litrów czystego spirytusu. Państwo wspomaga produkcję – na wódce zarabia co roku pięćdziesiąt sześć miliardów rubli.

Zenon Jankowski: – Lataliśmy na migach-21 na lotnisku czkałowskim. Latem zakończyliśmy jeden z etapów szkolenia na kosmonautów. Uradziliśmy, że trzeba podziękować radzieckim instruktorom. Nie mogliśmy się jednak dogadać. Niemcy stawiali na piwo, Czesi zdecydowanie na piwo. Mówię Czechowi, żeby stuknął się w głowę. „Będziesz Ruskim piwo podawał? Piwo!? Oni to, owszem, wypiją, z grzeczności, ale bez przyjemności. Przecież oni koniak popijają szampanem Sowietskoje Igristoje". Stanęło na tym,

że Polacy skombinują wódkę, a Niemcy i Czesi przywiozą jednak piwo.

Rosjanie – jak przewidział Jankowski – piwo wypili z uprzejmości, ale co wódka, to wódka.

Uczestnicy programu Interkosmos w Gwiezdnym Miasteczku. Od lewej: Hans Haase, Eberhard Köllner, Eberhard Golbs, Henryk Hałka, Mirosław Hermaszewski, Zenon Jankowski, Tadeusz Kuziora, Krzysztof Klukowski, Ladislav Klíma, Rolf Berger, Vladimír Remek, Sigmund Jähn, (nieznana osoba), Antonín Dvořák, Oldřich Pelčák, Michal Vondroušek

Kolejna impreza z okazji radziecko-amerykańskiego lotu Sojuz-Apollo. Czesi niczego się nie uczą, znowu stawiają piwo.

– Ale Ruski, jak zassie, to mu piwo nie wystarcza – wspomina Jankowski. – Przyjeżdżamy z tej imprezy do hotelu i w holu odbywa się druga część spotkania. Tylko że wódki nie ma. A Ruscy

czekają. Vladimír Remek z Czechosłowacji był już na takiej fazie, że w całym ekwipunku wskoczył do jeziorka, przy którym stał budynek, bo chciał się ochłodzić. Czesi uciekli, a Rosjanie zdziwili się, że można wyczyniać takie rzeczy po zwykłym piwie. I sobie poszli.

– Rosjanom, jak się upili, rozwiązywały się języki. Jeden z nich zdradził mi sekret Georgiego Iwanowa, który potem został pierwszym bułgarskim kosmonautą. Podobno nazywał się Dupow, co byłoby nie do przyjęcia. – Klukowski śmieje się. – Koledzy ciągnęli tego Rosjanina za rękaw, żeby już nic więcej nie mówił, a ten dalej. Dlaczego w Rosji mówią „Giermaszewskij", a nie „Hiermaszewskij"? Bo *chier* to po rosyjsku... Nie dokończył, bo go wyprowadzili.

Jankowski: – Rosjanie raz się pomylili i na tablicy zajęć zamiast „Giermaszewski" zapisali „Hiermaszewski". Niemcy stali przed tablicą. O, macie nowego pilota, mówili, dławiąc się ze śmiechu.

Sprawdzamy. Georgi Iwanow rzeczywiście musiał przed lotem w kosmos zmienić nazwisko, ale nie nazywał się Dupow, tylko Kakałow. Słowa *chier* nie ma w słowniku. Pytamy naszą tłumaczkę, ale czerwieni się zakłopotana.

Na szalone imprezy naprawdę nikt nie ma siły. Wieczory zwykle brydżowe. Doktor Klukowski podpowiada Polakom, żeby uważali. Jeden z radzieckich lekarzy jeszcze w Warszawie ostrzega go, żeby w Moskwie czegoś nie chlapnąć. – Wszyscy, którzy będą się tam wami zajmować, świetnie znają język polski – mówi.

Wieczorki brydżowe są więc aż nadto kulturalne. Każdy się pilnuje. Zenon Jankowski nie gra w brydża. Za to coraz bardziej się

nudzi. Koledzy przy kartach licytują, a on siedzi przy oknie, wpatrzony w jezioro.

To sztuczny zbiornik, urządzony pośrodku Gwiezdnego Miasteczka. Duma gospodarzy. Każdy zachwala: patrzcie, jakie piękne jezioro, można spacerować nad jego brzegami, odpocząć, napatrzeć się. Zimą, gdy powierzchnia zamarza, mieszkańcy mają do dyspozycji wielkie naturalne lodowisko, niektórzy wiercą w lodzie dziury i łapią ryby. *Krasota*!

Klukowski: – Gramy już drugą godzinę. Jankowski chodzi z kąta w kąt, sapie, wzdycha. Ani z kim pogadać, bo to przeszkadza w grze, ani się włączyć, bo nie umie. Nagle patrząc przez okno, mówi na cały głos: „Kurwa mać, ja już na to bajoro patrzeć nie mogę!".

Konsternacja. – Od razu zwinęliśmy karty, rozejrzeliśmy się dookoła i pochowaliśmy się w pokojach – mówi Klukowski.

Ktoś Jankowskiego usłyszał?

Łazariew chce wiedzieć, kto z czwórki Polaków jest najlepszy. Pyta o zdanie Klukowskiego.

– Nie wiem, oni wszyscy dobrzy – polski lekarz odpowiada wzruszeniem ramion.

Dziwne, bo z grupy Niemców odpadają Rolf Berger i Eberhard Golbs. Najsłabsi z Czechów to Ladislav Klíma i Michal Vondroušek. A Polacy wszyscy dobrzy?

Atmosfera w polskiej ekipie napięta jak struna. – Nawet jak nam robili gastroskopię, każdy z nas miał krwawe wybroczyny na żołądku. Z nerwów, że jest tak blisko rozstrzygnięcia – wspomina Hermaszewski.

Rosjanie nie są pewni. No to jeszcze raz badanie błędnika. Zobaczymy, kto się najszybciej porzyga.

Na krześle obrotowym siada major Hałka. Pewny siebie, zawsze sobie doskonale radzi, zwykle wytrzymuje powyżej kwadransa. Tym razem pada po dwóch minutach.

– Heniek, co się stało!? – pyta Klukowski.

– To przez jedzenie. Od dwóch dni nie potrafię się wypróżnić – odpowiada Hałka.

Klukowski: – W Gwiezdnym Miasteczku kandydaci na kosmonautów nie mieli diety. Posiłki jedliśmy wszyscy razem w stołówce. Żywili nas tłusto, jak chłopów do pługa. Kto ile chciał, tyle jadł. Hałka musiał zjeść za dużo, dostał zatwardzenia. Był ewidentnie podtruty masą kałową. Rosjanie wezwali pogotowie. Do hotelu przyjechał gruby doktor, towarzyszyła mu równie otyła pielęgniarka. Zamknęli się z Hałką w pokoju i zrobili mu lewatywę. Gramy obok w bilard, słyszymy postękiwania Hałki. Wypłukali z niego, co trzeba. Szacunek! Zabraliśmy paprotki z parapetów, utworzyliśmy szpaler z kijami do bilardu zamiast muszkietów i salutowaliśmy Hałce, który z obolałym tyłkiem wychodził z pokoju. Następnego dnia śpiewająco zaliczył test na krześle obrotowym.

Komisja lekarska w Gwiezdnym Miasteczku wobec Polaków jest bezradna. Wydaje cztery orzeczenia:

„Henryk Hałka, zdolny do lotu kosmicznego".

„Mirosław Hermaszewski, zdolny do lotu kosmicznego".

„Tadeusz Kuziora, zdolny do lotu kosmicznego".

„Zenon Jankowski, zdolny do lotu kosmicznego".

Ale ostateczne szkolenie może przejść tylko dwóch. Rosjanie umywają ręce. Niech decyduje Warszawa.

Doktor Klukowski ma przygotować listę, ale nie potrafi. Wpisuje na niej cztery nazwiska w kolejności alfabetycznej.

– Dlaczego nie ułożyliście nazwisk w kolejności od najlepszego do najgorszego? – słyszy od oficera z departamentu kadr w Ministerstwie Obrony Narodowej.

– Bo takiej kolejności nie ma.

Po dwóch tygodniach w Moskwie Polacy wracają do kraju. Kolacja w WIML-u. Pułkownik Barański, szef instytutu, opowiada nieprzyzwoite dowcipy, Hermaszewscy zapraszają towarzystwo na coca-colę.

Bohdan Świątkiewicz, szef ekipy filmowców, prosi Emilię Hermaszewską o wywiad.

– Mnie? Ależ ja nigdy w życiu nie udzielałam wywiadów – odpowiada żona majora.

– Jeśli Mirek poleci w kosmos, będzie pani musiała – odpowiada filmowiec.

Hermaszewska: – Pan coś wie?

Decyzja ma zapaść w gronie najważniejszych członków Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ale najpierw wizyta u ministra obrony narodowej generała Wojciecha Jaruzelskiego. Atmosfera serdeczna, generał pyta o przebieg służby, szkolenie, Gwiezdne Miasteczko, radzieckich kosmonautów. Mówi coś o patriotyzmie, kandydaci na kosmonautów nie zapamiętują szczegółów. Potem wstaje i oznajmia: – Towarzysze,

po konsultacjach ustalono, że do Moskwy na przygotowania do lotu w kosmos polecą major Hermaszewski i podpułkownik Jankowski.

Hermaszewski od razu zwraca uwagę na ten szczegół. W wojsku pierwszeństwo ma oficer wyższy rangą. – Kurczę! Jaruzelski nigdy takich błędów nie popełnia – myśli. – To musiało coś znaczyć.

Lampka wina, kolacja, medale za zasługi dla obronności kraju. Następnego dnia wizyta u pierwszego sekretarza Edwarda Gierka. Jaruzelski przedstawia kandydatów na kosmonautów. Hermaszewski: – I znów majora wymienia na pierwszym miejscu!

– Tadeusza Kuziory praktycznie nie brano pod uwagę. Nie miał trzydziestki, a kosmonauta musi być starszy. Młodzi gorzej znoszą lot – utrzymuje profesor Klukowski.

Grażyna Kuziora: – Mąż nie był rozczarowany. Wiedział, że nie ma szans. Był najmłodszy. Do tego bez żadnego poparcia.

– Wierzyłem, że nawet jak odpadnę, to program lotów kosmicznych przecież się rozwinie. Będę następny w kolejce, jeszcze polecę – dodaje generał Kuziora.

– Na otarcie łez władze zaproponowały, że w nagrodę za trud męża możemy sobie wybrać wczasy – wspomina Grażyna Kuziora. – O jeny! Co tu wymyślić, może... Zakopane? Życzenie zostało spełnione, pojechaliśmy na dwa tygodnie w Tatry. Potem spotkaliśmy Henia Hałkę. A wy gdzie byliście? Ach, odparł Heniu, spędziliśmy miesiąc na Kubie. To były rajskie wakacje!

– Czy jest pani romantyczna? – pyta filmowiec Emilię Hermaszewską.

– Tak, chyba nawet bardzo – odpowiada. – Lubię marzyć. Teraz o tym, że pojadę razem z mężem do Moskwy.

Moskwa – jakie to miasto? Kolorowe czy szare? Jakie ma sklepy? Jakie w nich towary? Jest drogo czy tanio? A może kolejki i kartki, jak w Polsce?

Kandydaci na kosmonautów mieszkają w Gwiezdnym Miasteczku, ale w wolnym czasie odwiedzają Moskwę. Na zdjęciu ulica Twerska w latach 70., jedna

Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą rządzi Edward Gierek. Najważniejsza osoba w kraju. Słychać o nim od 1954 roku, gdy jako delegat ze Śląska jedzie na II Zjazd PZPR, a wraca jako członek Komitetu Centralnego. Nie jest to jeszcze realna władza. Rządzi Biuro Polityczne, a KC zatwierdza tylko jego decyzje albo uchwala, co Biuro każe. Ale za to jaki prestiż!

Co się stało, że nieznany szerzej nikomu działacz z Sosnowca może dostąpić takiego zaszczytu? Co go wyniosło na szczyt?

Janusz Rolicki w biografii „Edward Gierek. Narodziny i życie legendy" odpowiada: strajk w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego.

Mamy rok 1951. Gierek uczy się w Centralnej Szkole Partyjnej w Łodzi, a wraz z nim dwa tysiące działaczy partyjnych różnego szczebla. Krążą dowcipy o takim, który nie wie, czy wtorek pisze się przez „w", czy przez „f", więc wyznacza zebranie na środę. Polsce Ludowej brakuje wykształconych kadr. Centralna Szkoła Partyjna ma uzupełnić braki w wykształceniu kursantów. Gierek jej nie lubi, tęskni za rodziną, która została w Sosnowcu. Chyba los zsyła mu te strajki.

Górnicy pracują osiem godzin, ale pół godziny poświęcają na dojazd z wyrobiska pod szyb i kąpiel w łaźni. Władze ogłaszają, że tak być nie może. Żądają od górników, żeby fedrowali pełne osiem godzin.

Skoro tak, to strajk.

Strajk w zakładzie pracy, którym kieruje partia robotników!? Partia wzywa Gierka. Ustami sekretarza mówi: – Sięgnęliśmy po was, bo Kazimierz Juliusz to wasza kopalnia, towarzyszu. Zginął w niej wasz ojciec i dziad. Nikogo lepszego do uśmierzenia strajków nie mamy. Kto jak nie wy poradzi sobie z tym zadaniem? Spiszcie

się dobrze, a zostaniecie jednym z sekretarzy komitetu wojewódzkiego.

Gierek się martwi. W kopalni Kazimierz Juliusz nigdy nie był. A do tego zgadza się z protestującymi górnikami. Ale dostał zadanie i chce je wykonać.

Górnicy ostrzegają: kto zjedzie na dół bez zapewnienia, że nowe zarządzenie zostało cofnięte, zostanie zrzucony do szybu. Gierek nie może tego obiecać, ale zjeżdża. Towarzyszy mu Marian Czerwiński, sekretarz związku zawodowego z Katowic. Na dole słyszą:

– Czego tu chcecie? Macie papiery cofające zarządzenie o przedłużeniu pracy?

– Nie.

– To do szybu ze skurwysynami!

Gierek: – Hola, hola, tylko nie skurwysyny! Ja jestem jednym z was, nazywam się Gierek. Tu zginął mój ojciec i dziad, ta kopalnia jest zroszona krwią mojej rodziny. Przychodzę tu do was nie z kurwa mać, lecz z propozycją dogadania się.

Opowiada górnikom o strajkach, które sam organizował we Francji. – Ale ja robiłem je przeciwko kapitalistom, a wy walczycie z własną władzą ludową. Chcecie, żeby wasze dzieci chodziły do szkoły, chcecie, żeby kraj został odbudowany. Ale za co? Skąd na to brać, jak wam się nie chce pracować? Jak wy tego nie zrobicie, wszyscy zdechniemy z nędzy.

Po kilku godzinach górnicy przerywają strajk. Bezwarunkowo. Wielki sukces Gierka, wielka klęska załogi. Władza oddycha z ulgą, o Gierku mówią na posiedzeniu rządu i Biura Politycznego. Zapamiętują.

Od marca 1957 roku Gierek jest I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. Pierwszy człowiek w województwie. Drugi to Jerzy Ziętek. Powstaniec śląski, przed II

wojną światową sanacyjny burmistrz Radzionkowa. Po wojnie członek PPR, a potem PZPR, szefuje zarządowi województwa, wojewódzkiej radzie narodowej, jest posłem na Sejm. Ludzie go kochają, nazywają Jorgiem. Swój chłop. Powstańcom załatwia stopnie oficerskie, krzyże kawalerskie i dodatki do emerytur. Proteguje wszystkich – zarówno bliskich sobie ludzi, jak i obcych. Dziennikarz, który po rozwodzie z żoną nie ma się gdzie podziać, po jednym telefonie Ziętka dostaje mieszkanie. Lekarka, która nocami chodzi pieszo do pracy w szpitalu – talon na samochód. Wystarczy do niego przyjść. Pragmatyk, ugodowy, podporządkowany władzy. Marzy o wielkich inwestycjach na Śląsku. Z Gierkiem tworzą zgrany tandem.

Kazimierz Kutz wspomina: – Gierek był strasznym leniem. Ziętek wszystko za niego robił, Gierek się raczej nie wtrącał. Stary Jorg był szczęśliwy, bo mógł rządzić, a owoce zbierał Gierek. Budował mit dobrego gospodarza i organizatora.

Śląsk nazywają Katangą – to obfitująca w bogactwa naturalne prowincja Konga. Gierek dobrze wie, jakim skarbem rządzi. Doprowadza do uchwalenia ustawy o Karcie górnika, która daje olbrzymie przywileje: wcześniejsze emerytury, dłuższe urlopy, deputat węglowy. Gierek pilnuje, żeby na Śląsku sklepy z żywnością, zwłaszcza z mięsem, były lepiej zaopatrzone niż w reszcie kraju. Barbórka urasta do rangi święta państwowego. Rosną nowe miasta, drogi, hotele, miejsca rozrywki. Kwitnie Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku, powstają Spodek i Stadion Śląski, górników przyjmuje kompleks sanatoryjny w Ustroniu. Szpitale górnicze są wyposażone najlepiej w Polsce. Górnicy mają pierwszeństwo w kolejce do mieszkania, to dla nich buduje się kluby, świetlice, domy kultury i kina.

W grudniu 1970 roku rząd ogłasza podwyżkę cen mięsa, jego przetworów oraz innych artykułów spożywczych. Stoczniowcy z Gdańska wychodzą na ulice. Burzą się Gdynia, Szczecin i Elbląg. Władysław Gomułka, pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, zezwala na użycie broni przeciwko demonstrantom. Nie chce słyszeć o żadnych ustępstwach. Moskwa zaniepokojona. Dwa lata po Praskiej Wiośnie nie może sobie pozwolić na podobną interwencję w Polsce, zwłaszcza że dąży do porozumienia rozbrojeniowego z Zachodem. 16 grudnia Leonid Breżniew, pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, dzwoni do Gomułki.

Kuriozalna wymiana zdań. Szef radzieckiego imperium żąda, by Gomułka odwołał radykalną podwyżkę cen żywności. Jego zdaniem to powód zamieszek. Gomułka zapewnia, że w miastach Wybrzeża doszło do kontrrewolucji. Breżniew: to niemożliwe, na ulice wyszła przecież klasa robotnicza. Wtedy Gomułka przypomina mu o Kronsztadzie, o powstaniu głodnych robotników w 1921 roku. Domagali się rozdania butów i większych racji żywnościowych. Radziecka władza też wtedy nie negocjowała. Do portu pod Petersburgiem rząd wysłał uzbrojonych kadetów komunistycznej akademii wojskowej.

Po tej rozmowie dla Breżniewa staje się jasne, że Gomułka nie nadaje się do rządzenia.

Górnośląskie sukcesy wynoszą Gierka na szczyty władzy. Nowy władca Polski wygląda inaczej niż Gomułka. Wysoki, przystojny, w dobrze skrojonym garniturze. Biegle mówi po francusku. Robotnikom obiecuje, że będzie lepiej.

– Pomożecie? – pyta.

– Pomożemy! – odpowiadają tłumy.

Ceny żywności zostają zamrożone, rosną pensje. Wielkie budowy za kredyty z Zachodu: droga szybkiego ruchu z Warszawy do Katowic, Centralna Magistrala Kolejowa, fabryka Fiata w Bielsku-Białej, kilkadziesiąt fabryk, Huta Katowice. Władza stawia gigantyczne szpitale-pomniki: Centrum Zdrowia Dziecka, Centrum Zdrowia Matki Polki.

Na sklepowych półkach coca-cola, guma do żucia Donald z historyjkami obrazkowymi, czerwone papierosy Marlboro, a przed świętami pomarańcze, cytryny i banany. Do tego fotele Kon-Tiki, magnetofony kasetowe i mały fiat. W Pewexach za bony walutowe można kupować towary z Zachodu albo nawet tam pojechać z Orbisem. Niemal Europa.

Niemal.

Pod koniec lat siedemdziesiątych nie jest już tak dobrze. Polska przejada zachodnie kredyty, ale długi trzeba spłacać, choć nie ma z czego. Latem 1976 roku Polacy plotkują, że rząd Piotra Jaroszewicza szykuje podwyżki cen żywności. Rząd zaprzecza, ale ludzie wiedzą swoje. Mają rację, bo 24 czerwca premier występuje w Sejmie. Mięso ma zdrożeć o sześćdziesiąt dziewięć procent, drób o trzydzieści procent, masło i sery o połowę. Ceny cukru rosną o sto procent!

Przeciętna pensja to około trzech i pół tysiąca złotych. Garnitur w sklepie kosztuje dwa tysiące, za najtańsze papierosy Sport bez filtra trzeba dać sześć złotych, a za bardziej ekskluzywne Carmeny – dwadzieścia cztery złote. Dolar u cinkciarza kosztuje sto złotych. Kto wytrzyma takie podwyżki!?

Polska strajkuje. Największe protesty w Radomiu i Płocku, gdzie robotnicy ścierają się ze Zmotoryzowanymi Oddziałami Milicji Obywatelskiej (ZOMO). Wieczorem premier Jaroszewicz wszystko odwołuje. Ludzie nie wierzą, w sklepach wykupują cukier.

Gazety alarmują, że sprzedaż odbywa się w nerwowej, napiętej atmosferze. Kierowniczka jednego z warszawskich sklepów narzeka, że do środka może wpuszczać po kilka osób, inaczej powstaje ogromne zamieszanie.

W całej Polsce tak samo: – Kolejka utrzymuje się przez cały dzień, a wiele osób wraca wielokrotnie lub też ustawiają się całe rodziny – mówi kierowniczka sklepu Społem z Olsztyna.

W końcówce lat 70. w polskich sklepach zaczęło brakować towarów. Na zdjęciu Spółdzielczy Dom Handlowy „Alfa" w Poznaniu podczas specjalnego tygodnia sprzedaży wyrobów importowanych z NRD. Przed sklepem ustawiła się gigantyczna kolejka

Służba Bezpieczeństwa pisze raporty o incydentach: „W sklepie w Gliwicach zatrzymano osobę, która kupiła 20 kg cukru. Społeczeństwo samo zareagowało na ten przypadek. Zabezpieczono również samochód marki Żuk, który wiózł 100 kg cukru. Notuje się także znaczny wzrost sprzedaży pieczywa – o 30 proc. Zalecono, aby

w gastronomii na jakiś czas wprowadzono dania jarskie, kosztem dań mięsnych".

Publicysta Stefan Kisielewski napisze w dzienniku: „Dziwna jest sytuacja, do żarcia nic nie ma, cukier zniknął, inne rzeczy też, przed sklepami ogony, ludzie wściekli".

W lipcu rząd wprowadza kartki na cukier. Nazywa je „bonami towarowymi". Każdy może kupić dwa kilogramy miesięcznie. Cena bez zmian – dziesięć i pół złotego za kilogram. W wybranych sklepach cukier można dostać bez kartek, ale po cenach komercyjnych – dwadzieścia sześć złotych za kilo.

A w Moskwie?

Aniela Jankowska: – W Gwiezdnym Miasteczku było wszystko, żadnych problemów z zaopatrzeniem. W sklepach mnóstwo polskich produktów, których w Polsce już nie uświadczysz: kawy, czekolady, schaby, szynki, cytrusy...

Rosjanie nam nie płacili. W Polsce mąż był zastępcą dowódcy brygady, jego pensja była po prostu przeliczana na ruble w stosunku jeden do dwudziestu. Wychodziło około sześciuset rubli, a wtedy w ZSRR ludzie zarabiali średnio dwieście rubli. Pieniądze odbieraliśmy w polskiej ambasadzie, część mogliśmy wymieniać na bony towarowe do Pewexu.

Niby nie było źle, ale tęskniłam za krajem. W Gwiezdnym Miasteczku nie miałam nic do roboty. Chcieliśmy, żeby córka chodziła do polskiej szkoły w Moskwie. Dojazd był skomplikowany. Wstawałyśmy o świcie, szłyśmy na piechotę do stacji kolejki podmiejskiej, potem jeszcze spory kawałek trolejbusem. Na przystanku czekał zawsze ten sam mężczyzna, który

nie opuszczał nas na krok. Zagadywał, odprowadzał do szkoły, żebyśmy się nie zgubiły. Opiekun. Przed ósmą byłyśmy na miejscu. Zostawałam w szkole albo spacerowałam po mieście. Powrót wieczorem, lekcje, kolacja, spanie. Naprawdę tego nie znosiłam. Jak przyjeżdżałam do Polski, nie chciałam już wracać.

Moskwa? Nie robiła na mnie wrażenia.

Pod koniec lat siedemdziesiątych stolica ZSRR stoi w kolejkach. Media mówią o „przejściowych problemach z zaopatrzeniem", co oznacza puste półki w sklepach. Ale nie ma kartek, wszystko trzeba wystać i wiedzieć, gdzie coś mogą rzucić.

Rzeczy są złej jakości, toporne, ubrania bezkształtne. Kłopot z opakowaniami, więc artykuły spożywcze leżą w sklepach luzem – cukier, mąka, sól sprzedawane są wprost ze skrzyń, na wagę. Jak to przynieść ze sklepu do domu? Można zwinąć rożek z gazety. Śmietanę rozlewają do butelek. W każdym domu musi być zapas szklanych opakowań. Słoiki i butelki poupychane w szafkach na zapas, na wszelki wypadek.

Tylko na mleko nie trzeba słoika. Sprzedają je w kartonowych piramidkach. Niebieskie opakowania po szesnaście kopiejek, czerwone, z mlekiem tłustym, sześcioprocentowym, po dwadzieścia pięć kopiejek. Wokół stoisk zawsze biała kałuża, bo opakowania przemakają. Na ulicach białe ślady, bo mleko kapie z siatek.

Po ziemniaki trzeba przyjść z własną torbą. Olej roślinny z automatu. Trzeba wrzucić monetę, podstawić butelkę, a z otworu leci żółta maź. Otwory brudne, obklejone starymi warstwami oleju. Wylewa się na dłonie, ubranie, na podłogę i tak już w oleistej mazi. Czasem można kupić olej w plastikowych butelkach, ale plotka

głosi, że plastik psuje towar. Cała Moskwa i tak przelewa olej z plastiku do szkła. Plastikowe torby reklamowe to rarytas. Przecież prawie nikt nie jeździ na Zachód. Obowiązują siatki z elastycznych żyłek. I dobrze, bo przynajmniej widać, co kto niesie, i można zapytać, gdzie zdobyte.

Rarytasem są konserwy, można je długo przechowywać. Na termin ważności nikt nie zwraca uwagi. Wszyscy wiedzą, że zanim konserwa trafi do sklepu, całymi latami leży w rządowych magazynach, na wypadek wojny. Na półki sklepowe trafia, żeby zrobić miejsce dla nowych zapasów.

Podstawowe produkty są tanie. Chleb, kasza po dwadzieścia kopiejek. Tyle samo za bilet na autobus. Ale za porządne buty trzeba dać co najmniej sto dziesięć rubli. Tyle kosztują na czarnym rynku. Połowa pensji, a i tak trzeba je zdobyć. Wszyscy kombinują. Kto pracuje w fabryce tekstylnej, wynosi ubrania, kto w fabryce słodyczy, kradnie czekoladę. Towar łatwo sprzedać sąsiadom, krewnym i znajomym. Można zyskać drugą pensję. Wszyscy przymykają oko, bo każdy kombinuje.

Ale w Gwiezdnym Miasteczku jest inaczej. Na parterze domów, w których mieszkają kosmonauci, stoją szerokie stoły. Żony kosmonautów, wychodząc do pracy, zostawiają na nich karteczki z listą potrzebnych sprawunków. Gdy wracają do domu, czekają na nich torby wypełnione zamówionymi produktami. Można zabrać.

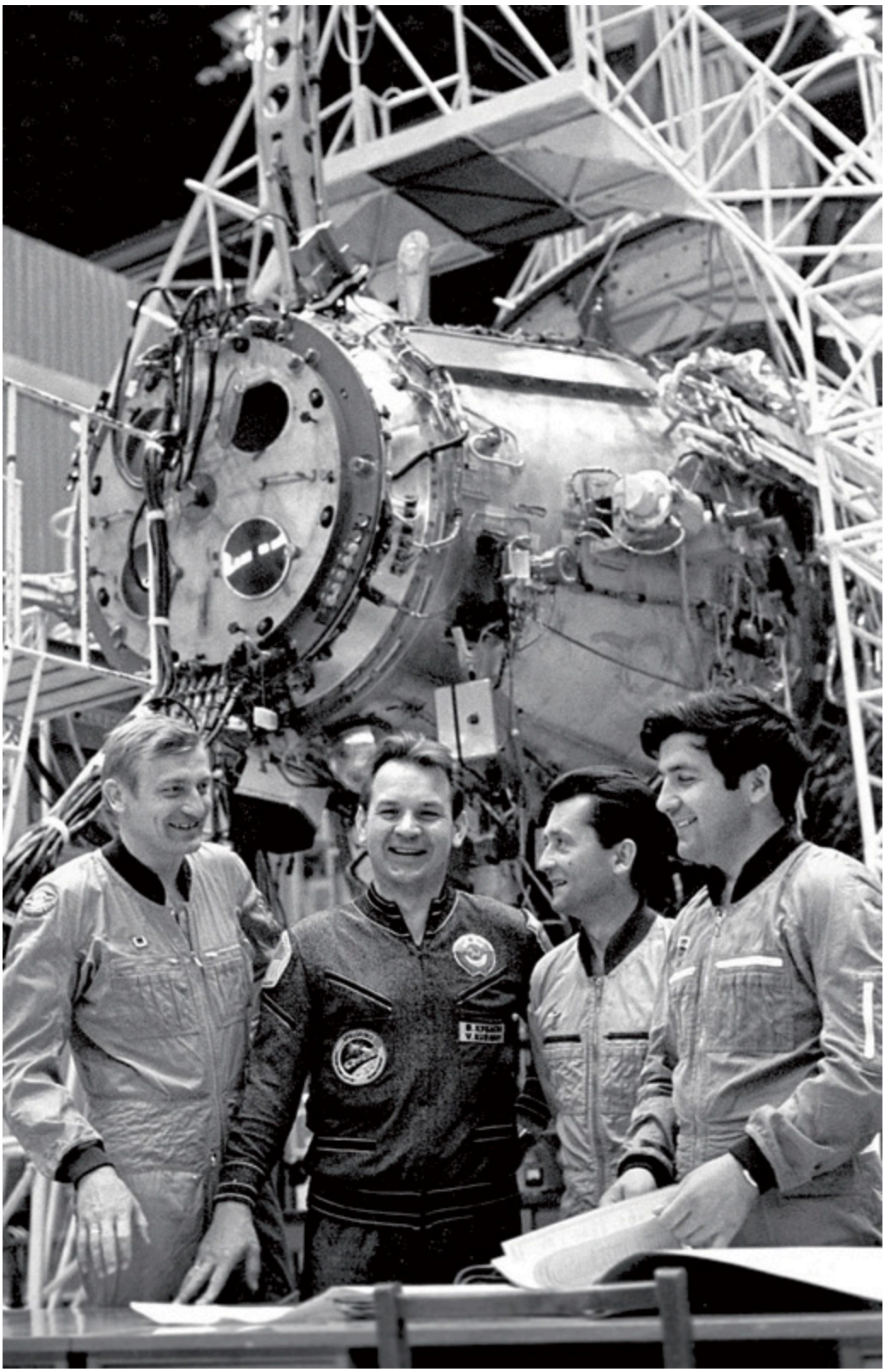

Mirosław Hermaszewski, Walerij Kubasow, Zenon Jankowski i Piotr Klimuk podczas zajęć w Gwiezdnym Miasteczku. Niemal do końca nie będzie wiadomo, która drużyna poleci w kosmos

ROZDZIAŁ 5

Jesteście chorzy, bardzo chorzy

Kandydaci na kosmonautów nie mają czasu zajmować się zakupami. Aleksiej Leonow, zastępca komendanta Gwiezdnego Miasteczka, pierwszy, który spacerował w otwartej przestrzeni kosmicznej, przedstawia plan szkolenia przed lotem na orbitę:

– teoria lotu kosmicznego i jego dynamika,

– systemy sterowania aparatami kosmicznymi,

– astronomia i astronawigacja,

– budowa i eksploatacja statku kosmicznego Sojuz i stacji orbitalnej Salut,

– przygotowanie medyczne, fizyczne i psychologiczne,

– loty na astronawigację,

– loty symulujące nieważkość w samolotach Tu-104,

– loty treningowe na migach-21,

– umiejętność przetrwania,

– sztuka fotografowania i filmowania,

– metodyka eksperymentów naukowych planowanych na orbicie.

A to tylko w pierwszym etapie. Ani słowa o tym, jak długo to potrwa ani kiedy lot mógłby się odbyć.

Tymczasem zaczynają się zajęcia. Od rana do wieczora, często w soboty i niedziele. Ćwiczenia fizyczne i testy odbywają się w pawilonie medycznym. Specjalistyczne gabinety, laboratoria i pracownie, wirówki przeciążeniowe, komory niskich ciśnień, ciszy i odosobnienia. Przed każdym testem rutynowe badania: ciśnienie, tętno, temperatura. Raz w miesiącu trzydniowa sesja medyczna – igły, rentgen, sondy.

W innym budynku symulatory pozwalają trenować procedurę startu, wprowadzenia statku na orbitę, podejścia do lądowania i najtrudniejsze – połączenia Sojuza z Salutem.

Kandydaci na kosmonautów ćwiczą w wiernych makietach statku Sojuz i stacji orbitalnej Salut. Symulator odtwarza każdy element lotu, decyzje pilotów analizuje komputer. Piloci w pozycji półleżącej, w kabinie statku. Ubrani w skafandry. Ciasno. Dwa iluminatory z żaroodpornymi szybkami i celownik optyczny, który pozwala obserwować stację, do której trzeba przycumować statek. Najpierw orientacja, gdzie góra, gdzie dół, gdzie przód, a gdzie tył. Trzeba obserwować, jak Ziemia przesuwa się w ekranie celownika. Jeśli z góry na dół, to znak, że statek zorientowany jest dziobem do przodu. A jeśli nie, trzeba lot skorygować za pomocą silników manewrowych.

Instruktor obserwuje trenujących, stara się im przeszkadzać, wymyśla coraz to nowe sytuacje awaryjne, uszkadza systemy, blokuje sterowanie. Dźwięk imitujący wybuch oznacza porażkę. Połączenie nieudane, bum! Połączenie nieudane, bum!

W końcu przyszli kosmonauci uczą się precyzji. Sukces, sukces i znowu sukces.

Ale instruktorzy czuwają. Aranżują awarię zasilania. W kabinie statku gaśnie światło, łączność zostaje zerwana. Kosmonauci tłuką pięściami w burtę. – Otwórzcie luk! – żądają. Nikt nie reaguje.

Piloci włączają latarki, odnajdują w symulatorze tom instrukcji „Sytuacje awaryjne" i działają według wskazówek: wyłączyć wszystkie odbiorniki prądu, przejść na awaryjne źródła zasilania, ograniczyć ruchy do minimum, żeby zużywać jak najmniej tlenu, obliczyć, na jak długo wystarczy powietrza i co w tym czasie można zrobić. Osiem godzin. Jak w tym czasie „ożywić" statek, uruchomić przerwane procedury, nawiązać łączność z Ziemią?

Nie panikować, działać metodycznie, myśleć. Instruktorzy analizują każdy ruch. Przyznają punkty albo odejmują.

Następnym razem na pewno znowu coś wymyślą.

Na zajęcia z teorii trzeba przejść kawałek dalej, do kompleksu z salami wykładowymi, planetarium, gabinetami nawigacji, bogatą biblioteką, minicentrami kierowania lotem i kącikiem do wypoczynku.

Jest jeszcze część sportowa z boiskami, basenami, salami gimnastycznymi, kołami reńskimi, żyroskopami, sauną, gabinetami odnowy biologicznej. Wszystko, co trzeba, jest na miejscu. Po nic nie trzeba jeździć do Moskwy, zresztą kandydatom nie wolno samodzielnie opuszczać Gwiezdnego Miasteczka.

Nie narzekają. W opisach Hermaszewskiego zimą Gwiezdne Miasteczko wygląda uroczo, przysypane ogromną ilością śniegu. Nad domami unoszą się strugi pary. Śnieg skrzypi pod stopami, mróz szczypie w policzki. Drzewa w lesie uginają się pod białymi

czapami. Schowane między nimi altanki wyglądają jak dekoracje z bajek.

Przy ścianie lasu stoją rzędy garaży, królestwo mężczyzn. Tam się spotykali, majsterkowali, pili. W soboty i niedziele w powietrzu unosił się dym z dziesiątków rusztów, na których pieczono mięso i złowione w jeziorze ryby. Wieczorem chóralne śpiewy, wszyscy się przyjaźnią.

Ale jest rysa na tym bajkowym obrazku.

– Nie było między nimi chemii, nie lubili się – opowiada profesor Jan Terelak, psycholog. – Zenon Jankowski był skryty, chłodniejszy w relacjach. Mirosław Hermaszewski bardziej otwarty, nieco cieplejszy. Ostro ze sobą rywalizowali.

W październiku 1977 roku do Moskwy przyjeżdża ekipa filmowa z wytwórni Czołówka. Chcą nakręcić, jak żyją w Gwiezdnym Miasteczku polscy kandydaci na kosmonautów. Rozmawiają z żoną podpułkownika Jankowskiego Anielą i ich córką Kasią. Jadą z nimi do szkoły, spacerują po Moskwie, zajadają się lodami. Bohdan Świątkiewicz, autor filmu, prosi Jankowskiego, żeby do nich dojechał.

– Bardzo się cieszę, że przyjechaliście, ale nie mogę was odwiedzić. Mam trening – odpowiada Jankowski.

Świątkiewicz ledwo odkłada słuchawkę, gdy dzwoni Hermaszewski: – Jesteście w Moskwie? Za godzinę będę u was!

Filmowcy mogą nagrać, jak mała Mila, córka majora, płynnie mówi po rosyjsku, a potem scenę, jak Hermaszewski odprowadza rodzinę na Dworzec Białoruski. Wracają na trochę do Polski,

Hermaszewski zostaje. Macha dłonią za odjeżdżającym pociągiem, w jego oczach widać smutek. Fantastyczna scena.

Piotr Klimuk to żołnierz z krwi i kości, pułkownik lotnictwa. Ma trzydzieści pięć lat, a na mundurze nosi już dwie Gwiazdy Bohatera Związku Radzieckiego. Pierwszy raz leci w kosmos w 1973 roku z Walentinem Lebiediewem. Na orbicie spędza osiem dni. Dwa lata później z Witalijem Siewastjanowem spędzają w kosmosie aż sześćdziesiąt dwa dni. Rekord!

W 1977 roku Klimuk jest zastępcą generała Gieorgija Timofiejewicza Bieriegowoja, szefa Gwiezdnego Miasteczka. Cieszy się szacunkiem, w nagrodę za ostatni lot dostaje w prezencie wołgę. Rozdarty, bo chciałby jeszcze latać, ale codzienne sprawy w Centrum Wyszkolenia Kosmonautów ściągają go na ziemię. Musi się zdecydować: albo lata dalej, albo zostaje na ziemi. Klimuk negocjuje z przełożonymi. Chce polecieć jeszcze ten jeden, ostatni raz. Potem będzie pomagał innym kosmonautom. Jest na to zgoda.

– Pierwszy raz zobaczyłem Hermaszewskiego na wojskowym lotnisku czkałowskim. Lądowali tam wszyscy kandydaci do lotu w kosmos: Polacy, Czesi, Niemcy. Hermaszewski wysiadł z samolotu z rodziną. Żona, syn i malutka córeczka. Musiała mieć ponad roczek, bo już sama chodziła. Tym samym samolotem przyleciał Jankowski z żoną – opowiada Piotr Klimuk. – Dopiero poznawałem program Interkosmos. Nie wiedziałem jeszcze, czy polecę z Polakiem, Czechem czy Niemcem, decyzję miała podjąć komisja głównego sztabu sił powietrznych Związku Radzieckiego. Było pewne, że w kosmos poleci ten, którego dołączą do mojej załogi.

Mirosław Hermaszewski widzi Klimuka już następnego dnia w kasynie. Niski, uśmiechnięty, z burzą czarnych gęstych włosów. Jeszcze ze sobą nie rozmawiają.

W Gwiezdnym Miasteczku kandydaci na kosmonautów i ich rodziny mieszkają w budynku, który Rosjanie nazywają profilaktorium. W budynku są świetnie wyposażone sale do opieki medycznej. Radzieccy kosmonauci, którzy wracają z orbity, przez około dwóch tygodni dochodzą tam do siebie. Jest też część hotelowa. Każda rodzina mieszka osobno, jeden duży pokój i jeden mniejszy, do tego łazienka. Kuchnia wspólna.

Rosyjscy kosmonauci mieszkają w dwóch wieżowcach, które stoją zaraz obok pomnika Gagarina. Prestiżowe miejsce, sąsiadują tam ze sobą legendy podboju kosmosu: Aleksiej Leonow, Gierman Titow, Walerij Bykowski, Walentina Tierieszkowa.

Aniela Jankowska: – Hermaszewscy szybko wyprowadzili się z profilaktorium.

Klimuk: – Tak się złożyło, że Mirosław przeniósł się do mojego bloku. Zostaliśmy sąsiadami, ja mieszkałem piętro wyżej.

Hermaszewski: – Miałem częste okazje spotykać Klimuka. Wspólny dziesięciominutowy spacer do zamkniętej strefy dydaktycznej był zawsze okazją do miłej pogawędki.

Lubią się. Klimuk urodził się w Komarowce, niedaleko Brześcia nad Bugiem. Opowiada Hermaszewskiemu, że po drugiej stronie rzeki było polskie miasto Włodawa i że miał nawet polską dziewczynę, Danutę. Zna pojedyncze polskie słowa, ale bardzo dużo rozumie.

Hermaszewski rewanżuje się opowieściami: że po wojnie osiedli w Wołowie na Dolnym Śląsku, tam chodził do podstawówki i liceum, że zawsze interesował się lotnictwem. Miał dziewiętnaście lat, gdy pierwszy raz usiadł za sterami szybowca, i już wiedział,

że zostanie lotnikiem. Opowiada Klimukowi, że pragnienie oglądania świata z wysoka drzemie w nim od dziecka, mówi o przezwyciężaniu lęku, gdy wspinał się na szczyty najwyższych drzew. Że chciał latać coraz wyżej i coraz szybciej, a skoro tak, to nie mogło być inaczej: Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych, kwalifikacje pilota myśliwskiego, loty na migach-15, praca w jednostce wojskowej w Poznaniu, uprawnienia pilota pierwszej klasy, w końcu stery ponaddźwiękowego samolotu MiG-21. Studia w Akademii Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w Warszawie skończone z wyróżnieniem, awans do stopnia kapitana, służba w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju. No i selekcja do grupy najlepszych pilotów i Gwiezdne Miasteczko.

Zabawne szczegóły: żona Hermaszewskiego ma urodziny 23 sierpnia, w święto polskiego lotnictwa. Lila, żona Klimuka – 18 lipca, w święto lotnictwa radzieckiego.

Klimuk opowiada, że jego ojciec zginął w 1944 roku pod Radomiem, podczas wyzwalania Polski z rąk faszystów. Hermaszewski prawdy o swoim powiedzieć nie może.

Ale chętnie mówi o tym, że jako dzieciak układał krzesła tak, żeby udawały kabinę pilota. Siadał w nich jak w kokpicie, z nogami uniesionymi lekko w górę, i udawał, że mknie swoim wymyślonym myśliwcem wysoko do nieba.

Albo o dziadku Sylwestrze, który przed wojną przyniósł do domu radio, a gdy włączył, babcia tak się przestraszyła, że chwyciła za flakonik z wodą święconą i polała nią odbiornik, aby odpędzić siedzącego w środku diabła.

Mirosław Hermaszewski uwielbia polować. Jest też świetnym kucharzem. Bigos z dziczyzny to jego popisowe danie

Albo o tym, że zawsze był chudy, wysoki i blady. Gdy się rozebrał przed komisją poborową w Wołowie, lekarze stwierdzili, że nie nadaje się do wojska, i wbili do książeczki wojskowej kategorię C.

I jak ciężko było mu się dostać do Szkoły Orląt w Dęblinie. Na egzaminie musiał przebiec tysiąc pięćset metrów. Na mecie był pierwszy, ale jeszcze długo potem wydłubywał żużel ze stóp, bo biegł na bosaka – nie miał pieniędzy na tenisówki.

Z pewnością nie opowiada za to o tajemnicy, którą dopiero wiosną 2018 roku ujawni Sławomir Cenckiewicz, członek kolegium Instytutu Pamięci Narodowej.

Pożółkła kartka papieru – zobowiązanie Hermaszewskiego do współpracy z Wojskową Służbą Wewnętrzną.

Wojskowy kontrwywiad. Zadania: szukanie szpiegów, zwalczanie dywersji politycznej, likwidowanie nielegalnych związków politycznych w wojsku, zwalczanie pospolitej przestępczości wśród żołnierzy, utrzymywanie dyscypliny wojskowej, werbowanie agentów przydatnych siłom zbrojnym. WSW ma dostęp do dokumentów w każdej jednostce, może prowadzić dochodzenia, przesłuchiwać, legitymować i zatrzymywać żołnierzy poza koszarami.

Według Cenckiewicza Hermaszewski podpisuje zobowiązanie o współpracy z WSW 9 lutego 1962 roku. Uczy się wtedy w Oficerskiej Szkole Lotniczej im. Janka Krasickiego w Dęblinie. Przyjmuje pseudonim „Długi". Oficerowie notują, że decyzję podejmuje, kierując się „uczuciami patriotycznymi". „Chętny do współpracy był. Najczęściej wykonywał zadania związane

z charakterystykami podchorążych, co robił dość dobrze". Wada „Długiego": „nie zawsze zauważał zachodzące w środowisku podchorążych zmiany. Naprowadzany na interesujące nas zagadnienia potrafił rzeczowo omówić dany fakt, lub osobę (...); okazał się szczerym i prawdomównym współpracownikiem" – notuje kapitan Janusz Wiąk z WSW.

Po dwóch latach współpraca z WSW ustaje. W marcu 1964 roku Hermaszewski podpisuje zobowiązanie, że zachowa w tajemnicy kontakty z tą służbą. Szkołę Orląt kończy z oceną bardzo dobrą, ma wylatane czterysta siedemdziesiąt godzin, z czego trzysta na odrzutowcach. Przełożeni podkreślają jego pracowitość oraz talent do pilotażu.

Chcemy zapytać generała Hermaszewskiego o ten epizod, ale generał nie chce o tym rozmawiać. Jest rozżalony. – Czy zrobiłem komuś krzywdę? Nie! Byłem młody, w podchorążówce. Po co o tym przypominać? To nie ma żadnego znaczenia. To tak jakby mi zarzucić, że w przedszkolu przewróciłem koleżankę. I co, pewnie myślicie, że dzięki temu wybrali mnie potem do lotu w kosmos? Niepoważne. No po co, po co chcecie to rozgrzebywać? – pyta. – Jeżdżę po całym świecie, zapraszają mnie na odczyty i wykłady, wszędzie jest normalnie. Tylko nie w Polsce.

Lepiej wrócić do Gwiezdnego Miasteczka w 1977 i 1978 roku. Ojcowie Mirosław i Piotr grają razem w tenisa, odwiedzają się, biesiadują z rodzinami. Ich synowie, Misza i Mirosław, chodzą razem do szkoły, po lekcjach buszują po Gwiezdnym Miasteczku. Psocą. Misza podkrada ojcu czerwony proszek barwiący wodę, chłopcy rozsypują go po deszczu. Główne ulice osiedla są czerwone.

W programie Interkosmos liczą się pary. Przyszli kosmonauci razem się uczą, razem ćwiczą, długo się docierają. Muszą być zgrani, porozumiewać się w mgnieniu oka, często bez słów. Mają być jak jeden. Wystarczy, że któryś z pary nawali, drugiego też zdyskwalifikują. Jak jeden, nawet tuż przed lotem, zachoruje, wymieniana jest cała załoga. Raz skojarzonych par nigdy się nie rozdziela, dlatego potrzebna jest załoga zapasowa.

Gdy instruktorzy jakby mimochodem pytają Hermaszewskiego, z kim chciałby polecieć w kosmos, bez namysłu odpowiada, że z Piotrem.

O to samo pytają Piotra. Mówi, że z Mirkiem. Ale to tylko życzenia.

O tym, kto z kim w załodze, decyduje radziecka komisja. Decyzja ma być ogłoszona publicznie w Gwiezdnym Miasteczku w maju 1977 roku.

Wszyscy kandydaci z Polski, Czechosłowacji i NRD oraz radzieccy kosmonauci czekają na werdykt. Władimir Szatałow, zastępca dowódcy wojsk lotniczych, odczytuje z kartki, kto z kim.

Oldřích Pelčák z Nikołajem Nikołajewiczem Rukawisznikowem.

Vladimír Remek będzie trenował z Aleksiejem Aleksandrowiczem Gubariewem.

Sigmund Jähn z Walerijem Fiodorowiczem Bykowskim.

Eberhard Köllner będzie w parze z Wiktorem Wasiljewiczem Gorbatko.

Do Piotra Iljicza Klimuka został dobrany Zenon Jankowski.

Konsternacja. Hermaszewski zastyga, miał być przecież z Klimukiem!

Pomyłka!

Szatałow przewraca kartki: – Zaraz, zaraz... W parze z Klimukiem będzie jednak Mirosław Hermaszewski, a Jankowski będzie trenował z Walerijem Nikołajewiczem Kubasowem.

To tyle, można się rozejść.

Jankowski: – Hm... Znacząca pomyłka. Walerij Kubasow, podobnie jak Klimuk, dwa razy był już w kosmosie. W 1969 roku przez cztery dni jako inżynier pokładowy na statku Sojuz 6. W 1975 na Sojuzie 19 spędził pięć dni. Ważny szczegół. Podczas pierwszych lotów w programie Interkosmos dowódcami byli wyłącznie wojskowi. A Kubasow był cywilem. Inżynierem.

Profesor Terelak podkreśla, że pod względem fizycznym obydwaj Polacy nie odstawali. Zdecydowały cechy osobowości. – Rosjanie lubią ludzi z sercem na dłoni. Obserwowali, czy kandydat na kosmonautę potrafi działać w grupie, jak się komunikuje, jak zachowuje się w grupie, jak reaguje na stres. Pewnie bardziej docenili otwartego Hermaszewskiego.

Mirosław Hermaszewski i Piotr Klimuk poznają się w Gwiezdnym Miasteczku i szybko się zaprzyjaźniają. Spędzają ze sobą mnóstwo czasu. W wolnych chwilach

Pytamy Piotra Klimuka, jak było. – Jankowski robił dobre wrażenie, ale był nieco sztywny, zbyt poważny. Pedant – odpowiada. – Hermaszewski całkiem inny. Rozgadany, uśmiechnięty, bardzo emocjonalny. Dusza towarzystwa. Szukał ludzi, chciał być wśród nich. Jankowski uciekał w samotność. Mirosław wykorzystywał każdy moment, żeby pokazać siebie jako lidera. Obserwowałem obydwu i z ręką na sercu mogę powiedzieć, że Mirosław odstawał na plus. Jankowski też był świetny, nie mogę o nim powiedzieć ani jednego złego słowa. Robił swoją robotę. Ale gdybym miał stawiać oceny, Mirek dostałby ode mnie wyższą.

– Było jeszcze coś – mówi profesor Terelak. – Sporo o wyborze polskiego kosmonauty miało do powiedzenia Biuro Polityczne Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zamknięty krąg, nie wiadomo było, kto kogo obstawiał. Wszystko się działo za plecami.

– Rozgrywka toczyła się wysoko – dodaje profesor Klukowski. – Poza frakcjami w partii rywalizowały ze sobą także dwa rodzaje wojsk: Obrony Powietrznej Kraju i Dowództwo Wojsk Lotniczych. Albo inaczej: lotnictwo myśliwskie i bombowe. Hermaszewski reprezentował OPK, czyli myśliwce. Jankowski DWL, czyli bombowce. Każdy chciał mieć kosmonautę.

Kandydatów w Gwiezdnym Miasteczku odwiedza profesor Jan Rychlewski, który w Komitecie Centralnym PZPR kieruje polskimi przygotowaniami do lotu na orbitę. Przy kawie i ciasteczkach sprytnie przepytuje doktora Klukowskiego o polskich pilotów. Wyniki zna, chce wiedzieć o tym, czego nie ma w dokumentach. Jak się zachowują prywatnie, który bardziej otwarty, medialny.

Przyznaje lekarzowi, że stawiałby na Hermaszewskiego, choć Jankowski też w porządku, lubi kawały opowiadać. Ale jednak...

Klukowski: – Rosjanom lepiej pasował Jankowski, bo był mniejszy, mniej ważył. Można by dzięki temu zabrać na orbitę więcej sprzętu. Potem zmienili zdanie.

Jesień 1977 roku. Hermaszewski czuje, że jest na ostatniej prostej. W sześćdziesiątą rocznicę rewolucji październikowej mają się rozpocząć loty w ramach programu Interkosmos. Polskie władze podgrzewają atmosferę. W bibliotekach i domach kultury spotkania i pogadanki z uczestnikami wycieczek „pociągu przyjaźni". W szkołach obowiązkowe akademie. Dzieci deklamują wiersze i śpiewają piosenki o rewolucji. Laureaci konkursu „Kraj naszych przyjaciół – Związek Radziecki" dostają nagrody. Kto ma szczęście, może popłynąć „Stefanem Batorym" na zwiedzanie Leningradu. Kto nie ma – może pojechać do łódzkiego Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego albo na wystawę o Włodzimierzu Majakowskim.

Przy każdej okazji należy wpleść informację o kosmicznych sukcesach Związku Radzieckiego.

Poczta Polska wypuszcza więc serię znaczków po półtora złotego. Czerwone z widokiem Pałacu Zimowego w Petersburgu i niebieskie z napisem „XX lat podboju kosmosu".

Na plakatach propagandowych satelita w kształcie gwiazdy, okrążający Ziemię.

W Poznaniu na Winogradach władze odsłaniają pomnik Jurija Gagarina. Jego imieniem nazywane są place, osiedla i ulice w wielu polskich miastach.

Pytanie tylko, kto poleci pierwszy. Na pewno nie będzie to Niemiec, bo zostałoby to źle odebrane przez Rosjan. Nie można aż tak honorować przedstawiciela pokonanego narodu. Czesi mniej znaczą niż Polacy. Polska to taki ważny kraj! Najważniejszy w bloku. Sprawa wydaje się przesądzona. Edward Gierek podkreśla: „Polska obecność razem z towarzyszami radzieckimi w Berlinie w pamiętnym 1945 roku i teraz, na pokładzie kosmicznego statku w drodze ku nowym epokom dziejów świata, to wydarzenie o historycznym znaczeniu (...). Mamy prawo być dumni z naszego narodu". Po orbicie od 29 września 1977 roku krąży już stacja Salut 6.

Pierwszą stację kosmiczną Związek Radziecki projektuje w 1964 roku dla tajnego wojskowego projektu „Ałmaz", czyli „Diament". Kosmonauci mieli fotografować z orbity amerykańskie obiekty wojskowe, lotniska, bazy morskie, poligony. Projektanci pomyśleli o małej kapsule, którą można by wystrzelić ze stacji i szybko dostarczyć zdjęcia na Ziemię.

Na początku lat siedemdziesiątych Zakłady Chruniczewa pod Moskwą konstruują pierwszego Saluta. Stacja musi zostać dowieziona pociągiem na kosmodrom Bajkonur. Trzeba ją ukryć przed amerykańskimi satelitami szpiegowskimi, musi się zmieścić w wagonie. Cylinder nie może mieć więcej niż szesnaście metrów długości i średnicę od dwóch do czterech metrów.

Salut składa się z trzech części. Przejściowa umożliwia dokowanie załogowych i bezzałogowych statków, jest także śluzą umożliwiającą spacery w przestrzeni kosmicznej. W długiej

na dziewięć metrów części roboczej znajdują się przyrządy do obserwacji Ziemi, pulpity sterownicze, toaleta, kuchnia i sprzęt gimnastyczny. W części agregatowej stacji całe zasilanie i silniki korekcyjne. Energię stacja czerpie z ogniw słonecznych.

Na orbitę Salut 1 zostaje wyniesiony 19 kwietnia 1971 roku. Rosjanie ogłaszają, że pierwsi na świecie mają w kosmosie „dom", w którym przez dłuższy czas mogą mieszkać ludzie.

Ale milczą o tym, że pierwszym kosmonautom wysłanym na stację orbitalną nie udaje się wejść na jej pokład. Zawodzi mechanizm dokujący i załoga statku Sojuz 10 musi wracać na Ziemię. Dopiero druga misja w pełni się udaje. Gieorgij Dobrowolski, Wiktor Pacajew i Władisław Wołkow spędzają na Salucie dwadzieścia dwa dni.

Dwa lata po pierwszym pomyślnym dokowaniu Rosjan Amerykanie wynoszą na orbitę własną stację. Skylab waży siedemdziesiąt ton, ma dwadzieścia pięć metrów długości i siedemnaście szerokości. Krąży przez dwa tysiące dwieście czterdzieści dziewięć dni, przez sto siedemdziesiąt jeden dni przyjmuje astronautów.

Każdy kolejny Salut jest bardziej funkcjonalny, ma więcej kamer i obiektywów do robienia zdjęć. Salut 3 ma nawet działko pokładowe. Rosjanie sprawdzają, czy zwykłymi pociskami można zniszczyć obiekt w przestrzeni kosmicznej. Wybierają na cel starego radzieckiego satelitę. Seria z działka trafia w obiekt i rozbija go. Poza wojskowymi nikt o tym nie wie.

W Salucie 6 rewolucyjne rozwiązanie – stacja jest wyposażona w drugie stanowisko dokujące. Mogą do niej przycumować

jednocześnie dwa statki typu Sojuz albo jeden Sojuz i jeden transportowy Progress – wtedy cały kompleks osiąga dwadzieścia dziewięć metrów długości. Wnętrze podzielone na pięć przedziałów: przejściowy, roboczy, aparatury naukowej, komory przejściowej drugiej i zespołu napędowego. Na pokładzie około półtora tysiąca różnych przyrządów. Jest teleks do przekazywania informacji, kilka kamer telewizyjnych, instrumenty badawcze. Cały sprzęt waży dwie tony. W kabinie głównej panel sterowania i fotele lotnicze, bo Saluta można pilotować. Ma silniki rakietowe o niewielkiej sile ciągu, ale wystarczają do korygowania trajektorii lotu. Wnętrze ma przyjemną, jasnożółtą barwę i wyznaczoną szarą farbą „podłogę". Ziemię i kosmos można obserwować przez dwadzieścia okien. Bezpiecznie. Trzy tysiące pięćset czujników stale monitoruje stan systemów i urządzeń, przesyła dane na Ziemię.

Na Saluta 6 najpierw polecą Władimir Kowalonok i Walerij Riumin. Mają przyjmować międzynarodowe załogi Interkosmosu. Startują z Bajkonuru 10 października 1977 roku. Na orbicie próbują połączyć swój statek Sojuz 25 ze stacją orbitalną.

Pierwsza próba. Węzeł połączeniowy Sojuza dotyka stacji, ale nie chce się z nią połączyć. Kosmonauci próbują drugi raz i trzeci, w trakcie manewrów zużywają cały zapas paliwa. Muszą wracać na Ziemię.

Co się stało!? Dlaczego stacja nie chciała się połączyć ze statkiem? W grudniu na orbitę leci Sojuz 26 z Jurijem Romanienko i Gieorgijem Grieczką, który ma już za sobą miesiąc pobytu w kosmosie. Nad Morzem Śródziemnym rozpoczynają procedurę połączenia ze stacją orbitalną Salut 6. Po dziewiętnastu minutach

nad Kazachstanem ogłaszają sukces. Grieczko ma sprawdzić, dlaczego poprzedniej załodze to się nie udało. Musi wyjść na zewnątrz, w otwarty kosmos. Trudne zadanie – od ośmiu lat Rosjanie nie wychodzą ze statków. Ostatni raz w 1969 roku, gdy kosmonauci przeszli z Sojuza 5 do Sojuza 4. Grieczko przy okazji wypróbuje nowy kosmiczny kombinezon Orłan. Inspekcja przebiega bez problemów. Kosmonauta ustala, że stacja orbitalna jest sprawna – zawiódł mechanizm na pokładzie Sojuza 25, a nie w Salucie.

A więc wszystko jasne, program Interkosmos będzie można wkrótce wznowić. Niestety, na orbicie dochodzi do wypadku. Grieczko wraca do śluzy, ale Romanienko też ma ochotę na spacer w przestrzeni kosmicznej. Spieszy się, nie zapina uprzęży bezpieczeństwa. Odpycha się od śluzy i zaczyna powoli odpływać w kosmos. Grieczko przerażony w ostatniej chwili łapie go za stopę i wciąga do statku. O incydencie kosmonauci nikomu nie mówią, dopiero po zakończeniu misji składają raport. Romanienko tłumaczy, że był pierwszy raz w kosmosie, stracił czujność, bo zachwycił się bezkresem przestrzeni. Dobrze, że obok był doświadczony Grieczko.

Rosjanie wprowadzają zasadę, że w załogach, które odtąd będą latały na orbitę, musi być jeden kosmonauta, który przynajmniej raz był już w kosmosie.

Polacy nie wiedzą, że o loty kosmiczne walczą też między sobą Rosjanie. Wojskowi rywalizują z biurem odpowiedzialnym za projektowanie rakiet kosmicznych. Każdy chce mieć swojego

kosmonautę. Podobnie jak w Polsce kluczem są ambicja, prestiż, wpływy.

Wieczór. Do drzwi mieszkania Hermaszewskich puka Piotr Klimuk. Jest poruszony.

– Rozdzielają nas! – krzyczy od progu. – Brakuje im dowódcy załogi do długoterminowej misji, chcą mnie włączyć.

– Kto wpadł na ten pomysł? – pyta Hermaszewski.

– Ktoś z grupy Walentina Głuszki, konstruktora rakiet.

Hermaszewski zaczyna rozumieć: Robią wszystko, żeby w kosmos poleciał ich człowiek, Kubasow.

Klimuk otwiera butelkę, gadają prawie całą noc, zastanawiają się, co robić. Następnego dnia Aleksiej Leonow uspokaja: – Sprawa na razie załatwiona, ale bądźcie czujni, droga w kosmos nie jest prosta. Macie konkurentów. Pamiętajcie, że na mnie zawsze możecie liczyć.

To wielkie wsparcie.

Jankowski o Leonowie: – Lisek chytrusek. Korzystał na tym, że był w zespole pierwszych dziesięciu kosmonautów, i zawsze spadał na cztery łapy. Opowiadał mi Kubasow, że po swoim pierwszym kosmicznym spacerze Leonow sporo podróżował po świecie. Z Francji przywiózł sobie nowy samochód marki Renault, ale musiał go szybko sprzedać. Jak na ZSRR była to zbytnia ekstrawagancja. Renówka kłuła w oczy ludzi radzieckich. Ale poza tym Leonow umiał się ustawić, mógł robić, co chciał. Na stawie za profilaktorium założył hodowlę kaczek, do których potem strzelał. Był szefem szkolenia kosmonautów, ale praktycznie to on rządził Gwiezdnym Miasteczkiem.

Pułkownik Jankowski pokazuje nam stare zdjęcia.

– To jest malutka Mila, córka Hermaszewskich, dzisiaj jest żoną Ryszarda Czarneckiego, tego posła do Parlamentu Europejskiego z Prawa i Sprawiedliwości.

Tu widzicie stroje kosmiczne, specjalne dla nas szyte, na miarę.

Fotografia z praktycznego egzaminu na urządzeniach treningowych.

A to zdjęcie jest ważne. Zostało zrobione przed pierwszym lotem w ramach Interkosmosu. Wszyscy na nim są: dwie załogi Niemców, dwie Czechów, ja z Kubasowem i Klimuk. A kogo nie ma? Hermaszewskiego! A dlaczego? Bo znowu był w szpitalu.

Oficjalne zdjęcie załóg czeskich, polskich i niemieckich przed pierwszym lotem w ramach programu Interkosmos. Na zdjęciu brakuje Mirosława Hermaszewskiego, który leży w moskiewskim szpitalu

Rosyjscy lekarze zaczynają dokładnie badać Hermaszewskiego. – Mirosław, masz chore migdały. Są ropne!

– Ale ja nigdy nie chorowałem na anginę, a grypę miałem tylko raz – odpowiada zdziwiony.

Lekarz uspokaja: – Spokojnie, zobaczymy, co się da z tym zrobić.

Mija tydzień, Hermaszewski z Klimukiem trenują na symulatorze lotów w kabinie Sojuza. Jeden z lekarzy przerywa zajęcia.

– Co tutaj robisz? W kancelarii leży twoje zwolnienie. Jesteś chory, masz się natychmiast stawić na bloku medycznym – mówi do Hermaszewskiego.

Klimuk mruczy pod nosem: – Sobaki...

W gabinecie lekarskim konsylium. – To wy powinniście lecieć w kosmos – zwracają się do Hermaszewskiego. – Zresztą takie jest życzenie Warszawy, a my je popieramy. Tylko, wiecie, jest kłopot z tymi migdałami. Teraz was nie bolą, ale nie ma pewności, jak będzie przed lotem. Nie ma innego wyjścia, trzeba je usunąć. Potem ze dwa, trzy miesiące rekonwalescencji i będziecie mogli lecieć.

– Dwa miesiące!? To strasznie długo.

– Tak trzeba.

Do Moskwy przylatuje profesor Stanisław Barański, szef Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej. Nadzoruje dodatkowe badania. Ale nic się nie dzieje, Hermaszewski jest zdrowy jak rydz.

Wieczorem Barański spotyka się z radzieckimi lekarzami. Nie ma dobrych wiadomości. – Musisz się zgodzić na zabieg – mówi Hermaszewskiemu.

Nikt z Polaków nie wie, o co naprawdę chodzi. A gra toczy się na szczeblu międzynarodowym.

Styczeń 1968 roku. Przywódcą Komunistycznej Partii Czechosłowacji zostaje Alexander Dubček. Komunista, który wierzy w „socjalizm z ludzką twarzą". Na razie ma poparcie Moskwy, ale jego reformy są coraz bardziej niepokojące. Dubček ogłasza,

że rządząca krajem partia komunistyczna nie zdała egzaminu, nie zapobiegała niesprawiedliwości, dopuszczała do wypaczeń. Zniesiona zostaje cenzura, władze pozwalają obywatelom zakładać niezależne organizacje, ocieplają stosunki z Kościołem, partia wprowadza demokratyczne reguły wyboru swoich przedstawicieli. W gospodarce Dubček chce wprowadzić elementy rynkowe, uwolnić ceny, przestawić produkcję na dobra konsumpcyjne. Nie ukrywa, że przygotowuje federalizację państwa, pragnie równouprawnienia Słowacji.

Czesi i Słowacy popierają tę politykę. Organizują demonstracje i spotkania, domagają się wolności dla wyznań religijnych i partii innych niż komunistyczna. Chcą skruszyć partyjny beton, pragną wolności.

Dla państw Układu Warszawskiego to za dużo. Szefowie rządzących partii komunistycznych boją się, że czeskie reformy rozleją się na całą wschodnią Europę. Spotykają się w Dreźnie w marcu 1968 roku i mówią o czeskiej kontrrewolucji. Najgłośniej krzyczą przywódcy NRD Walter Ulbricht i Polski Władysław Gomułka.

Na ulicach polskich miast już widać hasła: „Cała Polska czeka na swojego Dubčeka". Rządzący krajem działacze Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej boją się rozruchów. Nalegają, żeby Czesi obrali stary kurs. Ale Czesi odmawiają. Moskwa stanowczo żąda, by czescy komuniści przestali wywoływać ferment. Mają czym prędzej posprzątać, zacząć zwalczać opozycję, która podniosła głowę, przywrócić cenzurę, zdelegalizować wszystkie nowe organizacje i generalnie rozprawić się ze wszystkimi siłami „wrogimi ustrojowi socjalistycznemu".

Ale Czesi nie chcą.

Rosjanie postanawiają rozwiązać sytuację siłą. W nocy z 20 na 21 sierpnia 1968 roku rozpoczyna się operacja „Dunaj". Do Czechosłowacji wkracza ponad sześćset tysięcy żołnierzy radzieckich, polskich, węgierskich i bułgarskich. Niemcy wschodni posyłają tylko trzydziestu żołnierzy z jednostki łączności. Dubček zostaje aresztowany i przewieziony do Moskwy, Czesi wychodzą na ulice, ginie sto osiem osób. Przywódcy Komunistycznej Partii Czechosłowacji uginają się przed siłą. Podpisują w Moskwie zobowiązanie, że odstąpią od reform i przywrócą stary ład.

Dziesięć lat później wszystko wygląda wspaniale. Dziennikarz „Głosu Wybrzeża" pisze korespondencję z czeskiej stolicy. Opisuje bogate, czyste miasto, szczęśliwych obywateli. „Praga żyje. Sklepy handlują, restauracje i winiarnie zapraszają, popularne »jidelne« i »bufety« oferują olbrzymi wybór pysznych kanapek, sałatek, ciast i – oczywiście – różnych gatunków piwa". (...) „Na pierwszych stronach gazet kolejne meldunki z budowy metra. Żyją tym tematem wszyscy mieszkańcy chwaląc się przybyszom pierwszym, pięknym zresztą, odcinkiem przyszłej sieci podziemnej kolei". Sukcesy świętuje czeska medycyna. Lekarzom udaje się utrzymać przy życiu dwumiesięczną Petrę, która jest pozbawiona naturalnego systemu odpornościowego.

Ale wszyscy wiedzą, że to tylko pozór. Czesi nigdy nie zapomną o interwencji. Moskwa zapewnia, że Czechosłowacja jest ważnym członkiem Układu Warszawskiego, czas zapomnieć o bolesnej przeszłości i razem ufnie patrzeć w przyszłość. I zamierza dać temu wyraz.

Wigilia Bożego Narodzenia. W Gwiezdnym Miasteczku normalny dzień pracy. W mieszkaniach polskich kandydatów na kosmonautów ustrojone choinki, uroczyste kolacje, opłatki, prezenty, kolędy. Do drzwi Hermaszewskich puka dyżurny lekarz.

– Jutro stawicie się w szpitalu.

– Ale są święta, rodzina... – oponuje Hermaszewski.

– Jakie święta? Nie ma żadnych świąt – odpowiada zdziwiony lekarz.

W starym moskiewskim Szpitalu im. Burdenki cykl szczegółowych badań. Hermaszewski leży tam w pokoju z generałem Dymitrem Kowiesznikowem. Staruszek, bohater Związku Radzieckiego, uczestnik Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Opowiada o walkach na froncie, niemieckich czołgach, które wgniatały radzieckich żołnierzy w ziemię, jak stracił słuch, gdy wysadził granatami cztery niemieckie maszyny. Ale Hermaszewski słucha jednym uchem. Myśli o operacji wycięcia migdałów, którą wyznaczono na 29 grudnia.

Zabieg przeprowadza stary lekarz, ordynator oddziału laryngologii. Na jego widok nawet największy twardziel na pewno by zbladł. Chirurg ma na sobie długi, szary gumowy fartuch. Potężny jak góra, ręce pokryte włosami. Na nosie grube okulary. Przypomina rzeźnika, a nie laryngologa. Każe otwierać usta, wbija igłę w gardło, znieczulenie zaczyna po chwili działać. W ruch idą nożyce i szczypce, ale ordynator nie jest delikatny. Hermaszewski krztusi się krwią, chirurg się denerwuje. Wreszcie po trzydziestu minutach kończy. Na stoliku obok kładzie wycięte migdały Polaka. Rozcina je uważnie skalpelem i mówi z uśmiechem: – Mirosław, miałeś rację. One wcale nie są chore!

11 stycznia Hermaszewski wraca do Gwiezdnego Miasteczka. Treningi, teoria, nadrabianie zaległości.

Klimuk: – Było sporo do zrobienia, bardzo dużo nauki. Miałem w swoim gabinecie duży stół. Bywało, że Mirosław, zmęczony zajęciami, zasypiał na nim.

Coraz bliżej egzaminy końcowe, to od nich zależy, który z Polaków poleci na orbitę. Hermaszewski z Klimukiem trenują na symulatorze dokowanie do stacji orbitalnej. Podchodzi lekarz. – Mirosław, masz duży opad krwi, musisz jechać do szpitala.

Hermaszewski: – Nie pojadę, już tam byłem!

Wieczorem siedzą u Klimuka przy wódce. O co chodzi z tym stanem zdrowia?

Tym razem lekarze badają wydolność serca. Każą Hermaszewskiemu pedałować na rowerze stacjonarnym, zwiększają obciążenie. Pot zalewa mu oczy. Wreszcie naczelny lekarz zadowolony. – O, jest! – krzyczy. Na wykresie widać dwa dodatkowe skurcze mięśnia sercowego.

Tym razem szpital w moskiewskiej dzielnicy Sokolniki. Czesi zaliczają w tym czasie ostatnie egzaminy.

Hermaszewski zapewnia, że czuje się wyśmienicie. Lekarze chcą wiedzieć, czy miewa omamy, czy widzi węże w toalecie albo skaczące po parapecie małpy.

Co się dzieje? Nie podają leków, nie męczą badaniami.

Hermaszewskiego w szpitalu często odwiedzają Aleksiej Leonow, Piotr Klimuk, kosmonauta Gieorgij Bieriegowoj. Polak nie traci czasu, obładowany podręcznikami. Wkuwa.

– A co ty się tak uczysz? – pytają koledzy.

– Niedługo egzaminy. Jak nie zdam, nikogo nie będzie interesowało, że leżałem w szpitalu.

Leonow drapie się po głowie: – Dobra, Mirek.

Następnego dnia dwaj najlepsi instruktorzy z Gwiezdnego Miasteczka, ubrani w pidżamy, kładą się do łóżek obok Hermaszewskiego.

– Co wy tu robicie? – pyta polski pilot.

– Będziemy „chorować" z tobą...

Hermaszewski: – Uczyliśmy się od rana do godziny dwudziestej drugiej. Schematy lądowania, procedury startu, kąty wejścia w atmosferę, no wszystko. Pierwszego dnia padłem ze zmęczenia. Budzę się rano, a w sali śmierdzi czosnkiem i gorzałą. Jeszcze papierosy palili. Ale wspaniale przygotowali mnie do egzaminów.

Niestety, wyniki badań wciąż nie są dobre. Tylko że zaprzyjaźniona pielęgniarka podaje niskie wartości, a lekarze uparcie wpisują do karty wyższe.

Co się do cholery dzieje!?

Zbiera się komisja. Hermaszewski przed lekarzami na zydelku.

– Mam dla was złą wiadomość – oznajmia grobowym głosem przewodniczący. – Jesteście chorzy nie jak kosmonauta, nie jak lotnik, ale po prostu jak człowiek. Macie wrodzoną wadę serca, zastawki się nie domykają.

– Nigdy nie miałem problemów z sercem – dziwi się Hermaszewski. – Jestem pilotem samolotów naddźwiękowych. Zresztą badania przeprowadzone w Polsce też niczego nie wykazały.

Przewodniczący: – Macie tę chorobę od dawna, wystarczy zrobić echo serca, żeby ją dostrzec.

– Ależ parę dni temu miałem tutaj wykonane właśnie to badanie. Nic nie wykazało... – broni się Hermaszewski.

Przewodniczący komisji czerwony jak burak. – Kto zlecił!? – wrzeszczy.

Lekarze chcą jeszcze raz przejrzeć wyniki wszystkich badań, przepisują witaminy i każą czekać.

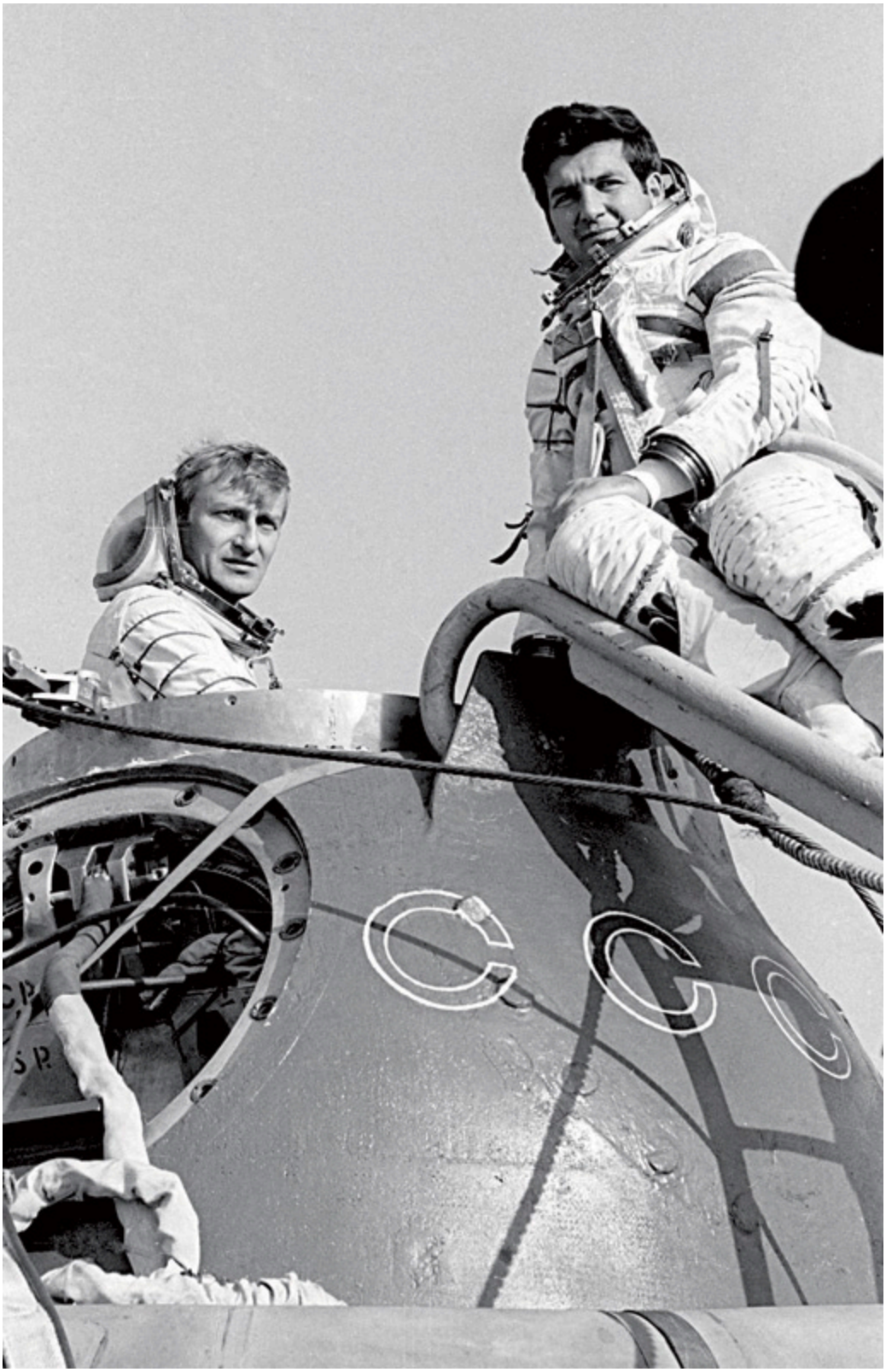

– To wspaniały kolega i dowódca, zawsze uśmiechnięty, tryskający humorem i życzliwy. Lubi mnie i, wyczuwam, jest zadowolony, że polecimy razem – mówi o Piotrze Klimuku Mirosław Hermaszewski. Na zdjęciu w trakcie treningu przed startem Sojuza 30

ROZDZIAŁ 6

Myśliwce mają pierwszeństwo przed bombowcami

Na początku roku 1978 roku Moskwa podejmuje decyzję. Edward Gierek na posiedzeniu Biura Politycznego PZPR informuje, że ZSRR wyśle w kosmos statek. Na jego pokładzie będzie pierwszy kosmonauta spoza Związku Radzieckiego. Czech.

Działacze partii w szoku. Jak to wytłumaczą narodowi? Przecież to Polska jest najważniejsza. Czesi!? I kogo oni będą sławić w przestrzeni kosmicznej – dobrego wojaka Szwejka!?

Józef Tejchma, członek Biura Politycznego, zanotuje w swoim dzienniku: „Jest to represja wobec Polski, jeśli się weźmie pod uwagę styl stosunków w obozie socjalistycznym".

Generał Wojciech Jaruzelski, minister obrony, przyzna po latach: „Byliśmy zaskoczeni. Niemile zaskoczeni, bo wydawało się nam, że ze względu na wielkość armii polskiej i jej historii podczas II wojny światowej pierwszy powinien polecieć w kosmos polski kosmonauta".

Członkowie Biura Politycznego radzą: – Trzeba sprawić, żeby Rosjanie zmienili decyzję!

Ale Gierek studzi emocje: – Nasze długie starania, aby był to Polak, nie mają żadnych szans.

Wersja oficjalna: Czechosłowacja jest najbardziej aktywnym partnerem Związku Radzieckiego w programie Interkosmos. Czeskie urządzenia są montowane na sondach planetarnych i satelitach. Aż czterdzieści procent wszystkich badań z dziedziny biologii, medycyny kosmicznej, fizyki, geofizyki i astronomii prowadzą naukowcy z Czechosłowacji.

Wersja nieoficjalna: Breżniew osobiście obiecał Gustávowi Husákowi, że Czech poleci przed Polakiem. Jeśli ma to osłodzić Czechom gorycz rosyjskiej interwencji w czasie Praskiej Wiosny, to czemu nie?

Czesi szaleją z radości. Polacy ze złości.

Do Moskwy leci premier Piotr Jaroszewicz. Chce przekonać Breżniewa, żeby jednak zmienił decyzję.

Breżniew nie chce go widzieć. Każde przekazać, że *uże wsio rieszeno* (wszystko już postanowione).

Tejchma gorzko w pamiętniku: „Wiemy, że jest to ukaranie Polski i nagrodzenie Czechosłowacji".

W Moskwie jest także minister obrony narodowej generał Wojciech Jaruzelski. Władze szpitala przenoszą Hermaszewskiego ze standardowej sali do szpitalnego apartamentu. Trzy gustownie urządzone pokoje, dwa telewizory, lodówka i kredens z kompletem kryształowych kieliszków.

– Będziecie mieli ważnego gościa – mówią w szpitalu.

Hermaszewski martwi się, że ascetycznemu generałowi Jaruzelskiemu może nie spodobać się ten przepych. Prosi o przeniesienie do dawnej sali, dyrekcja szpitala nie chce o tym słyszeć. Hermaszewski prosi pielęgniarki o dodatkowe prześcieradła i zakrywa nimi kredens. Przynajmniej tyle.

– Z wypowiedzi lekarzy zrozumiałem, że Mirosław jest prawie zdrowy? – mówi Jaruzelski w szpitalnym apartamencie. Towarzyszący mu lekarze i rosyjscy generałowie potakują.

– Kiedy wyjdzie?

– W przyszłym tygodniu.

– Na obiad mogę go zaprosić?

– Oczywiście!

Przyjęcie w rezydencji na Leninskich Gorach. W środku czeka już Zenon Jankowski.

– No widzisz, Zenek, Mirek tyle był w szpitalu, pewnie go odwiedzałeś, co? – zagaduje Jaruzelski.

– Nie było czasu, towarzyszu generale, tyle nauki... – odpowiada Jankowski.

Jaruzelski: – Hm...

Start Sojuza 28 Mirosław Hermaszewski obserwuje ze szpitalnego łóżka. 2 marca spiker radzieckiej telewizji informuje, że na pokładzie lecą Aleksiej Gubariew i czeski kosmonauta Vladimír Remek. Podróż potrwa siedem dni i dwadzieścia jeden godzin. Załoga połączy się ze stacją Salut 6 i przeprowadzi kilka eksperymentów naukowych, m.in. wytapianie metalu w warunkach nieważkości, badanie zachowania się tlenu w tkance, obserwacja zmian jasności gwiazd przy zachodzeniu ich w strefę cienia Ziemi oraz badanie różnych

gatunków roślin wodnych, by sprawdzić, czy można je wykorzystać do regeneracji powietrza na statkach kosmicznych.

Media oczywiście nie podają, że Remek bardzo źle znosi nieważkość. Niemal przez cały czas wymiotuje, jest odwodniony. Z trudem pracuje. Trzeciego dnia lotu musi wystąpić na zaplanowanej wcześniej konferencji prasowej.

– Powinieneś się ogolić – zwracają mu uwagę Rosjanie.

Sobota 4 marca 1978 roku. Zegar na praskim ratuszu pokazuje godzinę szesnastą pięćdziesiąt trzy. Rozpoczyna się transmisja na żywo z orbity. Do tej pory kosmos mówił po angielsku lub rosyjsku. Czesi chcą po raz pierwszy usłyszeć z orbity język czeski. Nikt nie informuje o tym Remka.

Czech od miesięcy mówi niemal wyłącznie po rosyjsku. W tym języku się uczy, czyta instrukcje, zna tylko rosyjskie nazwy urządzeń na statku. Nie jest przygotowany, gdy po włączeniu kamery słyszy w słuchawkach polecenie z Ziemi: – Mów po czesku! Po czesku!

Czech Vladimír Remek (na zdjęciu z lewej) był pierwszym kosmonautą spoza Związku Radzieckiego, który w ramach programu Interkosmos poleciał na orbitę. W marcu 1978 roku wraz Aleksiejem Gubariewem polecieli na stację kosmiczną Salut 6. Jurij Romanienko oraz Gieorgij Grieczko powitali ich tam kawą z dodatkiem mleka z tubki

Remek próbuje powiedzieć po czesku to, co ułożył sobie w głowie po rosyjsku, ale nie znajduje słów. Zaczyna się jąkać, po chwili kompletnie się zacina. Charczy, nie można go zrozumieć.

Rosjanie starają się ratować sytuację. – Mów po rosyjsku – podpowiadają.

Ale Remek już zablokowany.

Zenon Jankowski obserwuje transmisję w centrum kontroli lotów w Moskwie.

– To była tragedia – wspomina. – Kompletnie się zgubił. Dwa słowa po czesku, potem przeszedł na rosyjski, znów wtrącał czeskie wyrazy. Wyglądał źle, był splątany, półprzytomny, jakby nie wiedział, gdzie jest.

Moskwa szybko kończy transmisję. Kolejne łączenie już lepsze. Remek odwraca się do kamery i z uśmiechem mówi po czesku: „Kilka minut temu widziałem światła Pragi. Niestety, nad naszą republiką jest pochmurno, więc patrzyłem na blask miasta, jakby wychodziło słońce lub księżyc".

Nie tylko Remek źle znosi ten lot. Jurij Romanienko, jeden z gospodarzy stacji Salut 6, cierpi na ból zęba. Lekarze mają dla niego tylko jedną radę: często płukać usta ciepłą wodą. Romanienko szaleje, musi wytrzymać do lądowania, czyli dziesięć dni. Gdy w końcu siada na fotelu dentystycznym, jeden z nerwów w zębie jest całkowicie odsłonięty.

Jankowski: – Uważam, że Oldřich Pelčák, konkurent Remka, był o wiele lepszy, ale Remek to syn ministra obrony Czechosłowacji. Nie mógł lecieć nikt inny.

Dodatkowe okoliczności sprzyjające Remkowi: urodził się w 1948 roku, gdy czescy komuniści przejęli władzę. Jego ojciec był Słowakiem, a matka Czeszką. Idealna sytuacja – żaden z narodów Czechosłowacji nie mógł się poczuć pominięty.

Ostatecznego wyboru dokonują władze w Pradze. Na cztery dni przed startem Remek dowiaduje się, że to on poleci.

Pelčák skomentuje: – Ani przez moment nie pomyślałem, że mój konkurent mógłby działać nieuczciwie.

Za to Remek się martwi. Do końca. – Wystarczyła zwykła afta na języku, a z pewnością zostałbym zdyskwalifikowany – wspomina. Dopiero po starcie odzyskuje spokój. Na orbicie wzdycha: „To marzenie".

A który z Polaków? Jankowski czy Hermaszewski?

Klimuk nie wie, że biuro konstrukcyjne nie rezygnuje z wysłania na orbitę swojego człowieka, Walerija Kubasowa, a przy okazji Zenona Jankowskiego. Dowie się o tym podczas odwiedzin w zakładach NPO Energia w Podlipkach koło Moskwy. To tam powstają rosyjskie statki kosmiczne.

Kandydatów na kosmonautów przyjmuje generalny konstruktor Walentin Głuszko. Wysoki, szczupły, bardzo miły. Oprowadza gości po fabryce, opowiada o statku Sojuz. Zbudowano go w końcówce lat sześćdziesiątych na potrzeby radzieckiego programu księżycowego. Może przenieść na stację orbitalną do trzech kosmonautów, a potem zabrać ich z powrotem na Ziemię. Statek składa się z trzech modułów: silnikowego i przyrządowego, lądownika oraz orbitalnego. Na Ziemię wraca tylko lądownik z załogą. Kapsuły nie można użyć po raz drugi.

W module orbitalnym o średnicy dwóch metrów dwudziestu pięciu centymetrów, długości trzech metrów czterdziestu centymetrów i objętości około pięciu metrów sześciennych znajduje się węzeł cumowniczy oraz system zbliżania. W środku można

znaleźć m.in. zaopatrzenie dla stacji orbitalnej, system podtrzymywania życia oraz toaletę.

Lądownik umieszczony w środkowej części Sojuza ma kształt dzwonu o długości dwóch metrów dwudziestu czterech centymetrów, średnicy dwóch metrów siedemnastu centymetrów i objętości trzech i pół metra sześciennego. Na zewnątrz silniki, które pozwalają sterować kapsułą w czasie przelotu przez gęste warstwy atmosfery. W lądowaniu pomagają inne silniki, umieszczone pod osłoną termiczną, i dwa spadochrony. Główny ma powierzchnię tysiąca metrów kwadratowych i otwiera się na wysokości około siedmiu i pół kilometra, a kapsuła wyhamowuje do prędkości sześciu metrów na sekundę. Tuż przed lądowaniem włączane są małe rakiety hamujące, dzięki którym lądownik opada na Ziemię z prędkością dwóch-czterech metrów na sekundę.

W module serwisowym o długości dwóch metrów dwudziestu sześciu centymetrów zamontowane są systemy orientacji i nawigacji, telemetrii, klimatyzacji oraz zasilania. Z tyłu główny silnik statku, dwadzieścia osiem silniczków zbliżania i orientacji, zbiornik na osiemset kilogramów paliwa.

Ale nie o budowę Sojuza tu chodzi.

Głuszko w końcu mówi Klimukowi otwarcie: – Wprawdzie Mirosław ma bardzo pozytywną opinię i dobrze trenuje, ale biorąc pod uwagę fakt, że tak długo był w szpitalu, nie ma sensu dopuszczać go do końcowych egzaminów.

Egzaminy kończą szkolenie w Gwiezdnym Miasteczku. Najtrudniejszy jest ten ze sterowania statkiem kosmicznym,

orientacji w przestrzeni i dokowania do stacji orbitalnej. W komisji zasiada przedstawiciel biura konstrukcyjnego.

– Pizduś taki mały, ale wykładowca wielkiej klasy – wspomina Hermaszewski. – Koniecznie chciał mnie uwalić. Wyciągnąłem kartkę z pytaniami i dobrze odpowiedziałem. A on: „Bardzo dobrze, ale mnie to nie zadowala. Byliście w szpitalu i potraktujemy to jak rozgrzewkę".

Wojskowi zaczynają buczeć, ale przewodniczący komisji mówi do pizdusia: „Proszę kontynuować".

– Zadał mi czterdzieści trzy pytania! – wspomina Hermaszewski. – Maglował chyba ponad godzinę i dwadzieścia minut. Wymyślił jakiś problem, którego nie było w żadnej instrukcji. Na to jedno pytanie nie odpowiedziałem. Potem wezwali wszystkich kandydatów i przewodniczący komisji omawia wyniki: „Jähn – cztery z plusem. Uwagi: nie zna prędkości kątowej statku kosmicznego, rozchodów paliwa i tak dalej...". W końcu moja kolej.

– Hermaszewski. Same piątki. Same piątki! Uwag nie ma – mówi przewodniczący.

Pizduś: – Nie ma uwag!? No to dlaczego jedna piątka jest z minusem?

Przewodniczący zniecierpliwiony: – Tylko wy to wiecie, towarzyszu.

Konstruktor Głuszko, dotąd milczący, odpowiada: – U Mirosława wszystkie oceny jednakowe. Aż nieprzyjemnie się na to patrzy. Ale mieć dobre oceny to za mało, żeby zostać kosmonautą – mówi.

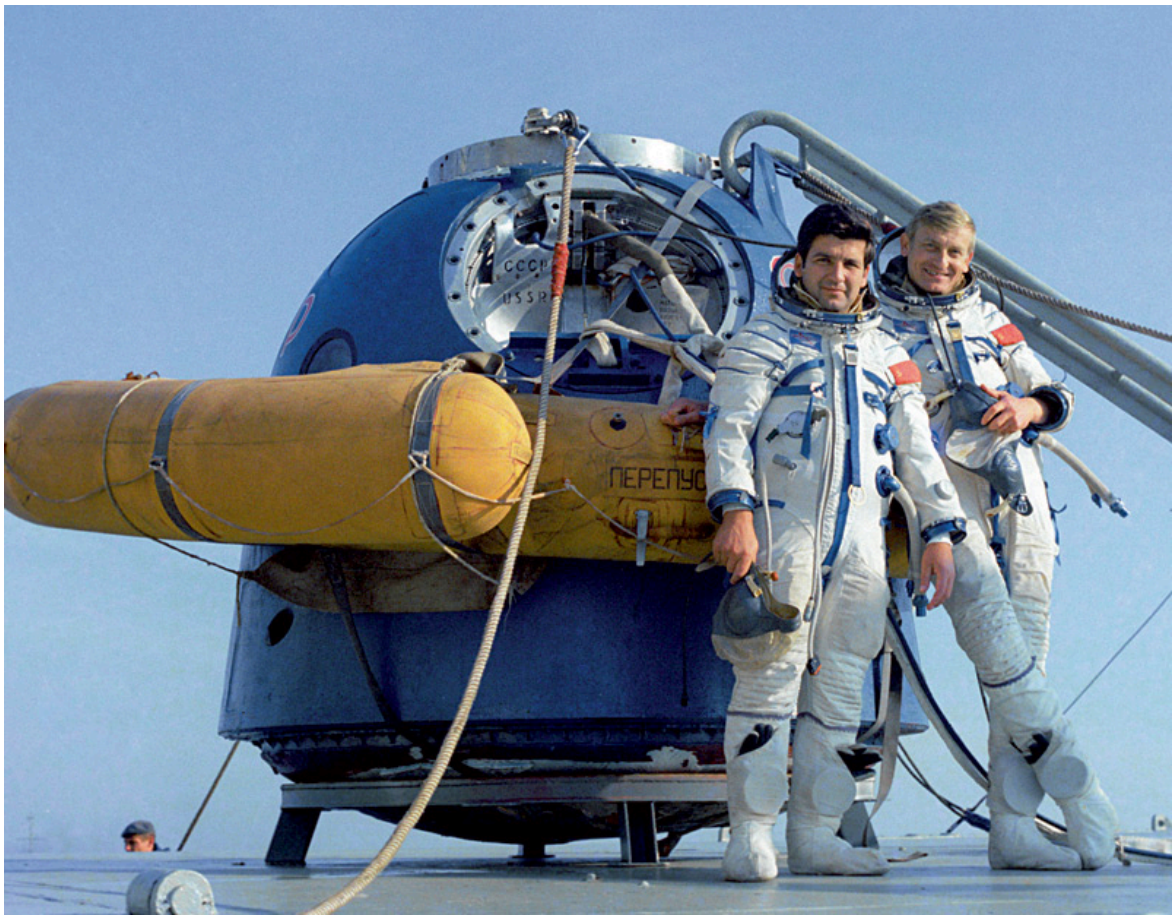

Kosmonauci, którzy wracają na Ziemię, muszą być przygotowani także na wodowanie. Mirosław Hermaszewski i Piotr Klimuk na Krymie. Trenują tam ewakuację z kapsuły lądownika na morzu

Próba sił między wojskowymi a cywilami z biura konstrukcyjnego nie przynosi rozstrzygnięcia. Wyboru kosmonauty mają dokonać Polacy.

Jankowski: – Wiedziałem, że nie mam szans. Brat Mirka był pilotem, generałem brygady i reprezentował Wojska Obrony Powietrznej Kraju. Myśliwce zawsze miały pierwszeństwo przed bombowcami.

Nie jest jeszcze pewne, że po Czechu poleci Polak. Mariusz Kukliński z Polskiej Agencji Prasowej jest wtedy korespondentem w Moskwie. Pracuje w zespole nauki i techniki, zajmuje się programami kosmicznymi Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego. Na Kremlu spotyka Gieorgija Bieriegowoja, szefa ośrodka szkolenia kosmonautów. Kukliński pyta, kto poleci następny. Jest pewien, że to będzie Polak, chce tylko zagaić rozmowę. Ale Rosjanin odpowiada: – Sigmund Jähn.

– Ta wiadomość mną wstrząsnęła, ale zachowałem pokerową twarz – wspomina Kukliński. – Po powrocie do Warszawy natychmiast zadzwoniłem do Jana Rychlewskiego. Zbladł. Zapytał, skąd wiem, że Niemcy mogą nas wyprzedzić. Bo jeśli jest to poważny informator, to on musi szybko polecieć do Moskwy. Powiedziałem, że nie mogę zdradzić źródła, ale dowiedziałem się tego na Kremlu. Rychlewski następnego dnia poleciał do Moskwy dopilnować, żeby następny był jednak Polak.

– Obiło mi się o uszy, że wywalczył to u Iwana Sierbina, wszechmocnego wówczas kierownika Wydziału Przemysłu Obronnego KC KPZR, przed którym drżeli marszałkowie i główni konstruktorzy rakiet. Rychlewski reprezentował w tych przetargach Komitet Centralny PZPR. Gdyby nie miał takiego umocowania, w Moskwie nikt by z nim nie rozmawiał – dodaje Kukliński.

W końcu kwietnia Klimuk z Hermaszewskim trenują w kabinie Sojuza. Kierownik ćwiczeń przerywa zajęcia. Każe im natychmiast stawić się w budynku dydaktycznym.

Odbywa się pożegnanie Czechów. Sala wypełniona po brzegi, bo w Gwiezdnym Miasteczku trenują już Bułgarzy, Węgrzy,

Rumuni, Mongołowie i Kubańczycy. Leonow otwiera szampana. Przy okazji szepcze Hermaszewskiemu: – Lecicie z Piotrem za dwa miesiące, dokładnie 27 czerwca.

Aniela Jankowska: – Mąż był rozczarowany, ale ja zadowolona. Bardzo dobrze, że go nie wybrali. Mogłam wreszcie wrócić do domu. Gwiezdne Miasteczko? Nie znosiłam tego miejsca.

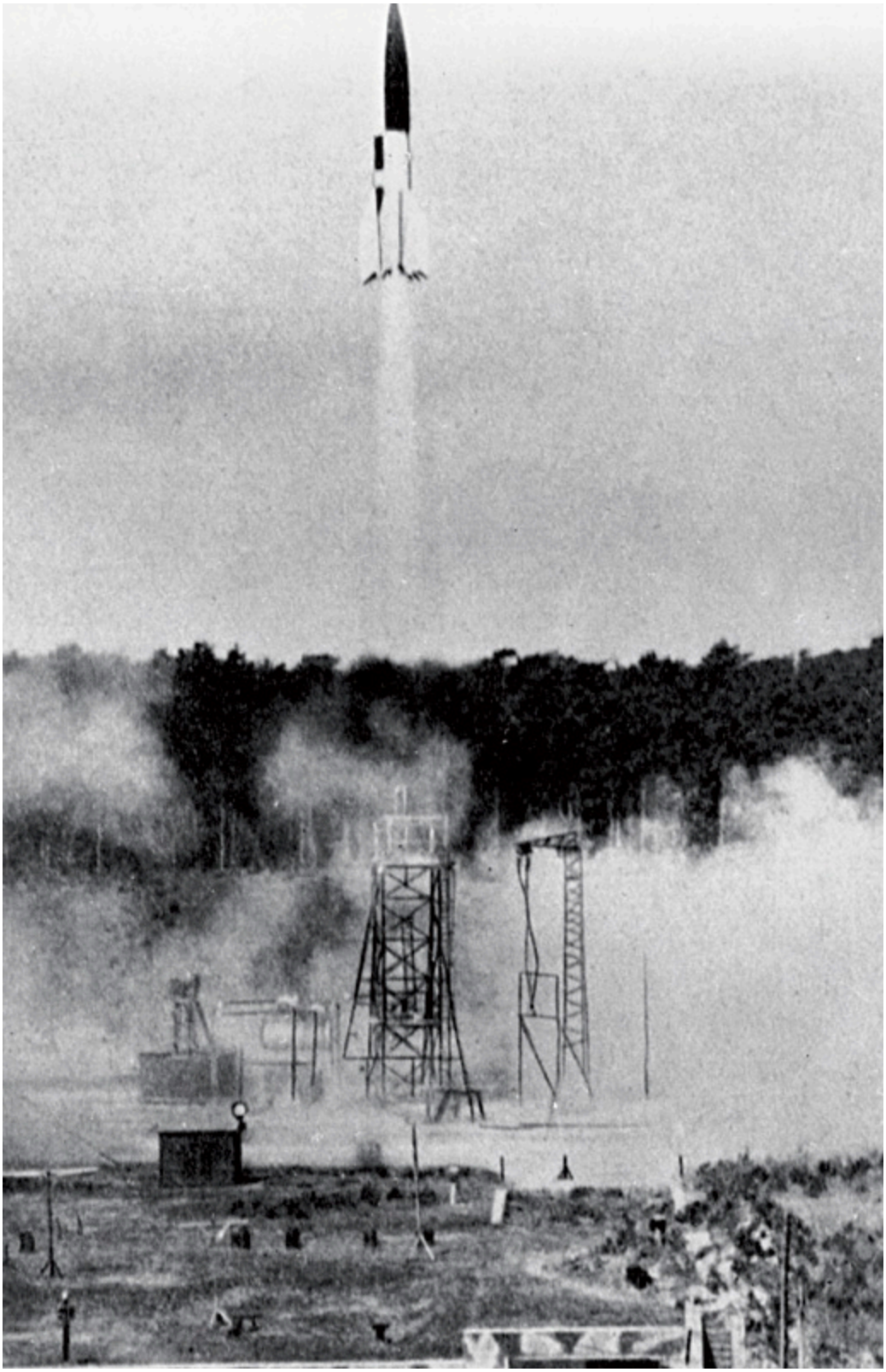

Start balistycznego pocisku rakietowego V-2 w hitlerowskim ośrodku badawczym Peenemünde na wyspie Uznam. Adolf Hitler wierzył, że ta „cudowna broń" odmieni przebieg II wojny światowej.
Fot. Bundesarchiv, Bild 141-1880 / o.Ang.

ROZDZIAŁ 7

Nasza ojczyzna potrzebuje atomowej tarczy

Hermaszewski zna te nazwiska na pamięć: Jurij Gagarin, Alan Shepard, Virgil Grissom, Gierman Titow, John Glenn, Scott Carpenter, Andrijan Nikołajew, Pawieł Popowicz, Walter Schirra, Gordon Cooper, Walerij Bykowski, Walentina Tierieszkowa...

On będzie dziewięćdziesiąty. Stanie się częścią historii, którą można opowiedzieć tak.

Wojna dobiega końca. Adolf Hitler nie żyje, popełnił samobójstwo w Kancelarii Rzeszy. Armia Czerwona wkracza do zrujnowanego Berlina. Broni się jeszcze tylko załoga Breslau. Niedobitki niemieckich oddziałów próbują się przedrzeć do Amerykanów.

5 maja 1945 roku rosyjscy zwiadowcy zajmują wyspę Uznam. Na Kremlu poruszenie. Od 1937 roku w miejscowości Peenemünde działa tajny hitlerowski kompleks badawczy, w którym Niemcy pracują nad nowymi rodzajami broni. Konstruują latającą bombę V-1 i balistyczny pocisk rakietowy V-2. To napędzana paliwem stałym

rakieta, pierwsza w historii ludzkości, która przekracza wysokość stu kilometrów i wchodzi w przestrzeń kosmiczną. Ma niecałe piętnaście metrów długości, waży dwanaście ton, a jej zasięg to trzysta osiemdziesiąt kilometrów. Jest jednak niestabilna w locie, niecelna i bardzo awaryjna. Nie może już zmienić biegu wojny, ale alianci wiedzą, że to broń przyszłości. Chcą ją przejąć.

W maju 1944 roku wywiad Armii Krajowej znajduje niewybuch rakiety V-2. Najważniejsze części wysyła do Londynu, ale to za mało. Potrzebne są dokładne plany konstrukcyjne, a przede wszystkim jej twórcy.

Sowieccy naukowcy na terenach zajętych przez Armię Czerwoną znajdują tylko fragmenty V-2. Przejęcie ośrodka Peenemünde to dla nich szansa na zdobycie kompletnej dokumentacji.

– Kompleks jest ruiną, pełno kraterów, mnóstwo niewybuchów, zaledwie kilka budynków w całości – melduje przez radio dowodzący zwiadem major Anatol Wawiłow. Zniszczenia to efekt kilku dywanowych nalotów przeprowadzonych przez alianckie lotnictwo. Reszty dokonali wycofujący się niemieccy saperzy. Na wyspie nie ma już inżynierów, została tylko garstka techników. Wszystkich zatrzymuje NKWD.

Do Peenemünde przyjeżdża rosyjski naukowiec Siergiej Pawłowicz Korolow. Jest rozczarowany. Nie wie, że jeszcze w 1943 roku całą produkcję V-2 Niemcy przenieśli do podziemnego kompleksu Mittelbau-Dora koło Nordhausen w Turyngii.

Kilka miesięcy wcześniej trzydziestotrzyletni Wernher von Braun, twórca V-2, zaprasza najbliższych współpracowników do położonego w pobliżu Peenemünde hotelu Inselhof. Wiedzą,

że wojna jest przegrana. Co dalej? Czekać na Armię Czerwoną i skończyć na Syberii czy próbować przedzierać się do Amerykanów? Projektantów V-2 na pewno przyjmą z otwartymi rękami. Naukowcy jednogłośnie wybierają drugie wyjście. Ale jak to zrobić?

Franz Schwede-Coburg, gauleiter pomorski, rozkazuje naukowcom bronić ośrodka w Peenemünde. Ani kroku w tył! Lotne patrole SS wyłapują defetystów i dezerterów. Najdrobniejsza niesubordynacja karana jest śmiercią. Wyroki wykonuje się na miejscu. Na drzewach wokół Peenemünde wiszą ciała kilkunastu naukowców z przytwierdzonymi do piersi tabliczkami: „Byłem tchórzem, który bał się bronić ojczyzny".

Wernher von Braun stawia wszystko na jedną kartę. Przekonuje szefa ochrony ośrodka, że plany V-2 nie mogą wpaść w ręce Rosjan.

– Musimy je stąd wywieźć – mówi.

Naukowcy ładują plany V-2 oraz maszyny do setek drewnianych skrzyń. Gigantyczny konwój rusza na zachód. W ciągu dnia samochody muszą się ukrywać przed alianckim lotnictwem. W nocy pierwszeństwo mają wojskowe transporty ciągnące na front. Naukowcy się nie skarżą. Lepiej, żeby żandarmeria nie dociekała, z czym i dokąd jadą. Po dwóch miesiącach von Braun i jego ekipa docierają do miasteczka Oberammergau w pobliżu granicy austriackiej.

2 maja 1945 roku patrol armii amerykańskiej zatrzymuje zdyszanego rowerzystę. Ubrany w garnitur młody mężczyzna nie ukrywa radości ze spotkania. – Nazywam się Magnus von Braun – melduje żołnierzom łamanym angielskim. – Mój brat wynalazł rakietę V-2. Chcemy się poddać.

Kilka dni później twórca rakiety balistycznej jest przesłuchiwany przez agentów z JIOA (Joint Intelligence Objectives Agency).

Zajmują się szpiegostwem przemysłowym, mają zbierać dokumentację naukową i techniczną oraz tropić ludzi, którzy budowali potęgę militarną III Rzeszy. Chcą wykorzystać ich wiedzę.

Świat nienawidzi nazistów. Obrazy z wyzwalanych obozów koncentracyjnych, zdjęcia masowych grobów, komór gazowych, informacje o odrażających eksperymentach medycznych wstrząsają opinią publiczną. Część hitlerowskich przywódców staje przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Niemcy zostają podzielone na cztery strefy okupacyjne: radziecką, amerykańską, brytyjską i francuską. Harry Truman, prezydent USA, zakazuje amerykańskim służbom werbowania członków NSDAP oraz osób aktywnie wspierających niemiecką machinę wojenną.

Wernher von Braun (na zdjęciu w garniturze, w otoczeniu nazistowskich oficerów) urodził się w 1912 roku w Wirsitz (dzisiaj Wyrzysk niedaleko Piły). Po studiach na Uniwersytecie Berlińskim wstąpił do Luftwaffe, w 1937 roku został dyrektorem technicznym w ośrodku rakietowym w Peenemünde oraz członkiem NSDAP. W roku 1940 został przyjęty do SS. Był konstruktorem rakiet i twórcą niemieckiego programu rakietowego.
Fot. Bundesarchiv, Bild 146-1978-Anh.024-03 / o.Ang.

JIOA nie wypełnia rozkazu. Wernher von Braun zostaje przeniesiony do obozu jenieckiego w Wirginii. Podczas przesłuchania opowiada o swoim życiu: wychował się w Berlinie, był synem ministra w rządzie Republiki Weimarskiej, fascynował się astronomią i lotnictwem, skończył Uniwersytet Berliński. W latach trzydziestych zaczął marzyć o podróżach kosmicznych, zaprojektował dwie półtorametrowe rakiety Max i Moritz. Mogły się wznieść na wysokość dwóch kilometrów. Gdy naziści przejmują

władzę, wstępuje do SS, zostaje pieszczochem Trzeciej Rzeszy. Hitler wierzy, że uda mu się stworzyć cudowną broń, która rzuci Amerykę i Rosję na kolana. Na jego rakietowe projekty przeznacza miliony marek.

– Musiałem wstąpić do partii nazistowskiej. Gdybym odmówił, musiałbym porzucić pracę mojego życia – wyjaśnia Amerykanom von Braun. Nie wspomina, że stworzone przez niego rakiety V-2 montowali więźniowie obozu koncentracyjnego. Wielu z nich nie przeżyło.

Teraz to nieważne. Niemiecka myśl techniczna jest ważniejsza niż moralność. Agenci JIOA fałszują lub niszczą archiwa, spisują nowe biografie. Operacji nadają kryptonim „Paperclip" (Spinacz). Wernher von Braun i stu dwudziestu siedmiu członków jego zespołu z obozu w Wirginii zostają przeniesieni do bazy w Fort Bliss. Dostają amerykańskie obywatelstwo i znowu mogą projektować rakiety.

– W naszej decyzji nie kierowaliśmy się własną korzyścią, lecz względami moralnymi. Skonstruowaliśmy nowe narzędzie walki i pytanie brzmiało, któremu ze zwycięskich narodów je powierzymy. Doszliśmy do wniosku, że oddając tę broń narodowi kierującemu się Biblią, zapewnimy światu bezpieczeństwo – próbował tłumaczyć się dziennikarzom von Braun.

Stworzoną przez Wernhera von Brauna rakietę V-2 montowali więźniowie obozu koncentracyjnego w podziemnym kompleksie Mittelbau-Dora. W maju 1945 roku uwolnili ich amerykańscy żołnierze

Nawet na chwilę nie przestaje marzyć o kosmosie. W 1948 roku pisze pierwszą analizę inżynieryjnych aspektów załogowej misji na Marsa. Wszędzie opowiada, że loty w kosmos są technicznie możliwe. Amerykanie kochają takie wizjonerstwo. Walt Disney zaprasza go do współpracy przy produkcji trzech telewizyjnych filmów dokumentalnych o podróżach do gwiazd.

– Nasz kontrakt z von Braunem miał trwać rok lub dwa. Okazał się jednak świetnym akwizytorem. Był wiecznym optymistą, emanował pewnością siebie. Świetnie radził sobie nie tylko z ludźmi w pracy, ale też z Kongresem i prezydentami. Przekonał

nas, że jego zespół wyśle ludzi w kosmos – wspomina Brooks Moore, inżynier NASA, amerykańskiej agencji kosmicznej.

NKWD przejmuje zaledwie garstkę techników z Peenemünde, także część pracowników podziemnego kompleksu Mittelbau-Dora. Jednym z nich jest Helmut Gröttrup, bliski współpracownik von Brauna. Jeńcy będą teraz pracować w podmoskiewskich Lipkach. Jest tam ośrodek naukowy, który zajmuje się techniką rakietową. Kieruje nim Siergiej Pawłowicz Korolow, inżynier, konstruktor i wizjoner – ten sam, który szukał śladów von Brauna w Peenemünde.

Urodzony na Ukrainie naukowiec żyje z głową w gwiazdach. Od lat prowadzi badania nad rakietą, która mogłaby polecieć na odległość wielu tysięcy kilometrów. Na świecie nie ma jednak silników, które mogłyby ją wynieść na orbitę okołoziemską. Projektuje więc samoloty w biurze konstrukcyjnym Andrieja Tupolewa, potem kieruje Grupą Badań Ruchu Odrzutowego. W 1938 roku pod sfałszowanym zarzutem zostaje zatrzymany przez NKWD. Jest torturowany, podczas przesłuchań śledczy łamią mu szczękę. Zostaje skazany na dziesięć lat łagru. Ludzie nieprzyzwyczajeni do ciężkiej pracy i morderczych warunków syberyjskiej tajgi nie mają szans na przeżycie. Korolow wytrzymuje w obozie dwa lata. Wyciąga go Ławrientij Beria, szef NKWD. Zaniepokojony meldunkami o niemieckich postępach z bronią rakietową każe ściągnąć do Moskwy skazanych naukowców. Resztę kary odbywają w tajnych laboratoriach zwanych *szaraszkami*. Korolow nad silnikami rakietowymi pracuje w moskiewskim więzieniu Butyrki.

Natalia Korolowa, córka naukowca, tak wspomina ten okres: „Matka nie mówiła nam, że tata został aresztowany. Przez długi czas wmawiała, że jest lotnikiem i nie może z nami mieszkać. Jednak pewnego dnia oznajmiła, że tata wylądował niedaleko i możemy się z nim zobaczyć. W dziecięcej naiwności myślałam, że więzienny spacerniak to lotnisko. Kiedy tata wszedł ze strażnikiem do sali widzeń, zapytałam go, jak mu się udało wylądować. Wtedy strażnik stwierdził ze śmiechem, że tutaj łatwo się ląduje, ale o wiele trudniej stąd odlecieć".

Siergiej Pawłowicz Korolow (na zdjęciu z prawej, podczas pierwszych testów rakietowych w połowie lat 30.) urodził się w 1906 roku w Żytomierzu

na Ukrainie. Inżynier mechanik, konstruktor pocisków balistycznych, twórca radzieckiego programu kosmicznego

W 1944 roku Stalin podpisuje dekret o zwolnieniu Korolowa z więzienia. W mundurze pułkownika Armii Czerwonej, ale z adnotacją, że jest wrogiem ludu, jedzie na front. Ma zabezpieczać niemieckie ośrodki badawcze i odnaleźć von Brauna. Naukowcy nigdy się nie spotkają. Do końca życia będą ze sobą rywalizowali na odległość. Obydwaj pozostaną wierni ideom Konstantego Ciołkowskiego.

Urodzony w 1857 roku matematyk i fizyk, syn polskiego szlachcica zesłanego do Rosji za antycarski spisek, tworzy podwaliny kosmonautyki. Ciołkowski jest zafascynowany kosmosem. Uważa, że jego kolonizacja zapewni ludzkości nieśmiertelność. W 1903 roku publikuje pracę „Badanie przestrzeni światowych za pomocą przyrządów odrzutowych". Oblicza, że na podstawie zasady odrzutu można osiągnąć prędkość wystarczającą, by pokonać siłę przyciągania Ziemi. Tworzy teorię silnika rakietowego na paliwo stałe.

Pisze: „Proponuję przyrząd odrzutowy, to jest rodzaj rakiety, ale rakiety ogromnej i zbudowanej w specjalny sposób. Myśl nienowa, ale obliczenia dotyczące jej dają tak nadzwyczajne wyniki, że byłoby niedopuszczalne pominąć je milczeniem".

Ciołkowski jest wyśmiewany przez środowisko naukowe, ale pod koniec życia zdobywa uznanie. Z zapartym tchem śledzi badania naukowe prowadzone w różnych krajach.

Krótko przed śmiercią w 1935 roku notuje: „Pracowałem czterdzieści lat nad silnikiem odrzutowym i myślałem, że wycieczka

na Marsa zacznie się dopiero za setki lat. Ale terminy się zmieniają. Wierzę, że wielu z was będzie świadkami pierwszej podróży poza atmosferę".

– W 1935 roku napisał, jak wyobraża sobie pierwszego człowieka, który poleci w kosmos. Rosjanina, pilota myśliwca o przyjaznych oczach. Pomyślcie, że Gagarin miał wtedy zaledwie roczek, a Ciołkowski opisał go idealnie – wspomina rosyjski kosmonauta Aleksiej Leonow.

Przestrzeń kosmiczna zaczyna się na wysokości około stu kilometrów od powierzchni Ziemi. Niby blisko, a jednak daleko. Siła grawitacji jest potężna. Silnik musi rozpędzić rakietę do prędkości siedmiu tysięcy ośmiuset metrów na sekundę, tylko wtedy dotrze ona na orbitę. Ogromne wyzwanie techniczne.

Dla amerykańskich i radzieckich wojskowych teoretyczne rozważania o lotach w kosmos to fanaberia. Chcą mieć pociski naprowadzane na cel i napędzane silnikami rakietowymi, zdolne do przenoszenia broni jądrowej. Najlepiej na jak największe odległości. Korolow spełnia to marzenie w 1956 roku. Wystrzeliwuje rakietę R-5 uzbrojoną w głowicę nuklearną, a Związek Radziecki staje się pierwszym krajem na świecie, który posiada pocisk balistyczny o zasięgu tysiąca dwustu kilometrów. Wyrzutnie umieszczone w NRD mogą razić cele we wszystkich krajach Europy Zachodniej.

Nikita Chruszczow, nowy sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, rehabilituje Korolowa i przyznaje mu tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej. Naukowiec zapisuje się do partii.

– Wszystkie strategiczne decyzje zapadały na posiedzeniach Komitetu Centralnego. Ojciec musiał zostać członkiem partii, bo inaczej nie mógłby pracować – wyjaśnia Natalia Korolowa.

Naukowiec tworzy rakiety dla wojska, ale nie przestaje marzyć o kosmicznych podróżach. W wolnych chwilach pracuje nad potężnymi rakietami zdolnymi do lotów orbitalnych. Przekonuje władze o konieczności budowy bazy, skąd można je wystrzeliwać. Wybór pada na Bajkonur na terenie dzisiejszego Kazachstanu.

Na położony na stepie plac budowy przyjeżdża kilka tysięcy robotników.

„Pracowaliśmy na pustyni, temperatura w dzień dochodziła do plus pięćdziesięciu, a w nocy spadała do minus trzydziestu stopni. Nie było dróg, nie było domów. Ci, którym się poszczęściło, spali w szałasach. Inni musieli sobie wykopywać doły w ziemi. Atakowały nas węże, pająki i skorpiony" – wspomina na łamach dziennika „La Repubblica" Aleksandr Zacharow, były dyrektor kosmodromu.

Korolow musiał zarazić Chruszczowa swoją wizją lotów kosmicznych, bo budżet na ten projekt jest nieograniczony. W dwa lata robotnicy kładą dwieście kilometrów torów, budują pięćset kilometrów dróg. W 1957 roku kosmodrom jest gotowy na przyjęcie pierwszych rakiet.

Dzieło życia Siergieja Korolowa ma trzydzieści cztery metry długości, dziesięć metrów średnicy, masę startową dwieście osiemdziesiąt ton i zasięg osiem tysięcy kilometrów. R-7, nazywany pieszczotliwie „Siemiorką", to pierwszy na świecie balistyczny pocisk międzykontynentalny. Napędzany czterema silnikami może

przenieść ładunek nuklearny nad amerykańskie miasta. Dla Korolowa ważniejsze jest jednak to, że R-7 potrafi też wynieść na orbitę okołoziemską sztucznego satelitę. Byłby to pierwszy twór ludzkiej ręki umieszczony tak wysoko. Byłoby wspaniale, gdyby był to twór radziecki.

– Towarzyszu sekretarzu, najwyższy czas, aby świat dowiedział się o naszym technologicznym zaawansowaniu – namawia Chruszczowa. Dostaje zielone światło.

Konferencja naukowa z okazji Międzynarodowego Roku Geofizycznego ma się rozpocząć 6 października 1957 roku w Barcelonie. Amerykanie zapowiadają referat na temat satelitów. Rosjanie zastanawiają się, czy to przypadek. Może odczyt zbiegnie się z próbą wyniesienia amerykańskiego satelity? Są zaniepokojeni, przyspieszają swoją niespodziankę.

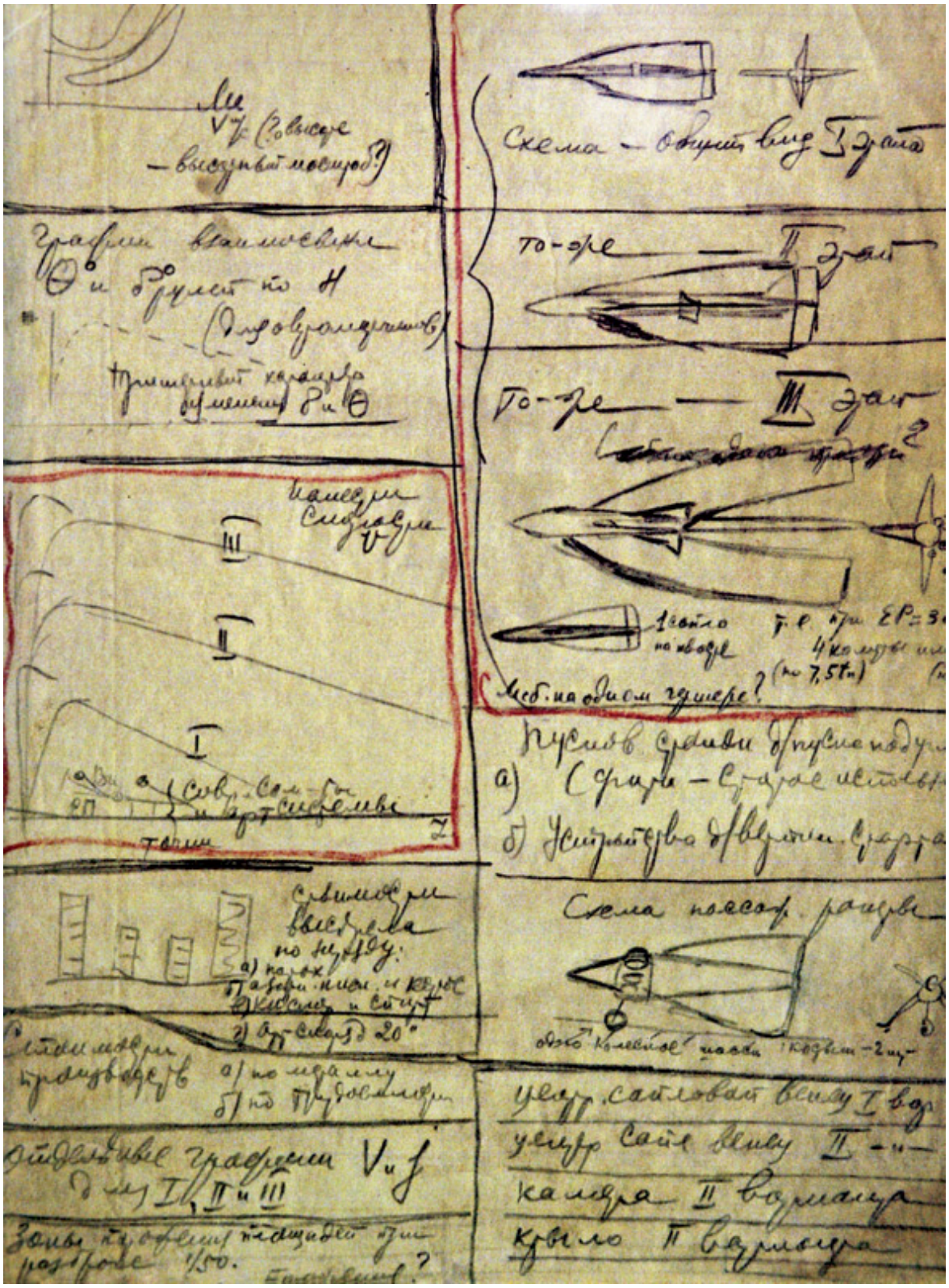

Strona z jednego z notatników Siergieja Korolowa, w których zapisywał techniczne rozwiązania oraz szkicował prototypy rakiet

Korolow jest chory, ma grypę, ale nie może go przy tym zabraknąć. 4 października przyjeżdża do bunkra dowodzenia ośrodka rakietowego na kosmodromie. Obserwuje, jak technicy tankują „Siemiorkę", tłoczą do jej zbiorników ciekły tlen. Rakietę okrywa biała chmura parującego paliwa. Co za piękny widok!

Czy tym razem próba się powiedzie? Pierwszy raz jego „Siemiorka" wystartowała w lutym. Eksplodowała po stu sekundach lotu. Ale trzy tygodnie temu odbyła się trzecia próba rakiety. Poleciała bez problemów. Jak będzie teraz?

Musi się udać! Rosjanie na Bajkonurze słuchają Głosu Ameryki. Jeśli Amerykanie wystartują pierwsi, radzieccy konstruktorzy stracą zaufanie partii, efekt propagandowy przepadnie.

Tankowanie zakończone. Operatorzy wciskają na pulpicie guzik z napisem „start". Pod rakietą widać oślepiającą kulę ognia, ale „Siemiorka" ani drgnie. Korolow kuli się w fotelu przy swoim osobistym peryskopie. Rakieta powoli zaczyna unosić się ku niebu, szybko nabiera prędkości.

Operatorzy meldują: – Wszystkie systemy stabilne, lot przebiega prawidłowo.

Korolow oddycha głęboko.

Do rakiety przyczepiona jest kula o wadze 83,6 kilograma, zbudowana z blachy magnezowej. To Sputnik, pierwszy sztuczny satelita Ziemi. Ma cztery anteny i nadajnik.

Pracownicy stacji radiotelemetrycznej w Eupatorii na Krymie zakładają na uszy słuchawki. Mijają minuty, ale nic się nie dzieje. Przed stacją zatrzymują się kolejne samochody. – Słychać? – pytają pracownicy ośrodka.

– Cisza! Bądźcie cicho! – odpowiadają ci ze słuchawkami. Na ich twarzach widać uśmiechy. Puszczają w głośnikach sygnał z kosmosu. Sputnik zaczyna nadawać. Jego nieznośne bip, bip, bip

odbierają nie tylko wojskowe stacje nasłuchowe, ale także radioamatorzy na całym świecie. Sputnik wysyła na Ziemię dane dotyczące m.in. temperatury wewnątrz i na zewnątrz urządzenia. Wokół Ziemi będzie krążył przez dziewięćdziesiąt dwa dni, potem – zgodnie z planem – spłonie w atmosferze.

Na Bajkonurze szał radości. Naukowcy wiedzą, że dokonali epokowego dzieła. Nawet poważny na co dzień Korolow pozwala sobie na odrobinę szaleństwa. – Zasłużyliśmy, żeby napić się herbaty – proponuje współpracownikom.

Grigorij Grieczko, młody inżynier pracujący przy budowie Sputnika i późniejszy kosmonauta, nie wie, że na Bajkonurze obowiązuje całkowity zakaz spożywania alkoholu. – Mam francuskie wino – mówi kolegom. Ale Korolow jest zasadniczy. – Musicie natychmiast zdać je komendantowi! – zarządza.

Grieczkę ponosi entuzjazm. – Zdam... ale pustą – odpowiada. Słowa dotrzymuje.

Dla Amerykanów wyniesienie Sputnika to policzek. Na dodatek 6 grudnia rakieta z amerykańskim satelitą eksploduje zaraz po starcie. Radzieccy dyplomaci kpią z przedstawicieli USA. Podczas spotkania w siedzibie ONZ proponują im przystąpienie do prowadzonego przez ZSRR programu technologicznego wsparcia krajów zacofanych.

Amerykanie za wszelką cenę i jak najszybciej muszą udowodnić, że są w stanie rywalizować z Rosjanami. Explorer 1, pierwszy amerykański satelita, dociera na orbitę pod koniec stycznia 1958 roku.

W latach pięćdziesiątych naukowcy zastanawiają się nad nieważkością i przypuszczają, że:

– niektórzy ludzie, specjalnie dobrani, doskonale zniosą ją nawet przez kilkadziesiąt minut,

– największy problem to zapanowanie nad psychiką,

– mogą się pojawić różnego rodzaju uczulenia,

– mózg musi być karmiony różnymi impulsami, które dostarczają mu zmysły; ogromna część tych doznań powstaje dzięki sile ciążenia, a stan nieważkości może zmienić działanie mózgu,

– niczego nie można stwierdzić na pewno, dopóki człowiek nie poleci w kosmos,

– kto to będzie: fizyk, astronom, meteorolog, chemik? Najpewniej lekarz fizjolog, bo chodzi o to, żeby połączyć w jednej osobie obiekt eksperymentu i eksperymentatora.

Najpierw jednak lecą zwierzęta.

W listopadzie 1957 roku Rosjanie posyłają w kosmos Łajkę – niedużego kundelka. Świat znowu w szoku. Ledwie miesiąc temu Związek Radziecki wynosi na orbitę pierwszego sztucznego satelitę Ziemi. A teraz Rosjanie posyłają żywe stworzenia.

Brytyjski „Daily Express" szydzi: „Psia buda wstrząsnęła szefami obrony". Zachodnia prasa bije na alarm. Jak tak dalej pójdzie, czerwoni zaraz wyślą rakietę na Księżyc, a kiedy Amerykanie tam dotrą, będą się najpierw musieli postarać o radzieckie wizy.

Rosjanie nie chcą zdradzać tajemnic. Przyznają, że od lat przygotowywali się do wysłania w kosmos psa. Mówią, że Łajka to

jeden z wielu, które przeszły suchą zaprawę w hermetycznych kabinach wysokościowych, latały samolotami, były przyzwyczajane do przebywania w głowicach rakiet. Wystrzeliwane na wysokość stu kilometrów zbiorniki z psami opuszczały się potem na spadochronach na ziemię. Do lotu na orbitę wybrano zwierzęta, które są spokojne i potrafią wytrzymać przez trzy godziny w hermetycznie zamkniętej kabinie. Wytrzymałe kundelki: Albina, Małyszka, Cygan, Tezi.

Ale najpierw leci Łajka. Jej zdjęcia obiegają gazety na całym globie. Nieduża suczka, cała biała, tylko łeb ma brązowy. Dwa lata, sześć kilogramów wagi. Siedzi w komorze Sputnika 2 przypięta pasami. Przez środek łba biegnie biały pasek sierści. Stojące uszy mogą świadczyć, że jest zaciekawiona sytuacją, ale i że jest bardzo zdenerwowana.

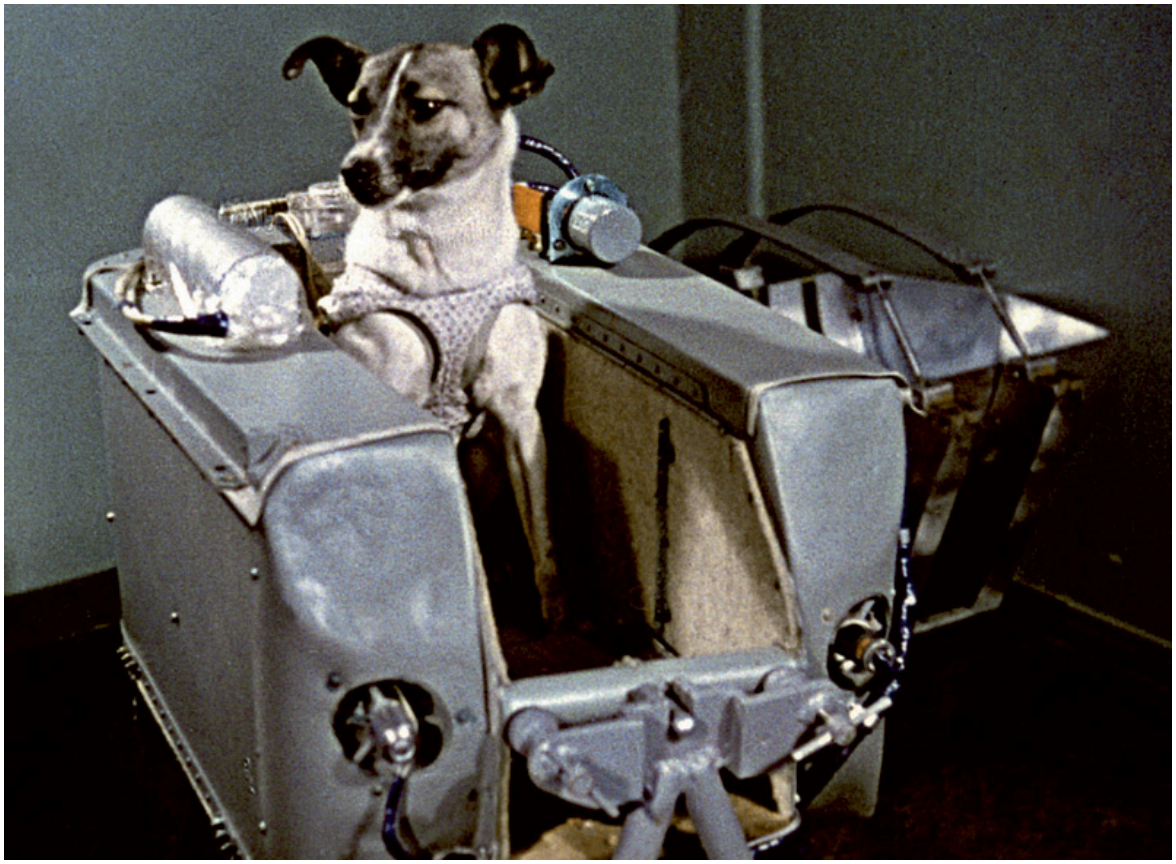

Latem 1957 roku Nikita Chruszczow, przywódca Związku Radzieckiego, rozkazał Korolowowi: „Na 40. rocznicę rewolucji wysłać w kosmos psa". W listopadzie w rejs kosmiczny wyruszyła Łajka, nieduży kundelek. Pies nie wrócił na Ziemię, ale o wysłaniu w kosmos żywej istoty mówił cały świat. Obchody rewolucji zyskały dzięki temu blask

Wszyscy chcą wiedzieć, czy Łajce nic się nie stanie. Rosjanie zapewniają: uczynimy wszystko, by pies bezpiecznie wylądował na Ziemi. Ma wszystko, co potrzebne do utrzymania jej przy życiu. Odżywia się płynem o wysokiej wartości kalorycznej. Jedzenia wystarczy jej na kilka dni. Naukowcy bez przerwy obserwują zwierzę, bo w Sputniku zamontowano kamerę telewizyjną. Działa pochłaniacz dwutlenku węgla, a przy wzroście temperatury ma włączyć się wentylator, który chłodzi wnętrze kapsuły. Łajka podpięta jest także do czujników, które mierzą jej temperaturę, ciśnienie krwi, monitorują pracę serca. Jak tylko będzie się działo coś złego, zasobnik z suczką zostanie wyrzucony z wnętrza sputnika przy pomocy katapulty. Mamy nadzieję, że Łajka wróci do nas żywa i cała. Oczywiście wszystko zostało obliczone tak, by zasobnik z psem spadł na terytorium ZSRR.

Gerald Egan, impresario, który w USA organizuje przeróżne imprezy, dochodowe walki bokserskie, koncerty i przedstawienia teatralne, wyczuwa interes. Radzieckiej ambasadzie w Londynie oferuje dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów za prawo pokazywania Łajki przez dwa lata w cyrkach i na scenach świata.

Nie dostaje odpowiedzi.

Świat pyta: co się dzieje z Łajką? Po dziesięciu dniach Rosjanie muszą przyznać, że Łajki już nie ma.

Oficjalny komunikat: po tygodniu, gdy skończył się zapas tlenu, spokojnie umarła na orbicie okołoziemskiej.

Zachodni naukowcy nie wierzą. Mówią, że się usmażyła, gdy odpadły osłony Sputnika, kiedy wchodził na orbitę. Obliczają, że kapsuła z martwą suczką okrążyła Ziemię dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt razy i 4 kwietnia spłonęła w atmosferze.

Dymitr Małaszenkow z moskiewskiego Instytutu Biologii dopiero w 2002 roku przyzna, że Łajka była mocno przywiązana, żeby nie mogła zmienić pozycji. Z powodu problemów technicznych trzy dni przed startem spędziła w ciasnej kapsule. Zapisy tętna świadczyły, że przeżywała ogromny stres. Zaraz po starcie temperatura w kabinie gwałtownie wzrosła do czterdziestu stopni Celsjusza. Pięć godzin potem aparatura przestała odbierać oznaki życia u psa. Łajka zginęła z powodu przegrzania i stresu. Nikt nie miał zamiaru sprowadzać jej na Ziemię. Była bezpańskim psem, została złapana na ulicach Moskwy. Wybrano ją, bo była fotogeniczna.

Ale w 1957 roku rosyjska odpowiedź jest dyplomatyczna: Łajka dowiodła, że żywy organizm może przeżyć w stanie nieważkości. Nie jest to jednak stan obojętny dla żywego organizmu. Zanikowi ciężaru ciała towarzyszą zaburzenia nerwowe. Objawiają się utratą orientacji. Wzrok może informować mózg, że położenie ciała jest prawidłowe, a inne bodźce wskazują, że stoi się na głowie. Zaburzeniom mogą towarzyszyć mdłości i inne objawy przypominające chorobę morską.

Rosjanie ogłaszają, że wciąż będą eksperymentować na zwierzętach. Wynoszą na orbitę jeszcze pięćdziesiąt sześć psów. W 1960 mogą się pochwalić sukcesem. Dwa kundelki – Biełka i Striełka – osiemnaście razy okrążają Ziemię i bezpiecznie lądują. Podczas podróży doskonale zniosły hałas i wibracje, a w stanie

nieważkości odruchowo podnosiły łby. Po wylądowaniu natychmiast odzyskały równowagę psychiczną i fizyczną, były wesołe, jadły z apetytem, chętnie się bawiły, reagowały na wołanie.

Amerykanie nie mogą czekać. Uruchamiają program Mercury i na początku 1961 roku wysyłają w kosmos rakietę z szympansem. Ma na imię Ham. Został złapany przez kłusowników w Afryce i przywieziony do Miami. W 1959 roku wykupiła go armia Stanów Zjednoczonych.

W bazie lotniczej Holloman w Nowym Meksyku szympans Ham jest przygotowywany do lotu w kosmos. Ma niecałe pięć lat, gdy w styczniu 1961 roku zostaje wystrzelony na orbitę z przylądka Canaveral na Florydzie. Po szesnastu minutach i trzydziestu dziewięciu sekundach lotu orbitalnego cały i zdrowy wraca na Ziemię. Skoro on przeżył, człowiek też da radę.

Swojemu szympansowi amerykańskie wojsko znajduje nowy dom w ogrodzie zoologicznym w Waszyngtonie. Ham mieszka tam przez siedemnaście lat, potem zostaje przeniesiony do zoo w Karolinie Północnej. Umiera w 1983 roku na zawał serca.

Amerykanie wyślą w kosmos człowieka. Kreślą wymagania dotyczące załogowego pojazdu kosmicznego:

– musi być wyposażony w odpowiedni system ratunkowy umożliwiający oddzielenie go od rakiety nośnej w przypadku przerwania misji,

– astronauta ma mieć możliwość ręcznego sterowania pojazdem,

– konieczny jest silnik hamujący, umożliwiający zejście z orbity,

– konstrukcja statku musi umożliwiać wodowanie,

– powinien być wyposażony w osłonę termiczną, systemy łączności z Ziemią, mechaniczne i pirotechniczne systemy sterowania, system podtrzymywania życia oraz niezawodny układ elektryczny.

Wernher von Braun proponuje rozwiązanie: zamontujmy kosmiczną kapsułę na szczycie rakiety i wystrzelmy ją na wysokość dwustu czterdziestu kilometrów. Rakieta niech będzie podzielona na człony wypełnione paliwem. Puste zbiorniki byłyby odrzucane, by zmniejszyć ciężar rakiety. Każdy człon pchałby ją coraz wyżej, aż na orbitę.

Hugh Dryden, dyrektor NACA (amerykański komitet doradczy do spraw aeronautyki), jest sceptyczny. – Podrzucanie człowieka wysoko w powietrze i czekanie, aż wróci, ma z technicznego punktu widzenia taką samą wartość jak cyrkowy trik polegający na wystrzeleniu dziewczyny z armaty – mówi.

Ale nikt nie proponuje nic lepszego niż Braun.

W styczniu 1961 roku Amerykanie wystrzeliwują na orbitę szympansa Hama. Po 16 minutach kosmicznego lotu cały i zdrowy wraca na Ziemię. Dożywa spokojnej starości w jednym z ogrodów zoologicznych w Karolinie Północnej

Narodowa Agencja Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej NASA rozpoczyna nabór kandydatów do pierwszej w historii ludzkości

misji załogowej. Zgłasza się aż pięćset ośmiu pilotów myśliwców. Każdego prześwietlają CIA oraz wojskowe służby wywiadowcze. W końcu NASA wybiera przyszłych astronautów: Johna Glenna, Alana Sheparda, Malcoma Carpentera, Gordona Coopera, Virgila Grissoma, Waltera Schirra i Donalda Slaytona. Zdobywają przydomek „Mercury Seven". „Wyłowiono ich spomiędzy stusiedemdziesięciopięciomilionowego narodu; siedmiu mężczyzn wykutych z tej samej skały co Kolumb, Magellan, Daniel Boone, Orville i Wilbur Wrightowie" – donosi „Time". Wszyscy to biali protestanci, pochodzący z małych miasteczek, należący do klasy średniej. Żaden nie ma więcej niż sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Dla wyższych kabina statku kosmicznego będzie za mała.

NASA zapowiada, że człowiek w kosmosie pojawi się już w 1961 roku. Magazyn „Life" kupuje prawo do drukowania osobistych wypowiedzi astronautów. Płaci im za to pół miliona dolarów.

Amerykańscy kandydaci na astronautów to piloci wojskowych odrzutowców. Latali w Korei, znają smak walki, strącali maszyny wroga. Potrafią startować z lotnisk na lądzie i z pokładów lotniskowców. Mówi się o nich, że zamiast krwi mają czystą adrenalinę. I fantazję.

Piloci trzymają się razem, unikają towarzystwa cywilów, którzy nie są w stanie zrozumieć emocji, jakie przeżywają lotnicy. A więc wieczorne drinki, weekendowe party, wypady na ryby tylko we własnym gronie. Słowa: „śmierć", „strach", „niebezpieczeństwo" są zakazane. Za kołnierz nikt nie wylewa. Jak wchodzą do baru, to piją, jakby miał się skończyć świat. Tom Wolfe w książce „Najlepsi.

Kowboje, którzy polecieli w kosmos" opisuje to tak: „Balanga i rozmowy zaczynały się od kufelka, o czwartej. Później chłopcy wpadali do domu na kolację, wracali, znów szli w kurs, urzynali się w pień, gadali jak nakręceni albo cichli i więdli, i ciągnęli tani browar aż do drugiej nad ranem. Druga nad ranem! Co tam! Noc jeszcze młoda! Do samochodów, panowie! Na małą przejażdżkę! Tak dla wprawy!".

Każdy pilot uważa się za wybitnego rajdowca. Im bardziej pijany, tym mocniej wierzy w swoje umiejętności. Mała przejażdżka, chłopcy! Kto lepszy!? Zwartym szykiem spod baru, zderzak w zderzak, odjeżdżają z piskiem opon cztery samochody naraz. Gnają na przykład z bazy lotniczej w Nellis do Las Vegas autostradą numer 15. Koszą najostrzejsze wiraże, każdy stara się wypchnąć kumpli z trasy. W końcu wpadają do centrum Las Vegas. Ci, którzy są świadkami tych eskapad, mówią, że to młodość i wóda. W wypadkach samochodowych ginie więcej pilotów niż w katastrofach lotniczych. Ale o tym się nie mówi. Ślady łatwo zatrzeć. Wystarczy zaświadczenie, że „pilot zginął podczas pełnienia obowiązków służbowych", i ubezpieczenie wypłaca wdowie wyższą rentę.

Bywa, że niektórzy o świcie meldują się w bazie na bani. Kawa, papierosy, maska tlenowa na twarz. I start. Regulamin? Nie jest żadną świętością. Dowcipy? Zawsze i wszędzie. Charles „Pete" Conrad zostaje wysłany na badania lekarskie. Personel szpitala chce od niego próbkę stolca. Jest problem – Conrad ma zatwardzenie. Próbuje kilka dni i nic. Laboranci się niecierpliwią. Pilot wyciska z siebie pojedynczy twardy bobek o długości dwóch centymetrów, w dodatku z resztkami niestrawionych ziaren. Conrad wkłada bobek do miseczki, obwiązuje ją kokardą i uroczyście zanosi do laboratorium. W „nagrodę" dostaje skierowanie na badanie

prostaty. Wieczorami baseny moteli na przylądku Canaveral zamieniają się w jedną wielką salę klubową. Ryczy muzyka, leje się piwo, tequila wypala gardło. Amerykanie piją z ekipą Wernhera von Brauna. Pijani Niemcy odrykują nazistowski hymn „Horst Wessel Lied". Trudno opędzić się od pokus. Tom Wolfe: „Zaczęły pojawiać się młodziutkie dziewczęta. Nie, one po prostu tam były, czekały na motelowych basenach, swawolne, soczyste dziewczęta z jędrnymi biustami i szczupłymi, prężnymi udami. Dziewczęta o kształtach tak jedwabistych i zmysłowych, że już na sam ich widok popadałeś, brachu, w iście priapistyczne delirium. Niektóre z nich pracowały dla kooperantów, niektóre w NASA, inne przybywały do Cocoa Beach, żeby dostać pracę w jakimś nowo otwartym zakładzie tego małego, acz wciąż rozkwitającego miasteczka, a jeszcze inne po prostu tu przyjeżdżały, materializowały się. I kiedy do motelu zawitał astronauta, spadały nań jak z nieba, wynurzały się niczym duszki z wysokich traw: zawsze na miejscu, zawsze gotowe". Każda impreza to świetna okazja do chwalenia się przygodami. Na przykład takimi: Mitch Johnson ląduje na lotniskowcu. Podchodzi za nisko, nie trafia w pas i wbija się odrzutowcem w rufę okrętu. Maszynę skrywają tumany ognia, po czym wpada do wody. Na pokładzie zamiera życie. Zginął pilot. Po chwili na mostku dzwoni telefon. Kapitan podnosi słuchawkę i słyszy głos Johnsona. – Jestem w ładowni, jest ciemno, niech mnie ktoś stąd wypuści.

Przeżył zderzenie z lotniskowcem, zdążył wyskoczyć z kabiny i otworzyć luk do ładowni. Zaraz potem myśliwiec runął do wody.

Rosjanie nie pozwalają opisywać prywatnego życia ludzi związanych z programem kosmicznym. Obowiązuje tajemnica. I zasada *tisze jediesz, dalsze budiesz*. Korolow w tajemnicy przed światem modyfikuje rakietę R-7. Zwiększa moc silników tak, że może ona przenieść ładunek o wadze pięciu i pół tony. W miejscu przeznaczonym na głowicę atomową montuje jednoosobowy statek kosmiczny Wostok. Sferyczna kabina załogowa i moduł techniczny w kształcie stożka. W środku niewiele urządzeń. Gagarin nie musi nic robić, ma tylko przeżyć.

Nikt nie wie, jak organizm człowieka zachowa się w kosmosie. Może mieć atak paniki, może stracić przytomność albo umrzeć. Dla bezpieczeństwa Wostok ma być sterowany z Ziemi. Przyrządy kontrolne zostaną zablokowane, a dostęp do sterowania ręcznego będzie chroniony hasłem, które pilot dostanie w zalakowanej kopercie. Nikołaj Kamanin, szef szkolenia korpusu kosmonautów, łamie ustalenia i zdradza hasło pierwszemu kosmonaucie.

Konstruktorzy Wostoka przypuszczają, że lądowanie kapsuły będzie bardzo twarde. Pilot z pewnością nie przeżyje uderzenia. Program przewiduje, że na wysokości siedmiu kilometrów luk za głową pilota zostanie odstrzelony, a on zostanie wykatapultowany wraz z fotelem.

Kto poleci w kosmos? Rosjanie, podobnie jak Amerykanie, sięgają po pilotów odrzutowców. Jurij Gagarin, Gierman Titow, Andrijan Nikołajew, Pawieł Popowicz, Grigorij Nielubow i Walerij Bykowski to zalążek kadry rosyjskich sił kosmicznych. Działacze KC KPZR zabraniają nazywać ich astronautami, bo to amerykański wymysł. Rosyjscy piloci zostają kosmonautami.

Porucznik Jurij Gagarin jest idealny. Ma dwadzieścia lat, gdy samodzielnie leci jakiem-18, rok później zaczyna naukę w Wojskowej Szkole Lotniczej w Orenburgu nad Uralem. Broni radzieckiego nieba na północy – lata na migach-15 w obwodzie murmańskim. Syn niewykwalifikowanego robotnika i pracownicy kołchozu. Przystojny, uśmiechnięty, świetnie wypada na zdjęciach. To ważne, bo gdy lot w kosmos zakończy się sukcesem, Gagarina będzie oglądał cały świat.

12 kwietnia wchodzi na pokład statku Wostok 1. W kabinie zostaje przypięty pasami. Podśpiewuje pieśń Szostakowicza: „Ojczyzna słyszy, ojczyzna wie, gdzie w obłokach lata jej syn". Ciśnienie sto piętnaście na sześćdziesiąt, tętno sześćdziesiąt cztery, temperatura trzydzieści sześć i osiem.

Start o szóstej siedem z kosmodromu Bajkonur. Władze mają przygotowane trzy komunikaty dla prasy. Entuzjastyczny – o sukcesie pierwszego w historii lotu człowieka w kosmos. Drugi – o śmierci kosmonauty podczas powrotu na Ziemię, trzeci – że zginął podczas startu.

Na razie Gagarin siedzi w kapsule, czeka na start: – Samopoczucie dobre.

Korolow: – W tubie masz jedzenie: obiad, śniadanie i kolację.

Gagarin: – Jasne.

Korolow: – Kiełbasa, draże i nawet powidła do herbaty.

Gagarin: – Aha.

Korolow: – Sześćdziesiąt trzy sztuki, będziesz tłusty.

Gagarin: – Ho, ho. Najważniejsze, że kiełbaska jest do zakąszania samogonu.

Wszyscy się śmieją.

Korolow: – Potwór, zaraza. Przecież wszystko nagrywają, bydlaku. Che, che.

Gagarin: – Zaczynam odliczanie.

Korolow: – Przełącznik na start.

Gagarin: – U mnie wszystko w porządku. Samopoczucie dobre. Nastrój wesoły. Jestem gotowy do startu. Odbiór.

Korolow: – Włączamy zapłon. Pełny start!

Gagarin: – *Nu, pojechali*!

Gagarin nie wie, że lot zaczyna się od niepowodzenia. Korolow zakłada, że statek wzniesie się na pułap dwustu trzydziestu kilometrów, a Wostok dociera na wysokość trzystu dwudziestu siedmiu kilometrów. Za wysoko! Winna jest awaria anteny zasilania silników. Mogą być problemy z powrotem na Ziemię. Kapsuła będzie krążyła po orbicie i stopniowo zbliżała się do Ziemi. Ale bardzo wolno – w atmosferę wejdzie dopiero po dwudziestu dniach. Pilot ma zapas wody i jedzenia na siedem dni, a systemy podtrzymujące życie padną dziesiątego dnia. Potem pewna śmierć. Centrum kontroli lotów nie informuje o tym Gagarina. Technicy pracują nad korektą wysokości, udaje im się.

Kosmonauta cieszy się widokiem Ziemi i próbuje łapać lewitujący po całej kabinie ołówek. – W iluminatorze widzę Ziemię. Widzę rzeki, widoczne są fragmenty osiedli, widoczność dobra. Wspaniale was tam widać. Odbiór.

Korolow: – Jak samopoczucie? Odbiór.

Gagarin: – Samopoczucie wspaniałe. Kontynuuję lot. Nieco rośnie przeciążenie. Wibracje. Ale wszystko znoszę dobrze. Samopoczucie doskonałe. Nastrój wesoły. Przez iluminator obserwuję Ziemię. Rozróżniam fragmenty osad, lasy. Co u was? Odbiór.

Korolow: – Zuch! Wszystko idzie wspaniale.

Gagarin: – Obserwuję chmury nad Ziemią. Nieduże, kłębiaste. I ich cienie. Ładne, piękne. A teraz Ziemia pokrywa się coraz większymi chmurami. Kłębami chmur. Praktycznie nie widać już powierzchni. Widzę jeszcze fragmenty gór i lasów. A teraz przez iluminator przechodzi słońce. Trochę razi mnie jego światło. Niebo, niebo czarne, czarne niebo, ale gwiazd na niebie nie widać. Może oświetlenie przeszkadza. Przełączam oświetlenie na robocze. Przeszkadza mi światło monitora. Nie widzę przez nie niczego.

Pauza trwa około dziesięciu sekund.

Gagarin: – Nastąpiło rozdzielenie z nośnikiem [rakiety] o godzinie dziewiątej minut osiemnaście i siedem sekund. Samopoczucie dobre. Parametry kabiny: jedna jednostka ciśnienia, wilgotność sześćdziesiąt pięć, temperatura dwadzieścia. Stan nieważkości znoszę dobrze, nawet przyjemnie. Wszystko pływa. Jest pięknie. Ciekawie. Widzę horyzont Ziemi. Piękna aureola. Najpierw tęcza od samej powierzchni Ziemi, która przechodzi w dół. Bardzo to piękne. Już przeszło przez prawy iluminator. Widzę gwiazdy przez iluminator. Bardzo piękny widok. Kontynuuję lot w cieniu Ziemi. W prawym iluminatorze widzę gwiazdeczkę, która przechodzi z lewej strony na prawą. Już przeszła, ucieka, ucieka.

Uwaga, uwaga. Godzina dziesiąta minut dziewięć i piętnaście sekund. Wyszedłem z cienia Ziemi. Przez prawy iluminator pojawiło się słońce. A teraz widzę Ziemię i przelatuję nad morzem. Mogę określić kierunek ruchu nad morzem. Teraz raczej poruszam się po prawym boku, nieco zasłaniają mi widok chmury. Lot trwa bez zakłóceń. Wszystkie systemy pracują dobrze.

Anna Akimowna Toktorowa pracuje w kołchozie Leninowska Droga. Po pracy razem z córką wyprowadza na łąkę cielaka. Na widok spadającego z nieba dziwnego stwora w baniastym hełmie i w pomarańczowym kombinezonie wpada w panikę. Chwyta dziewczynkę za rękę i zaczyna uciekać.

Gagarin zrzuca hełm. – Ja swój, towarzysze! Ja swój, nie uciekajcie! – krzyczy.

Silniki hamujące nie zawiodły. Sto osiem minut po starcie Gagarin cały i zdrowy ląduje na spadochronie. Ale nie wszystko poszło, jak zakładano. Ląduje pod Saratowem, wiele kilometrów od wyznaczonego wcześniej miejsca. Nigdzie nie ma ratowników.

– Jesteście głodni? Mogę dać ci mleka? – pyta Toktorowa pierwszego kosmonautę.

– Potrzebuję tylko telefonu – odpowiada Gagarin.

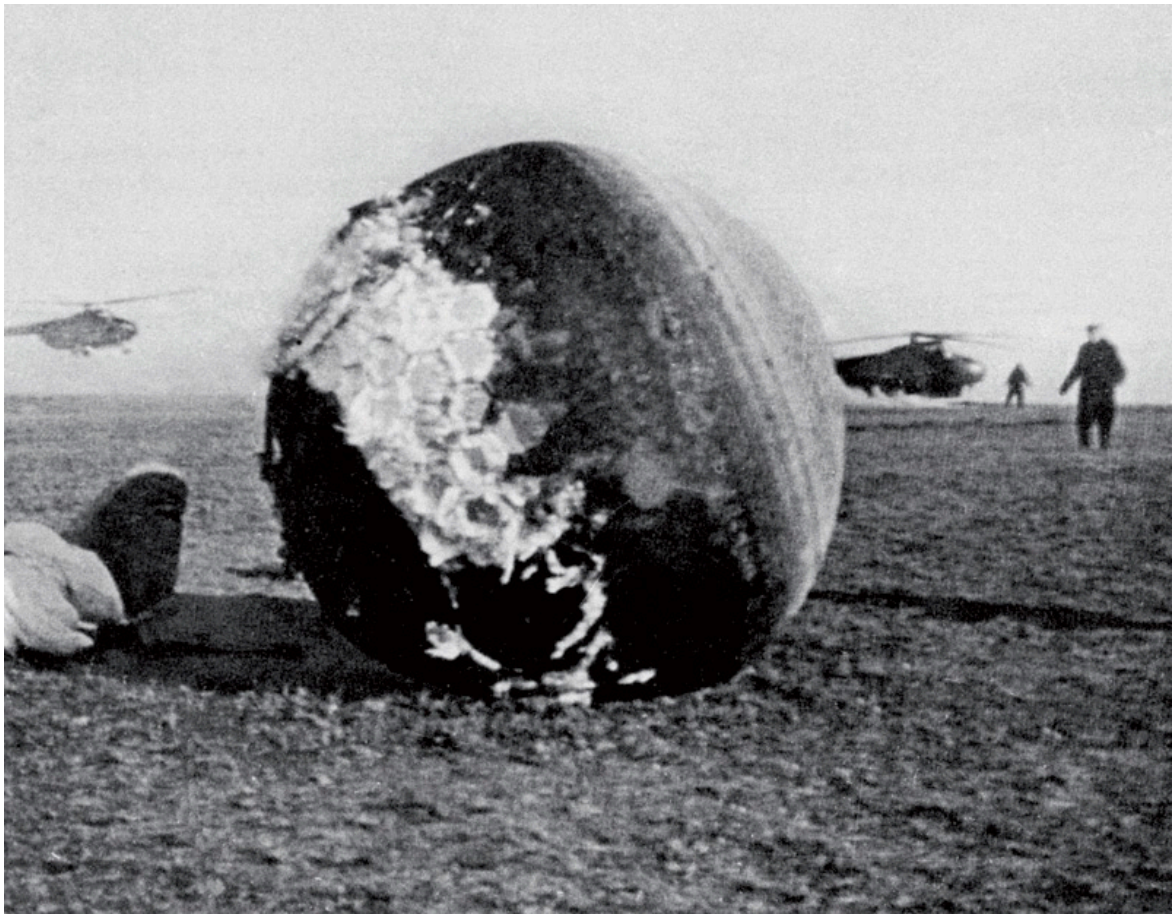

Lądownik Wostoka 1 wraca na Ziemię w obłoku ognia, bo tarcie powietrza nagrzewa ścianki do 3 tysięcy, a nawet 4 tysięcy stopni. Na wysokości 7 kilometrów otwiera się luk kabiny i Jurij Gagarin się katapultuje. Gdyby pozostał w lądowniku, nie przeżyłby uderzenia o ziemię

Dyżurny agencji TASS publikuje pierwszy komunikat – triumfalny, o historycznym czynie rosyjskiego kosmonauty. Zresztą tekst w ostatniej chwili i tak został zmieniony. Sztab generalny pod naciskiem Nikity Chruszczowa awansuje Gagarina o dwa stopnie – na majora. Można teraz ogłosić: „Związek Radziecki odniósł zwycięstwo nie mające precedensu w historii ludzkości".

Brooks Moore, inżynier z NASA: – Zabolało, byliśmy zawiedzeni, ale i zmotywowani. Wiedzieliśmy, że mamy więcej pieniędzy niż Rosjanie i możemy udowodnić, że dorównujemy im technologicznie.

Do Gagarina telefonuje Chruszczow. – Cieszę się, że słyszę wasz głos i mogę was pozdrowić. Będę zadowolony ze spotkania z wami w Moskwie. My razem z wami, razem z całym narodem będziemy uroczyście święcili ten wielki czyn w ujarzmianiu kosmosu. Niech cały świat patrzy i widzi, do czego jest zdolny nasz kraj, co może uczynić nasz wielki naród, nasza radziecka nauka.

Gagarin: – Niech teraz wszystkie kraje nas doganiają.

Upokorzona Ameryka powoli otrząsa się z szoku. Rakiety z emblematem NASA wynoszą w przestrzeń kosmiczną kilku astronautów, ale na nikim nie robi to już takiego wrażenia. Tylko jeden wyczyn może przebić Rosjan. Prezydent John F. Kennedy wyznacza nowy kierunek podboju kosmosu. „Świadomość przewagi Związku Radzieckiego, którą osiągnął dzięki potężnym silnikom rakietowym i pewności, że będzie on nadał wykorzystywał tę

przewagę, by osiągnąć jeszcze bardziej spektakularne sukcesy, nie zwalnia nas od obowiązku podjęcia nowych własnych wysiłków. W chwili obecnej nie ma gwarancji, że uda się nam wyprzedzić Rosjan, możemy być jednak zupełnie pewni, że nie podejmując tych wysiłków, będziemy wciąż pozostawać daleko za nimi. (...) Nasz naród powinien zaangażować się w osiągnięcie celu, którym jest lądowanie człowieka na Księżycu i jego bezpieczny powrót na Ziemię jeszcze przed końcem tej dekady. Żadne przedsięwzięcie nie będzie równie imponujące i żadne nie wywrze większego wpływu na przyszłą eksplorację kosmosu; jednak żadne nie będzie również trudniejsze do realizacji ani bardziej kosztowne. (...) Jednak naprawdę Księżyca nie zdobędzie tylko jeden człowiek. Jeżeli podejmiemy tę decyzję, będzie to cały naród. Bo wszyscy musimy pracować, by go tam wysłać" – mówi w Kongresie.

Nowy kosmiczny program zostaje nazwany Apollo. Pochłonie ponad dwadzieścia miliardów dolarów. Prasa zachwycona. Czołówki gazet tchną nadzieją: Ameryka wraca do gry!

Nikita Chruszczow zapowiada zwiększenie produkcji przemysłowej, ale komunistyczna gospodarka jest coraz bardziej niewydolna. Nie nadąża za potrzebami naukowców.

W 1963 roku Rosjanie wysyłają na orbitę pierwszą kobietę, Walentinę Tierieszkową. Spędza tam dwa dni, dwadzieścia dwie godziny i pięćdziesiąt minut. Aleksiej Leonow jako pierwszy człowiek opuszcza pojazd orbitalny. Przywiązany do statku metalową liną spędza w przestrzeni kosmicznej dwanaście minut. I o mały włos nie ginie. Podczas powrotu na pokład jego skafander się nadyma. Kosmonauta nie mieści się w komorze śluzowej.

Leonow łamie zasady, spuszcza powietrze ze skafandra i wpycha się głową do przodu. Żeby zamknąć luk, musi się obrócić w bardzo ciasnej przestrzeni. Do dzisiaj nie wie, jak mu się to udało.

Walentina Tierieszkowa, działaczka Komsomołu, skończyła zaocznie technikum włókiennicze. Po locie Gagarina napisała w liście do władz, że też pragnie iść w jego ślady. Nikołajowi Kamaninowi, szefowi radzieckiego oddziału kosmonautów, spodobał się ten pomysł, zaprosił Tierieszkową do szkolenia na kosmonautkę. W kosmos poleciała 16 czerwca 1963 roku. Na orbicie spędziła 2 dni, 22 godziny i 50 minut

Potem kolejna awaria. Lądownik z Leonowem i Pawłem Bielajewem zbyt późno odłącza się od statku. Kapsuła z kosmonautami spada u stóp Uralu, trzy tysiące kilometrów dalej, niż planowano. Kosmonauci spędzają dwa dni w śnieżnej jamie, na kilkunastostopniowym mrozie. Radzieckie władze okłamują ich

rodziny, że wypoczywają w daczy obwodowego komitetu partii. Leonow w ciągu jednego dnia chudnie aż o sześć kilogramów. „Nie zdejmowałem skafandra, a kiedy wylądowaliśmy w dwumetrowym śniegu, woda w kombinezonie sięgała mi do kolan” – wspomina.

Kosmiczny spacer to sukces, ale także ostatni akcent radzieckiej supremacji w kosmosie.

Księżyc jest fotografowany przez bezzałogowe sondy, które rozbijają się na jego powierzchni. W NASA wiedzą, że powierzchnia satelity jest nierówna, pokryta kraterami, a przyciąganie sześć razy mniejsze niż na Ziemi. Amerykańscy astronauci w kosmicznych skafandrach trenują na pustyni, w kraterach wulkanów. Ćwiczą chodzenie w skafandrach i zbieranie skał.

Rakieta Saturn 5 ma sto dziesięć metrów wysokości, dziesięć metrów średnicy, może wynieść sto osiemnaście ton ładunku. Huk ośmiu silników słychać w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od miejsca startu. Najnowsze dziecko von Brauna jest gotowe do lotu na Księżyc. Na szczycie rakiety trzyosobowy statek Apollo. Cztery tysiące techników pracowało nad tą konstrukcją. Ma trzy moduły: dowodzenia, serwisowy i księżycowy. Na pokładzie komputery (ich moc obliczeniowa była mniejsza niż współczesnego smartfona), dwadzieścia cztery aparaty fotograficzne, mały teleskop oraz pięćset sześćdziesiąt sześć przełączników. Moduł księżycowy ma lądownik wyposażony w cztery nogi i system amortyzatorów, pomieszczenia mieszkalne. Jest także silnik rakietowy potrzebny do startu z powierzchni Księżyca.

16 lipca 1969 roku z centrum kontroli lotów na przylądku Canaveral na Florydzie startuje misja z Neilem Armstrongiem, „Buzzem" Aldrinem i Michaelem Collinsem. Świat wstrzymuje oddech i zastanawia się: czy uda się im dotrzeć do orbity Księżyca? Czy bezpiecznie wylądują? Tabloidy pytają: może spotkają tam obce cywilizacje? A co, jeśli nie zdołają wrócić? Żaden z ekspertów nie potrafi odpowiedzieć na te pytania. Księżyc to jedna wielka niewiadoma.

Rosjanie też nie czekają. Wysyłają na Księżyc automatyczne sondy, ale cel jest wyłącznie propagandowy. Radziecka sonda Łuna 10 z orbity wokół Księżyca nadaje „Międzynarodówkę".

Rosjanom nie układa się praca nad nową rakietą księżycową N-1. Ma unieść sto ton ładunku. 21 lutego 1969 roku startuje z Bajkonuru, po siedemdziesięciu sekundach eksploduje.

Pół roku później znowu odpalają N-1. Eksplozja niszczy wyrzutnie na Bajkonurze. Rosjanie obserwują, jak z przylądka Canaveral startuje załoga statku Apollo 11. Stosują blef. Trzy dni przed Amerykanami wysyłają na Księżyc sondę Łuna 15. Ale świat nie wie, czy na pokładzie są kosmonauci. 17 lipca Łuna wchodzi na orbitę Księżyca, trzy dni potem dociera tam Apollo 11. Obydwa pojazdy niemal w tym samym czasie rozpoczynają manewr lądowania. Łuna rozbija się o powierzchnię ziemskiego satelity.

To koniec rosyjskich marzeń o wygraniu wyścigu na Księżyc. Breżniew nie potrafi przyznać się do porażki. Ani słowa o Amerykanach. W przemówieniu do narodu mówi, że na Księżycu po raz pierwszy w historii wylądowali Ziemianie.

20 lipca wieczorem na Ziemię dociera komunikat: „Orzeł wylądował". To sygnał, że moduł księżycowy dotknął powierzchni Srebrnego Globu. Kilka godzin później otwiera się właz lądownika. Armstrong ubrany w biały kombinezon z napisem „USA" niezdarnie schodzi po drabince. Dzięki kamerom telewizyjnym cały świat obserwuje, jak stawia stopę na Księżycu.

– To mały krok dla człowieka, ale wielki skok dla ludzkości – wypowiada słowa, które przejdą do historii. Razem z Aldrinem wbijają w powierzchnię Księżyca amerykańską flagę i zostawiają tabliczkę z napisem „W tym miejscu ludzie z planety Ziemia po raz pierwszy postawili stopę na Księżycu. Lipiec 1969. Przybywamy w pokoju dla dobra całej ludzkości".

Centrum Kosmiczne Johna F. Kennedy'ego na Florydzie. W latach 60. i 70. startowały stąd m.in. rakiety Saturn 5 programu Apollo. W najlepszych latach amerykańskiego programu kosmicznego ośrodek zatrudniał około 17 tysięcy osób

Aldrin po wyjściu z lądownika wzdycha: „Piękne pustkowie". Kiedy staje na baczność przed amerykańską flagą, jego pojemnik na mocz w kombinezonie zaczyna przeciekać. Każdemu jego skokowi towarzyszy chlupot.

Astronauci zabierają z powierzchni 21,7 kilograma kamieni, piasku i pyłu, które potem będą badane w ziemskich laboratoriach. Na Księżycu spędzają niecałą dobę. 24 lipca załoga Apollo 11 woduje na Oceanie Spokojnym. Ratownicy nie wyciągają astronautów od razu z wody. Może zarazili się jakąś nieznaną chorobą lub mają na sobie kosmiczne zarazki?

Astronauci wbijają się w skafandry biologiczne i dopiero wtedy zostają wciągnięci na pokład śmigłowca. Na lotniskowcu trafiają do kabiny kwarantannowej. Spędzają w niej kilkanaście dni. Dopiero kiedy lekarze stwierdzają, że są zdrowi, Ameryka pokazuje ich światu. Kosmiczny wyścig zostaje rozstrzygnięty.

Dziennikarze z całego świata pytają Armstronga, co czuł, stąpając po Księżycu.

– Jako pilot bardziej byłem zainteresowany samym lotem na Księżyc niż chodzeniem po nim. Piloci nie lubią chodzić. Dla mnie historycznym wydarzeniem nie był pierwszy krok na Księżycu, ale szczęśliwe lądowanie, na które przez dziesięć lat pracowało ćwierć miliona ludzi – opowiada.

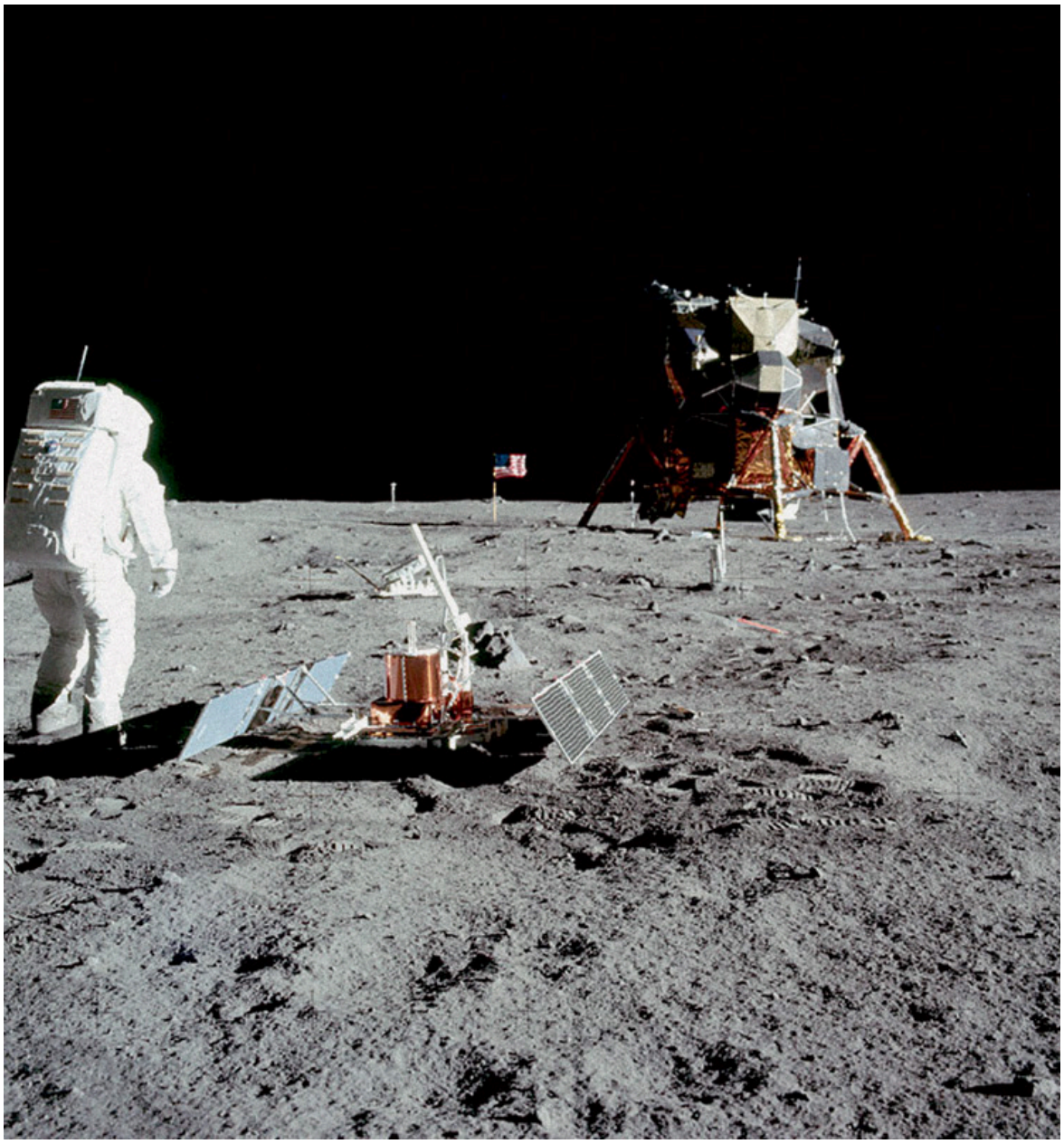

Astronauta Edwin „Buzz” Aldrin jest drugim człowiekiem, który stanął na Księżycu. Razem z Neilem Armstrongiem był członkiem misji Apollo 11

Włoska dziennikarka Oriana Fallaci opisuje pierwszego człowieka, który wylądował na Księżycu: „Ma twarz o zadartym nosku, usteczkach niczym skarbonka i infantylnych policzkach. Całość niesympatyczna. Czerwieni się z byle powodu i poci, ma głos kłótliwej kobiety, jest w nim coś żeńskiego i słabego”.

Zauważa, że Armstrong działa jak robot, a serdeczność budzi się w nim tylko wtedy, gdy wymawia słowa: Merkury, Gemini i Apollo.

Kilkadziesiąt lat po pierwszym lądowaniu na Księżycu amerykańskie media obiega informacja, że Armstrong, opuszczając Srebrny Glob, wypowiedział tajemnicze zdanie: *Good luck, Mr. Gorsky*.

O co chodzi? Kim był pan Gorski? Dziennikarze sprawdzają listę wszystkich radzieckich kosmonautów. Nikt o takim nazwisku nie istniał. W końcu ktoś puszcza plotkę, że Gorski to sąsiad Armstronga z dzieciństwa. Mały Neil, grając w piłkę w ogrodzie, usłyszał przez otwarte okno jego kłótnię z żoną. Kobieta miała krzyczeć: „Co!? Mam ci zrobić loda!? Niedoczekanie! Zrobię to, jak piekło zamarznie albo jak chłopak z sąsiedztwa będzie spacerował po Księżycu!".

Armstrong komentuje krótko: – To tylko anegdota.

Za zasługi przy organizacji misji Apollo Wernher von Braun dostaje Distinguished Service Medal, jedno z najważniejszych amerykańskich odznaczeń, i awansuje na zastępcę dyrektora NASA. – Gdyby nie stworzył rakiety V-2, ludzkość nigdy nie dotarłaby na Księżyc. Nadal stalibyśmy na Ziemi, patrzyli na naszego satelitę i zastanawiali się, czy jest on gomułką sera pleśniowego – uważa Aloysius Reisz, inżynier kosmonautyki, uczestnik programu Apollo.

Po lądowaniu na Księżycu byli więźniowie pracujący w nazistowskiej fabryce Mittelbau-Dora piszą do „Paris Matcha",

że w konstruktorze Saturna V rozpoznają esesmana, który kazał rozstrzeliwać robotników podejrzanych o sabotaż przy produkcji V-2.

Wernher von Braun nigdy nie stanie przed żadnym trybunałem. Do śmierci musi się jednak tłumaczyć ze swojej przeszłości.

Siergiej Korolow nie doczekał lądowania Amerykanów na Księżycu. W 1965 roku decyduje się na usunięcie polipa na jelicie. Podczas zabiegu dochodzi do komplikacji. Z powodu szczęki złamanej podczas przesłuchania przez NKWD lekarze nie mogą go intubować. Ojciec radzieckiego programu kosmicznego umiera na stole operacyjnym. Dopiero wtedy władze ZSRR decydują się ujawnić jego nazwisko i rolę w rozwoju programu eksploracji kosmosu. Korolowa chowają z pompą pod murami Kremla, tuż za mauzoleum Lenina.

– W 1957 roku Komisja Noblowska chciała poznać nazwisko człowieka, który skonstruował Sputnika. Miał za to dostać Nagrodę Nobla. Chruszczow odpowiedział, że ta technologia została wynaleziona przez sowiecki lud. Przez cały czas nazwisko taty było tajne. To było głupie – opowiada Natalia Korolowa.

Wernher von Braun dopiero z nekrologu w moskiewskiej „Prawdzie" dowiaduje się, z kim rywalizował przez lata.

Armstrong i Aldrin po powrocie na Ziemię dowiadują się, że NASA była przygotowana na porażkę ich misji. Prezydent Richard Nixon też się przygotował na wypadek, gdyby astronauci

nie wrócili na Ziemię. Miał wtedy powiedzieć: „Zrządzeniem losu ludzie, którzy wyruszyli na Księżyc, by w pokoju go badać, pozostaną na nim, by spocząć w pokoju. Ci dzielni ludzie, Neil Armstrong i Edwin Aldrin, wiedzą, że nie ma już dla nich nadziei na ratunek. Ale wiedzą też, że z ich ofiary płynie nadzieja dla całej ludzkości. Ta dwójka składa swoje życie na drodze do osiągnięcia najszczytniejszego celu ludzkości: poszukiwania prawdy i wiedzy. Będą opłakiwani przez rodziny i przyjaciół; będą opłakiwani przez swój naród; będą opłakiwani przez wszystkich ludzi ich świata; będą opłakiwani przez Matkę Ziemię, która odważyła się wysłać dwóch swoich synów w podróż w nieznane. Ich misja sprawiła, że wszyscy ludzie tego świata poczuli się jednością; ich ofiara umocni braterstwo ludzkości. Starożytni spoglądali w gwiazdy i widzieli w ich konstelacjach swoich bohaterów. Dziś czynimy to samo, lecz nasi bohaterowie to dzielni ludzie z krwi i kości. Inni pójdą w ich ślady i odnajdą drogę do domu. Poszukiwania ludzkości nie zostaną przerwane. Ale ci ludzie byli pierwszymi i pozostaną pierwszymi w naszych sercach. Bo każdy człowiek, który w przyszłości zwróci nocą wzrok na Księżyc, będzie wiedzieć, że jest zakątek innego świata, który na zawsze pozostanie świadectwem ludzkości”.

Po orędziu łączność radiowa z uwięzionymi na Księżycu astronautami miała zostać przerwana. Na szczęście Nixon nie musiał tego czytać. Kopia orędzia znajduje się w Archiwum Narodowym w Waszyngtonie.

Moskwa, 1971 rok. Pogrzeb kosmonautów Gieorgija Dobrowolskiego, Wiktora Pacajewa i Władisława Wołkowa. Podczas powrotu na Ziemię kabina lądownika rozhermetyzowała się. Kosmonauci nie zakładali jeszcze wtedy skafandrów, wszyscy zginęli

ROZDZIAŁ 8

Śmierć czai się wszędzie, ale warto ryzykować

Kazachskie stepy są płaskie jak stół. Bezkres żółtej trawy i piachu, zero zieleni, krajobrazowa nuda. Tylko w oddalonych od siebie o setki kilometrów chutorach rzędy topoli sadzonych jak pod sznurek. Wieśniacy dbają o nie, bo chronią pola uprawne przed piaskiem. Latem tropikalne upały, zimą wszystko skute mrozem. Kto by chciał tam mieszkać?

Przez lata Stalin zsyła do Kazachstanu wrogów systemu. Gdy zaczyna się wojna, bydlęce wagony zwożą też tysiące deportowanych Polaków, głównie kobiety, dzieci i starców. Rodziny oficerów z obozów w Ostaszkowie, Starobielsku czy Kozielsku. Żeby przetrwać, kopią w ziemi jamy. Nie ma drzew, więc nie ma drewna na opał. Zbierają krowi nawóz, suszą go w słońcu. Zimą suchymi krowimi plackami opalają ziemianki. Głód i choroby, wielu zesłańców umiera. Zmarłych grzebie się owiniętych w szmaty.

Nikita Chruszczow w 1955 roku wydaje tajną dyrektywę – ZSRR będzie miał pierwszy w świecie poligon rakietowy. Będą z niego wystrzeliwane międzykontynentalne pociski balistyczne z ładunkami atomowymi. Rosyjskie władze szukają miejsca. Najlepiej jak najbliżej równika. Każda wystrzeliwana w przestrzeń rakieta dzięki ruchowi obrotowemu Ziemi zyska na sile ciągu. Poligon powinien być także umieszczony na odludziu, z dala od gapiów. Wybór pada na Kazachską Socjalistyczną Republikę Radziecką.

W sercu azjatyckiego stepu, na obszarze o wymiarach siedemdziesiąt pięć na dziewięćdziesiąt kilometrów, robotnicy budują osiedla, szpitale, przedszkola, szkoły, laboratoria, magazyny, hangary, podziemne silosy, elektrownię, linie kolejowe. Dwa lotniska i stanowiska startowe dla rakiet. Rośnie nowe miasto dla konstruktorów, inżynierów i techników pracujących przy radzieckim programie kosmicznym. Cały teren otoczony jest płotem i pilne strzeżony przez uzbrojone patrole. Mieszkańcy skoszarowani, nie wolno im wyjeżdżać.

Miasta przez lata nie można znaleźć na żadnej mapie, KGB zabrania ujawniać jego lokalizacji. Zresztą i tak ośrodek nie ma nazwy, tylko kryptonim – „Zaria". Dopiero potem zostanie nazwane Leninskiem.

Po pierwszym locie Gagarina Rosjanie dowiadują się, że ośrodek nazywa się Bajkonur, ale to *maskirowka*. Bajkonur to niewielka wioska oddalona od Leninska o kilkaset kilometrów. Wojsko stawia tam makiety wyrzutni i rakiet. Jeśli Amerykanie spróbowaliby zrównać kosmodrom z ziemią, bomby spadną na wiejskie chaty.

Data startu Polaka potwierdzona. 27 czerwca 1978 roku. Przesądni Rosjanie chuchają na zimne. Załogi szykowane do tego samego lotu w kosmos nie mogą podróżować razem. Bo co, jeśli dojdzie do katastrofy? Półtora roku treningów i tysiące rubli wydanych na przygotowania pójdą na marne.

12 czerwca Mirosław Hermaszewski i Piotr Klimuk żegnają się z bliskimi i wsiadają na pokład Tu-134. Pułkownik Zenon Jankowski i Walerij Kubasow lecą Tu-104. Obie maszyny kierują się na południe. Po trzech godzinach Hermaszewski zobaczy „bezkresny i nieskończony step". Nie ma miast ani dróg. Widać tylko wioski zagubione w oceanie traw i wyryte w piachu drogi. „Były podobne do pajęczyny. Urozmaiceniem widoku było wielkie zlewisko – Jezioro Aralskie o wysychających brzegach, które pochłaniała pustynia. Spływała do niego od wschodu ginąca i cienka jak struga Syr-daria. To nad nią leży cel naszej podróży, jedno z najbardziej sekretnych miejsc na ziemi – słynny kosmodrom Bajkonur" – wspomina.

Rosjanie wybudowali kosmodrom Bajkonur na kazachskim stepie. Z ośrodka startowały rakiety, a wokół toczyło się codzienne życie. Mieszkańcy stepu hodowali m.in. wielbłądy

– Bajkonur jest w Kazachstanie, tam sporo wielbłądów. Jeden Kazach prowadził stado, a Mirosław kocha zwierzęta, od razu wszedł w te wielbłądy, zaczął do nich gadać, poklepywać. Śmieszne to było – opowiada Klimuk.

Jankowski trochę inaczej: – Step, step, step, a zaraz zaczyna się pustynia. Wszystko tonie w burym pyle. Nic ciekawego.

A wielbłądy?

– Tak, tak, słyszałem, że klękały przed Hermaszewskim – mówi.

Wszystkie załogi, które lecą w kosmos, zatrzymują się w hotelu Kosmonauta. Nowoczesny, zbudowany z wielkiej płyty

na wysokim brzegu rzeki Syr-darii.

– Rosjanie eksperymentowali z zawracaniem biegu rzek, próbowali nawadniać pustynię. Polegli w walce z naturą. Poziom Syr-darii opadł co najmniej o dwa metry. W gorącym powietrzu latały wielkie, obrzydliwe owady. Tragedia – wspomina Jankowski.

Ale w hotelu standard wysoki. Klimatyzacja, basen, korty tenisowe, apartamenty dla pilotów. Przed budynkiem szpaler drzew, do każdego indywidualnie doprowadzana jest woda. Jedne mniejsze, drugie większe. Każdy kosmonauta, który wraca z orbity, musi zasadzić jedno.

– Marny pomysł – mówi Jankowski. – Drzewa zdychały, bezlistne i smutne, bo w ziemi była sama sól.

Klimuk i Hermaszewski zostają objęci kwarantanną. Nie wolno im uprawiać sportów, a nawet wchodzić do basenu. Mają zakaz kontaktów z personelem. Upał, temperatura powietrza dochodzi do czterdziestu stopni Celsjusza. Trudno wytrzymać.

Druga, zapasowa załoga nie ma ograniczeń. Może korzystać z atrakcji hotelu.

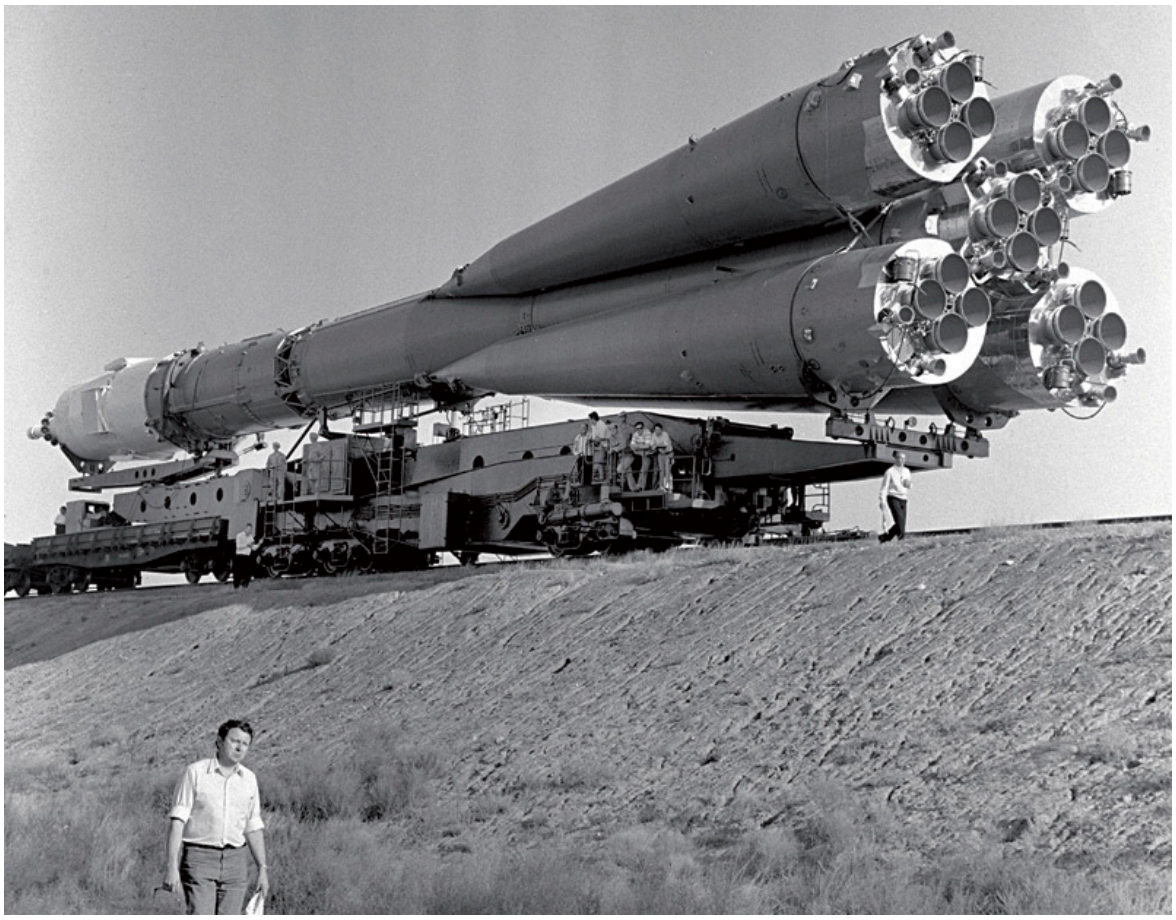

Rakieta, która wyniosła w przestrzeń kosmiczną statek Sojuz 30, miała 50 metrów wysokości i ważyła 300 ton. Była modyfikacją R7, tzw. Siemiorki – pierwszego na świecie międzykontynentalnego pocisku balistycznego. Składała się z czterech odrzucanych rakiet wspomagających (tzw. pierwszy stopień) oraz dwustopniowej, centralnej rakiety nośnej. Rakieta nośna Sojuz jest jedną z najbardziej udanych w historii. Wykorzystuje się ją do dzisiaj

Dla wszystkich harmonogram dnia postawiony na głowie. Pobudka o jedenastej, śniadanie o dwunastej, o osiemnastej trzydzieści obiad, kolacja o dwudziestej trzeciej trzydzieści. Piloci kładą się dopiero o drugiej w nocy. Taki będzie rytm pracy na orbicie. Nogi łóżek podniesione o siedem stopni, śpią bez poduszek – muszą się przyzwyczaić do stanu nieważkości. Ciągle badania układu krążenia. Pilot kładzie się na stole, który przechyla

się w różne strony. Najpierw głowa jest niżej niż nogi, potem na odwrót.

„Któregoś dnia w czasie tego seansu głęboko usnąłem, co lekarze odnotowali jako objaw pozytywny" – wspomina Hermaszewski.

Statek kosmiczny Sojuz 30 stoi już w hangarze, krzątają się przy nim zastępy techników. Po sto razy sprawdzają sprawność układów i urządzeń. Rakieta startowa została już ułożona na platformie kolejowej, wkrótce zostanie przetransportowana na stanowisko startowe i ustawiona w pionie. Monstrum. Pięćdziesiąt metrów wysokości, trzysta ton, z czego dwieście siedemdziesiąt ton waży tylko paliwo. Na polu startowym całkowity zakaz palenia.

„Nasza Ojczyzna potrzebuje atomowej tarczy" – krzyczą pod koniec lat pięćdziesiątych czołówki radzieckich gazet. Rosjanie mają rakietę R-7, która może przenosić ładunki jądrowe nad terytorium USA. Stworzona przez Korolowa, potrzebuje dużych i nieosłoniętych stanowisk startowych, a na jej odpalenie potrzeba doby. Amerykańskie lotnictwo może ją łatwo zniszczyć.

– To świetny pojazd do badania kosmosu, ale do walki zupełnie się nie nadaje – stwierdzają generałowie.

Konstruktor Michaił Kuźmicz Jangiel obiecuje wojskowym pocisk, który będzie postrachem Zachodu. Jego rakieta R-16 zostaje nazwana „Żelazną Dziewicą". Chruszczow nie kryje radości. „Problem obronności, problem wojny, uzbrojenia naszej armii w broń rakietową – za to wszystko jest odpowiedzialny Jangiel, który kieruje biurem konstrukcyjnym. To utalentowany, a nawet powiedziałbym, genialny konstruktor, twórca rakiet o różnym przeznaczeniu" – pisze przywódca ZSRR.

Wojskowi idą o krok dalej i tworzą fraszkę: „Korolow pracuje dla TASS, a Jangiel dla wszystkich nas".

23 października 1960 roku z hali montażowej Bajkonuru wyjeżdża eksperymentalna wersja R-16. Technicy przygotowują ją do startu. Na kosmodromie zjawia się marszałek Mitrofan Niedielin, głównodowodzący radzieckich rakietowych wojsk strategicznych (Rakietnyje Wojska Stratiegiczeskogo Naznaczenija). Jest chorobliwie ambitnym oficerem. Nie znosi sprzeciwu, nie toleruje niepowodzeń. Inżynierowie ostrzegają go, że R-16 nie jest jeszcze dopracowana, ale Niedielin jest głuchy na argumenty. Start „Żelaznej Dziewicy" ma uczcić rocznicę rewolucji październikowej i udowodnić militarną wyższość ZSRR nad USA. Musi więc zakończyć się powodzeniem.

Po zatankowaniu rakiety inżynierowie stwierdzają awarię instalacji elektrycznej. Sytuacja jest patowa. Regulamin zabrania naprawiania pocisków wypełnionych paliwem. Z drugiej strony „Żelazna Dziewica" nie ma systemu, który umożliwiałby opróżnienie zbiorników. Marszałek Niedielin nie chce słyszeć o odwołaniu startu. Przypomina, że człowiek radziecki nie ulega przeciwnościom losu, człowiek radziecki je pokonuje. Technicy dostają kilkanaście godzin na rozwiązanie problemu. Następnego dnia wznawiają przygotowania do startu. Ale co chwila pojawia się jakaś nowa usterka.

Znużony oczekiwaniem Jangiel opuszcza pole startowe. Niedielin rozkłada krzesło, siada kilkadziesiąt metrów od rakiety i pilnuje krzątających się techników. Jeden z nich przesuwa pokrętło systemu kontroli rakiety. Teoretycznie nic złego nie powinno się wydarzyć. Nie wiadomo, dlaczego silnik drugiego członu rakiety niespodziewanie ożywa. Płomienie w kilka sekund przepalają zbiornik z paliwem. Stanowisko startowe zalewa morze ognia. Huk

eksplozji słychać w odległości pięćdziesięciu kilometrów. W epicentrum temperatura przekracza trzy tysiące stopni Celsjusza. Ludzie zamieniają się w popiół. Zostają po nich tylko stopione klucze, monety i metalowe guziki. Oficjalny bilans katastrofy to dziewięćdziesiąt dwie ofiary śmiertelne. Niektóre źródła mówią jednak nawet o stu dwudziestu sześciu.

– Zginęli w katastrofie lotniczej – taka jest oficjalna przyczyna ich śmierci. Władze niemal przez trzydzieści lat będą ukrywały prawdę o tej tragedii.

Siła wybuchu odrzuca Jangiela na kilkadziesiąt metrów. Ma poparzoną twarz i dłonie, ale żyje. Robotnicy odciągają go od płomieni. Konstruktor rakiety przez telefon składa meldunek Chruszczowowi. Płacze.

– Była katastrofa, tu wszystko płonie. Niedielin nie żyje, inni też – mówi łamiącym się głosem.

Ratownikom udaje się odnaleźć zegarek marszałka. Zatrzymał się na godzinie osiemnastej czterdzieści pięć. To jedyny dowód, że był na kosmodromie.

– Dlaczego przeżyłeś? – pyta Jangiela przywódca ZSRR.

– Odszedłem na bok zapalić papierosa – wyjaśnia konstruktor.

Na czele komisji wyjaśniającej przyczyny katastrofy staje Leonid Breżniew, sekretarz KC KPZR. Szybko zamyka dochodzenie. – Winni i tak zostali już ukarani – stwierdza.

24 października 1963 roku. Młody żołnierz wymienia żarówkę w silosie pocisku balistycznego. Dochodzi do zwarcia i pożaru. Na szczęście rakieta nie wybucha, ale osiem osób ginie.

– Ta data jest jakaś pechowa – stwierdza kierownictwo kosmodromu. 24 października na Bajkonurze obowiązuje odtąd całkowity zakaz lotów i prób rakietowych.

Ale jest 25 czerwca 1978 roku. Na kosmodromie Bajkonur zbiera się państwowa komisja: członkowie Rosyjskiej Akademii Nauk, wojskowi, doświadczeni kosmonauci. Muszą się podpisać pod decyzją o locie Sojuza 30, drugiej kosmicznej wyprawie programu Interkosmos. Inżynierowie opowiadają o stanie technicznym rakiety oraz statku. Kosmonauci opiniują kandydatów do lotu na orbitę. W końcu pada długo oczekiwana formułka: „W typowaniu nic się nie zmieniło. Komisja postanawia powierzyć wykonanie zadania załodze Klimuk – Hermaszewski".

Klamka zapadła. „Decyzja komisji nie była dla mnie zaskoczeniem, ale w każdym zakątku ciała czułem emocje. Atmosfera była podniosła. Klimuk podziękował komisji za zaufanie. Złożył zapewnienie, że zrobimy wszystko, aby misja była udana i bezpieczna. Ja podziękowałem lekarzom, specjalistom, inżynierom, wykładowcom za wysiłek włożony w przygotowanie naszej załogi. Mówiłem o przyjaźni naszych narodów, o wyróżnieniu Polski. Na koniec powiedziałem, że moim największym pragnieniem jest zobaczyć moją Ojczyznę z wysokości orbity i pozdrowić rodaków, tych w kraju i tych rozsianych po całym świecie" – napisze we wspomnieniach Mirosław Hermaszewski.

Potem jest mniej oficjalnie. Na stole pojawia się szampan, wódka, a nawet żubrówka. Kto może, ten pije. Kosmonauci toasty wznoszą wodą. Hermaszewski dzwoni do żony. Przejęty opowiada jej o werdykcie komisji. Powtarza: – Lecę, lecę.

– Dlaczego tak się cieszysz, przecież od dawna wszyscy o tym wiedzieli – mówi mu zdziwiona Emilia Hermaszewska.

Wieczór przed startem spokojny. Hermaszewski wdrapuje się na duży i płaski dach hotelu Kosmonauta. Patrzy na step, miasto Leninsk, wioskę Tiuratam, elektrownię i leniwie płynącą Syr-darię. Na twarzy czuje podmuchy gorącego wiatru. Zachwyca się zachodem słońca, wpatruje się w ciemniejące niebo. Wreszcie dociera do niego, że jeśli wszystko się uda, na zawsze zapisze się na kartach historii.

Kiedyś napisze o tym samotnym wieczorze: „Pojawiły się gwiazdy. Uporządkowane w znane mi z planetarium gwiazdozbiory. Rozmawiałem z nimi. Prosiłem o opiekę nad moimi bliskimi, żoną, dziećmi, mamą, siostrami i braćmi i nad tymi, którym zawdzięczam to, kim jestem. Czułem płynącą stamtąd życzliwość i otuchę. Zasypiałem spokojny i silny wewnętrznie. Sen miałem głęboki".

W Polsce nikt jeszcze nie wie, kim jest Hermaszewski, i mało kogo obchodzi, o czym myśli na dachu hotelu Kosmonauta. Kraj żyje mundialem w Argentynie. Piłkarze wracają z turnieju bez medalu. Kibice zawiedzeni, na piłkarzy i trenera Jacka Gmocha wylewa się fala krytyki. Dlaczego w meczu z Argentyną Kazimierz Deyna nie strzelił karnego!?

25 czerwca wieczorem miliony Polaków siedzą przed telewizorami. W finale mundialu Argentyna gra z Holandią.

Po pięknym meczu gospodarze wygrywają 3:1. Zdobywca dwóch goli Mario Kempes zostaje królem strzelców.

Ale Poczta Polska jest już przygotowana na inny finał. W magazynach czeka pięć milionów znaczków pocztowych bez kleju o nominałach 1,5 i 6,9 złotego. Na każdym napis: „Pierwszy Polak w kosmosie". Do końca nie wiadomo, kto poleci, więc na połowie wydruków jest twarz Jankowskiego, na pozostałych znaczkach podobizna Hermaszewskiego.

Dyrekcja poczty zna polecenie: gdy już będzie wiadomo, które znaczki są oficjalne, drugą połowę nakładu, z podobizną pilota, który nie wystartował, należy komisyjnie zniszczyć.

Z okazji lotu Polaka w kosmos Poczta Polska przygotowała 5 milionów okolicznościowych znaczków. Do końca nie było wiadomo, kto poleci na orbitę, więc na połowie była podobizna Mirosława Hermaszewskiego, a na pozostałych Zenona Jankowskiego

Ale polecenie nie jest wypełnione do końca. Sto arkuszy w dwóch nominałach z podobizną Jankowskiego udaje się uratować. Można je oglądać na przykład w dziale filatelistycznym wrocławskiego Muzeum Poczty i Telekomunikacji. Osiemset

arkuszy z podobiznami obydwu Polaków Centrala Handlu Zagranicznego wysyła do Stanów Zjednoczonych. Zobowiązuje ją do tego umowa z amerykańskim dystrybutorem. Znaczki muszą być dostarczone w pierwszym dniu obiegu. Te z podobizną Jankowskiego na filatelistycznych aukcjach są rarytasem.

– Też mam znaczek pocztowy ze swoim wizerunkiem – mówi Jankowski. Wyjmuje okolicznościowy klaser. Niezwykłe wrażenie robi twarz Jankowskiego na granatowym tle. I napis „Pierwszy polski kosmonauta". Jakbyśmy się przenieśli do alternatywnej wersji historii.

– Dostałem znaczki od ministra łączności – opowiada Jankowski. – Mówił, że takie egzemplarze ma tylko kilka osób w Polsce: on, ja, generał Wojciech Jaruzelski i Edward Gierek.

Na ulicach, wystawach, słupach ogłoszeniowych mają zawisnąć plakaty. Dwie wersje przygotowuje Andrzej Pągowski, student Poznańskiej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Wspomina: „Powiedzieli mi, że Polak poleci w kosmos. Pokazali zdjęcia jakichś ludzi w hełmach. Zrobiłem plakat". U góry hasło: „Pierwszy Polak w kosmosie", poniżej sylwetka w stroju kosmonauty, z polską flagą i logo programu Interkosmos. Hełm pusty w środku, z miejscem na twarz.

Po udanym starcie Polaka cały kraj jest oklejony podobiznami Mirosława Hermaszewskiego. Jego zdjęcia wiszą w urzędach, szkołach, przedszkolach, na słupach ogłoszeniowych i w witrynach sklepów

– Wiele lat później dowiedziałem się, że na wszelki wypadek wydrukowali naprawdę ogromny nakład plakatu do rozklejenia w całej Polsce w dwóch wariantach: z Jankowskim i Hermaszewskim – wspomina po latach Pągowski. Gdy Hermaszewski bezpiecznie wylądował, ten drugi plakat poszedł na przemiał. Do dziś się zastanawiam, czy gdyby doszło do jakiejś katastrofy, wykorzystaliby ten drugi plakat i udawali, że to ten człowiek był w kosmosie?

Amerykańscy kosmonauci są przesądni. Przed każdym lotem na ostatnie ziemskie śniadanie jedzą filet mignon, czyli stek z polędwicy. Takie danie zamówił Alan Shepard, pierwszy astronauta. Skoro jemu przyniosło szczęście, pozostałym też musi.

Technicy przed wyniesieniem na orbitę satelity czy sondy zajadają się orzeszkami ziemnymi. Uważają, że ich brak w centrum kontroli lotów może przynieść pecha.

„Białe słońce pustyni" to radziecki film w reżyserii Władimira Motyla. W dowcipny sposób opowiada o przygodach powracającego z wojny żołnierza Armii Czerwonej. Po drodze przemierza pustynię, uwalnia z haremu piękne kobiety, toczy pojedynki z bandytami. Dla radzieckich kosmonautów ten film to pozycja obowiązkowa. Przed startem na orbitę oglądają go wszystkie załogi. Ma im przynieść szczęście. Psychologowie dodają, że film wpływa kojąco na nerwy, budzi pogodne uczucia i zdrowe wzruszenia. Projekcja odbywa się jednak na raty, bo działa zaaplikowana przez lekarzy lewatywa.

Przed wyjazdem na platformę startową Hermaszewski włącza radio. Łapie Warszawę. Spiker mówi, że imieniny obchodzą Maryla

i Władysław. Ostatnie badania lekarskie: puls pięćdziesiąt osiem uderzeń na minutę, ciśnienie sto dwadzieścia na siedemdziesiąt. Idealnie.

Przed startem dostają bulion z kluseczkami i pieczony drób z jarzynami, potem biorą prysznic, lekarze przemywają ich ciała spirytusem i przyklejają pasy z czujnikami.

Kosmiczne skafandry są białe i szyte na miarę. U Polaka na piersi orzełek z nazwiskiem Hermaszewski, na lewym rękawie napis „Polska", na prawym logo Interkosmosu.

Kosmonauci spotykają się z drugą załogą, ale rozmowa się jakoś nie klei. „Nie podzielają naszego entuzjazmu, są zasmuceni" – zanotuje Hermaszewski. Przed wyjściem z hotelu załoga Sojuza 30 zostawia pamiątkę na drzwiach apartamentu. Polski lotnik kreśli zamaszyste „27 czerwca 1978 r. Mirosław Hermaszewski".

W foyer hotelu tłum pracowników, żegnają kosmonautów kwiatami. Uściski dłoni zabronione, wciąż obowiązuje kwarantanna.

Autobus jadący na kosmodrom jest obwieszony końskimi podkowami. To na szczęście. Kosmonauci i lekarze siadają z przodu, w drugiej części pojazdu, oddzielonej szybą, instruktorzy i obsługa dowodzenia startem. Kierowca dba o rozrywkę dla pasażerów. Magnetowidy to techniczna nowinka. Na małych ekranach można oglądać kreskówkę „Nu, pogodi", przygody wilka i zająca.

Piotr Klimuk zapamiętał: – W drodze na platformę startową mijaliśmy drogowskaz z napisem „Bajkonur". Siedzieliśmy w autobusie, w skafandrach. Gdy przejechaliśmy obok tej tablicy, spojrzałem na Mirosława. Płakał.

Radzieccy kosmonauci nie mniej przesądni od amerykańskich. Aleksiej Leonow wszystkim opowiada, jak 18 marca 1965 roku, przed swoim pierwszym lotem, spotkał na platformie startowej kobietę. Skąd się tam wzięła? Ktoś podpowiedział, że to dyrektorka studia filmowego Centrnauczfilm.

– Na jej widok splunęliśmy z Pawłem Bielajewem przez lewe ramię, ale czuliśmy, że i tak będą kłopoty – mówi Leonow. – Otwieramy drzwi i nie wierzymy. W naszą stronę idzie jakaś ruda baba! Stuka obcasami, aż się echo niesie. Reżyserka filmu, jaki kręcili akurat na Bajkonurze. Przeszła obok nas obojętnie. Zobaczysz, czekają nas na orbicie fikołki, szepnąłem Pawłowi. I miałem rację. Po kosmicznym spacerze nie mogłem wejść do śluzy. Podobno obserwowała mnie w centrum kontroli lotów i krzyczała: „To moja wina, to wszystko przeze mnie!".

Może dlatego Korolow zakazał kobietom przebywania na platformie startowej Bajkonuru?

Tradycja zobowiązuje.

Rakieta stoi na kosmodromie wycelowana w niebo. Trzy człony, cztery bloki startowe, w każdym czterokomorowy silnik rakietowy o ciągu osiemdziesięciu ton.

Zanim do niej wsiądą, oficjalne pożegnanie. Na sali konferencyjnej, oddzielonej od kosmonautów szklaną szybą, sami mężczyźni. W pierwszym rzędzie siedzi generał Wojciech Jaruzelski, minister obrony narodowej PRL. „Poczułem wielką tremę. Jestem świadom, że jako oficer będę oceniany przez mojego najwyższego przełożonego. Dla żołnierza to najwyższy zaszczyt, ale i najwyższa próba. Jestem mocno spięty, ale równocześnie skoncentrowany" – zapisze potem w pamiętniku Hermaszewski.

Jaruzelski podkreśla, jak ten lot będzie ważny dla Polski. Dziękuje radzieckim uczonym i konstruktorom. Sztywny. Zamiast mówić,

przemawia: „Ich osiągnięcia potwierdzają humanistyczne treści socjalizmu, są świadectwem niespożytej mocy, jaką daje zespolenie możliwości rozumu ludzkiego z wartościami naszego ustroju, ideowego postępowego człowieka z nowoczesną, przodującą techniką. Takim właśnie celom służy coraz skuteczniej współpraca państw socjalistycznych wzbogacana również w ramach programu Interkosmos. Odczuwamy głęboką, patriotyczną dumę, że pierwszy Polak, komunista, żołnierz – uczestnicząc w tym wielkim programie kosmicznym – wykona zadanie niezwykle odpowiedzialne, że stanie się to w przeddzień Święta Odrodzenia Polski".

Hermaszewski ściąga z prawej ręki lusterko służące do kontroli zapięcia hełmu i prosi, by przekazać je generałowi. Następnie w pozycji na baczność składa mu meldunek: – Towarzyszu generale, major Hermaszewski melduje gotowość do lotu w kosmos!

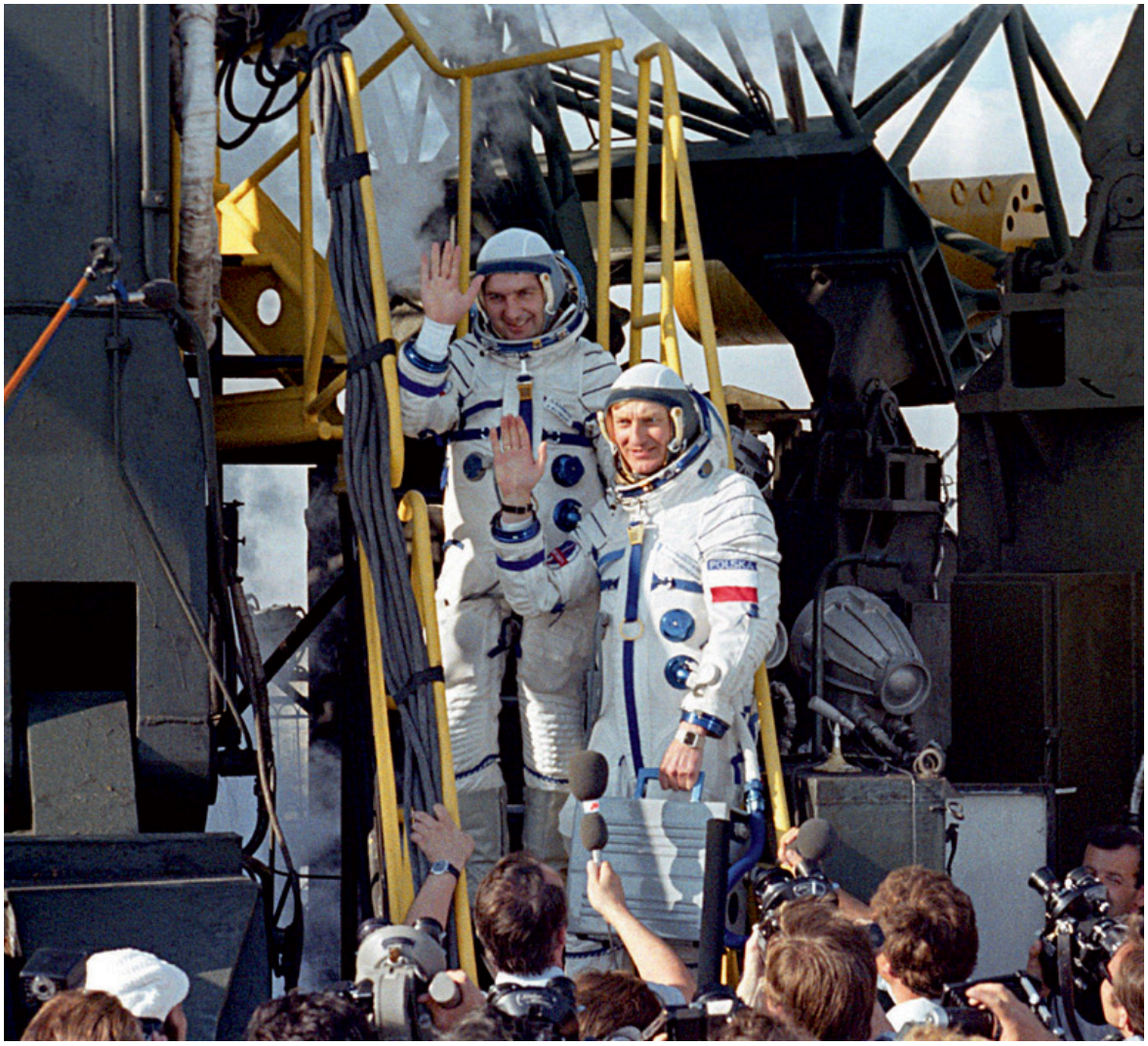

Ostatnie chwile przed startem. Kosmonauci żegnają się z dziennikarzami. Hermaszewski opowiadał potem o starcie rakiety: – Jak człowiek ma pod sobą 350 tysięcy ton materiałów wybuchowych, to się boi. Na zewnątrz tego nie pokazuje. Skafander jest fotogeniczny, trzeba się uśmiechać i machać ręką, bo wszyscy fotografują

W drodze do rakiety spotyka Zenona Jankowskiego. Zauważa, że jest smutny. „Rozumiem go doskonale. Miał szansę, ale niestety tylko jeden z nas mógł polecieć" – zanotuje Hermaszewski. Próbuje pocieszać Jankowskiego, ale podpułkownik nie odpowiada.

Próbuje raz jeszcze. Już na schodach prowadzących na pokład statku kosmicznego odwraca się i krzyczy: – Zenek, trzymaj się.

Jankowski: – Też coś! Zenek, trzymaj się!? A dlaczego to ja miałem się trzymać? Czy to ja leciałem? Hermaszewski zagrał pod publiczkę.

Hermaszewski czuje trudny do opisania ciężar w nogach. Po plecach płyną mu strużki potu. Respekt, poczucie odpowiedzialności czy strach?

Kabina Sojuza ciasna. Wszędzie upchane kontenery ze sprzętem potrzebnym do przeżycia na orbicie. Fotele twarde, dopasowane do kształtu ciała kosmonautów. Przed twarzą dwieście przycisków i sygnalizatorów, ekran kontroli napędu statku. Z prawej strony przesłonięty osłoną balistyczną iluminator.

Obsługa zamyka zewnętrzny właz wejściowy. Kosmonauci w skupieniu przez dwie godziny sprawdzają systemy statku. Centrum kontroli lotów puszcza muzykę. Anna German śpiewa:

Znów nade mną obcej gwiazdy blask,
Los daleko rzucił mnie od domu,
Znowu między nami setki miast,
Słowa czułe tylko z telefonu.
Tu zamglony i deszczowy świat,
Ranek często wita chłodnym świtem,
Tu, gdzie drogi nieprzetarty szlak,
Trzeba się wykazać dobrym sprytem.
Nadzieja dodaje mi sił, a sukcesów – odwaga dostarczy.
A pieśń... Byle motyw w niej był o domu, i to mi wystarczy.
Uwierz, że dopiero obcy świat,
Dostrzec nam pozwala kruchość życia,
Szybko się zaciera burzy ślad,

Pamiętliwość nie ma racji bycia.
Trzeba twardo poprzez życie iść,
Trzeba się odznaczać stanowczością,
Wtedy życie nieraz przyśle list,
Z krótką, ale dobrą wiadomością...

Hermaszewski przez radio składa przygotowane wcześniej oświadczenie: „Ja, obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, czuję się zaszczycony umożliwieniem mi wykonania lotu kosmicznego na radzieckim statku Sojuz 30 i orbitalnej stacji Salut 6. Okazanego mi zaufania nie zawiodę!".

W oficjalnym bagażu wiezie różne proporce i flagi, portret Edwarda Gierka, grudki ziemi spod Lenino i Warszawy. W bagażu prywatnym rodzinne zdjęcia, pierwsze strony ważnych książek: Sienkiewicza, Conrada i Saint-Exupéry'ego, rysunek systemu heliocentrycznego Mikołaja Kopernika, koperty filatelistyczne, ulubioną broszkę żony i srebrny wisiorek, podkówkę należącą do córki, zegarek syna, sześć odznak pilota wojskowego, obrączkę z napisem „Kosmos '78", dwie płyty z polskim hymnem, „Manifest komunistyczny", Manifest PKWN, Konstytucję PRL, trzy miniaturowe wydania „Pana Tadeusza" oprawione w skórę. Jedno, z własnej inicjatywy, podaruje potem papieżowi Janowi Pawłowi II.

Profesor Jan Terelak, psycholog: – Start rakiety to dla kosmonauty wielki stres. Wie, że leży na tonach paliwa jak na beczce prochu. Wystarczy najdrobniejsza iskra i bum! Z badań wynika, że kosmonauci mają najwyższy poziom stresu, gdy czekają na start.

Jedni się wkurzają, mówią bez przerwy, psioczą. Inni leżą spokojnie albo śpią.

Na pewno odpędzają myśli o wypadkach. Ale czasem się nie da i wtedy w głowie odzywa się pamięć o Walentinie Wasiljewiczu Bondarience.

Niewysoki, silnie zbudowany blondyn. Ma dwadzieścia trzy lata i właśnie się ożenił. Na zdjęciach trzyma na rękach małą córeczkę. – Jesteś moją gwiazdeczką – mówił, tuląc ją do piersi. 13 marca 1961 roku naukowcy zamykają go w komorze tlenowej z hermetycznie zamykanymi drzwiami i maleńkimi bulajami, niewielką toaletą oraz kuchenką. W środku warunki jak w statku kosmicznym. Kandydat na kosmonautę musi tam spędzić aż dziesięć dni. Lekarze mają czas, by sprawdzić, jak człowiek zniesie rygory pobytu na orbicie. Reakcje organizmu są monitorowane, pilot co jakiś czas składa meldunki o swoim samopoczuciu.

Ostatniego dnia testów Bondarienko odlepia elektrody z klatki piersiowej. Myje ciało wacikiem nasączonym spirytusem. Upuszcza go na rozgrzany palnik kuchenki. W normalnej kuchni każda gospodyni ugasiłaby płonący wacik zwykłą szmatą. Ale komora tlenowa nie jest jednak zwykłą kuchnią. Ogień błyskawicznie obejmuje wnętrze symulatora, wypełnionego wzbogaconą mieszkanką tlenową. Żeby otworzyć drzwi, trzeba najpierw wyrównać ciśnienie w środku i na zewnątrz. Nie można tego zrobić szybko. Lekarze słyszą wycie płonącego pilota. Jeszcze żyje, kiedy go wyciągają. – Ciało było popalone, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Nie miał skóry ani oczu – wspomina doktor Władimir Golakowski.

Bondarienko umiera osiem godzin po wypadku. Jego śmierć – tak jak inne kosmiczne niepowodzenia – zostaje utajniona. Jurij Gagarin, który też szykuje się do lotu w kosmos, nie wie, że jego

kolega spłonął w komorze tlenowej. Bondarienko pośmiertnie zostaje odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy, a po latach jego imieniem zostanie nazwany krater na Księżycu.

Inne zdarzenie.

Virgil Ivan „Gus" Grissom to amerykański bohater wojenny. W czasie konfliktu koreańskiego jest pilotem myśliwca. Odbywa sto misji bojowych nad terytorium wroga. Brawurowy, zawsze uśmiechnięty. Wymarzony kandydat dla NASA. Grissom zostaje członkiem „Mercury Seven". To grupa najwybitniejszych amerykańskich pilotów szykowanych do pierwszych lotów w kosmos.

21 lipca 1961 roku kapsuła Liberty Bell 7 z Grissomem na pokładzie leci w kosmos. Statek dociera na wysokość stu dziewięćdziesięciu kilometrów. Pilot przez pięć minut przebywa w stanie nieważkości, po czym kapsuła wpada do oceanu.

– Wszystko w porządku – melduje Grissom po wodowaniu, ale wtedy zaczynają się problemy.

Astronauta nie jest gotowy do wyjścia, gdy eksploduje ładunek otwierający właz. Woda zalewa kapsułę. Grissom w ostatniej chwili wypływa na zewnątrz. Ma problemy z utrzymaniem się na powierzchni. Woda wdziera się do kombinezonu i ciągnie go na dno. Helikopter z pomocą przylatuje w ostatniej chwili.

– Astronauci nie boją się śmierci? – pytają Grissoma dziennikarze.

– Zdajemy sobie sprawę z zagrożenia. Takie samo ryzyko podejmujemy, latając myśliwcami czy prowadząc samochód. Śmierć czai się wszędzie, ale czasami warto ryzykować – odpowiada.

W 1967 roku Grissom zostaje dowódcą pierwszej w historii ludzkości misji na Księżyc. Misja Apollo 1 ma pokazać amerykańską supremację w kosmosie. Razem z nim mają lecieć Edward H. White i Roger B. Chaffee. 27 stycznia odbywa się symulacja startu.

– Chcemy sprawdzić zasilanie z akumulatorów. Test jest bezpieczny, rakieta nie jest zatankowana – zapewniają astronautów inżynierowie. Jeśli wszystko będzie dobrze, 21 lutego załoga poleci na Księżyc.

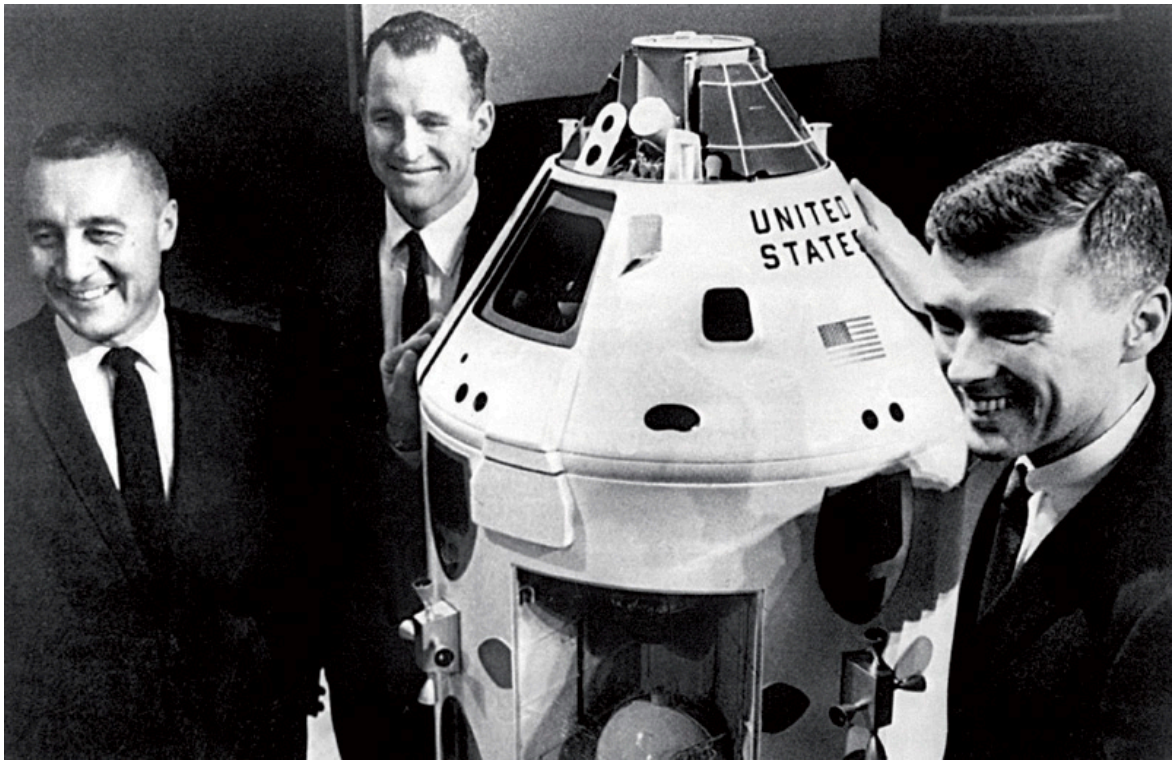

27 stycznia 1967 roku astronauci Virgil I. Grissom , Edward H. White II i Roger B. Chaffee trenowali przed lotem w kapsule statku Apollo 1. Technicy zamknęli luk i wypełnili kabinę czystym tlenem. Doszło do zwarcia w przewodach elektrycznych, wybuchł gwałtowny pożar. Wszyscy astronauci zginęli

Astronauci zamykają się w module dowodzenia i podpinają się do systemów statku kosmicznego. Do środka pompowany jest czysty tlen. Łączność się rwie. Grissom nie wytrzymuje i pyta przez

radio: – Jak zadzwonimy z Księżyca, skoro nie potrafimy tego zrobić z sąsiedniego budynku?

Potem mikrofony rejestrują:

Chaffee: – Hej...

(odgłos szamotaniny)

Chaffee: – Pożar... Mamy pożar w kokpicie!!!!!

White: – Pożar w kokpicie!!!

Chaffe: – Wydostańcie nas! Palimy się! Jesteśmy w ogniu!

Odgłosy szamotaniny, ktoś uderza we właz, potem słychać już tylko wycie płonących ludzi. Łączność się urywa.

Christopher Kraft, kontroler lotów, opowiada potem dziennikarzom, że właz nie był projektowany z myślą o szybkim otwarciu. Otwarcie kapsuły zajmuje ratownikom pięć minut.

W środku nadal pali się światło. Ciała są spalone.

Albo to.

Radzieckie władze w 1967 roku przygotowują się do obchodów pięćdziesiątej rocznicy rewolucji październikowej. Wydarzenie musi być uczczone w sposób wyjątkowy. Leonid Breżniew, nowy pierwszy sekretarz KC KPZR, podobnie jak poprzednicy chętnie patrzy w kosmos. – Wystrzelimy dwa statki załogowe, które połączą się na orbicie. Nikt tego wcześniej nie robił, Amerykanie zzielenieją z zazdrości – proponuje Dmitrij Ustinow, odpowiedzialny za zbrojenia sekretarz partii komunistycznej.

Sojuz to nowy statek kosmiczny. Wostok mógł zabierać tylko jednego kosmonautę, Sojuz aż trzech. Można w nim długo przebywać na orbicie, manewrować i łączyć się z innymi pojazdami w przestrzeni kosmicznej. Rosjanie chcą go wysłać na Księżyc, ale

podczas testowych, bezzałogowych lotów inżynierowie wykrywają w nim aż dwieście trzy wady. Na poprawki nie ma jednak czasu. Breżniew marzy, żeby do orbitalnego połączenia statków doszło już 1 maja, w święto ludzi pracy. Czyż to nie piękny symbol?

Plan: 23 kwietnia na orbitę zostanie wystrzelony Sojuz 1 z kosmonautą Władimirem Komarowem. Dzień lub dwa dni później na orbitę wyniesiony zostanie Sojuz 2 z Walerijem Bykowskim, Jewgienijem Chrunowem i Aleksiejem Jelisiejewem. Obydwa moduły połączą się na orbicie, Chrunow i Jelisiejew przesiądą się do Sojuza 1 i wrócą nim na Ziemię.

Władimir Komarow przeczuwa, że to może być samobójcza misja. Start jego statku obserwuje Jarosław Gołowanow, dziennikarz, niedoszły kosmonauta. – Komarow był w depresji, nie uśmiechał się, nie żartował, był bardzo przybity. Wiedział o błędach w konstrukcji statku – mówi.

Kłopoty zaczynają się po wejściu Sojuza 1 na orbitę. Otwiera się tylko część baterii słonecznych, co oznacza, że pojazd nie będzie miał energii do przeprowadzenia dokowania. Centrum kontroli lotów ignoruje problem. – Kontynuujemy misję – nakazują kosmonaucie. Nieszczęścia następują lawinowo. Na statku nie działa klimatyzacja, niektóre części zaczynają się przegrzewać. Psuje się wysokościomierz, blokuje się system stabilizacji, pojazd zaczyna koziołkować. Po kilkunastu okrążeniach Ziemi Komarow prosi o wstrzymanie startu Sojuza 2. W końcu kontrola lotu godzi się z porażką misji. Sojuz 1 może wracać na Ziemię.

– Komarow był opanowany i normalnym głosem meldował z orbity. Mówił, że zaraz wchodzi w atmosferę i spalą mu się anteny. Zakończył rozmowę standardowym stwierdzeniem: „Do zobaczenia na Ziemi” – wspomina Gołowanow.

W centrum kontroli lotów powrót Komarowa obserwuje grupa dziennikarzy. Kosmonauta Aleksiej Leonow komentuje: – Wołodia zachowuje się jak zuch!

Kapsuła bezpiecznie przechodzi przez górne warstwy atmosfery. Siedem kilometrów nad Ziemią powinien otworzyć się spadochron zmniejszający siłę uderzenia o grunt. Ale czaszy nie widać. Sojuz 1 z siłą meteorytu uderza w step, kapsuła eksploduje. W eterze rozpaczliwy komunikat jednego z ratowników: „Kosmonauta pilnie potrzebuje pomocy medycznej!".

Łączność zostaje przerwana. Dowództwo nie chce, aby ktokolwiek dowiedział się o katastrofie. Ze zwęglonej kapsuły ratownicy wyciągają tylko głowę Komarowa oraz fragment korpusu. Obok statku leży zwinięty spadochron. Linki się splątały, dlatego czasza się nie rozwinęła.

Podobną usterkę stwierdzono potem w Sojuzie 2.

Co jeszcze?

Amerykanie zamieniają podbój kosmosu w show. Telewizja transmituje każdy start, astronauci stają się ikonami. Ludzi kręci wszystko, co pierwsze: pierwszy Amerykanin w kosmosie, pierwszy spacer w przestrzeni kosmicznej, pierwszy człowiek na Księżycu. „Pierwsze" rozpala wyobraźnię. Wyczyny kosmicznych herosów oglądają miliony. Reklamodawcy pchają się drzwiami i oknami. Zainteresowanie podbojem kosmosu sprawia, że Kongres chętnie finansuje nowe projekty. Ale orbitalne loty powszednieją, już nie ma tego dreszczyku emocji.

Natomiast loty na Księżyc znowu rozpalają wyobraźnię. 11 kwietnia 1970 roku misja Apollo 13 leci na Księżyc. Lotem dowodzi

kosmiczny weteran „Jim" Lovell, uczestnik misji Apollo 8 oraz Gemini 7 i 12. Fred Haise ma pilotować moduł księżycowy, a „Jack" Swigert jest pilotem modułu dowodzenia. Są trzecią załogą, która ma lądować na Srebrnym Globie.

Przez pierwszych pięćdziesiąt pięć godzin wszystko przebiega planowo. Gdy astronauci są w odległości trzystu dwudziestu kilometrów od Ziemi, kontrola lotów prosi, by włączyli urządzenie mieszające ciekły tlen w zbiornikach.

– Usłyszałem metaliczny odgłos, jakby eksplozję, i wiedziałem, że stało się coś złego – wspominał potem Fred Haise. Wybuch rozpruł zbiornik z tlenem w module serwisowym. Zaraz potem awariom ulegają wszystkie systemy podtrzymujące życie. Rutynowa wyprawa zamienia się w walkę, której stawką jest życie trzech ludzi.

– Houston, mamy problem – melduje przez radio Swigert. Kontrola lotów wylicza, że tlenu i prądu ledwo starczy na powrót na Ziemię.

Haise: – Kiedy zobaczyłem, że straciliśmy zbiornik z tlenem, aż mnie zemdliło. Zrozumiałem, że nie będzie lądowania na Księżycu.

Na Ziemi szok. Pierwsza strona dziennika „Evening News" krzyczy ogromnym tytułem: „Explosion in Apollo 13!". Dziennikarze nie opuszczają już centrum kontroli lotów. Dramatyczną walkę astronautów o życie śledzi cały świat. W kościołach odbywają się nabożeństwa w intencji Lovella, Haise'a i Swigerta, przerwane zostają mecze baseballu, ludzie wstają z miejsc, zapalają świece, zbierają się na modlitwach.

Astronauci opuszczają moduł dowodzenia i zamykają się w module księżycowym. Jest zaprojektowany tak, żeby dwóch ludzi mogło w nim przeżyć dwa dni. Teraz trójka astronautów musi

przetrwać dwa razy dłużej. Powrót na Ziemię zajmie cztery dni. Jak ich utrzymać przy życiu? Kontrola lotów każe wyłączyć wszystkie zbędne systemy, ale to oznacza warunki ekstremalne. – Można to porównać do siedzenia w lesie bez ubrania i zapasów. Przez cztery dni wyziębiliśmy się do granic możliwości. Przeziębiłem sobie pęcherz – wspominał Fred Haise.

Kiedy Apollo zaczyna się zbliżać do Ziemi, astronauci wracają do modułu dowodzenia. Muszą go odmrozić, a potem odpalić silniki. Kontrola lotów przez dwie godziny dyktuje im polecenia. Jest ich tak wiele, że astronautom brakuje papieru. Piszą na marginesach, drobnym maczkiem. Przed wejściem w atmosferę załoga oddziela uszkodzony moduł serwisowy. Jego bok jest rozerwany. Na Ziemi rozpoczyna się dyskusja, czy termiczna osłona kadłuba wytrzyma wejście w atmosferę.

– Wtedy straciliśmy łączność z centrum kontroli. Przestali nas słyszeć – wspomina Fred Haise.

17 kwietnia 1970 roku Ameryka zamiera. Na nowojorskim Times Square tysiące ludzi wpatrują się w wiszące na wieżowcach telebimy. Telewizja pokazuje, jak kapsuła Apollo 13 wodуje na Ocenie Spokojnym, a śmigłowce z lotniskowca „Iwo Jima" podejmują załogę. Przypadkowi ludzie rzucają się sobie w ramiona. Pracownicy centrum kontroli lotów wstają od komputerów i biją brawo. Niektórzy płaczą. Dzięki telewizji Ameryka przekuwa nieudaną misję w wielki sukces.

Na pewno nie można zapomnieć o tym.

Rok 1971. Rosjanie umieszczają na orbicie stację naukową Salut. Kosmonauci mają na nią latać, mieszkać tam i prowadzić badania.

Załoga statku kosmicznego Sojuz 10 nie może dostać się na jej pokład. Luk przejściowy Sojuza jest uszkodzony. Zawiedzeni kosmonauci wracają na Ziemię. Rosjanie szykują kolejną misję. Na stację mają lecieć: Aleksiej Leonow, Walerij Kubasow i Piotr Kołodin. Ostatnie badania i przykra niespodzianka. Na kilka dni przed startem lekarze rozpoznają u Kubasowa gruźlicę. Nie może nigdzie lecieć, a to oznacza, że odpada cała załoga. Do Sojuza 11 wsiadają dublerzy: Gieorgij Dobrowolski, Władisław Wołkow i Wiktor Pacajew.

Żaden z nich nigdy wcześniej nie był w kosmosie.

Na stacji Salut kosmonauci analizują czynności serca i układu krążenia. Wyniki badań są automatycznie przesyłane na Ziemię. Pobierają też próbki krwi, mierzą siłę mięśni, badają sprawność wzroku, robią zdjęcia. Rytm dnia regulują komendy z Ziemi: osiem godzin snu, potem praca, dwa razy godzinne przerwy na gimnastykę, potem dwie godziny odpoczynku.

Po kilkunastu dniach na Salucie dochodzi do pożaru. Zapala się przewód elektryczny. Kosmonauci gaszą ogień, ale są tak wystraszeni, że chcą natychmiast wracać na Ziemię.

– *Wsio w poriadkie*, nic wam nie grozi – uspokaja centrum kontroli lotów. Łagodna perswazja skutkuje. Załoga na stacji orbitalnej spędza aż dwadzieścia dwa dni! To nowy rekord. Nikt jeszcze nie przebywał tak długo w przestrzeni kosmicznej.

– Uczcimy to, na Ziemi czeka na was niespodzianka – obiecują kontrolerzy lotów.

Lądowanie przebiega podręcznikowo. Dowódca włącza hamowanie, statek schodzi z orbity, po czym rozdziela się na części. Lądownik z załogą zaczyna opadać. Wszystkie urządzenia działają normalnie, kapsuła łagodnie opada na ziemię. Ludzie biegną do lądownika. Dlaczego pokrywa się nie podnosi?

W środku kosmonauci siedzą w swoich fotelach, ale nie dają żadnych znaków życia.

Inżynierowie ustalają, że sto kilometrów nad Ziemią doszło do rozhermetyzowania się kabiny. Zepsuł się jeden z zaworów. Wiktor Pacajew odpiął pasy i próbował zatkać zawór palcem, ale mu się nie udało. Nie wiadomo dlaczego kosmonauci nie uruchomili ręcznego mechanizmu zamknięcia zaworu. Nie pomyśleli, sparaliżowani strachem?

Kosmiczna próżnia wyssała z nich płyny fizjologiczne. Wszystkie załogi podczas powrotu na Ziemię muszą odtąd zakładać hermetyczne skafandry kosmiczne.

Może się też zdarzyć taka historia.

Radzieckie statki kosmiczne Sojuz mają na burtach napisy: „Wewnątrz są ludzie, udziel im pomocy". Po rosyjsku i na wszelki wypadek po angielsku. Ale kosmonauci mają inne rozkazy. Jeśli przez przypadek wylądują na obcym terytorium, statek trzeba zniszczyć.

Oleg Makarow i Wasilij Łazariew znają tę instrukcję. 5 kwietnia 1975 roku lecą w kosmos w ramach misji Sojuz 18. Na wysokości stu czterdziestu pięciu kilometrów nad Ziemią dochodzi do awarii rakiety nośnej. Na Ziemi wiedzą już, że misja jest stracona.

Co z ludźmi? Na wysokości stu dziewięćdziesięciu dwóch kilometrów kapsuła Sojuza oddziela się od rakiety i zaczyna swobodnie spadać. W centrum kontroli lotów panika. Inżynierowie wyliczają, że wyląduje w górach Ałtaju. Niewykluczone, że już na terytorium Chin.

Przebywający na Ziemi kosmonauta Piotr Klimuk ostrzega załogę przez radio. – Pod wami góry, bądźcie ostrożni. Pod wami są góry – mówi spokojnym głosem. – Grupa poszukiwawczo-ewakuacyjna już do was leci. Wkrótce was znajdą. Uważajcie, pod wami góry – powtarza.

Makarow i Łazariew nic nie mogą zrobić, są zdani na łaskę wiatru. Spadochron hamujący, a po nim czasza główna otwierają się automatycznie. Lądownik opada na skraj górskiego urwiska, zatrzymuje się tuż nad dwustumetrową przepaścią. Kosmonauci nie wiedzą, gdzie są. W Związku Radzieckim, Chinach czy w Mongolii?

Wychodzą ze statku i zapadają się w głęboki na metr śnieg. Lodowate zimno wdziera się pod kombinezony. Zgrabiałymi rękami znajdują kontener NAZ (awaryjny zestaw nienaruszalny). Wyrzucają z kabiny gumowe skafandry przewidziane na wypadek wodowania, w końcu znajdują ciepłą odzież i zapałki. Ale jak podpalić zmarznięte i zawilgocone od śniegu gałęzie?

Ponownie przekopują kontener, na dnie znajdują instrukcję pod tytułem „Czynności załogi w terenie bezludnym". Drą jej kartki na drobne kawałki i rozpalają ogień. Noc spędzają przy ognisku. Nad ranem znajdują ich śmigłowce. Jeden zabiera kosmonautów, drugi kabinę Sojuza. Amerykanie do dzisiaj twierdzą, że Rosjanie wylądowali na terytorium Chin.

Rosjanie nie tylko utajniają szczegóły tej wyprawy, ale zmieniają nawet numerację lotu z Sojuza 18 na Sojuz 18-1. Kolejna kosmiczna misja dostaje ponownie nazwę Sojuz 18.

Sojuz 30 z Polakiem na pokładzie otrzymuje radiowy kryptonim „Kaukaz". Na pięć minut przed startem Klimuk melduje centrum

kontroli lotów: „Ja »Kaukaz«, skafandry hermetyczne".

Nieoczekiwanie odzywa się po polsku do Hermaszewskiego: – Co pan robi?

– Czekam, kiedy to już będzie. Może się rozmyślili? – odpowiada polski pilot.

Odwrotu nie ma. O szesnastej dwadzieścia siedem czasu moskiewskiego maszty podtrzymujące rakietę odchylają się. Silniki ożywają. Pole startowe tonie w ogniu. Rakieta pręży się, wibruje, po czym rusza ze świstem. W radiu krótkie: „Start". Hermaszewski krzyczy po polsku: – Ruszyliśmy, jedziemy!

Do polskiej delegacji, która obserwuje start, podchodzi szef prasowy centrum. Chwali Hermaszewskiego: – Bohater z waszego kosmonauty. Miał puls niższy od Klimuka!

Profesor Terelak: – W polskiej telewizji w soboty nadawano bardzo popularne Studio 2. Po powrocie z orbity zaprosili Mirka Hermaszewskiego. Zapytali go, czy się bał, a on odpowiedział bez wahania: „Tak, bałem się, bo każdy człowiek musi się bać. Kto się nie boi, musi być idiotą".

Mariusz Kukliński zdradza tajemnicę: – Mirosław Hermaszewski opowiadał mi, że tuż przed startem rakiety zauważyli spadek ciśnienia powietrza w kabinie. Nie wiedzieli, jak się porozumieć, żeby nie zaalarmować kontrolerów, którzy wszystkiego słuchali i od razu przerwaliby procedurę startu.

– W centrum kontroli lotów nikt tego nie zauważył – potwierdza Hermaszewski.

Między nim i Klimukiem dochodzi do wymiany zdań:

– Widzisz?

– Widzę, no i co?

– No i nic.

Hermaszewski: – Postukałem w szybkę, po chwili ciśnienie samo się wyrównało.

– Zapytałem potem, dlaczego ryzykował – wspomina Kukliński. – Odpowiedział: „Wiedziałem, że na jedno okrążenie powietrza wystarczy, a potem będę już kosmonautą".

Pułkownik Jankowski oficjalnie, w jednym z wywiadów: „Start Sojuza 30 oglądałem wspólnie z delegacją polską ze specjalnego punktu obserwacyjnego umieszczonego w pobliżu pozycji startowej. Jeśli powiem, że wtedy odczuwałem żal, ale tylko jako pilot, któremu nie dane będzie oglądać Ziemię z wysokości nieosiągalnej dla żadnego samolotu, być może niektórzy nie uwierzą. Trzymałem kciuki za to, by lot odbywał się bez zakłóceń, bo taki jest nasz lotniczy zwyczaj, bez względu na to, kto siedzi w kabinie. Miałem absolutnie czyste sumienie, że zrobiłem wszystko, a szansę dostał ktoś inny".

Nieoficjalnie: – Podszedł do mnie Ryszard Badowski, dziennikarz i podróżnik. Zapytał, jak się czuję, gdy widzę start rakiety z Hermaszewskim na pokładzie. Dziennikarka, która stała obok, złapała mnie za rękę. „Ja wiem, jak pan się teraz czuje".

Mogłem wzruszyć ramionami, ale odpowiedziałem Badowskiemu, że czuję się jak po wyścigu, w którym jeden biegł z górki i miał dłuższe nóżki, a drugi nie dość, że nogi miał krótsze, to jeszcze biegł pod wiatr.

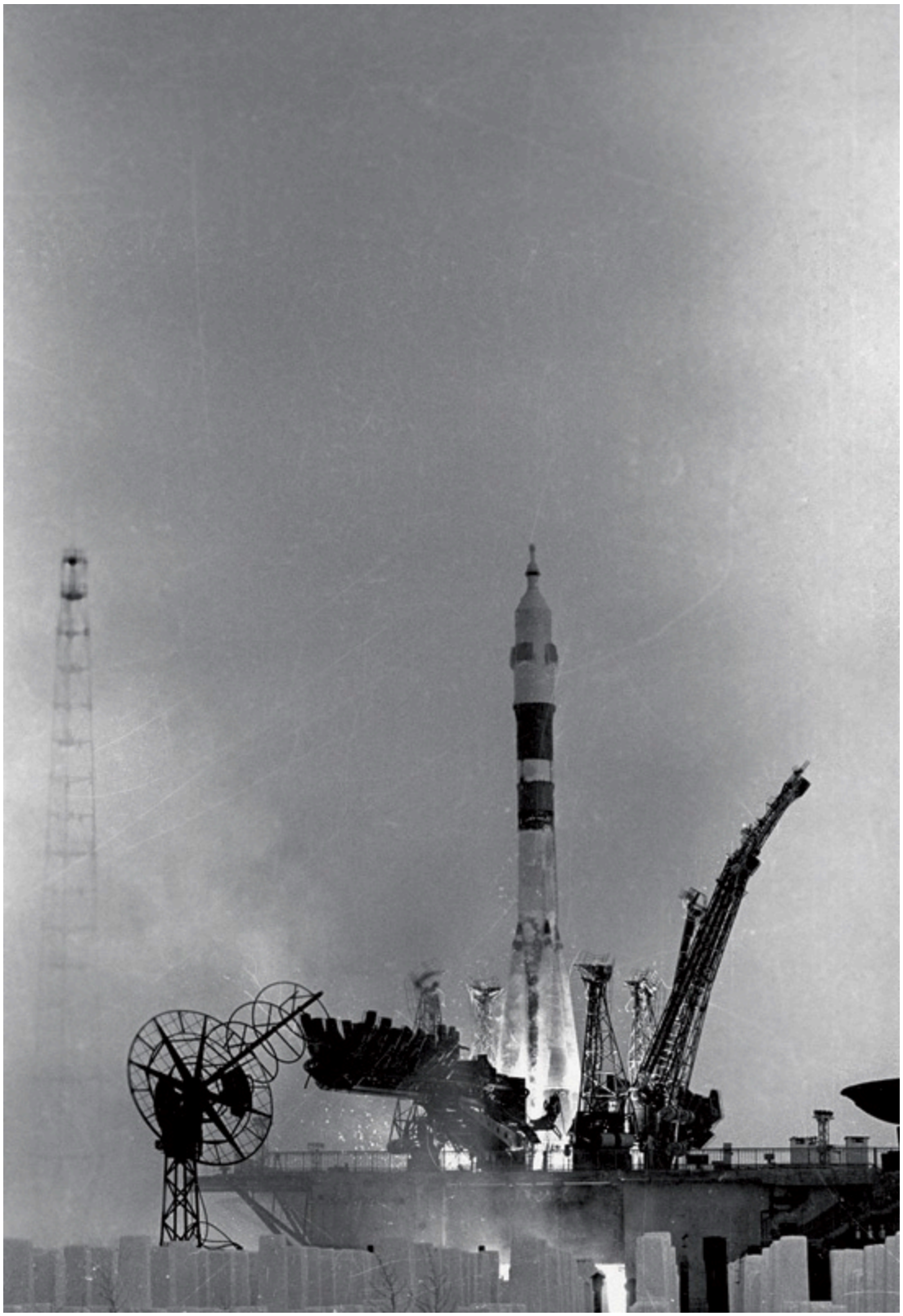

27 czerwca 1978 roku Sojuz 30 z pierwszym Polakiem na pokładzie startuje z kosmodromu Bajkonur. Korespondent Polskiego Radia relacjonuje: – Już

włączono aparaty zapłonowe, rakieta rusza. Leci w potwornym huku, ciągnąc za sobą chmurę dymu. 20 milionów koni mechanicznych! Wszystkie oczy wlepione w niebo

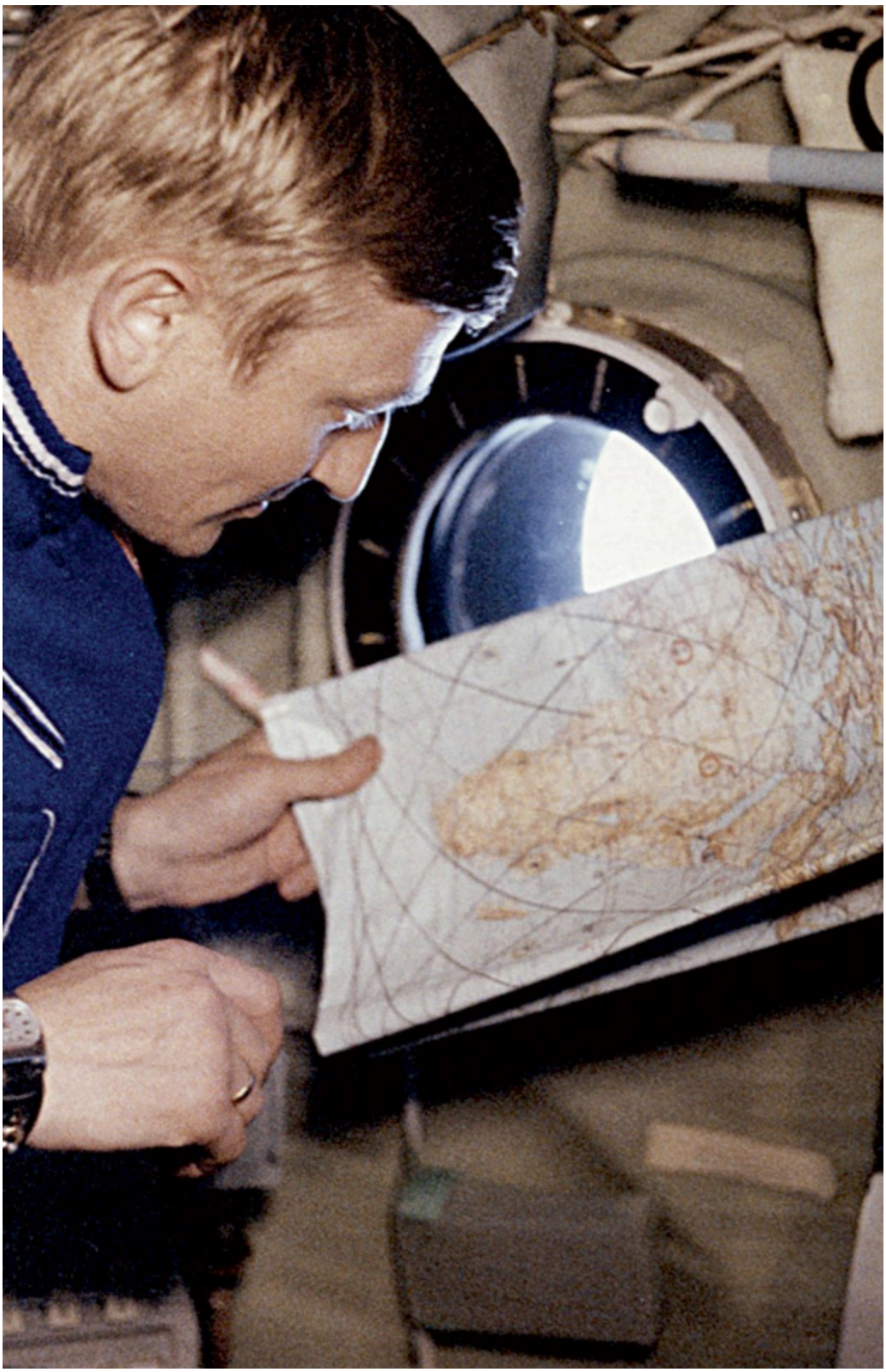

Mirosław Hermaszewski obserwuje Ziemię z pokładu Sojuza 30. – Była wspaniała – opowiadał po powrocie. – Najpierw ciemnoszara. Noc była krótka. Wschód słońca zobaczyłem we wspaniałych kolorach. Z każdą chwilą Ziemia dostawała coraz bardziej fantastycznych barw. Pełne okrążenie trwało 90 minut. Wystartowaliśmy w lecie i w ciągu półtorej godziny widzieliśmy wszystkie pory dnia i roku

ROZDZIAŁ 9

Twarz się nadyma, skóra napina, oczy nabiegają krwią

Jurij Gagarin o nieważkości: – Nie znam drugiego doznania, które tak trudno byłoby wyjaśnić.

Uczucie nie jest miłe. Statek osiąga orbitę, a jakaś siła przewraca człowieka, głowa leci na dół o sto stopni, i już zostawia w tym położeniu. Plątanina myśli, dezorientacja. Co się dzieje? Jak wrócić do dawnej pozycji? To trudne, bo głowa jest ciężka, jakby ktoś w nią nalał ołowiu, a reszta ciała lekka jak piórko. Wrażenie, jakby się wisiało głową w dół. Wnętrzności się przewracają, w przełyku czuć kłębek, który podchodzi do gardła.

Ciało nie chce słuchać, ręce i nogi odmawiają posłuszeństwa. Trzeba zachować spokój, ruchy muszą być harmonijne, od fotela i burt statku należy się odpychać delikatnie. Oddychać głęboko, nie myśleć o wymiotach.

Nie tak prosto, minimalne ruchy mięśni rąk i nóg sprawiają, że kosmonautą potrafi zakręcić jak wiertłem. Ciało wciąż gdzieś zawraca, nie chce słuchać. Można się też poczuć jak balonik, który

ktoś wciąż podbija to w jedną, to w drugą stronę. Trzeba się zmusić do zignorowania nieważkości, nie przejmować się nią, nie wydziwiać. Spokój, kontrola nad ciałem, bo inaczej będzie kłopot!

Piotr Klimuk: – Pamiętam swój pierwszy lot. Weszliśmy na orbitę i poczułem, jakbym pozbył się swojego ciała. Byłem jak pozbawiony rąk i nóg, nie czułem ich wcale, chociaż widziałem, że je mam. Wrażenie, jakbym się przeistoczył w nicość, jakby nie było mnie w fotelu statku kosmicznego, a trwał tylko mój umysł, który próbuje zrozumieć tę dziwną sytuację.

To krótki moment, bo mózg zaraz szuka tego, do czego jest przyzwyczajony na Ziemi – ciężaru. Każe kosmonaucie poczuć, że nie jest bezcielesną istotą, podpowiada, że to tylko złudzenie.

Kosmonauta Gieorgij Bieriegowoj pilnuje, żeby nie zamykać oczu. Czuje, że gdy to zrobi, jego ciało samo zrobi salto do tyłu. A Gieorgij Dobrowolski ma na orbicie wrażenie, że mu urywa głowę. Melduje, że brzuch mu się zapadł i czuje nieprzyjemne ssanie w dołku. Inni kosmonauci raportują, że kołysze ich i popycha jakaś niewidzialna siła, muszą się wciąż czegoś trzymać, żeby się nie wzbić w górę, że mają wrażenie, jakby krew z całego ciała spłynęła im do głowy.

Z lewej komory serca nasycona tlenem krew wypływa najgrubszą z tętnic, czyli aortą. Odchodzą od niej naczynia o coraz mniejszej średnicy, które przechodzą w sieć naczyń włosowatych oplatających organy. Dzięki nim krew dociera do wszystkich komórek ciała. Dostarcza im tlen, a zabiera dwutlenek węgla. Potem krew wraca

do prawego przedsionka serca z naczyń włosowatych przez żyłki i żyły o coraz większej średnicy. To duży obieg krwi, zwany także krążeniem obwodowym.

Mały obieg krwi, zwany obiegiem płucnym, rozpoczyna się w prawej komorze serca. Wypływa z niej pozbawiona tlenu krew, która trafiła tutaj z prawego przedsionka. Z prawej komory jest tłoczona do pnia płucnego, który rozgałęzia się na dwie tętnice płucne: prawą i lewą. Tętnice w płucach rozgałęziają się na coraz drobniejsze tętniczki, które tworzą sieć naczyń włosowatych oplatających pęcherzyki płucne. Dochodzi w nich do wymiany gazowej, czyli pobierany jest tlen i oddawany dwutlenek węgla. Natlenowana krew wraca żyłami płucnymi do lewego przedsionka serca.

Grawitacja sprawia, że na Ziemi w dolnej połowie ciała zawsze jest więcej krwi. Na orbicie organizm wariuje. – Osiem minut od startu, prawie litr krwi idzie do górnej części ciała. Powiększa się język, oczy łzawią, zatoki są zatkane. Pulsujące bóle głowy – wylicza profesor Klukowski.

Klimuk dodaje: – Twarz się nadyma, skóra napina, oczy nabiegają krwią, źrenice są rozszerzone. Spojrzałem w lusterko i przez głowę przemknęła mi szelmowska myśl. Jakby tu wysłać kobiety, które chciałyby wyglądać jak najmłodziej, to taka kosmiczna kosmetyka zdałaby egzamin. Żadnego defekciku ani piętna wieku nie pozostawiłaby na licach.

Nie krew sprawia największy kłopot, ale ucho. Gdy jesteśmy na Ziemi, narząd przedsionkowy-ślimakowy w uchu wewnętrznym daje nam ciągłe sygnały o naszym położeniu. Nawet gdy

zamkniemy oczy, podpowiada nam, czy stoimy, czy leżymy. W kosmosie wariuje. Nie wiadomo, gdzie góra, gdzie dół, gdzie prawo, gdzie lewo.

Piotr Klimuk: – Jedni znoszą stan nieważkości lżej, inni z trudem.

Profesor Klukowski bardziej dosadnie: – Choroba poruszeniowa to zaburzenie analizatorów wzroku, błędnika, czucia głębokiego ciała. Organizm reaguje ostro. Kosmonauci czują się fatalnie, tylko tego po sobie nie pokazują. Każdy ruch głową prowokuje wymioty. Prawie osiemdziesiąt procent kosmonautów ma objawy kosmicznej choroby poruszeniowej. Ktoś, kto już był w kosmosie, za każdym kolejnym razem będzie to znosił trochę lepiej. Ale u tego, kto leci pierwszy raz, nie można przewidzieć reakcji. Gagarin siedział nieruchomo, przypięty ciasno pasami, leciał sto osiem minut, więc nie odczuwał dolegliwości. Gierman Titow latał już dwie doby i przez dwie doby miał nudności. Walentyna Tierieszkowa miała bardzo ostrą postać tej choroby. Mówili potem, że kobiety nie nadają się do lotów orbitalnych, ale to nieprawda. Amerykanka Peggy White poleciała z trzema facetami. Wszyscy zachorowali, a ona nie.

Pierwszy lot Piotra Klimuka Sojuzem 13 w grudniu 1973 roku. Wnętrzności podchodzą mu do gardła, jest nieprzyjemnie, niewygodnie, fatalnie. Trudno znaleźć sobie miejsce. Ale po ośmiu godzinach Klimuk czuje się już znośnie. Zastanawia się nawet, dlaczego koledzy ostrzegali, że będzie źle, a jest całkiem dobrze.

Po śniadaniu znowu kłopot. – Przełknąłem kostkę chleba. Co jest!? Pokarm nie przechodzi do żołądka, czuję go ciągle w przełyku. Stoi i już! Popijam wodą, nie pomaga. Nawrót mdłości,

aż boję się ruszać głową – wspomina. – Męczyłem się dwa dni, na nic nie miałem ochoty, nic mi się nie chciało robić, głowa jak z ołowiu. Dopiero trzeciego dnia organizm zaczął się przyzwyczajać do nieważkości. Mdłości wracały, ale przynajmniej dało się wytrzymać.

Kosmonauta Witalij Siewastianow opowiada o swoim pierwszym locie Sojuzem 9, ale nie wspomina o wymiotach, raczej o dezorientacji. – Nie ma tam pojęcia góra – dół. Można tam jeść nawet siedząc „do góry nogami". Albo „staje się" nogami na suficie i je się obiad. No i nic. To, że się stoi głową „w dół", niczym mucha, wcale tam nie przeszkadza i ani trochę nie zmniejsza apetytu – mówi.

Klimuk: – Gdy poleciałem z Witalijem Sojuzem 18 w maju 1975 roku, bawiliśmy się doświadczeniami. Witalij zamykał oczy i opowiadał, co czuje. Mówił na przykład: „Zajmuję pozycję głową do dołu", a ja widziałem, że wisiał w powietrzu normalnie, głową do góry. Śmiałem się, bo on zawsze czuł inaczej, niż było w rzeczywistości.

Dla Klimuka to drugi lot w kosmos. Jest pewien, że tym razem uda mu się przechytrzyć nieważkość. Na orbicie „wskakuje" do śpiwora i przesypia dziesięć godzin. Cud. Budzi się z lekką głową, w piersiach nic nie dusi, nie mdli. Udało się! Pije wodę i... trach. Ołów w głowie, kłębek wełny w gardle i narastające mdłości.

– A wiecie, co mnie najbardziej drażniło? – pyta. – Zapach serwetek! Na Ziemi pachniały przyjemnie, w kosmosie nie mogłem ich wąchać, nie potrafiłem nawet na nie patrzeć, bo zaraz mi się podnosiło. Dopiero czwartego dnia mogłem zacząć w miarę normalnie funkcjonować. Zgłodniałem. Powrót apetytu to znak oswojenia się z nieważkością.

Nowicjusze zamęczają pytaniami tych, którzy byli już na orbicie. Jak tam jest, jak reaguje organizm, czego nie robić?

Hermaszewski oprócz Klimuka męczy Gieorgija Grieczkę. Konkrety: – Po pierwsze, Mirosław, nie jedz dużo. Nie kręć głową. Bierz do ust małe kąski, dobrze rozgryzaj. Uważaj, żebyś nie przepełnił żołądka.

27 czerwca 1978 roku, godzina szesnasta trzydzieści siedem. Rakieta Sojuz 30 z Mirosławem Hermaszewskim i Piotrem Klimukiem na pokładzie od dziesięciu sekund pędzi w górę. Hermaszewski spięty, czuje, jakby rakieta odchyliła się w bok i miała zaraz runąć, ale kontroler lotów mówi co innego: „Lot w normie". Polski kosmonauta odruchowo ściska drążek sterowy przy swoim fotelu. I tak nic nie mógłby zrobić, bo na drążku są tylko przyciski radiostacji. Statkiem kosmicznym na orbicie będzie sterował Klimuk.

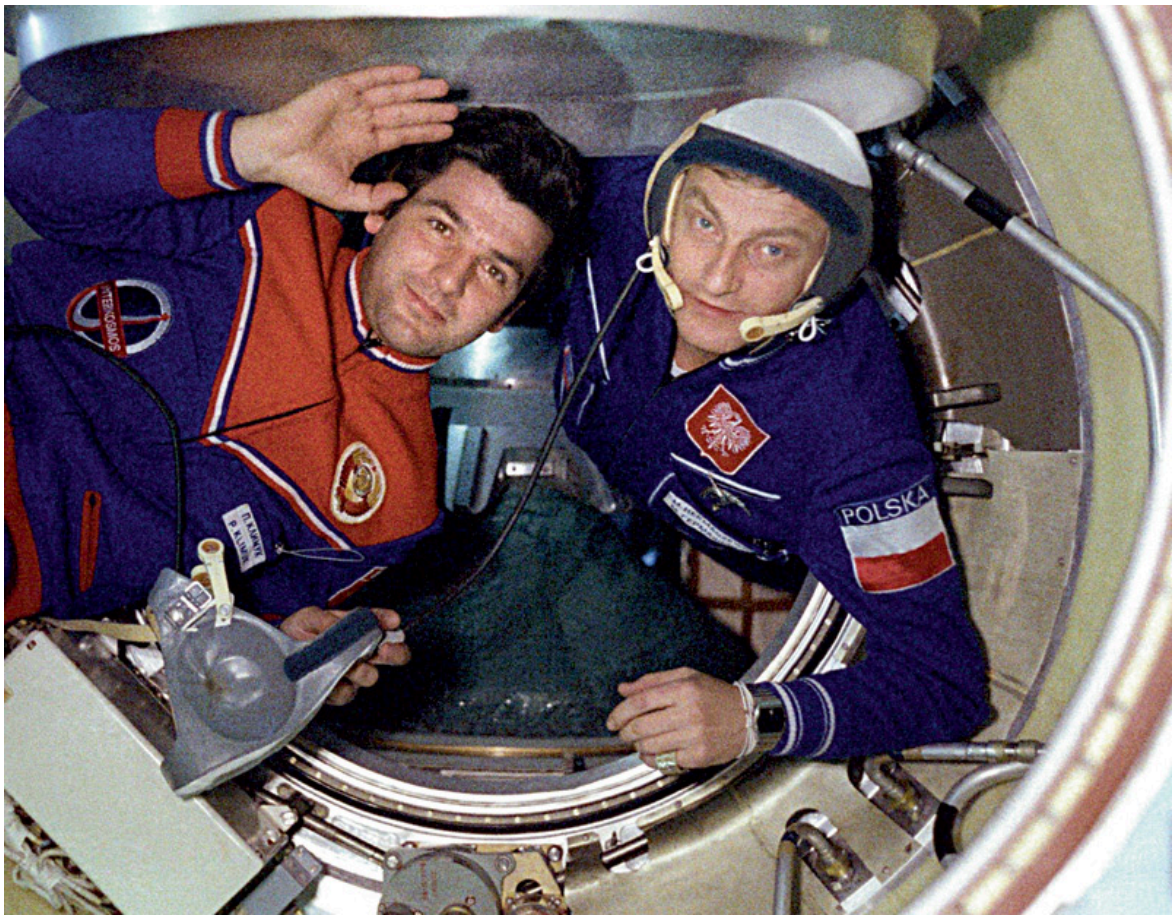

Piotr Klimuk i Mirosław Hermaszewski na orbicie. Polak po raz pierwszy doświadczył stanu nieważkości. – Pierwsze godziny w kosmosie są wymagającym testem dla organizmu. Zaburzenia błędnika powodują kłopoty z orientacją w przestrzeni. Okiełznanie bezwładności, wyhamowywanie każdego ruchu powodują trudny do opisania dyskomfort – mówi

Drgania coraz większe, przeciążenie wciąż rośnie, wydaje się, że ciało waży tonę. Na wysokości dwunastu i pół kilometra statek przekracza barierę dźwięku. Przeciążenie nie pozwala oddychać, kosmonauci łapią powietrze haustami. Rakieta trzęsie się, wibruje, gwałtownie szarpie kilka razy, po stu osiemnastu sekundach trzask, pierwszy trzon rakiety odpada, sto sześćdziesiąta pierwsza sekunda – statek odrzuca osłonę balistyczną, przez iluminatory do środka wpada wreszcie słońce. Dwieście dwudziesta ósma sekunda – mocne szarpnięcie. Drugi stopień rakiety wyczerpuje zapas paliwa

i odpada. Rakieta pędzi z prędkością siedmiu tysięcy ośmiuset metrów na sekundę. Nagle ostatni strzał, statek uwalnia się od ostatniego elementu rakiety, Hermaszewski czuje jakby uderzenie w plecy, a potem dziwne uczucie lekkości.

Orbita.

– Jakbym się znalazł w środku gigantycznej bańki mydlanej. Moja pozycja w fotelu statku przypomina położenie embriona w środku matki. Jestem spokojny, jest mi dobrze – opowiada.

Ale brak ciążenia szybko daje o sobie znać. – Puls mam miarowy – wspomina Hermaszewski. – Każde uderzenie serca potęguje to wrażenie. Serce czuję w skroniach i oczach, jakby przemieściło się do głowy. Czuję w niej coraz silniejsze pulsowanie i wzrastający, dokuczliwy ucisk. Wydaje mi się, że jestem jedną wielka głową, która wypełnia całą kabinę. Nie czuję rąk, korpusu ani nóg. Jestem jakby zawieszony w przestrzeni w pozycji nietoperza. Pomny przestróg kolegów poruszam głową ostrożnie, żeby nie drażnić błędnika. Spodziewam się nudności, a może nawet i torsji. Boję się tego stanu. Kiedy będzie niedobrze? Już czy dopiero za godzinę?

Hermaszewski czuje uścisk na ramieniu. To Klimuk. – No, Mirosław. Jesteś już kosmonautą.

Hermaszewski pamięta wszystkie rady. Na orbicie trzeba:

– nieustannie trzymać nerwy na wodzy, wszelki gwałtowniejszy ruch i można sobie napytać biedy,

– ruszać się ostrożnie, bo potem trudno „uspokoić” ciało; zaczynamy się chwytać czegoś rękami, ale nie od razu uzyskamy odpowiednie położenie,

– poskromić lęk, nie myśleć, że za ściankami statku, który pędzi z ogromną prędkością, rozpościera się czarna, pozbawiona życia pustka, że uderzenie malutkiego nawet meteorytu oznacza śmierć,

– nauczyć się odpoczywać, a to niełatwe, bo nie czuje się ani materaca, ani poduszki, ani kołdry; sypia się w śpiworach, ale trzeba się w nich przywiązać, bo przy lekkim poruszeniu można wypłynąć i zrobić sobie krzywdę,

– pamiętać, że mięśnie przestają pracować i zanikają, dlatego trzeba regularnie ćwiczyć; krew traci swój ciężar własny, częstotliwość skurczów serca maleje, spada ciśnienie tętnicze, wapń jest wypłukiwany z organizmu, kości robią się kruche.

Teraz może sam sprawdzić, jak to jest. „Nieważkość poniewierała mną we wszystkich kierunkach – napisze we wspomnieniach. – Zauważyłem, że dwojako rozumiem geografię wnętrza statku. Wzrokiem rejestruję pion w kierunku pierś-plecy, lecz jeśli odwrócę uwagę lub zamknę oczy, natychmiast odnoszę wrażenie, że obróciłem się o 90 stopni. To uczucie powoduje zawroty głowy i dodatkowe zmęczenie. Patrzę w lustro. Twarz mam nabrzmiałą, oczy jakby podpuchnięte. Nieźle, bo myślałem, że zobaczę ogromną głowę".

Hermaszewski w swojej autobiografii „Ciężar nieważkości" tylko tyle:

– Jak samopoczucie? – pyta go Klimuk.

– Myślałem, że będzie gorzej – odpowiada.

Więcej w jednym z wywiadów z 2001 roku: „Nieważkość pojawiła się nagle. Utraciłem możliwość oceny mojego położenia w przestrzeni. Czułem ucisk krwi w głowie. Pojawiło się uczucie wiszenia głową do dołu, które nie ustępowało, bez względu na zmianę pozycji. Później upajałem się nieważkością i myślałem, że tak już będzie stale. Pozwoliłem sobie na kilkanaście fikołków

i wtedy nieważkość upomniała się o swoje prawa. Cierpiałem przez następne trzy dni".

Klimuk po latach: – Im człowiek wyższy, tym gorzej znosi nieważkość. Ja mam metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, Mirosław metr dziewięćdziesiąt. Prawda jest taka, że w pierwszym etapie lotu Mirosławowi nie było lekko. Dał radę, ale lekko nie było. Musiałem go bardzo wspierać.

Aleksiej Leonow (pierwszy, który spacerował w otwartej przestrzeni) przypomina, że nieważkość daje o sobie znać także po powrocie na Ziemię.

– Andrijan Nikołajew i Witalij Siewastjanow w 1970 roku spędzili na orbicie osiemnaście dni – mówi. – Czuli się bardzo dobrze, wesoło sobie latali, jakby odpoczywali. Gdy wrócili na Ziemię, nie mogli ustać na nogach. Nikołajew ściągnął hełmofon z głowy i nie dał rady utrzymać go w dłoniach. Zdążył tylko złożyć meldunek, że jest gotów do wypełnienia kolejnej misji, i zemdlał.

Klimuk: – Podczas drugiego lotu na orbicie spędziłem prawie dwa miesiące. Po wylądowaniu wyszedłem z kapsuły o własnych siłach, ale byłem jak dziecko, które od nowa musi nauczyć się chodzić. Dosłownie jak roczne dziecko, zamiast stawiać kroki, truchtałem. To było nawet zabawne. Nie ma rady, trzeba do siebie dojść. Zasada jest taka, że jak długo latasz, tak długo potem dochodzisz do siebie. Ale ja już po dziesięciu-piętnastu dniach byłem w porządku. Lekarze pracują nad tobą, podają leki, ale potrzebny jest czas. Pamiętam, że minęło już sporo czasu, gdzieś występowałem, nagle poczułem, jak strużka potu biegnie mi po plecach. Dlaczego? Nie wiadomo.

Profesor Klukowski: – Nie zdradzili wam, że pierwsi kosmonauci, którzy wracali z orbity, katapultowali się ze statków. Lądownik spadał pusty. A potem, gdy już nie musieli się katapultować, kosmonauta najpierw był wyciągany z lądownika, myty, przebierany w czysty kombinezon. W tym czasie sprzątano lądownik, a dopiero potem ponownie dowożono do niego kosmonautę i można było zrobić zdjęcia szczęśliwego powrotu na Ziemię. Rosjanie przez długie lata na ten temat milczeli, bo bohater Związku Radzieckiego, zdobywca kosmosu, nie może przecież wymiotować.

Mirosław Hermaszewski na pokładzie stacji kosmicznej Salut 6. Po latach powie: – Kosmos nauczył mnie pokory. Wobec nieskończoności poczułem się mały jak ziarnko piasku. Po locie zacząłem szukać w życiu pozytywów. Ziemia stamtąd wygląda pięknie! Wziąłbyś ją w ręce i chuchał, dmuchał, żeby pozostała taka dla naszych wnuków. Układ Słoneczny, planety, gwiazdy. W nocy jesteś z tym sam na sam, koledzy śpią i zaczynasz myśleć: skąd się tu wziąłem? Gdzie jest sprawca tej doskonałości?

ROZDZIAŁ 10

Gwiazdy to tylko dziurki w starym kocu

– Jak tu pięknie! – krzyczy Jurij Gagarin, gdy widzi Ziemię z orbity.

Aleksiej Leonow potwierdza: – Jest okrągła!

Mirosław Hermaszewski zauważa: – Wydaje się piękna, delikatna. Taka spokojna. Kosmos czarny, a ona kolorowa. Błękitno-biała, ale każdy kontynent i ocean ma swoją barwę. Arktyka biała, Afryka ceglasta, Sahara żółta, a Tybet brązowy. Morza cudownie niebieskie, a wyspy otoczone seledynową smugą.

Piotr Klimuk wniesie poprawkę: – Ziemia jest zielonkawa. Ma najrozmaitsze odcienie zieloności, od głębokiej, ciemnej, jak świerkowy las, do jasnej, wręcz żółtawej, jak barwa trąconych pierwszym przymrozkiem liści klonu. Ale jednocześnie jest błękitna. Płynie w czarnym wszechświecie spowita w szarawą, a chwilami czystą i przejrzystą, błękitną aureolę.

Wszyscy: – Wręcz hipnotyzująco piękna. Nie można od niej oderwać wzroku.

– Chińskiego muru, wbrew obiegowym opiniom, z orbity nie widać – wyjaśnia Hermaszewski. – Wspaniałe są wschody i zachody słońca. Wszystko jest w ciągłym ruchu, ale ten ruch nie ogranicza się tylko do zmiany położenia. Dotyczy barw, ich intensywności, nasycenia. Pełne okrążenie trwało dziewięćdziesiąt minut. Wystartowaliśmy z Piotrem Klimukiem w lecie i w ciągu półtorej godziny widzieliśmy wszystkie pory dnia i roku. Ziemia autentycznie „wisi" w przestrzeni. Świadomość obecności w bezkresie, wśród miliardów gwiazd naszej galaktyki rodzi naturalne pytania o miejsce ludzi, sens istnienia i daje przekonanie, że człowiek jest tylko niepokorną nicością.

Hermaszewski chce zobaczyć jak najwięcej, jak najwięcej zarejestrować. – Bałem się, czy mój mózg będzie potrafił to wszystko zapamiętać, czy będę potrafił to później opowiedzieć – wspomina. Na wątpliwości nie ma czasu, bo trzeba sprawdzić hermetyczność statku, sprawność systemów pokładowych, aparaturę badawczą, przygotować urządzenia do połączenia ze stacją orbitalną.

Podczas czwartego okrążenia Ziemi Sojuz przeleci nad Polską. Hermaszewski przyklejony do iluminatora już od Atlantyku. Widzi Maderę, Wyspy Kanaryjskie, góry Atlas i południe Hiszpanii. W Polsce już noc, ale dostrzega kontury Zatoki Gdańskiej, światła Bydgoszczy i Warszawy. Południe kraju zasłonięte było grubą warstwą chmur.

– Ciekawe, co tam na dole? – myśli.

O locie Polaka wiedzą już wszyscy. Telewizja przerywa program, samochody przywożą do kiosków nadzwyczajne wydania gazet.

„Pierwszy Polak w kosmosie", „Polska flaga w kosmosie" – krzyczą nagłówki. W radiu puszczają piosenkę: „Polski lotnik kosmonauta, w naszych dziejach złota karta". Polska Agencja Prasowa nadaje komunikat: „Statek kosmiczny Sojuz 30 znalazł się nad Polską dwie minuty po godzinie dwudziestej pierwszej, przekroczył granicę w rejonie Jeleniej Góry. Dwadzieścia sekund potem był nad Wrocławiem, a czterdzieści sekund potem nad Warszawą. Granice Polski opuścił trzy minuty i dwadzieścia sekund po godzinie dwudziestej pierwszej".

Reporterzy „Życia Warszawy" opisują reakcję ulicy.

„Marian Paszkowski wymienia koło w swoim fiacie. – Czy słyszałem? Trudno o tym nie słyszeć. Dla mnie ten lot jest najlepszym dowodem, że my Polacy mamy aspiracje. Niech cały świat zobaczy, że nasz naród, który w historii tyle razy »dostawał w kość«, dziś należy do zdobywców kosmosu. Ogromna satysfakcja".

„Stanisława Szubert, kierownik sklepu spożywczego nr 113, nie wierzy w to, co słyszy. – Czy to nie żart? A jeśli to prawda, to jestem dumna. Ale trudno mi to sobie wyobrazić. Gdyby to był mój syn, pewno wstrzymałabym oddech. Nie wiem, czy potrafiłabym opanować nerwy. Ale cieszę się bardzo".

„Plutonowy MO Wacław Dąbrowski o locie w kosmos dowiedział się w komendzie, przed chwilą rozpoczął służbę. – Polska nauka górą, trzeba by krzyknąć. To bardzo ważne dla nas wydarzenie, sama duma i radość – powiedział".

Polska Agencja Prasowa cytuje Marka Szczypeckiego, górnika z kopalni Wujek: „Przeżywam trudną do wyrażenia słowami radość i dumę. Nasza twarda górnicza robota uczy nas wiary we własne siły i powodzenie wykonywania powierzonych zadań. Wiem, że nad powodzeniem programu, jaki mają realizować kosmonauci, czuwają na Ziemi najbardziej doświadczeni specjaliści i wspaniała

technika, która wyniosła radziecko-polską załogę w kosmiczną przestrzeń".

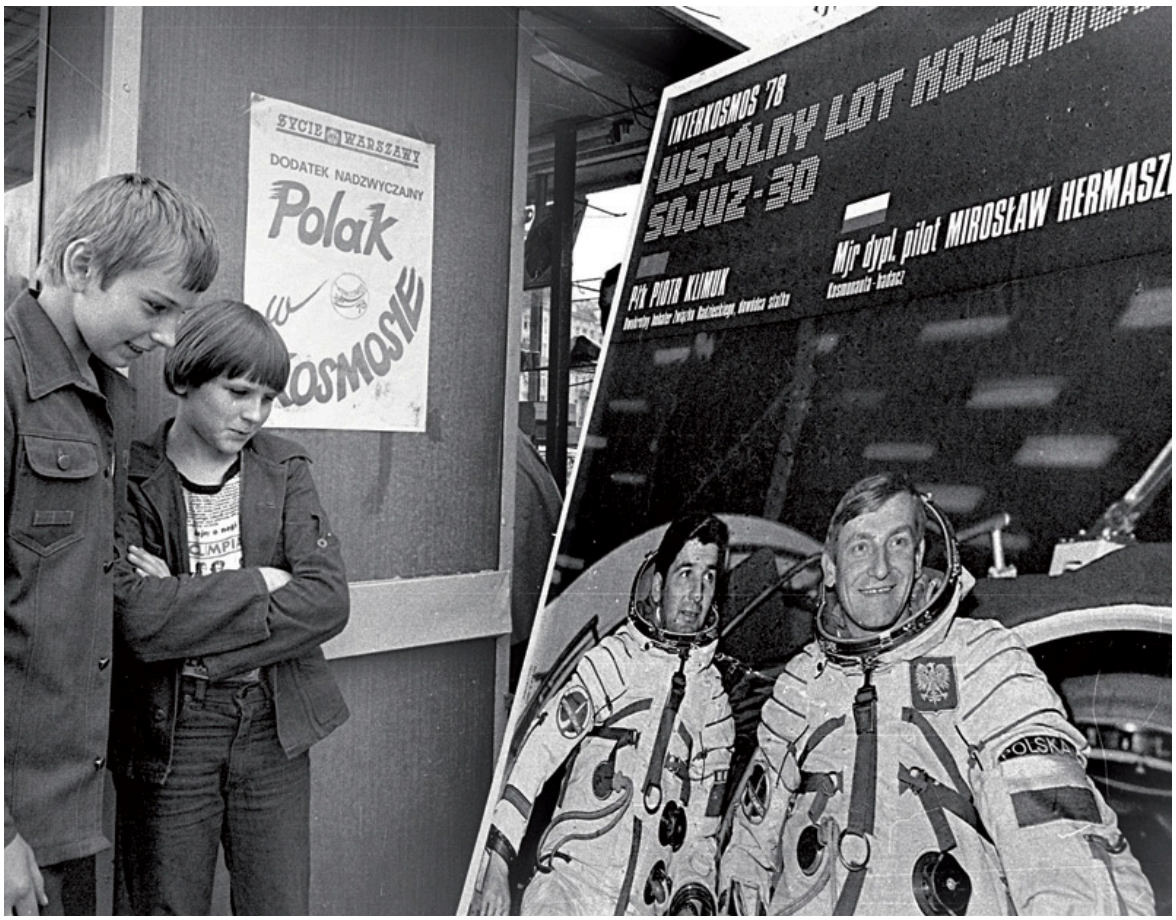

Latem 1978 roku nie było chyba w Polsce osoby, która nie wiedziałaby, kim jest Mirosław Hermaszewski. – Propaganda była wpisana w lot, nie dało się jej uniknąć – mówi pułkownik Zenon Jankowski

W warszawskim klubie studenckim Hybrydy organizatorzy przerywają giełdę płyt. „Mamy Polaka w kosmosie". Ludzie biją brawo. Na szybach kiosków Ruchu pojawiają się zdjęcia Mirosława Hermaszewskiego.

Edward Gierek wysyła matce Hermaszewskiego list gratulacyjny. Podobny dostaje matka Zenona Jankowskiego. „Dziękuję pani za wychowanie syna na dzielnego i prawego obywatela naszej socjalistycznej ojczyzny" – pisze do niej przywódca PZPR.

W Wołowie, gdzie mieszka matka Hermaszewskiego, szaleństwo. Tłumy dziennikarzy, pytają o adres. Ludzie chętnie wskazują drogę. O Hermaszewskim mówią: „Nasz polski Gagarin".

Kamila Hermaszewska wszystkich przyjmuje. Opowiada: „Podczas hitlerowskiej okupacji, w 1943 roku wydarzyła się tragedia. Mój mąż został zamordowany przez faszystów. Mirek miał wtedy dwa lata". Albo: „Nie lubię wspominać tamtych dni. Dopiero wyzwolenie zbudziło nas jakby z koszmarnego snu". A także: „Moją ambicja było, aby dzieci się kształciły. Tylko taki posag mogłam im dać, żadnego majątku nie miałam". „Wszyscy moi synowie zostali lotnikami. Myślałam, że Mirek, najmłodszy, zainteresuje się medycyną. Władza ludowa otworzyła te możliwości".

O wychowaniu: „Może miałam dla swoich dzieci za twardą rękę, ale tak trzeba było. Do domu zawsze musieli wracać w porę. Nie było mowy o nieposłuszeństwie. Skarg nauczycieli czy sąsiadów na swoje dzieci nie pamiętam, a dobrych słów wiele. Chyba miałam więc rację z tą dyscypliną. Moje dzieci – moja radość i duma. Tak właśnie powiedział do nas, matek żołnierzy, minister Wojciech Jaruzelski na spotkaniu w 1972 roku, że powinnyśmy być dumne ze swoich dzieci i tego matczynego trudu".

O Mirku: „Odkąd pamiętam, zawsze interesował się lotnictwem, jego marzeniem było szybować w powietrzu. (...) Na szczęście nigdy nie chorował, nie licząc drobnych przeziębień. Do zawodu, jaki sobie wybrał, trzeba mieć dobre zdrowie".

O tym, co w życiu ważne: „Żeby zawsze być uczciwym i prawym, rzetelnie traktować każdą powinność. Cenić nie tylko to, co własne, ale przede wszystkim dobro ogólne".

O marzeniach: „Szkołę oficerską syn skończył jako prymus. Był rok 1961. Pamiętam, kupiliśmy akurat radio. Mirek przyniósł je ze sklepu, podłączył antenę, włączył do kontaktu. Tego samego dnia podano komunikat, że pierwszy człowiek na świecie, radziecki pilot Jurij Gagarin wystrzelony został na orbitę okołoziemską. Kosmos – to słowo nie było wówczas jeszcze tak popularne jak dzisiaj. Syn słuchał tych wiadomości z zapartym tchem. Mamo, powiedział, wiesz, co by to było, gdyby w kosmos poleciał Polak?

Kamila Hermaszewska, matka pierwszego polskiego kosmonauty, o wychowaniu dzieci: – Nie wolno ich trzymać pod kloszem, żadna cieplarnia. Trzęsienie się rodziców, żeby dziecku za wszelką cenę było dobrze, sprawia, że w przyszłości będzie mu źle

Nie przypuszczał wtedy, że jego marzenie się spełni i że to będzie właśnie on. Myślę o swoim życiu, patrzę na lata, które mam za sobą. Bywało dobrze i szczęśliwie. Bywało też ciężko i źle. Potem

znów lepiej i znów gorzej. Dobro i szczęście traktuje się jak to, co się człowiekowi od losu należy. Zło jak krzywdę, która nie wiedzieć za co nas spotyka".

O wzruszeniu: „Przywiozłam z Gwiezdnego Miasteczka chleb, którym żywią się kosmonauci podczas lotów. Dziesięć maleńkich czarnych bocheneczków w opakowaniu z folii. Ciągle spoglądam na ten chleb... Jak wiele zmieniło się od czasu, gdy pakowałam moim dzieciom skromne kanapki do szkoły".

Dziennikarze pędzą do szkoły. Dowiadują się, że polski kosmonauta już w pierwszej klasie podstawówki interesował się lotnictwem. Emerytowana nauczycielka, pani Winniczuk, potwierdza. Narysowała pierwszoklasistom samolot i ogłosiła konkurs na rysunek. Mały Mirek zaczął szukać podobnych sylwetek samolotów w „Skrzydlatej Polsce". Potem wstąpił do klubu modelarskiego (na strychu domu urządził sobie warsztat modelarski), a w liceum zainteresował się szybownictwem.

Z protokołów rad pedagogicznych Liceum Ogólnokształcącego w Wołowie wynika, że był uczniem spokojnym, zdolnym, kulturalnym, ambitnym i koleżeńskim. Ulubiony przedmiot – fizyka. Członek kółka fizycznego, a nawet asystent wymagającego nauczyciela fizyki Edwarda Żebrowskiego. Mirek jako jeden z trzech uczniów wołowskiego liceum wybiera fizykę na maturze i zdaje ją celująco.

W kronice szkolnej zapis z 28 maja 1960 roku. Uczniowie liceum jadą do Wrocławia na wystawę „Od Kopernika do Łunnika" zorganizowaną przez Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Podczas oglądania wystawy Hermaszewski z zapałem opowiada kolegom, co nauka wie o kosmosie i kolonizacji Księżyca. Marzy o takim locie.

Dziennikarze wyłapują jeszcze: aktywny harcerz, potem wstępuje do Związku Młodzieży Socjalistycznej.

Matka po swojemu: „To było dobre, normalne dziecko, co to i na czereśnię wchodziło, i w piłkę na podwórku grało, a i potrafiło w podartych spodniach do domu wrócić. Patrzę dziś na te wszystkie kwiaty, czekam na telewizyjną transmisję z kosmosu i jestem tak szczęśliwa, że aż znów młoda".

Wszystkie wypowiedzi kontroluje cenzura.

Oficjalne informacje o żonie i dzieciach. Tylko tyle, ile konieczne: małżonka pierwszego polskiego kosmonauty ma na imię Emilia, urodziła się w Wołowie 23 sierpnia, a więc w Święto Lotnictwa. Ślub odbył się w 1965 roku w pięknej oprawie lotniczego ceremoniału. Rok później urodziła syna, rodzice dali mu imię po ojcu, Mirosław. Dziewięć lat później na świat przyszła córeczka, imię dostała po matce. Hermaszewscy są szczęśliwą rodziną, bardzo lubianą. Dowcipni, pełni humoru, bywają duszą towarzyskich spotkań. Ale życie z żołnierzem nie jest łatwe. Ciągłe przenosiny z garnizonu do garnizonu, długie rozstania, gdy mąż wyjeżdża na ćwiczenia i studia. Poza tym rodzina kosmonauty niczym specjalnym się nie wyróżnia. Jest jak setki tysięcy innych.

Przyjacielskie spotkanie w mieszkaniu Hermaszewskich w Gwiezdnym Miasteczku. Na zdjęciu Mirosław Hermaszewski, jego syn Mirosław junior, Piotr Klimuk, jego syn Misza, żona Lila oraz Emilia Hermaszewska z córeczką Emilią

Władze czują, że euforii z powodu polskiego lotu w kosmos nie ma. Ludzie szepczą, ile to kosztowało. Dwadzieścia milionów dolarów? Po ulicach krąży dowcip, że premier Jaroszewicz omal nie dostał zawału, gdy Rosjanie przysłali mu rachunek. Dobiła go wiadomość, że to tylko pierwsza rata.

Partyjne gazety żyją lotem do 22 lipca – Święta Odrodzenia Polski. Polak w kosmosie to symbol sukcesów socjalistycznego państwa. Dlatego w każdym materiale wypada przypomnieć, że lot Polaka to

jedno z największych osiągnięć polskiej nauki i zbiega się z narodzinami trzydziestopięciomilionowego Polaka.

O tym wydarzeniu pracownicy centrum łączności w Moskwie informują przebywającego na orbicie Hermaszewskiego.

– Dziewczynka – mówią.

– Ale to nie ja! – odpowiada im kosmonauta. – Przecież wiecie, że od półtora roku nie byłem w Polsce!

Statek Sojuz okrąża Ziemię w ciągu dziewięćdziesięciu minut, w czasie ziemskiej doby aż szesnaście razy. Co jakiś czas wschód i zachód słońca. Kosmiczna noc trwa trzydzieści siedem minut.

Hermaszewski i Klimuk pracują do czwartej nad ranem.

– Gdzie chcesz spać? – pyta dowódca Sojuza.

Hermaszewski ma pomysł. Nie przypnie się do fotela, będzie swobodnie dryfował we wnętrzu kabiny.

Klimuk kręci głową. – Ziemskich snów – mówi, przypinając się luźno pasami do fotela statku.

Kosmonautom zazwyczaj śnią się ziemskie krajobrazy: las, rzeka, pole. Albo najbliżsi: dzieci, żona, mama.

Władimirowi Gubariewowi przyśnił się wróbel. Siedział na zakurzonej drodze i szukał pożywienia. Klimuk zaś zobaczy we śnie deszcz. I usłyszy piosenkę Lwa Leszczenki „Przyciąganie ziemskie". „Jesteśmy dziećmi galaktyki, ale przede wszystkim twoimi dziećmi, nasza droga Ziemio" – nuci artysta, kołysząc Klimuka.

– Chciałem poczuć, jak to jest – spać, unosząc się w powietrzu – wspomina Hermaszewski. Ale w kabinie statku kosmicznego bez przerwy pracuje system wentylatorów, które wymuszają przepływ powietrza. Na Ziemi sprawa jest prosta – wydychane powietrze jako

cieplejsze unosi się znad twarzy. Na orbicie wydychany przez kosmonautę dwutlenek węgla sam się nie uniesie. Bez wentylatorów otoczyłby głowę i udusiłby kosmonautę. Dla śpiącego Hermaszewskiego wymuszony ruch powietrza to problem. Delikatny, ledwo wyczuwalny prąd nosił go po całej kabinie, obijał o ściany.

– Obudził mnie potworny huk, nie wiedziałem, co się dzieje – opowiada. – Myślałem, że uderzył w nas meteor. Okazało się jednak, że to wentylator przyciągnął mnie do siebie i przyssał do siatki zabezpieczającej. Tak się przecież nie da spać! Przeniosłem się pod szafkę z pojemnikami regeneracji powietrza, które podczas pracy oddawały ciepło. Objąłem jeden taki pojemnik jak kogoś bliskiego i błogo usnąłem. Bum! Kolejne uderzenie ciała o ścianę. Hermaszewski musi zrezygnować i się przypiąć. Odkrywa nowe doznania. Nie mocuje rąk, które w stanie nieważkości unoszą się bezwładnie jak ręce topielca w wodzie. Śni mu się, że tonie.

Potem już lepiej. – Przyśnił mi się kapitan Nemo, który zaglądał do statku kosmicznego przez iluminator. Dobrze to pamiętam, miał twarz Piotra Klimuka. Podpłynął do mnie, dłonie miał duże i ciepłe. Przykrył mnie puszystym futrem z foki i rozpłynął się w przestrzeni – opowiada Hermaszewski.

Stacja kosmiczna Salut z rozłożonymi skrzydłami baterii przypomina metalową ważkę. W porównaniu ze statkiem Sojuz bardzo obszerna. – Można puścić się w tany – mówi Klimuk. Wreszcie się można wyprostować.

Pełna kontrola z Ziemi. Ludzie w centrum kontroli lotów pracują bez przerwy na cztery zmiany. Komputery na bieżąco obliczają

trajektorię, przetwarzają masę danych. Lekarz monitoruje pracę serc kosmonautów. Operator łączy się ze stacją o wyznaczonych porach. Saluta obserwują stacje śledzące rozmieszczone w różnych częściach Związku Radzieckiego i na sześciu statkach badawczych. Wszelkie decyzje podejmuje kierownik lotu, do którego spływają informacje.

Przed Klimukiem i Hermaszewskim trudne zadanie. Muszą zacumować swój statek do stacji orbitalnej. Czekają tam na nich Władimir Kowalonok i Aleksandr Iwanczenkow.

Klimuk: – Operacja łączenia się jest skomplikowana. Statek, który mknie z wielką prędkością, musi się zbliżyć do stacji, która także pędzi z prędkością około dwudziestu dziewięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Trzeba tak to zrobić, aby wysięgnik stykowy statku trafił w odpowiednie wgłębienie stacji o średnicy zaledwie osiemdziesięciu centymetrów. Trzy etapy: zbliżanie się, cumowanie i mechaniczne łączenie. Można tego dokonać ręcznie, automatycznie albo sposobem mieszanym. Stacja i statek muszą się znajdować na tej samej wysokości, w jednej płaszczyźnie. Statek za pomocą silników manewrowych trzeba wynieść na orbitę, którą nazywamy montażową. Żeby osiągnąć cel, trzeba kilka razy okrążyć Ziemię.

W centrum kontroli lotów absolutna cisza. Na wielkim monitorze coraz to nowe wykresy. Na tle panoramicznej mapy świata przesuwają się dwa punkciki: statek kosmiczny Sojuz 30 i stacja orbitalna Salut 6. Jeszcze są daleko od siebie, ale z każdym okrążeniem Ziemi odległość maleje. Kosmonauci na Salucie zmieniają nieco położenie stacji. Piotr Klimuk na Sojuzie na 15,5 sekundy włącza silniki i zaczyna doganiać stację kosmiczną. O dziewiętnastej pięćdziesiąt dziewięć obydwa obiekty dzieli odległość kilkuset metrów. Pracownicy centrum mają podgląd z kamer. Ze stacji doskonale widać już kontury Sojuza 30. Kowalonok włącza oświetlenie węzła stykowego. Kosmonauci nic

nie muszą robić. Anteny Saluta wysyłają fale elektromagnetyczne, cała stacja staje się jedną wielką radiolatarnią. Na statku zostaje włączony sygnał zbliżenia, pulpit jarzy się napisem „poszukiwanie". Anteny kierunkowe szukają latarni stacji orbitalnej. Stacja i statek szybko się odnajdują, jeszcze kilka kilometrów, wreszcie sygnał „uchwycenie". Statek pędzi ku stacji z prędkością ośmiu metrów na sekundę, sześciu, co kilka sekund włączają się silniki korekcyjne. Kilometr, osiemset metrów, sześćset...

Hermaszewski: – Na pokładzie Sojuza mieliśmy skrzynkę z ekranikiem, na którym powinna migać plamka oznaczająca stację Salut. Klimuk każe meldować, czy plamka jest w centralnym położeniu, jak prędkość względem stacji. Ale ekran jest martwy.

– Piotr, nie ma żadnej plamki.

– Musi być!

– Naciskam na guziki, przełączam wyłączniki. Nic! – wspomina Hermaszewski. – W końcu ze złością walę w ekranik. Urządzenie zaczyna działać.

W wizjerze widać wreszcie migocącą gwiazdkę – to stacja orbitalna. Z każdą sekundą rośnie, jest podświetlona przez słońce, zielona, a płyty paneli słonecznych szafirowe. Trzysta metrów, prędkość dwa metry na sekundę względem stacji. Na pulpicie podświetla się napis „cumowanie". Prędkość 0,3 metra na sekundę. Miękkie, głuche stuknięcie.

O dwudziestej sześć Mirosław Hermaszewski składa meldunek o udanym połączeniu.

– Pozdrawiamy was – odpowiada kierownik lotu.

Centrum kierowania lotami kosmicznymi pod Moskwą. Sala pełna komputerów, które bez przerwy przetwarzają dane o parametrach lotu i samopoczuciu kosmonautów. W zależności od potrzeb są one wyświetlane na tablicach lub drukowane na papierze. Na zdjęciu generał Wojciech Jaruzelski (piąty z lewej) czeka na radiowe połączenie z załogą Sojuza 30. Obok niego stoi podpułkownik Zenon Jankowski

Dziennikarze z Polski obserwują ten moment w moskiewskim centrum. Wadim Krawiec, zastępca kierownika lotu, wyjaśnia szczegóły: – Manewr połączenia przebiegł bardzo sprawnie. Nad Bajkonurem obiekty przeleciały w odległości dwustu pięćdziesięciu metrów od siebie, a nad Bajkałem automatycznie się połączyły. W końcowej fazie manewr zbliżenia odbywał się przy zastosowaniu automatycznego systemu naprowadzania.

Trzy godziny później Moskwa pozwala: otwierajcie luk.

Pierwszy na pokład stacji przeciska się Hermaszewski. Kowalonok wita go kosmicznym chlebem i solą. Jest radość, uściski, pocałunki. Kamera rejestruje rozmowę.

– Jak wrażenia z lotu? – pytają Polaka.

Odpowiada nader poważnie: – To nie tylko wielka, niezapomniana przygoda, ale i trudna, odpowiedzialna praca.

Koniec seansu łączności z Ziemią. Kosmonauci muszą jeszcze podłączyć zasilanie statku do stacji Salut, przenieść do niej ładunki (osiem pojemników z wodą, zapasy jedzenia, materiały do prowadzenia eksperymentów), zabezpieczyć urządzenia na pokładzie Sojuza, przerzucić wąż wentylacyjny.

Potem jest już nieformalnie. Hermaszewski dzieli się pierwszymi odczuciami. Myślał, że stacja pachnie sterylnie, ale niespodzianką jest zapach „techniczny".

Z bagażu wyjmuje dwa jabłka i dwie cytryny. Kiedy Kowalonok je obiera, aż przełyka ślinę. Dzieli jabłko na cztery części, ale załoga Sojuza oddaje im swoje cząstki. Skórki wieszają po obu burtach stacji. Po lewej stronie tworzą aleję cytrynową, a po prawej jabłkową. Pięknie pachniały.

Jest jeszcze coś, o czym wtedy opowiadać nie było można, a teraz już tak. Krótko przed startem Hermaszewski przelewa polski winiak do czterech plastikowych buteleczek po paście do elektrod medycznych. Na każdej nakleja etykietkę koniaku. Przełożonym mówi, że to żart, a w pojemnikach jest eleuterokok, lek łagodzący skutki choroby poruszeniowej. Nikt nie sprawdza, że to alkohol. Hermaszewski może go zapakować do podręcznego bagażu.

Na stacji kosmicznej uroczysta kolacja powitalna, polski kosmonauta wyciąga plastikową buteleczkę. Koledzy krzywią się, nie chcą pić eleuterokoku. Nie wierzą, że to winiak. Aleksandr

Iwanczenkow próbuje ostrożnie językiem, oczy mu się śmieją. Wyciska z plastikowej buteleczki dwadzieścia gramów.

– Myślę, że byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy w kosmosie wznieśli toast. Rosjanie oczywiście za władzę radziecką, za ludzi, za Gagarina, a ja za rodzinę – przyzna po latach Hermaszewski.

Rano śniadanie. Posiłki urozmaicone, przygotowane indywidualnie dla każdego członka załogi. – Mieliśmy twaróg na słodko, z owocami, ciasteczka, czekoladę, owoce kandyzowane. Zupy i drugie dania zamawialiśmy jeszcze przed startem. Były wcześniej przygotowane i liofilizowane – wspomina Hermaszewski. – Bardzo przypominały popularne dziś potrawy typu gorący kubek. Przez specjalny zawór wlewało się do opakowania gorącą wodę i obiad był gotowy. Lekarze tłumaczyli nam przed startem, że to bardzo dobre jedzenie. I było bardzo dobre, choć bez przypraw.

Z zup można wybrać kapuśniak, barszcz, warzywną. Z dań drugich do wyboru: antrykot, cielęcina, kurczak, ozór wołowy, purée z mięsa. Są jeszcze konserwy, otwiera się je nożem i zjada zawartość widelcem.

Na stacji kosmicznej w powietrzu nie powinien unosić się nawet okruszek. To niebezpieczne. Chleb to miniaturowe bocheneczki o wymiarach jeden centymetr na dwa i na dwa. Normalne, pieczone chlebki, ze skórką i miąższem, pakowane w celofan po dziesięć sztuk. Cały chlebek bierze się do ust. Nie ma gryzienia kromki, nie ma okruchów. Czekolada w porcjach dwa na dwa centymetry, opakowana warstwą bezsmakowej żelatyny, która rozpuszcza się w ustach.

Ale drobne śmieci, nie wiadomo skąd, wciąż pojawiają się w powietrzu. – Z początku bardzo się tym przejmowałem, starałem się łapać je w locie, ale Piotr Klimuk, dla którego był to już trzeci lot orbitalny, uspokajał mnie: „Nie denerwuj się, za dzień, dwa wszystko, co lata, znajdziesz na siatce głównego wentylatora". I rzeczywiście, gdy zgubiliśmy jakiś drobiazg, wystarczyło poczekać i najdalej na drugi dzień wyjąć go sobie z siatki – wspomina Hermaszewski.

Na pokładzie zestaw soków, kawa i herbata. Ale wodę do przygotowania gorących napojów odzyskuje się z potu. Parę wodną wydalaną przez kosmonautów wychwytuje urządzenie, które ją skrapla i destyluje. – Nie miałem żadnych oporów związanych z piciem tej wody – mówi Hermaszewski. – Gdybym zobaczył, jak to paskudztwo zbiera się w pojemniku, kotłuje, bulgocze, pewnie nie wypiłbym kropli. Na szczęście widziałem tylko ustniki do picia – w różnych kolorach, żeby się kosmonautom nie myliły.

Na Ziemi woda przybiera kształt pojemnika, w jakim się znajduje. W nieważkości zaś przykleja się do jego bocznych ścianek. Środek zawsze jest pusty. W wolnym stanie przyjmuje zawsze kształt kuli. Niełatwo się nią myć. Skórę przeciera się więc serwetkami nawilżonymi środkiem dezynfekującym, według instrukcji: najpierw twarz, potem uszy, szyja, korpus, ręce i nogi. W końcu można założyć zapasową zmianę bielizny.

Na stacji Salut jest prysznic, ale goście z niego nie korzystają. Kąpiel jest skomplikowana i pochłania mnóstwo energii. Kabina kąpielowa to przezroczysty rękaw z folii, mocowany z jednej strony na suficie, z drugiej – na podłodze. Woda odsysana jest na dole, a wymuszony ruch daje doskonałą iluzję ziemskiego prysznica. Mimo nieważkości wydaje się, że strumień wody leci na głowę. Ale

w rękawie można się utopić, więc kąpiący się kosmonauta musi oddychać przez wyprowadzoną na zewnątrz prysznica rurkę, jak płetwonurek. Dodatkowy problem – w stanie nieważkości woda nie spływa po skórze. Przykleja się i tworzy na ciele szklistą skorupę. Hermaszewski chce spróbować i raz próbuje umyć wodą twarz.

– Gdy spojrzałem w lustro, wyglądałem, jakbym był powleczony zastygniętym lukrem. Makabryczny widok. Wycierałem się ręcznikiem, który potem sechł w kabinie, a parę wodną przechwytywał system odzyskiwania wody pitnej – opowiada.

Klimuk włącza pokładową golarkę elektryczną. Aparat ma urządzenie ssące, które zbiera włoski do pojemnika. Można się też golić żyletką, ale trzeba użyć specjalnego kremu do golenia, który skleja odcięte włoski. Mycie zębów jak na Ziemi, z jedną różnicą. Piany nie wolno wypluwać – trzeba ją połknąć.

Jeszcze jedna, ważna sprawa. Wypróżnianie. – Toaleta działa na zasadzie odkurzacza, jest tam wentylator, który ciągnie powietrze – wyjaśnia Hermaszewski. – Można korzystać albo z garnuszka pod pupę, albo z lejka z przodu. Jak się chce zrobić siusiu, wkładasz siusiaka do lejka i on zasysa mocz. Jak chce się zrobić kupę, ssanie trzeba podłączyć do garnuszka. Nie czuć nieprzyjemnych zapachów, bo powietrze przechodzi przez dwa filtry. W środku jest gumowy wkład, a na dole siateczka. Gdy kał jest rzadki, płynna część przejdzie przez siateczkę i trafi do zbiornika z moczem. W garnuszku zostaje zwarta część kupy. Wystarczy pociągnąć, i zawartość się hermetyzuje. Gumowy wkład z zawartością wkładamy do woreczka, zawiązujemy i wrzucamy do śmieci. Wyrzuca się je potem na zewnątrz statku i płoną w atmosferze.

Czasem dochodzi do drobnych wypadków. – Energicznie podpłynąłem w stronę toalety. W pośpiechu złapałem właściwe

urządzenie i przycisnąłem je do podbrzusza. Poczułem błogą ulgę. Sztywny wąż toalety unosił mnie we wszystkich kierunkach. Nagle obok mojej twarzy zawisła duża, chybocząca się brązowobeżowa kula. Wzdrygnąłem się, ale nie miałem wątpliwości. To była zawartość mojego pęcherza. Zapomniałem włączyć pompę odsysającą – wspomina Hermaszewski. Musiałem skierować na kulę wąż i ją wessać.

Drobne, ale ważne wnioski z obserwacji codziennego życia na stacji kosmicznej: kosmonauta nie może mieć łupieżu, nie powinien się intensywnie pocić, a jego pot nie może mieć intensywnego zapachu. Nikt by z takim kosmonautą nie wytrzymał w ciasnym pomieszczeniu.

Na pokładzie stacji Salut praca wre. Załoga ma do wykonania szereg badań. Kryptonimy: „Smak" (badanie zmian odczucia smaku w stanie nieważkości), „Relaks" (jakie są możliwości zapewnienia kosmonautom psychicznego relaksu podczas lotu), „Kardiolider" (kontrola wysiłku fizycznego i monitorowanie pracy serca), „Zdrowie" (ocena wydolności fizycznej kosmonautów przed startem i po wylądowaniu), „Ciepło" (proces wymiany ciepła wśród załogi na stacji kosmicznej). Najpoważniejszy to „Syrena". Kosmonauci mają sprawdzić możliwość pozyskiwania pozbawionych zanieczyszczeń półprzewodników ze stopu rtęci, kadmu i telluru. Są potrzebne do budowy laserów i hallotronów, czyli urządzeń do pomiarów pola magnetycznego.

Profesor Robert Gałązka nie pamięta, czy to było wiosną, czy latem. Na pewno rok 1976. Do różnych polskich instytutów naukowych dociera pismo z informacją, że wkrótce odbędzie się

załogowy lot kosmiczny z udziałem Polaka. I zachęta: proponujcie ciekawe eksperymenty, które można wykonać na orbicie.

Starsi, doświadczeni profesorowie są sceptyczni. Kosmos? Hm... Lepiej się trzymać z daleka. Mogliby coś zaproponować, ale eksperyment może się nie udać, zawsze coś nie wyjdzie. Niech młodzi się szarpią.

Gałązka jest docentem w Instytucie Fizyki Polskiej Akademii Nauk, bada kryształy powstające ze związku telluru, kadmu i rtęci. Mają wyjątkowe zastosowanie – służą do produkcji bardzo czułych detektorów podczerwieni. Są potrzebne na przykład w rakietach powietrze-powietrze, naprowadzanych na źródło ciepła, chociażby silnik samolotu. Ale produkcja kryształu na Ziemi jest skomplikowana. Do produkcji detektorów nadaje się materiał jak najbardziej jednorodny. Grawitacja przeszkadza, bo na spodzie tygla, w którym rosną kryształy, zawsze osadza się więcej kadmu, a w wyższych warstwach jest go coraz mniej. Ciekawe, jak kryształ będzie rósł w kosmosie, w stanie nieważkości? Czy tam będzie jednorodny?

Docent Gałązka z kolegami piszą projekt eksperymentu.

– Nie byliśmy pewni, czy zostanie zaakceptowany, ale po kilku tygodniach dostaliśmy zaproszenie na seminarium do Moskwy – wspomina. – A raczej na kilkugodzinny egzamin. Zostaliśmy gruntownie przemaglowani, w końcu Rosjanie oznajmili, że nasz eksperyment ma ręce i nogi. „Róbcie", powiedzieli.

Roboty w bród. Trzeba przygotować materiał: kadm, rtęć i tellur, włożyć do kwarcowej, kilkunastocentymetrowej ampuły i zamknąć w specjalnej, szczelnej stalowej kapsule, która wytrzyma ciśnienie dwustu atmosfer (gdyby na statku podczas wytapiania kryształów doszło do wybuchu, wszyscy by zginęli). Potem przeprowadzić testy na drgania i przeciążenia, jakim poddawana jest rakieta. Jeszcze

przetestować, czy kapsuła przetrwa, jak statek rąbnie w ziemię. Na wszelki wypadek wstawiliśmy do niej grafitowe sprężynki jako amortyzatory.

Potem już można rozpisać polskiemu kosmonaucie krok po kroku, co dokładnie ma robić: wyjąć kapsułę z pojemnika, włożyć do pieca, zamknąć pokrywę, otworzyć piec na próżnię, nacisnąć guzik, przekręcić itd.

– Przecież ci kosmonauci nie byli fizykami, tylko pilotami. Nie mieli pojęcia, co się dzieje – mówi profesor Gałązka.

Rosjanie badają, jak na orbicie zachowują się grzyby. Hodują je w przezroczystych pojemnikach. Widać, jak pozbawione grawitacji rozrastają się we wszystkich kierunkach, na przykład czapkami w dół. Żaden nie wygląda jak na Ziemi, wszystkie zdeformowane.

– A jakie to niezwykle ważne badania przeprowadzili Polacy? – pyta Zenon Jankowski. – Weźmy „Spław", czyli badanie struktury materiałów, np. podczas topienia w stanie nieważkości. Nie bardzo im wyszło, bo urządzenie się zepsuło. Ale najlepszy był program „Smak". Mieli bateryjkę i dwie elektrody. Przykładali to do języka i sprawdzali, czy coś czują, czy nie. Badali, czy w stanie nieważkości zmienia się smak. Idiotyzm! Przecież wiadomo, że się zmienia. Kubasow walił mnie po plecach w centrum kontroli lotów i krztusząc się ze śmiechu mówił: – Ale wymyśliliście! Odpowiadałem, że to nie ja.

Hermaszewski: – Nasze badania pewnie rozśmieszyłyby początkującego naukowca, ale wtedy były ważne. Minęła epoka, łatwo krytykować z dzisiejszej perspektywy. Przecież na pokładzie nie mieliśmy nawet komputera! Udało mi się przemycić kalkulator Brda 14, ale na nic się nie przydał, bo mu spleśniały baterie.

Z eksperymentu „Syrena" koledzy majora Hermaszewskiego żartują najbardziej. Opowiadają, że „Syrenę" robi się tak: wziąć

śledzia, włożyć go sobie głową w dupę i zamachać ogonkiem.

Tylko co oni wiedzą o Interkosmosie?

Profesor Piotr Wolański z Politechniki Warszawskiej, ekspert od budowy silników rakietowych i lotniczych, o wkładzie Polaków w poznawanie kosmosu wie chyba wszystko. Ale woli pytać.

– Mikołaja Kopernika z pewnością znacie. A co wiecie o Kazimierzu Siemienowiczu?

– Nic – przyznajemy.

A powinniśmy przynajmniej tyle: szlachcic urodzony na Żmudzi około 1600 roku. Król Władysław IV wysyła go na studia do Niderlandów. Oficer polskiej armii uczy się tam inżynierii i artylerii. Po powrocie do kraju bierze udział w odsieczy smoleńskiej. W 1651 roku Siemienowicz zdobywa dyplom Akademii Wileńskiej z tytułem magistra sztuk wyzwolonych i filozofii. Jest autorem podręcznika „Wielka sztuka artylerii część pierwsza", z którego przez dwieście kolejnych lat uczą się pokolenia kadetów w całej Europie.

Profesor Wolański dopowie, że Siemienowicz w swoim dziele omawia technologię budowy rakiet. Ponad trzysta lat temu! Proponuje, by montować w nich poziome stateczniki, wtedy będą stabilne. Zauważa, że wiązki rakiet potrafią wynieść w powietrze większy ładunek, a rakiety wielostopniowe uzyskują większe prędkości.

– A Jan Heweliusz? – pyta profesor.

Dukamy: – Browarnik z Gdańska, zainteresowany astronomią, zbudował teleskop...

Profesor wzdycha: – Był pierwszym na świecie uczonym, który narysował w miarę dokładną mapę Księżyca. I atlas nieba z dokładnym położeniem gwiazd. Był pierwszym Polakiem, który został przyjęty do ekskluzywnego towarzystwa naukowego Royal Society w Londynie.

Już jesteśmy spoceni, ale profesor nie kończy egzaminu. Pyta o naftę i ciekły tlen – doskonałe paliwo do rakiet. Wiemy o wynalazcy lampy naftowej Ignacym Łukasiewiczu, ale nie mamy zielonego pojęcia, że ciekły tlen po raz pierwszy, w 1883 roku, wytworzyli Polacy, profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego Zygmunt Wróblewski i Karol Olszewski.

– Rakieta, dzięki której Rosjanie wysłali w kosmos Sputnika, zawierała w sobie idee Siemienowicza, poleciała dzięki wynalazkom Łukasiewicza, Wróblewskiego i Olszewskiego – mówi profesor Wolański.

Zdradza jeszcze jedną ciekawostkę: – W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Polacy rozwinęli technikę rakietową, mogliśmy sami wystrzelić polskiego satelitę, ale Rosjanie kazali nam zamknąć programy rakietowe. Swoją technologię trzymali w tajemnicy. Nikogo nie dopuszczali. Kazali nam się przestawić na budowę aparatury do badań naukowych.

Profesor Gałązka potwierdza: – Musieliśmy poznać parametry pieca, w jakim będzie wytapiany nasz kryształ. Temperatura, chłodzenie, budowa. Rosjanie odpowiadali, że to niemożliwe, tajne! Potem się zorientowali, że jak nie powiedzą, eksperymentu nie będzie, więc w końcu dali nam plany.

Oficjalna historia Interkosmosu.

Po wystrzeleniu Sputnika naukowcy z krajów socjalistycznych obserwują kolejne radzieckie satelity. Tylko w Polsce powstaje jedenaście stacji obserwacyjnych zaopatrzonych w radzieckie lunety AT1. Coraz częściej analizują dane: pasy radiacyjne wokół Ziemi, budowę jonosfery. W 1962 roku akademie nauk krajów socjalistycznych powołują komisję „Obserwacja sztucznych satelitów". Pięć lat później komisja przekształca się w Komitet Współpracy Akademii Nauk Krajów Socjalistycznych w Dziedzinie Badania i Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej „Interkosmos".

Zasady: program nie ma wspólnego budżetu. Kraje członkowskie finansują prace nad swoimi eksperymentami, budują potrzebne urządzenia, a Związek Radziecki wynosi je na orbitę. Raz w roku odbywa się międzynarodowa konferencja z podsumowaniem stanu badań.

Najważniejszy obiekt to Słońce. Rosjanie wyjaśniają, jakie to ważne zadanie: „Trzeba utworzyć stałą kosmiczną służbę Słońca. Ludzkość już nie może, a nawet nie ma prawa żyć w nieświadomości. Niestety, nauka przykuta do Ziemi nie może się wiele dowiedzieć o Słońcu".

Każdy kraj specjalizuje się w czymś innym. Polsce przypadają badania jonosfery, oddziaływanie promieniowania kosmicznego, Słońca i korony słonecznej, związki Słońce – Ziemia.

Polacy są bardzo aktywni. W 1970 roku Instytut Astronomii Uniwersytetu Wrocławskiego i Zakład Astronomii Polskiej Akademii Nauk przygotowują zestaw kamer ciemniowych. Zwykłe *camera obscura*, gdzie zamiast obiektywu jest otworek grubości szpilki. Prosty sprzęt zostaje wyniesiony na orbitę i fotografuje Słońce. Nic wielkiego, ale polska nauka świętuje. To pierwsze badanie przeprowadzone w kosmosie. Potem konstruują m.in. teleskop rentgenowski i fotometr rentgenowski do pomiarów

natężenia promieniowania Słońca. Najważniejszy eksperyment w 1973 roku: satelita Kopernik 500 i umieszczenie na nim radiospektografu do badania fal elektromagnetycznych wysyłanych przez Słońce.

Konferencja prasowa przed startem rakiety z polskim sprzętem. Rosjanie wyjaśniają znaczenie eksperymentu: aktywność Słońca wpływa na zaburzenia w jonosferze, a tym samym na stan łączności radiowej. Udowodniono też, że Słońce oddziałuje bezpośrednio na warunki meteorologiczne na naszej planecie. Bez znajomości „pogody" na Słońcu nie można układać jej prognoz na Ziemi. Podczas wybuchów słonecznych strumienie plazmy przechodzą przez koronę słoneczną i wywołują promieniowanie radiowe. Polska aparatura będzie je rejestrowała.

Trzy lata później Rosjanie ogłaszają, że program Interkosmos wchodzi w nową fazę. Mówią: „Bez człowieka kosmos będzie zawsze obcy", a razem z Rosjanami na orbitę zaczną latać kosmonauci z bratnich krajów socjalistycznych. Profesor Paweł Moskalik, astrofizyk z Centrum Astronomicznego PAN w Warszawie, komentuje po latach: – Na początku lat siedemdziesiątych Amerykanie zadeklarowali, że zaczynają budowę wahadłowców, a w połowie tej dekady, że na ich pokładach będą latali astronauci z zaprzyjaźnionych krajów. Rosjanie nie mieli wyjścia. Program Interkosmos był kolejną próbą wyprzedzenia Ameryki. Czysta propaganda sukcesu. Oczywiście nigdy się do tego otwarcie nie przyznają.

Na radzieckiej stacji kosmicznej goście muszą prowadzić dzienniki i codziennie opisywać swój stosunek do innych kosmonautów.

Co im najbardziej przeszkadza, co denerwuje? Wszystkie rozmowy są nagrywane, nie można się ukryć przed kamerą telewizyjną, toaleta nie ma drzwi.

– Spróbujcie spędzić urlop we dwójkę z kolegą, zamykając się na cały miesiąc w mieszkaniu – podpowiada Klimuk. Już drugiego dnia pragniemy się wyrwać, wyjść na ulicę, spotkać się z krewnymi. Codziennie nasz mózg rejestruje tysiące bodźców, z wielu nie zdajemy sobie nawet sprawy, o innych natychmiast zapominamy: sygnały samochodów, dzwonki tramwajów, nieistotne pogawędki z kolegami z pracy, posiłek w biegu, gazeta, zdjęcie, śmieszny mem, rozmowa przez telefon.

A w stacji kosmicznej nuda. Takie samo towarzystwo, takie samo otoczenie, powtarzalne czynności. Nie można wyjść. Mieszkańcy stacji szybko czują głód zmysłowy. Po jakim czasie pojawia się brak koncentracji i zmęczenie? A kiedy omamy? Kosmonauta Wołkow na Sojuzie siódmym słyszy szczekanie Łajki. Jak sobie z tym poradzić, gdy w przyszłości kosmonauci będą spędzać na stacjach kosmicznych rok, a może dwa? A jeśli ludzie będą chcieli polecieć na Marsa?

Naukowcy proszą aktorkę moskiewskiego teatru Sowriemiennik, żeby nagrała różne słowa i wyraziła w nich uczucia strachu, spokoju i radości. Głos poddają analizie spektralnej, a potem porównują z tym, jak kosmonauci mówią na stacji orbitalnej. Nie ukryją ani spokoju, ani radości, ani strachu.

To dziwne, że w takim miejscu, gdzie brakuje towarzystwa innych osób, człowiek ma potrzebę samotności. – Nie ma w tym nic dziwnego – mówi Klimuk. – Ile razy, gdy byliście znużeni, przygnębieni, pragnęliście pobyć sami ze sobą. Uspokoić się, zastanowić, zebrać myśli.

Hermaszewski potwierdza. Podobały mu się chwile, gdy był sam. – Upajałem się widokiem zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej, z zachwytem oglądałem ciemnooliwkowe tropikalne lasy dorzecza Amazonki, sześć minut potem widać już było brzeg Afryki. Czułem się panem świata.

– Nie, ja w hotelu siedzieć nie będę! – denerwuje się docent Gałązka. Na stacji Salut Hermaszewski ma przeprowadzać eksperyment „Syrena", a Rosjanie nie pozwalają mu tego obserwować.

– Muszę jechać do centrum kontroli lotów! – żąda.

– Niemożliwe! – mówią Rosjanie. – Nikomu nie wolno tam wchodzić, a szczególnie podczas lotu załogowego. Tajne przez poufne, sprawa zamknięta.

A może po dobroci? – Panowie, zrozumcie, to mój eksperyment, ja muszę tam być – tłumaczy.

– Tylko jeden człowiek może to załatwić – odpowiadają Rosjanie. – Wasz szef Jan Rychlewski.

W Związku Radzieckim ma nieprawdopodobne kontakty. Jego ojciec, polski komunista, zostaje rozstrzelany podczas stalinowskich czystek w latach trzydziestych. Matkę Sowieci wysyłają do gułagu. Jan Rychlewski trafia do domu dziecka, spędza tam dziesięć lat. Po wojnie wraca do Polski, ale przyjaźnie zawiązane w ZSRR procentują. Po interwencji Rychlewskiego docent Gałązka dostaje instrukcje: rano ma czekać w hotelu, podjedzie czarna wołga i zabierze go do centrum kontroli lotów.

Trzeba wyjechać około trzydziestu kilometrów za Moskwę. Kompleks ukryty za wysokim, szarym murem. Najpierw otwiera się

ciężka żelazna brama, wołga wjeżdża do śluzy. Sprawdzanie dokumentów, dopiero potem otwiera się druga brama, przed maską auta. W środku już nikt nikogo nie pilnuje.

– Centrum wygląda dokładnie jak w filmach – wspomina profesor Gałązka. – Duży ekran z mapą świata i trajektorią lotu stacji kosmicznej Salut. Przed ekranem rzędy biurek z dziesiątkami monitorów. Spływają do nich dane ze stacji kosmicznej. Dyżurni bez przerwy analizują: skład powietrza, temperaturę, ciśnienie, stan zdrowia kosmonautów. Usiadłem przy komputerze, na ekranie widziałem dane dotyczące tylko mojego eksperymentu. Dokładnie wiedziałem, co się dzieje. Jakby coś poszło nie tak, mogłem interweniować. Stopili dwie ampuły, wszystko się udało.

Nie cały lot przebiega gładko. – Na stacji kosmicznej przegrzał się piec do podgrzewania potraw. Pojawił się dym. Pożar na orbicie to wielkie zagrożenie. Udało się nam zażegnać niebezpieczeństwo, przeżyliśmy. Po co do tego wracać? Z zasady nie mówimy o krytycznych sytuacjach. Moim zdaniem nie ma ani jednego lotu bez problemów – wspomina Klimuk.

Jest też inne zjawisko, które budzi lęk. Gdy zamyka się oczy, mózg rejestruje iskry, świetliste smugi, które jakby przecinają oczy. Można się wystraszyć.

Klimuk uspokaja Hermaszewskiego: – To tylko cząstki promieniowania kosmicznego, które przeszywają kadłub stacji. Jak trafią na plamkę w oku, generują światło. Nie przejmuj się, tak już tutaj jest.

Albo te głuche uderzenia. Na początku strach taki jak przed pierwszym skokiem ze spadochronem. Stacja kosmiczna pędzi

z ogromną prędkością dwudziestu ośmiu tysięcy kilometrów na godzinę. Prawdopodobieństwo zderzenia się z dużym meteorytem jest niewielkie, ale to możliwy scenariusz. Cienkie ścianki stacji kosmicznej nie wytrzymają takiego uderzenia. Nawet małe drobinki przy takich prędkościach zostawiają rysy na iluminatorach.

Rodzinom nie można opowiadać o niebezpiecznych zdarzeniach, zresztą nie ma takiej możliwości. Informacje przekazują pracownicy centrum łączności.

Hermaszewski: – Sygnał się rwał. Pewnego razu usłyszałem od kolegi z Ziemi: „Widziałem się... z twoją żoną... w wannie". Co!? Zdenerwował mnie, potem powtórzył kilka razy i okazało się, że widział się z moją żoną, a ona pokazywała mu pełno kwiatów w wannie, które dostała z okazji imienin.

Rosjanie starają się poprawiać kosmonautom humory. Chowają w zakamarkach statku niespodzianki. – Jak wyczuwali, że jesteśmy w złej kondycji, przekazywali polecenie: na osi plus igrek, szafka numer siedem, sektor B, opakowanie czterdzieści dwa. Wyciągnąłem woreczek z napisem „polski bigos". Wysuszony. Musiałem go zalać wodą odzyskaną z własnego potu, ale był bardzo dobry. Innym razem: wsuń rękę tam i tam. I znajdowałem w szczelinie piękne karty do gry z obrazkami dla dorosłych. Było co oglądać. – Hermaszewski śmieje się.

Oglądanie gwiazd też poprawia nastrój. Gdy się patrzy na nie z Ziemi, mienią się ciepłą żółcią, gorącą czerwienią albo chłodnym błękitem. Nieustannie migocą. Oglądane z kosmosu są dziwnie spokojne, świecą spokojnym, niczym nie przerywanym blaskiem. Jednakowo bladożółte. Wydaje się, jakby wisiały blisko, tuż nad głową. Kosmonauta powinien rozpoznawać podstawowe konstelacje, ale gdy nie przysłania ich welon atmosfery, jest to

trudne – nawet znane gwiazdy „chowają się” w niezliczonej masie innych, niewidocznych z Ziemi. Jak się którąś rozpozna – jest satysfakcja.

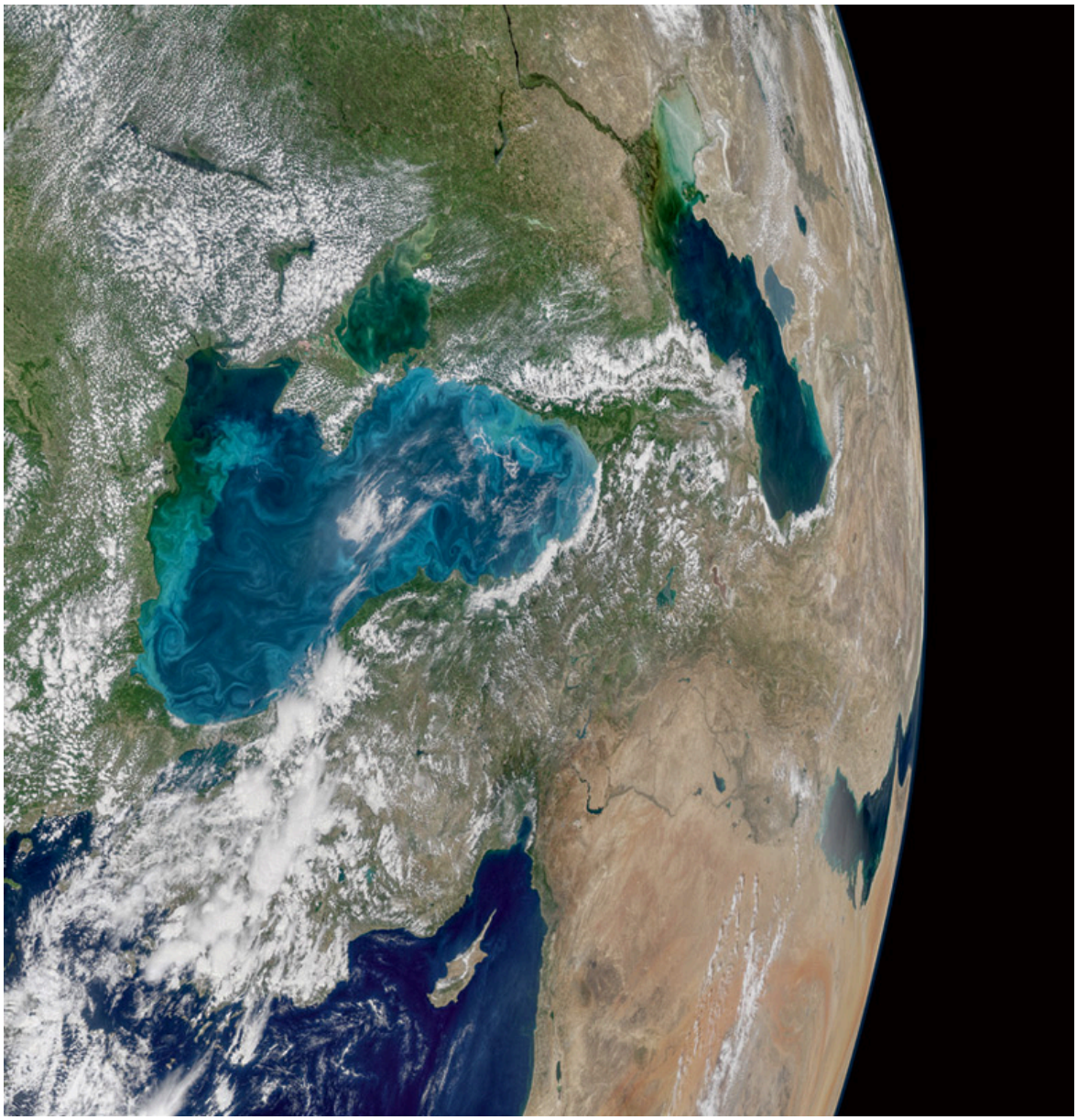

– Kosmos odciska swoje piętno na psychice i osobowości człowieka. Kiedy spotykamy się w gronie kosmonautów i wymieniamy spostrzeżenia, okazuje się, że każdy z nas wraca stamtąd inny. Staje się większym humanistą niż inżynierem, widzi życie ciekawszym i dostrzega w nim więcej dobra niż zła – mówi Mirosław Hermaszewski

A jak nastrój jest naprawdę zły, ratunkiem są psoty. Stację trzeba regularnie sprzątać z okruszków jedzenia, resztek zarostu, pyłków. Miotłą się nie da, a filtry przeciwpyłowe nie wszystko złapią. Klimuk włącza odkurzacz i próbuje na nim jeździć jak na miotle. Spada, bo odrzut odkurzacza jest jednak za słaby, aby go uciągnąć.

Dziesiątki podobnych historii, ale i tak wszyscy chcą wiedzieć jedno: czy kosmonauci spotykają na orbicie UFO?

Drugi lot orbitalny Klimuka. – Obiekt zauważyłem na tle czarnego nieba, nad horyzontem dziennym. Przemieszczał się od horyzontu ku górze – opowiada kosmonauta. – Widzę, że to sztuczny obiekt, nie okrągły, lecz cylindryczny, złożony jakby z dwóch połączonych ze sobą dysków. Obraca się i migocze z częstotliwością mniej więcej jednego herca, czerwonawej barwy.

Zaraz melduje Ziemi.

– Co to za obiekt? – pytają w Moskwie.

Klimuk: – Nie mam pojęcia. Talerz latający?

Jan Wolski, rolnik z wioski Emilcin, wraca do domu wozem konnym przez las. Pogoda piękna, majowa. Na drodze spotyka dwie dziwne istoty. Będzie o nich opowiadał: – Niewysokie, takie do półtora metra. Gęby miały jak Chińczyki, wszyscy jak jeden rys. Skórę miały zieloną. Skafandry mieli czarne, tylko ciut-ciut siwe. Żadnych znaków na nich ani klamrów. Tylko od kolan do pasa skafandry były poszerzone.

Obcy wskakują na wóz. Wolski nie zatrzymuje się, słyszy, że istoty dziwnie gadają, język niezrozumiały, słowa padają „drobniutko, a gęsto". Dojeżdżają na polanę, rolnik widzi lśniący pojazd wielkości połowy autobusu unoszący się około pięciu

metrów nad ziemią. W rogach coś w rodzaju świdrów, które wydają niski dźwięk. W pojeździe opuszczona do ziemi winda.

– Kazali mi stanąć, dali znak, tak jak to naszy niemowy wskazujo, tak i łoni robili. Kiwnęli ręką, coby zejść z wozu, podprowadzili do statku – twierdzi Wolski. – Jedyn stanął w windeczce, ja wszedłem za nim i szybko my wyjechali na wierch.

W środku ciemno, żadnych okien. Wolski zauważa tylko coś w rodzaju ławki. I ptaki przypominające kruki, które leżą na podłodze. Obcy dają rolnikowi znak, żeby zdjął ubranie. – Ja liczyłem, że się do pasa rozbiorę. Pokazali rękami, żebym się rozebrał do spodu. No i rozebrałem się do naga. Jedyn z tych, co ze mną wjechał, podniósł mi rękę do góry i przytknął coś w rodzaju dwóch małych talerzyków, jak u nas do stołu się podaje. Nic się nie działo, nie mignęła nawet iskra – opowiada Wolski.

Istoty częstują go czymś w formie sopla, ale odmawia. Ubiera się, może już wyjść z pojazdu. Przy windzie kłania się obcym i mówi do widzenia. – Wszystkie cztery grzecznie się mnie też ukłonili, zjechałem na dół. Spieszyłem się do domu, bo syny robili pustaki, to mówię, niech oni polecą i zobaczą, ale oni same się bali. Zanim zawołali jednego sąsiada, drugiego, to zeszło parę minut. Jak przyszli, śladów było tu bardzo dużo, ale tamte już odlecieli – relacjonuje Wolski.

Do Emilcina przyjeżdżają badacze UFO, pielgrzymki ciekawskich (po dwa autokary dziennie). Wolskiego badają psychologowie. Chcą rozstrzygnąć: zmyśla czy mówi prawdę? Ktoś mu zrobił żart? Może został zahipnotyzowany?

Władze podchodzą do sprawy poważnie, bo sprawa jest głośna. Zeznania składają dwaj milicjanci z Opola Lubelskiego, którzy poddali Jana Wolskiego przesłuchaniom oraz badali miejsce zdarzenia, Leon Rak z Dąbrowy Pusznieńskiej, właściciel ogiera

rozpłodowego, do którego rankiem 10 maja 1978 roku Wolski pojechał ze swoją klaczą, Antoni Sobczuk, dyrektor szkoły w Skokowie, mieszkańcy Emilcina, ufolodzy i dziennikarze, z którymi Wolski rozmawiał. Badają go laryngolog, okulista i neurolog.

W gazetach artykuły o wizycie obcych. Magazyn „Relax" publikuje komiks o spotkaniu Polaka z obcymi. Jedni wierzą, inni nie. Sugerują, że rolnik mógł widzieć śmigłowiec. Wolski zaprzecza: – Kelikopter to nie mógł być, bo ja kelikoptery widuję. A to był obiekt innego kształtu.

Skarży się na milicję: – Zamiast ślady zabezpieczyć, sfotografować, to oni se śmiechy ze mnie robili, że się upiłem, że usnąłem, że to, że tamto...

Specjaliści uznają w końcu, że zdarzenie w Emilcinie to mistyfikacja. Ocena testów i zachowania Jana Wolskiego każą go traktować jak osobę wyjątkowo mało asertywną, wykonującą prośby czy rozkazy innych. Wolski bez zastanowienia wplata w swoją opowieść fałszywe elementy historii.

Jedni wierzą, inni nie wierzą, wszyscy chcą wiedzieć. Do wioski przyjeżdżają kolejni dziennikarze i badacze zjawisk paranormalnych, ale rolnik ma już dość.

– Opowiadanie o tym już mi się uprzykrzyło – mówi. – Za dużo miałem z tym korowodów. Gdyby komu to przyszło, tobym mu powiedział: nic nie mów, będziesz miał mniej korowodów. Całymi autobusami przyjeżdżali, no mów, i to, i tamto... Pomordowali mnie, do nerw mnie doprowadzali. Po co mnie to, panie?

Hermaszewski opowie o tym dopiero po latach: – Dziwne obiekty towarzyszyły nam przez cztery okrążenia wokół Ziemi. Wyglądały jak talerze, jeden nawet jakby miał antenkę. Wszyscy czterej na Salucie widzieliśmy to samo. Przy pierwszym okrążeniu nie meldowaliśmy, sami chcieliśmy sprawdzić, co to jest. Nerwy były niesamowite. Przy drugim okrążeniu meldujemy na Ziemię, koledzy z centrum kontroli lotów proszą o opisanie toru lotu tych obiektów. Podajemy dane.

W końcu Ziemia odpowiada: „Nie bójcie się, chłopaki, to pojemniki z odchodami, które wyrzuciliście przedwczoraj".

Stara rosyjska tradycja nakazuje, żeby usiąść przed długą podróżą. Kowalonok i Iwanczenkow żegnają gości.

– Pamiętam ostatnie pięć minut przed przejściem do lądownika i rozpoczęciem operacji powrotu na Ziemię – wspomina Hermaszewski. – Nie mogłem sobie znaleźć miejsca, coś nie dawało mi spokoju. Wszystkiego byłem ciekaw, tego jeszcze nie widziałem, z tym chciałbym się zapoznać, tyle ciekawych spraw... Wreszcie usiadłem. Pietia odpłynął. Coś ważnego kończyło się w moim życiu. Gdybym mógł, objąłbym całą stację – doskonały, precyzyjny mechanizm, ale jakże ludzki i wiele dla mnie znaczący. W pożegnalnym geście zbliżyłem policzek do centralnego pulpitu. Potem dowiedziałem się, że robili tak również inni.

Pora zamknąć właz i założyć skafandry. Wkrótce odpływają od stacji kosmicznej. Trzeba obliczyć trajektorię lotu. Statek nie może spadać zbyt stromo, kosmonauci nie wytrzymaliby przeciążenia. Jeśli będzie opadał zbyt płasko, osłony lądownika nie wytrzymają tarcia powietrza, spłonęliby w atmosferze. Statek może

też odbić się od atmosfery jak kaczka, wtedy nie wystarczyłoby powietrza przed powrotem na Ziemię.

Nad równikiem, w precyzyjnie wyznaczonym momencie, Klimuk włącza silniki hamujące. Statek wpada w atmosferę pod wyznaczonym kątem. Koniec nieważkości, ostatni rzut oka w iluminator.

– Kiedy widzi się Ziemię z dużego dystansu, wtedy inaczej postrzega się ogrom kosmosu i jego idealny porządek, harmonię oraz piękno. Skłania to do refleksji. Mimo że znamy prawa przyrody, to w odniesieniu do otaczającego nas wszechświata wiedza nasza stanowi ułamek tego, co człowiek musi objąć swoim umysłem. Czy kiedykolwiek zdoła? Gdzie tkwi mądrość, która rządzi światem? Tej prawdy nie można stamtąd dojrzeć, ale czuje się obecność czegoś wielkiego i doskonałego – powie potem Hermaszewski. – Kosmos odciska swoje piętno na psychice i osobowości człowieka. Kiedy spotykamy się w gronie kosmonautów i wymieniamy spostrzeżenia, okazuje się, że każdy z nas wraca stamtąd inny – staje się większym humanistą niż inżynierem, widzi życie ciekawszym i dostrzega w nim więcej dobra niż zła. Niewierzący często się nawracają. Nie znam przypadku, by było odwrotnie.

Leonow potwierdzi: – Kiedy po kosmicznym spacerze mój skafander nadął się powietrzem i nie mogłem wejść do śluzy, zawołałem w duchu: „Boże, dopomóż!". A przecież jestem ateistą! Wiara musi być w nas głęboko zakorzeniona. Im dłużej żyję, tym bardziej jestem skłonny przyznać, że człowiek może wierzyć, jeśli ta wiara pomaga mu żyć i przynosi otuchę.

– Byłem niewierzącym komunistą. Teraz jestem neutralny – tłumaczy Piotr Klimuk. – Myślę, że może coś tam jest, a może nie. Nie wiem. Jak leciałem pierwszy raz, z Siewastjanowem, przez

moment poczuliśmy się dziwnie, jakby ktoś potrząsnął orbitą. Co to było? Innym razem odczucie, jakby się jakaś gwiazda zapadła. Dziwne rzeczy dzieją się w kosmosie. Dużo o tym myślałem. Dopuszczam istnienie Boga, ale po prostu nie wiem, czy on tam jest. Trzeba w to wierzyć.

I tylko Jurij Gagarin ogłasza jak prawdziwy komunista: „Byłem w kosmosie, żadnego boga nie widziałem".

Ale nie wiadomo, czy naprawdę tak myślał.

Na pytania o Boga Hermaszewski będzie zawsze odpowiadał, że musi istnieć coś większego od nas, że każdy ma swojego Boga, ale ludzie nie potrafią tego uszanować. Chcą się bić o to, który z nich jest jedyny, najlepszy. A może zamiast tego powinniśmy przyjąć, że istnieje po prostu jakaś siła sprawcza, tylko każdy inaczej ją rozumie...

Będzie wspominał swojego przyjaciela z dzieciństwa, Henia Piotrowskiego, który później został księdzem. Często rozmawiali, czym jest niebo. Hermaszewski przypominał sobie wtedy plebanię u księdza Rossowskiego w Lipnikach. Ukrywali się tam w czasie wojny. Nocami jego mama zasłaniała okna starym, dziurawym od moli kocem. Przez dziury widać było błyski walk toczonych niedaleko Bereznego.

Mały chłopiec patrzył w zasłonięte okno i był pewien, że to aniołowie zakrywają niebo na noc, a gwiazdy to tylko dziurki w starym kocu.

CHWA
OSMOSU

Sierpień 1978 roku. Mirosław Hermaszewski i Piotr Klimuk odwiedzają polskie miasta. Na ulicach witają ich dziesiątki tysięcy ludzi. – Popularność najpierw była bardzo miła, ale w końcu rola propagandowej maskotki zaczęła mnie uwierać. Zająłem się tym, co było moją pasją – wróciłem do latania – mówi Hermaszewski

ROZDZIAŁ 11

Wsiąść do rakiety Hermaszewskiego, nie dbać o szynkę z komercyjnego

Redaktorzy naczelni największych gazet, szefowie radia i telewizji dostają instrukcje z Wydziału Propagandy KC PZPR. Relacje z misji oraz powrotu Hermaszewskiego na Ziemię mają pokazać, że Polska się zmieniła. Nie jest krajem opóźnionym w rozwoju gospodarczym i technicznym, ale nowoczesnym i liczącym się w świecie państwem socjalistycznym, które uczestniczy w podboju kosmosu. Należy promować polską myśl techniczną oraz rozbudzić dumę narodową. Nie wolno zapominać, że wszystkie osiągnięcia to wynik „konsekwentnie realizowanej leninowskiej polityki naukowej i oświatowej".

Przy wydziale propagandy KC PZPR powstaje sztab „Kosmos 78".

– Dobrano mnie do tego grona, bo w Polskiej Agencji Prasowej pracowałem w dziale „Nauka i technika". Specjalizowałem się w tematach związanych z podbojem kosmosu – mówi dziennikarz Mariusz Kukliński.

Na pierwsze spotkanie przychodzi sekretarz Jan Szydlak, najbliższy współpracownik Edwarda Gierka. Interesuje go tylko jedno. – Powiedzcie, towarzysze, czemu Rosjanie nie wylądowali jeszcze na Księżycu? Ale tak szczerze! – pyta.

Na sali konsternacja. Po chwili odzywa się generał, profesor Sylwester Kaliski, minister nauki i szkolnictwa wyższego: – Bo oni są zacofani w układach scalonych.

Sztab robi swoje. W magazynach czeka dwieście dwadzieścia tysięcy książek o bohaterskim pilocie.

Czytelnicy mogą się z nich dowiedzieć, że Wielcy Polacy za najważniejszy cel swojego życia uznawali zawsze dobro Ojczyzny, ale wielkość nigdy nie przychodzi sama. Obowiązkowi wobec Ojczyzny zawsze towarzyszy praca, wielka praca i walka z przeciwnościami losu, gra ze słabością własnego charakteru.

Polski kosmonauta ciężko pracuje, pilnie się uczy, uprawia męski zawód pilota. Jest twardy i bezkompromisowy, dba o rodzinę, jest wzorem dla młodych pokoleń. Zawsze wie, co powiedzieć i co zrobić. Nawet gdy opuszcza komorę dekompresji, uśmiechem przezwycięża zmęczenie. Nie odmawia, gdy filmowcy chcą nakręcić, jak spaceruje ulicami Warszawy. Stawia im tylko jeden warunek: „Najpierw pojedziemy pod pomnik Nike i złożymy wiązankę kwiatów".

Taki jest.

Do kiosków Ruchu samochody dowożą sto tysięcy kolorowych i czarno-białych pocztówek, do tego kilka tysięcy albumów. W sklepach trzydzieści osiem rodzajów koszulek, fartuszków

i ręczników z emblematami lotów kosmicznych. Plakaty, stemple, monety, medale, spinki, naszywki, naklejki, proporce.

Wszystkie krajowe dzienniki ze szczegółami relacjonują kosmiczną podróż Hermaszewskiego. Twarz kosmonauty pojawia się na okładkach tygodników. „Dziennik telewizyjny" każde wieczorne wydanie zaczyna od relacji z Bajkonuru i stacji orbitalnej: co kosmonauta zjadł na śniadanie, jak spał, jak wygląda Polska z kosmosu. Spiker odczytuje telegram generała Wojciecha Jaruzelskiego: „Odczuwamy głęboko, z patriotyczną nutą, że pierwszy Polak, komunista, żołnierz, uczestnicząc w tym wielkim kosmicznym programie, wykona zadanie niezwykle odpowiedzialne i stanie się to w przeddzień święta Odrodzenia Polski, w roku trzydziestopięciolecia Wojska Polskiego". W przekazach nie może zabraknąć stwierdzenia: „Znajdujemy w tym piękny symbol przyjaźni polsko-radzieckiej, która niezawodnie służy wspólnej sprawie pokoju i socjalizmu".

Jeszcze relacja ze spotkania z matką. – Trudno ukryć wzruszenie. Jeszcze żadna Polka nie witała syna po tak trudnej podróży – mówi spiker.

Przed telewizorami całe rodziny. Dzieci już nie chcą być Ryszardem Szurkowskim, Ireną Szewińską, Kazimierzem Deyną, Józefem Łuszczkiem czy Włodzimierzem Lubańskim. Teraz każdy chce lecieć w kosmos. W składnicach harcerskich młodzież pyta o makiety kosmicznych rakiet.

– Nie ma – sprzedawcy bezradnie rozkładają ręce.

Można za to słuchać piosenek o podboju kosmosu. Śpiewają: Barbara Książkiewicz („Polski lotnik, kosmonauta, w jawę zmienia sny"), Adam Zwierz („Zapisane w księdze nieba, słowo »Polska«, słowo pierwsze, otworzyło do galaktyk wszystkie bramy polskie serce"), Jolanta Kubicka (że w dzieciństwie na dobranoc chciano jej

dać gwiazdkę z nieba, „ale kto by się spodziewał, że te bajki spełnią się”).

Wytwórnia filmowa Czołówka pokazuje biograficzne reportaże o Mirosławie Hermaszewskim i Zenonie Jankowskim. Filmy zostają przetłumaczone na francuski, niemiecki, angielski i hiszpański. Już wiadomo, jakie znaczki można sprzedawać na poczcie i jakie plakaty wywiesić na ulicach.

Wszystko przygotowane wcześniej, na kilka tygodni przed lotem. Potem masowe uderzenie.

Polska ma nowego bohatera.

Nazywa się Mirosław Hermaszewski, ma trzydzieści siedem lat. Urodzony 15 września 1941 roku w Lipnikach na Wołyniu. Jego rodzice – Roman i Kamila – prowadzą tam gospodarstwo. Ma cztery starsze siostry i dwóch braci. Rodzice wychowują ich w duchu tolerancji do mieszkających w sąsiedztwie Ukraińców.

Powitanie załogi Sojuza 30 w Wołowie, rodzinnym mieście Mirosława Hermaszewskiego. Na pierwszym planie jego matka Kamila. Dziennikarzom opowiadała: – Powojenne początki w Wołowie to po prostu bieda. Moje dzieci do dziś nie cierpią kartoflanki, tyle się jej najadły, i to często z nadmarzniętych ziemniaków. Przerabiałam ubrania ze starszych dzieci dla młodszych, każdą zarobioną złotówkę oglądałam ze wszystkich stron, a i tak zdarzało się, że nie wiedziałam, co do garnka włożyć

Prawdziwej historii nikt wtedy nie może usłyszeć.

Władysław Hermaszewski, starszy brat Mirosława, mógłby opowiedzieć, że Polacy i Ukraińcy żyli na Wołyniu w zgodzie. Napisze o tym, ale już po Okrągłym Stole. „Szanowaliśmy ich zwyczaje i kulturę, darzyliśmy się nawzajem szacunkiem, a w wielu przypadkach również sympatią. Byli wśród nich, podobnie jak wśród Polaków, zamożni, dobrze gospodarujący na większych areałach gruntów gospodarze, ale w większości była to

nieoświecona ukraińska biedota żyjąca w niedostatku, często zarobkująca poza własnym i prymitywnym gospodarstwem, nie zapewniającym utrzymania rodziny".

Wybucha wojna, koniec ze spokojem i szacunkiem. W lutym 1943 roku Niemcy ponoszą klęskę pod Stalingradem. Armia Czerwona rusza na wschód. Ukraińcy mówią o własnym państwie. Polacy przypominają, że Wołyń to Polska. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów musi szybko działać. Nie chce powtórki z pierwszej wojny światowej, gdy pobita Rosja i wyczerpane Niemcy zostawiły próżnię wypełnioną przez Polaków. Armia Krajowa zna dążenia Ukraińców. Informuje rząd polski w Londynie, że należy zorganizować powstanie nie tylko przeciwko Niemcom, ale także przeciwko Ukraińcom.

Takie same decyzje podejmuje OUN – usunąć Polaków z Wołynia. Po wojnie, gdy dojdzie do rozmów na temat granic, teren ma być jednolity etnicznie. Ukraiński. Dowódcy UPA i OUN spierają się, jak to zrobić. Dmytro Semenowicz Klaczkiwski, dowódca grupy UPA-Północ, sam decyduje o rozpoczęciu rzezi na Polakach.

Pojedyncze ataki z czasem zamieniają się w masowe mordy. W 1943 roku Ukraińcy otaczają wieś Lipniki, w większości zamieszkaną przez Polaków. Nie mają litości. Dzieci wrzucają do studni, nabijają na sztachety płotów albo palą żywcem. Mężczyznom odrąbują siekierami ręce i nogi, kobiety gwałcą, a potem rozpruwają im brzuchy. Wydłubują oczy, zdzierają skórę.

Kto może, ucieka. Kamila Hermaszewska zabiera dzieci i biegnie z małym Mirosławem na rękach. Ukraińcy dopadają ją na skraju wsi. – *Stoj, ty polska mordo, ne utykaj, my tebe i tak zareżem* – krzyczą.

Jeden z nich przystawia jej karabin do głowy i strzela. Kobieta ma szczęście, kula ociera się o kości i rozrywa ucho. Nieprzytomna pada na ziemię. Gdy się ocknie, wstanie i w szoku pobiegnie przed siebie. Zatrzymają ją dopiero Ukrainki z sąsiedniej wsi. Nakarmią ją i ogrzeją. Wtedy Kamila zacznie krzyczeć: – Gdzie jest moje dziecko!? Przypomni sobie, że padając, upuściła małego Mirka.

– Do Lipnik nie wrócisz, tam pewna śmierć – mówią Ukrainki.

Ojciec i starszy brat Hermaszewskiego walczą w oddziale samoobrony. Słyszą o rzezi Lipnik, pędzą do wioski. Ale jest za późno. Przed spalonymi domami leżą ciała ich krewnych. Na śniegu znajdują niewielkie zawiniątko. „Kiedy się zbliżyłem, rozpoznałem tak dobrze mi znaną świąteczną czarną kurtkę naszego ojca, a w niej, ku mojej radości i równocześnie przerażeniu, nie dającego znaku życia, zawiniętego jeszcze w kocyk naszego półtorarocznego Mirka. Moje przerażenie dodatkowo spotęgowała krew na śniegu i kurtce. Poderwałem brata razem z kurtką i czym prędzej pobiegłem z nim do ojca. Przejął ode mnie zawiniątko i choć też nie dostrzegł znaków życia dziecka, objął je i przycisnął do piersi" – opisywał już po 1989 roku Władysław Hermaszewski.

Ojciec rozciera ciało synka, próbuje go ogrzać. Nagle malec otwiera oczy i zaczyna płakać.

– Ty jesteś najmłodszy, ty musisz żyć – szepcze do niego ojciec.

Po masakrze w Lipnikach rodzina tuła się od wsi do wsi. Jest ciężko, doskwiera głód. Po okolicy krążą ukraińskie oddziały i mordują Polaków. Jest lato, trzeba skosić zboże, bo nie będzie chleba. Ojciec Mirka wraca do Lipnik, na pole. Ukraińcy urządzają zasadzkę. Władysław Hermaszewski: „Postrzał był niestety śmiertelny. Pocisk przeszył ojcu płuca, naruszył osierdzie i na wylocie spowodował wyrwę w lewej łopatce. Nie było możliwości ratunku. Ojciec umarł w szpitalu".

Kamila Hermaszewska zostaje sama z gromadą dzieci. Po wojnie, w ramach repatriacji, zostanie przeniesiona do Wołowa na Dolny Śląsk.

Życiorys Mirosława Hermaszewskiego to duży problem dla partii. No bo jak napisać, że ojca pierwszego Polaka w kosmosie zamordowali Ukraińcy? Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka wchodzi w skład ZSRR, a Ukraińcy to nasi towarzysze. Jeszcze przed lotem w kosmos generał Włodzimierz Sawczuk, szef Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, wzywa Hermaszewskiego do siebie.

– Jak to było z waszym ojcem? – pyta generał.

– Melduję, że został zamordowany przez Ukraińców – odpowiada major Hermaszewski.

– Wy nie znacie historii! – ryczy generał. – Waszego ojca zabili faszyści! I tego macie się trzymać – krzyczy Sawczuk. Pilnuje, aby taka wersja pojawiła się gazetach. Osobiście cenzuruje wywiady z Kamilą Hermaszewską.

Mirosław Hermaszewski urodził się 15 września 1941 roku w Lipnikach
na Wołyniu, ale dzieciństwo i młodość spędził w Wołowie na Dolnym Śląsku

W „Trybunie Ludu” wyznania matki mogą być teraz tylko takie: „Moje dzieci znają – starsze z doświadczeń, młodsze z rodzinnych rozmów – nieszczęścia i grozę wojny, wiedzą, że ojciec zginął z rąk faszystów. Uważałam, że ta wiedza im się należy, że jest i będzie im potrzebna”.

Hermaszewski ma być wzorem oficera, patrioty i komunisty. Wszystko ma pasować do tego wizerunku. Polski kosmonauta musi uwielbiać „Trylogię” Sienkiewicza, słuchać mazurków Chopina. W prasie ukazuje się też informacja, że lubi czytać opowiadania Stanisława Lema.

A co z innymi tajemnicami?

– Że protoplasta rodu Wincenty Hermaszewski za udział w powstaniu listopadowym został wywieziony na Sybir.

– Że Sylwester Hermaszewski, jeden z synów Wincentego, przyjaźnił się z hrabią Emanuelem Małyńskim, razem zwiedzali świat; hrabia był bajecznie bogaty, członek elity wołyńskiej, właściciel całej stajni samochodów najnowszych marek i samolotu marki Farman. Latał nim nisko nad wołyńskimi polami, budząc podziw i popłoch sąsiadów.

– Że Antoni Hermaszewski, syn Sylwestra, rządził na Wołyniu Związkiem Młodzieży Wiejskiej, tworzył teatrzyki wiejskie, zespoły śpiewacze, orkiestry ludowe, organizował zawody sportowe, upowszechniał twórczość Żeromskiego i Rodziewiczówny, namawiał do słuchania polskiego radia. Był redaktorem „Przeglądu Wołyńskiego” i tygodnika „Wołyń”, założycielem i redaktorem naczelnym dwujęzycznego pisma „Młoda Wieś – Mołode Seło”. Krzewił jagiellońskie idee Rzeczypospolitej szanującej odmienność wszystkich mieszkańców Wołynia jako równoprawnych obywateli Polski.

– Że Sowieci trzymali Antoniego na Łubiance, skąd cudem wyszedł i dołączył do armii Andersa, po wojnie został w Anglii i stał się jednym z wybitnych działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego, współtwórcą i redaktorem „Biesiady Krzemienieckiej", do końca życia działał na rzecz polsko-ukraińskiego pojednania.

– Że Tadeusz, stryj Mirosława, był bosmanem na okrętach ORP „Burza" i „Błyskawica", przedostał się do Kanady i dzięki temu przeżył wojnę.

– Że inny brat Antoniego, Zygmunt, był przed wojną konsulem Polski w Tuluzie, a później członkiem AK, kurierem tatrzańskim, został złapany przez Niemców i wojnę spędził w obozach Auschwitz i Mauthausen.

– Że stryjenka Władysława Hermaszewska-Spławska straciła męża w Katyniu, a sama, deportowana do Kazachstanu, dołączyła do armii Andersa, a po wojnie była naczelniczką harcerek w Londynie.

– Że czterej bracia mamy mają za sobą służbę w 27. Dywizji Armii Krajowej.

W PRL-u człowiek z takimi korzeniami nie ma szans na stanowisko oficerskie. A co dopiero mówić o locie w kosmos.

– Nigdy nie ujawniłem tego przełożonym – mówi Hermaszewski. – Bugała być może odpadł także dlatego, że miał ciotkę za granicą. Nasze rodzinne tajemnice trzymaliśmy głęboko pod językiem. Bardzo się bałem, że się dowiedzą i zostanę wykluczony z programu.

Hermaszewskiemu tę historię opowie po latach adiutant generała Jaruzelskiego: na kilka dni przed polskim lotem w kosmos do Jaruzelskiego przychodzi szef wywiadu ze stertą teczek. – Generale, to papiery na Hermaszewskiego. Trzeba to koniecznie przejrzeć. Koniecznie! – melduje.

Jaruzelski patrzy na niego i spokojnie odpowiada: – Dziękuję, połóżcie na biurko.

Szef wywiadu spełnia polecenie, ale przestępuje z nogi na nogę.

Jaruzelski: – Dziękuję, to wszystko.

Adiutantowi każe włożyć wszystko do szafy. – Wyjął dopiero po moim locie i kazał oddać temu palantowi z wywiadu – opowiada Hermaszewski.

Dlaczego tak postąpił? Dobrze znał tajemnice polskiego kosmonauty? Nie lubił intryg? Nie ulegał emocjom? Nie chciał wywoływać niepotrzebnego zamieszania?

Kiedyś powiedział: „Nagromadzone doświadczenie pozwala patrzeć z pewnego dystansu, unikać ahistorycznych ocen, myśleć na zasadzie czarne-białe i w rezultacie uznać to, co prawdziwe, obiektywne, a odsiać fałsz, mętlik, płytkie emocjonalne reakcje".

Kilkuosobowa grupa polskich reporterów, którzy mają relacjonować lądowanie, leci iłem-18 do Kazachstanu. W samolocie goszczą ich oficerowie lotnictwa. Koniaki ormiańskie, wina gruzińskie, kawior z Astrachania. Jeden oficer częstuje kanapkami, drugi pilnuje, żeby kieliszki były pełne.

– Kiedy wylądowaliśmy w Arkałyku, byliśmy w bardzo dobrych humorach – wspomina Mariusz Kukliński. – Schodząc po trapie samolotu, zachłysnąłem się gorącym powietrzem, było co najmniej trzydzieści siedem stopni.

Gospodarze zawożą ich do hotelu, proszą, żeby zostawili wszystkie rzeczy, zabrali tylko kąpielówki i ręczniki. Każdego oddzielnym samochodem odwożą nad odległy o kilkadziesiąt kilometrów sztuczny zbiornik wodny, gdzie władze miejskie

urządzają piknik. Kukliński siedzi obok mera Arkałyku. Niedobrze, bo gdy reporter dyskretnie wylewa w trawę dobrze schłodzoną wódkę z kieliszka, mer znów leje do pełna.

Piknik to tylko rozgrzewka przed oficjalnym bankietem, który odbywa się w hotelu w Arkałyku. Kukliński chce się zapisać w pamięci gospodarzy i w drodze powrotnej, gdy słuchają przez radio muzyki z Indii, pyta kierowcę, jak jest po kazachsku „na zdrowie". Odpowiada: – *As bołsen*.

W hotelu oprócz Polaków za stołem siedzi około dwudziestu pięciu Kazachów i co najmniej dziesięciu bardzo oficjalnych Rosjan. Każdy z obecnych po kolei wznosi toasty. Kukliński cierpliwie czeka na swoją kolej, wygłasza parę oficjalnych formułek po rosyjsku, a potem wznosi kieliszek i mówi: – *As bołsen*.

Kazachowie zachwyceni, wszyscy ustawiają się w kolejce do przepicia. A nie przepić z Kazachem to obelga. – Przytomność odzyskałem następnego dnia – wspomina Kukliński.

Program przewiduje zwiedzanie miejscowego muzeum. Upał jak diabli, gdy polska delegacja dociera na lotnisko, Kukliński prosi jednego z towarzyszących im Rosjan, żeby zaprowadził go do lekarza. Medycy urzędują w osobnym samolocie. Zamiast chirurgicznej sterylności i sprzętów z nierdzewnej stali czerwona otomana, stara lodówka marki Saratow i portret Breżniewa.

– Poprosiłem o benzedrynę. Odmówili. Powiedzieli, że to zwykły kac, do wylotu jest jeszcze kilka godzin, więc najlepiej zrobię, jeśli położę się pod skrzydłem samolotu i się prześpię, co uczyniłem – wspomina reporter.

Przy ostatnim okrążeniu Ziemi Hermaszewski patrzy przez iluminator i przypomina sobie, jak w dzieciństwie wdrapywał się na wysokie drzewa. Zawsze był ciekawy, jak świat wygląda z góry. Teraz myśli: „Gdzieś ty się wdrapał, Miruś? Wlazłeś tak wysoko, ale teraz trzeba zejść, a to zawsze trudniejsze".

Atmosfera to pancerz ochronny Ziemi. Większość przedmiotów, które w nią wpadną, spali na popiół. Lądowanie to jeden z najbardziej skomplikowanych i niebezpiecznych etapów lotu komicznego. Statek musi wejść w atmosferę pod odpowiednim kątem, żeby uchronić załogę przed śmiercią w płomieniach.

5 lipca załoga Sojuza 30 zaczyna operację powrotu na Ziemię. Kapsuła odwraca się żaroodpornym dnem w kierunku lotu i pędzi z prędkością ośmiu kilometrów na sekundę. Niewielkie silniczki korygują jej ustawienie. Kiedy wchodzi w atmosferę, słychać delikatne „pyk". I zaczyna się piekło.

– Pojawiły się pierwsze nieśmiałe płomienie, jakby różowa mgiełka, która otulała kapsułę i gęstniała w miarę zagłębiania się w atmosferę. Poczułem ciężar własnego ciała. Niewidzialna siła zaczęła ugniatać mi klatkę piersiową, a moja krtań jakby miała się zapaść. Oddychanie było coraz trudniejsze i wymagało wysiłku, a mówienie stało się prawie niemożliwe. Płomienie były już bardzo wyraźne, buszowały tuż obok twarzy, za ogniotrwałą szybą iluminatora. Mimo to kilkakrotnie się wzdrygnąłem, bo ten miły kolor to przecież rozpalona do piętnastu milionów stopni Celsjusza plazma! Tuż za plecami żaroodporna osłona rozgrzała się do tysiąca siedmiuset pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Narastające przeciążenie zaczęło mnie dławić, więc spróbowałem oddychać przeponą. Pomogło. Meldunki na Ziemię przekazywałem z dużym wysiłkiem. Szkło iluminatora zaczęło się rozgrzewać, zabarwiło się najpierw na żółto, lekko brązowo. Wkrótce czerń spalenizny zatarła

całkowicie przezroczystość szkła. Widoczne były jedynie jakby smugi po deszczu, które w sadzy wyżłobiły krople rozpalonego metalu z jakichś zewnętrznych rozpalonych elementów konstrukcji. Narastające gwałtownie przeciążenie było trudne do zniesienia. Czułem, że moje ciało się spłaszcza – opowiada Hermaszewski o przejściu przez atmosferę.

Niżej nad Ziemią automatycznie rozwijają się spadochrony, które hamują prędkość opadania kapsuły. Przez radio słychać nerwowe rozmowy pilotów samolotów obserwacyjnych.

– Nigdzie ich nie widzimy – meldują do centrum kontroli lotów.

Dopiero trzy kilometry nad Ziemią pilot śmigłowca dostrzega biało-czerwony spadochron. Lądownik z impetem wali w pole kukurydzy, kilkanaście razy koziołkuje, wznieca tumany kurzu, po czym nieruchomieje. Kosmonauci sponiewierani i oszołomieni. Polskie Radio przerywa program i podaje: „Dziś, 5 lipca 1978 roku, o godzinie szesnastej trzydzieści, nastąpiło miękkie lądowanie statku kosmicznego Sojuz 30 z międzynarodową załogą na pokładzie".

W kapsule lądownika wyje ogłuszający alarm. Hermaszewski próbuje go wyłączyć, ale nie potrafi ruszyć ręką. Czuje bezwład, coś go trzyma. To paraliż?

– Grawitacja – wyjaśnia Klimuk.

Lądowanie ma w sobie coś z trójwymiarowego baletu. Role tancerzy odgrywają śmigłowce. Krążą wokół kapsuły opuszczającej się na potężnym spadochronie o powierzchni tysiąc dwieście metrów kwadratowych. Wszyscy z napięciem patrzą, czy w chwili zetknięcia z ziemią spod kapsuły wyrwie się chmura pyłu,

poderwana impulsem rakiet hamujących. Ale tym razem moment lądowania nie ma świadków.

– Helikopter z dziennikarzami wylądował, jak Klimuk i Hermaszewski byli już na ziemi – wspomina Mariusz Kukliński. – Doszliśmy do osmalonego lądownika i zauważyłem, że Klimuk lekko się kołysze, a Polak w niekontrolowany sposób dygocze. Dwóch żołnierzy wzięło go pod ramię, zaprowadzili do śmigłowca medycznego. Na pokładzie było kilka lekarek, a każda z nich mogłaby startować w konkursie Miss World. Zapytałem potem generała Leonowa, dlaczego były to wyłącznie kobiety, na dodatek przepiękne. Wyjaśnił mi, że wracający z orbity kosmonauci są na granicy biologicznego rozpadu. I dodał: „Próbowaliśmy różnych sposobów, ale najlepiej działa na nich obecność pięknych kobiet. *Basic instinct*".

Hermaszewski spędza w śmigłowcu medycznym około dwudziestu minut, wysiada odmieniony. Uśmiechnięty, pełen werwy. Można włączać kamery. Do lądownika podbiegła pomarszczona kołchoźnica z bochenkiem chleba. Polski kosmonauta całuje ją w oba policzki. Klimuk stoi samotnie. Kołchoźnicy mówią: – Klimuka już znamy, przyjechaliśmy do Polaka.

Wokół lądownika morze ludzi: żołnierze, dziennikarze, fotoreporterzy. Każdy chce dotknąć bohaterów. Jakaś życzliwa dłoń bierze worek z prywatnymi rzeczami Hermaszewskiego. Zdjęcia i notatki przepadają bezpowrotnie.

Korespondent „Trybuny Ludu" relacjonuje: „Stali w białych kombinezonach oparci o klapę włazu. Pozują do zdjęć. Polski kosmonauta trzyma w ręku kwiaty i co chwila je wącha. Niespodziewanie zbliża się delegacja z pobliskiego sowchozu »Rostowskiego«. Są tam wszystkie pokolenia sowchoźników. Witają kosmonautów chlebem i solą".

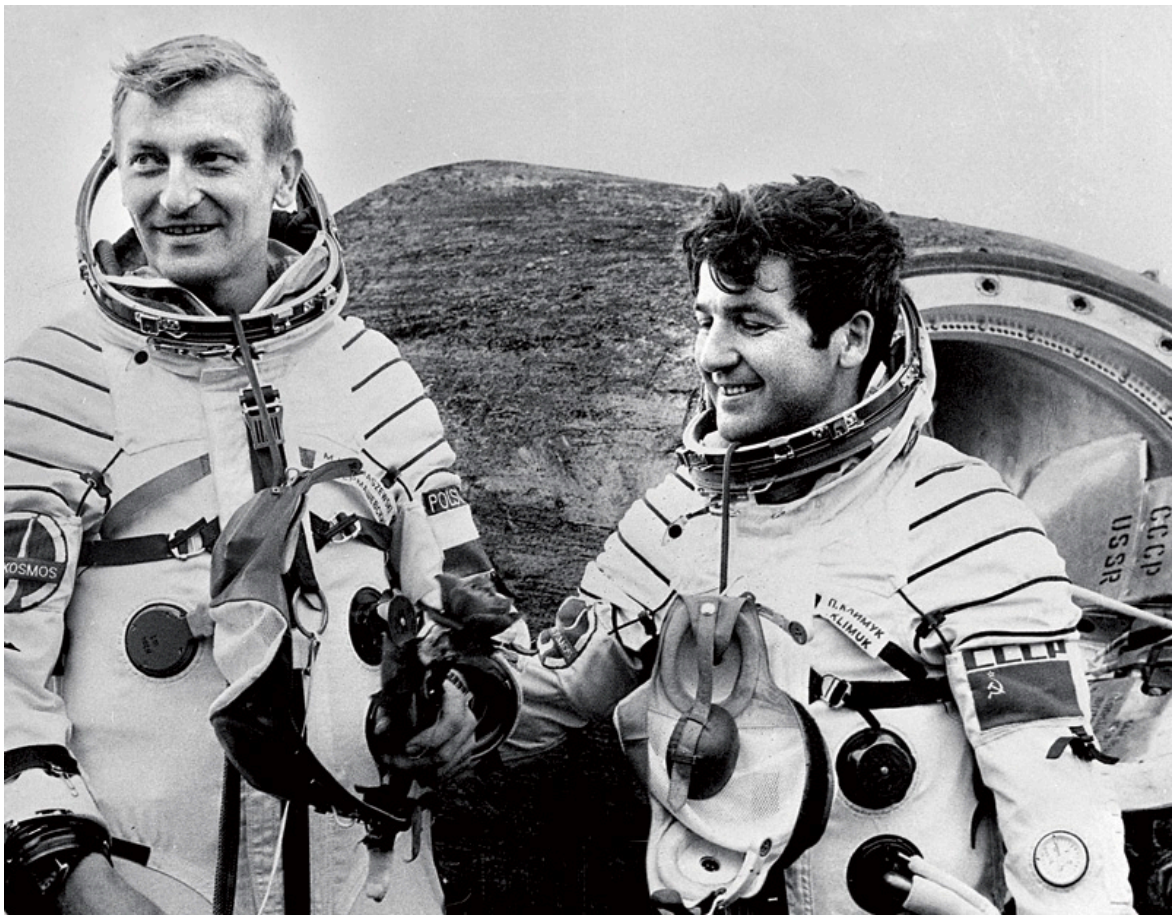

Mirosław Hermaszewski i Piotr Klimuk wylądowali 5 lipca 1978 roku w okolicach Arkałyku, który jest położony na stepie turgajskim, w północnej części Kazachstanu

Hermaszewski wzruszony. Kiedy byli jeszcze na stacji orbitalnej, kontrola lotów zapytała go, co by zjadł. – Kromkę chleba z masłem – odpowiedział bez wahania.

Marzenie spełnione. W oczach łzy.

Fotoreporterzy nie dają żyć. Zdjęcia obok lądownika, razem z Klimukiem i osobno, w hełmie, bez hełmu. Sesja trwa bez końca, ale nikt się nie skarży. Na fotografie czekają wszystkie gazety w Polsce. Scena ostatnia: kosmonauci składają tradycyjnie autografy na osmolonej burcie kapsuły. Lekki zgrzyt. Ratownicy zapomnieli kredy. Redaktor Irena Szadziewska wyciąga z torebki szminkę. Tradycji staje się zadość.

Pierwsze badanie po przylocie, puls i ciśnienie w normie. Waga – minus 4,6 kilograma.

Śmigłowce zabierają kosmonautów do Arkałyku. Hermaszewski i Klimuk zostają honorowymi obywatelami kazachskiego miasta. Dzieci obsypują ich kwiatami, dorośli ściskają ręce. W każdym miejscu na polskiego kosmonautę czekają „zwyczajni ludzie". Dziennikarze mają opisywać takie „spontaniczne" spotkania.

– Cześć, Mirek – rozlega się więc z tłumu w Arkałyku. To grupka Polaków zesłanych tam w czasie wojny. – Jesteśmy dumni – mówią polskiemu pilotowi.

Kolejne powitanie na Bajkonurze. Hermaszewski dostaje w prezencie żółwia, sadzi drzewo w Alei Chwały. Jest i wódka. Koniec prohibicji, w końcu można się napić.

Pierwsza noc na Ziemi jest krótka, za dużo emocji. Rano lot do Moskwy.

W Gwiezdnym Miasteczku na kosmonautów czekają rodziny, dziennikarze. W polskiej delegacji jest Ryszard Roter, górnik z kopalni Lenin w Mysłowicach-Wesołej. Ubrany w paradny mundur stoi w pierwszym szeregu oczekujących. „Idą ramię przy ramieniu, by złożyć raport przewodniczącemu państwowej komisji o wykonaniu zadania. I o tym, że technika sprawowała się przez cały czas znakomicie. Trwa to może kilkanaście sekund. Z trudem wytrzymuje do końca ceremonii córeczka naszego majora. Maleństwo podbiega do ojca. Obejmuje go za nogi i zaraz wędruje w górę na ramiona Mirosława. W kącikach oczu bohatera dostrzegam łzy. Ma je w oczach żona Emilia, kiedy cała rodzina – otoczona przez reporterów i przyjaciół – tonie w objęciach

i kwiatach" – opisuje scenę powitania korespondent „Trybuny Ludu".

Profesor Borys Pietrow, przewodniczący Interkosmosu, podsumowuje: „Lot Mirosława Hermaszewskiego był potwierdzeniem wielkich wartości internacjonalistycznej współpracy krajów socjalistycznych, rosnącego potencjału gospodarczego i naukowo-technicznych możliwości naszych państw, w tym Polski".

Docent Gałązka chce jak najszybciej dostać kapsuły z kryształami. Jedzie po nie do Moskwy, pakuje do walizki i wraca. Publikuje artykuły w specjalistycznych pismach, jest w nich o procesach krystalizacji, o zachowaniu kryształu w stanie nieważkości, o transportach masy na granicę międzyfazową i procesach regulowanych przez dyfuzję. Generalnie: na orbicie można wytwarzać kryształy idealnie jednorodne, czyli takie, które w każdym swoim miejscu mają jednakowe własności fizyczne. Na Ziemi to trudne, bo siła ciążenia utrudnia ten proces.

Wynikami badań interesują się Amerykanie. – Zaprosili mnie na Konferencję Gordona. Biorą w niej udział największe umysły, wybitni specjaliści w swoich dziedzinach. Nie można się na takie spotkanie zapisać, trzeba zostać wprowadzonym. Podczas obrad nie wolno robić notatek ani niczego nagrywać. I ja, facet z komunistycznego kraju, miałem tam wykład, po którym odbyła się godzinna dyskusja – wspomina profesor Gałązka.

Tytuł Bohatera Związku Radzieckiego to najwyższe wyróżnienie, nadaje go Prezydium Rady Najwyższej ZSRR. Kryteria: bohaterskie czyny i wybitne zasługi dla ojczyzny. Po raz pierwszy zostaje przyznane w 1934 roku siedmiu lotnikom, którzy uratowali załogę parowca „Czeluskin". Okręt w czasie dziewiczego rejsu najpierw utknął w lodach w pobliżu Cieśniny Beringa, a potem został zatopiony przez piętrzące się kry. Marynarze zeszli na lód i prawie przez dwa miesiące czekali na pomoc. Piloci musieli lądować na krach.

Mirosław Hermaszewski, ubrany w stalowy mundur polskiego pilota, stoi na baczność w kapiącej złotem Sali Katarzyny Pałacu Kremlowskiego. Wielki honor. Przed rosyjską rewolucją była to sala tronowa. Na drzwiach symbole Orderu św. Katarzyny, ustanowionego przez Piotra Wielkiego w 1714 roku.

Obok niego wyprężony jak struna Piotr Klimuk. Przed nimi Leonid Breżniew, przywódca ZSRR.

– Syn ojczyzny Kopernika przebywał w kosmosie. Można być z tego dumnym. Z każdym rokiem coraz bogatsze owoce przynoszą połączone wysiłki krajów socjalistycznych w sprawach ziemskich. A teraz również w kosmosie zgodna praca naszych kosmonautów daje znakomite wyniki, wzbogaca ludzkość o nową wiedzę i nowe odkrycia. Przed nami są starty z udziałem obywateli innych krajów socjalistycznych – przemawia pierwszy sekretarz KC KPZR. Kosmonauci dostają tytuły Bohatera Związku Radzieckiego. Breżniew przypina im do mundurów medal Złotej Gwiazdy. Scenę relacjonuje trzystu dziennikarzy z całego świata.

Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej zaprasza kosmonautów do moskiewskiego kina Warszawa. Ścisk niemiłosierny. Dwutysięczna widownia skanduje: „Chwała bohaterom kosmosu". W pierwszym rzędzie Swietłana Kuczerunko, komsomolska

brygadzistka z moskiewskiej poczty. Jest w ekstazie. – My, telegrafistki, zawsze wcześniej niż inni dowiadujemy się o wielkich wydarzeniach. Tak było i teraz. Gdy wystartował Sojuz 30 z Piotrem Klimukiem i Mirosławem Hermaszewskim, na linii Moskwa – Warszawa popłynęła lawina depesz i telegramów. Obsługiwałyśmy dziennie tysiące rozmów telefonicznych. Od lat łączy nas współpraca z koleżankami warszawskiej międzymiastowej. I teraz wspólnie przeżywałyśmy ten lot. Cała nasza załoga należy do Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej – melduje.

Ludzie ciekawi, zadają pytania: jak wygląda kosmos, jak się żyje na stacji orbitalnej, czy kosmiczne podróże są niebezpieczne, jakie piloci mają plany na przyszłość?

– Zawód kosmonauty staje się współcześnie jednym z wielu potrzebnych gospodarce, jak zawód górnika czy hutnika – odpowiada Hermaszewski.

Polscy dziennikarze pytają, kiedy wraca do kraju. Kosmonauta wzrusza ramionami. To nie zależy od niego.

W kraju kłopoty. Polska Edwarda Gierka żyje na kredyt, którego nie da się spłacić. Na drzwiach sklepów coraz częściej wiszą kartki z napisem „Remanent". Ludzie żartują, że wyglądają lepiej niż wywieszki „Brak towaru". Coraz trudniej o meblościanki na wysoki połysk i pralki automatyczne. Kineskopy kolorowych telewizorów Rubin szybko tracą barwy albo wybuchają.

Czytelnicy „Trybuny Ludu" skarżą się na problemy z chlebem. Jak już rzucą do piekarni, to niedobry. Kwaśny lub kluchowaty.

Ulica dowcipkuje: „Nie ma szynki, nie ma gnata, Hermaszewski w kosmos lata. Nie ma mięska, nie ma serka, jak tu lubić wujka

Gierka. Gdy zabierze i pasztecik, podpalimy komitecik".

Na melodię przeboju Maryli Rodowicz podśpiewują: „Wsiąść do rakiety Hermaszewskiego, nie dbać o szynkę z komercyjnego. Ściskając w ręku kartki na cukier, patrzeć, jak Gierek ma wszystkich w dupie".

Gierek nie rozumie, co się dzieje. Jest przekonany, że Polacy pokochali socjalizm. Dostaje raporty, że Polska niemal osiągnęła zaczarowaną granicę trzystu tysięcy mieszkań budowanych rocznie, a hasło „Każda rodzina ma mieszkanie" za chwilę stanie się rzeczywistością. Jedenaście nowych elektrowni zapewnia potrzebne dostawy prądu, eksport węgla i miedzi zapewnia potrzebne dewizy, modernizowane są rafinerie. Wieś produkuje wystarczającą ilość żywności.

Wszyscy powinni być zadowoleni. Dlaczego nie są?

Szynkę bez stania w kolejkach można kupić już tylko w sklepach komercyjnych, które sprzedają żywność po wyższych cenach. Cukier – wiadomo, na kartki. W kraju, który jest jednym z jego największych producentów! Kabaret Jana Pietrzaka szydzi, że gdyby specjalistów od gospodarki socjalistycznej wysłać do Afryki, to na Saharze zabrakłoby piasku.

Polska plotkuje o sklepach „za żółtymi firankami". Towarów w nich nie brakuje, a ceny o wiele niższe niż w normalnych. Mogą w nich kupować tylko wysocy działacze partii, milicjanci, esbecy i żołnierze zawodowi. Są jeszcze Pewexy, ale trzeba mieć dolary albo przeliczane na dewizy bony towarowe.

Władza próbuje odwrócić nastroje. Szykuje wielkie widowisko. 22 lipca w PRL-u obchodzone jest Święto Odrodzenia. Koncerty,

występy artystów, festyny, kiermasze. Mnóstwo towarów na straganach.

Pierwszy Polak w kosmosie ma być bohaterem tego wydarzenia. Jego portrety są wszędzie. Hermaszewski patrzy na Polskę ze słupów ogłoszeniowych, tablic informacyjnych, gablot, ale też z witryny mięsnego, spożywczego, warzywniaka, kiosku Ruchu, wisi na strażackiej remizie i w kasie dworca kolejowego. Dzieci w szkołach rysują kosmiczne rakiety z biało-czerwoną szachownicą. W telewizji „Studio Kosmos". Publicyści i naukowcy podkreślają, że lot Polaka to przełomowe wydarzenie w historii narodu.

Anna German kręci teledysk na cześć Mirosława Hermaszewskiego. Przechadza się wśród wojskowych odrzutowców i śpiewa:

Sojuz po nowe wyruszył odkrycie w krąg Ziemi!
Razem ze statkiem na gwiezdnej orbicie będziemy!
Marzeń najśmielszych spełnieniem są myśli i czyny,
Polskie na zawsze w kosmosie jak w księdze jest imię!
Prześcignąć przyszło nam niedościgniony czas,
Aż do galaktyki bram na trasach gwiazd!

Władza angażuje znane osoby. Aktor Gustaw Holoubek deklaruje: „Przyłączam się do wszystkich wyrażających entuzjazm w tej historycznej chwili i wraz ze wszystkimi rodakami składam najgorętsze gratulacje majorowi Hermaszewskiemu".

Jarosław Iwaszkiewicz, literat: „Jeszcze byliśmy pod wrażeniem uroczystego obchodu urodzin trzydziestopięciomilionowej obywatelki PRL, gdy dotarła do nas wiadomość o locie pierwszego Polaka w przestrzeń kosmiczną. Jakże to będzie w roku 2000? Ilu Polaków będzie latać wokół Ziemi, ilu badać tajniki kosmosu? Jakże to dziwne i potężne będzie widowisko – posunie chyba tak daleko

»bryłę świata«, że nawet sobie tego wyobrazić nie możemy. Myśl nasza biegnie do tych, co zbudowali ten sojusz między narodami i wzmacniają jego socjalistyczne braterstwo. Razem idziemy w przyszłość, razem dźwigamy postęp nauki, razem walczymy o pokój. Wszystko, co wsteczne, liche, podłe, wydaje się w takich podniosłych momentach nicością".

Nawet Loda Halama, mieszkająca w Londynie aktorka, dzieli się entuzjazmem: „Podobnie jak inni moi rodacy jestem pod wrażeniem lotu Polaka".

21 lipca 1978 roku. Lotnisko Okęcie oblężone. Harcerze, robotnicy, studenci, uczniowie, rodziny z dziećmi. W rękach biało-czerwone flagi. Nad głowami transparenty: „Serdecznie witamy bohaterów kosmosu". Atmosfera wyczekiwania. Na płycie kompania honorowa Ludowego Wojska Polskiego. Czerwony dywan, tłum partyjnych dygnitarzy. Z samolotu wysiadają major Mirosław Hermaszewski, Piotr Klimuk i podpułkownik Zenon Jankowski. Orkiestra gra „Mazurka Dąbrowskiego". Członkowie dziecięcego zespołu Gawęda wręczają kosmonautom kwiaty. Tłum wiwatuje, a młode dziewczęta rzucają kosmonautom figurki warszawskiej Syrenki.

Załoga Sojuza 30 podczas przejazdu ulicami Warszawy 21 sierpnia 1978 roku. Podczas konferencji prasowej Mirosław Hermaszewski obrazowo opowiadał dziennikarzom o ostatnich chwilach przed startem na orbitę: – Rakieta żyje, drży, dyszy, niecierpliwi się. Gdy ruszyła, bardzo się ucieszyłem. Czułem każde oddzielenie się jej kolejnych członów

Na ulicach stolicy zamiera ruch. Limuzynę z kosmonautami pilotują milicjanci na motocyklach. Na chodnikach sto dwadzieścia tysięcy warszawiaków. Nad Trasą Łazienkowską ogromny transparent: „Polska Ludowa naszym największym dobrem".

Marszałek Sejmu zwołuje nadzwyczajne posiedzenie. Na sali plenarnej ścisk. Posłowie, czołówka działaczy PZPR oraz oficerów armii. Telewizja i radio dają relację na żywo.

Edward Gierek, pierwszy sekretarz PZPR, podkreśla, jak wielkie zadowolenie narodowi przyniósł pierwszy lot kosmiczny Polaka. Oczywiście przypomina, że jesteśmy potomkami Kopernika, a teraz wnieśliśmy „znaczący wkład do nauki światowej". Lot Polaka jest

dla niego symbolem wielkiego awansu gospodarczego, naukowo-technicznego i cywilizacyjnego socjalistycznej Polski.

Hermaszewski i Klimuk dostają Ordery Krzyża Grunwaldu, Zenon Jankowski Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Hermaszewski otrzymuje pierwszą odznakę „Lotnik Kosmonauta Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej". Rewanżuje się Gierkowi egzemplarzem Manifestu PKWN, który zabrał na pokład Sojuza 30.

Kosmonauci wręczają Edwardowi Gierkowi, I sekretarzowi PZPR, egzemplarz Manifestu PKWN, który zabrali ze sobą na pokład Sojuza 30

– Moi radzieccy koledzy zadawali mi tam, na okołoziemskiej orbicie, bardzo wiele pytań na temat tego dokumentu. Na pamiątkę naszego lotu wszyscy kosmonauci znajdujący się w zespole orbitalnym złożyli podpisy na Manifeście. Odcisnęliśmy też na nim

pamiątkowy stempel „Polak w kosmosie” – wyjaśnia pilot podniosłym tonem.

Zaraz potem przemawia do narodu: – Podczas trudnych przygotowań oraz wykonywania zadań w kosmosie towarzyszyła mi świadomość, iż dostąpiłem tego wyróżnienia jako reprezentant Polski, sił zbrojnych, jako komunista. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, działalność w Związku Młodzieży Polskiej, służba w Ludowym Wojsku Polskim – wyznaczyły moją drogę życiową, ukształtowały polityczną postawę, dały społeczną i zawodową, lotniczą szansę.

Mieczysław Rakowski, członek KC PZPR, pisze w pamiętnikach: „Teraz należy oczekiwać, że nieszczęsnego Hermaszewskiego będą obwozić po kraju jak jakieś egzotyczne zwierzę w klatce”.

Ma rację, zaczyna się wielkie tournée.

Kosmonauci odwiedzają Hutę Warszawa. Wita ich cała załoga, przychodzą nawet ci z drugiej zmiany. Władimir Szatałow, szef wyszkolenia radzieckich kosmonautów, zauważa: – Gdy widzimy płomienie hutniczych pieców, czujemy się jak na kosmodromie podczas startu rakiety.

Spacer po Starym Mieście utrudniony. Warszawiacy otaczają Hermaszewskiego. Klaszczą, robią zdjęcia, proszą o autografy, ściskają dłonie, poklepują po plecach. Milicja musi torować drogę.

Pierwszy Polak w kosmosie za swój wyczyn dostaje zielonego poloneza, awansuje do stopnia podpułkownika i przenosi się do połowy bliźniaka. Prosto z Warszawy leci z rodziną na Kubę. Jest polskim delegatem na XI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów.

Potem znowu odwiedza szkoły, szpitale, zakłady pracy, jednostki wojskowe. Program za każdym razem taki sam: kwiaty, przemówienia, wspomnienia z lotu, pamiątkowe zdjęcia i autografy. Dęblin, Wrocław, Poznań, Radom, gdzie kosmonauci składają kwiaty na grobie ojca Piotra Klimuka, żołnierza Armii Czerwonej, który zginął pod Radomiem w trakcie walk z Niemcami.

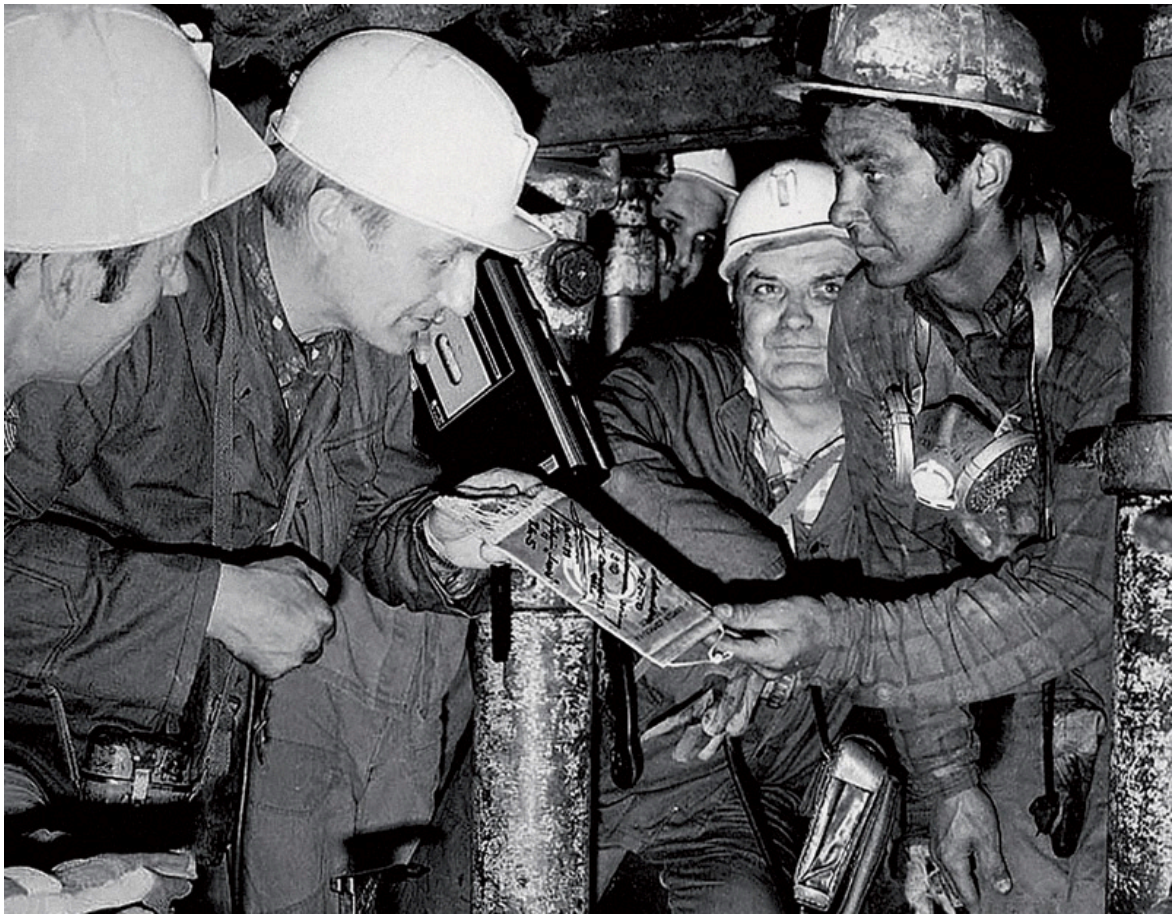

Podczas spotkania w kopalni Lenin w Mysłowicach-Wesołej Mirosław Hermaszewski mówi górnikom, że praca w kosmosie i pod ziemią są do siebie podobne. – Rozległa wiedza i praktyka, dyscyplina i dokładność w wykonywaniu zadań, koleżeńskość i zgranie kolektywu – to cechy nas wyróżniające – zauważa

Pracownicy Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Tychach oprowadzają kosmonautę po linii produkcyjnej małego fiata. Pokazują maszyny, chwalą się, że prawie wszystko jest

zautomatyzowane. – W tym aucie jest więcej miejsca niż w kabinie Sojuza – zauważa kosmonauta.

Na koniec wizyta w kopalni Lenin w Mysłowicach-Wesołej. Hermaszewski odbiera markę z numerem 6646. Zakłada kask, gumowce i arbajt. Chwilę potem stoi w windzie. Zjeżdża kilometr w głąb ziemi. Przymyka oczy i odlicza, jakby był w rakiecie: dwadzieścia sześć sekund – półtora kilometra, sześćdziesiąt sekund – dwanaście i pół kilometra, sto dwadzieścia sekund – czterdzieści pięć kilometrów nad Ziemią. Winda staje, jednak jest wolniejsza niż rakieta.

We wrześniu 1978 roku w Watykanie umiera papież Jan Paweł I. Kardynalskie konklawe wybiera jego następcę. Po ósmym głosowaniu nad Watykanem pojawia się biały dym. Rozlega się słynne *Habemus papam* – mamy papieża. Kardynałowie wybierają pięćdziesięcioośmioletniego Karola Wojtyłę, arcybiskupa metropolitę krakowskiego. Szok! To pierwszy papież od czterystu pięćdziesięciu pięciu lat, który nie jest Włochem!

„Pamiętam, to był wczesny wieczór, leżałem już w łóżku, miałem kolejne bóle kręgosłupa. Zastanawiałem się, czy wziąć blokadę przeciwbólową" – wspomina Gierek w „Przerwanej dekadzie".

Dzwoni Stanisław Kania, członek Biura Politycznego PZPR. Rozmawiają przez chwilę. Gierek odkłada słuchawkę i mówi do swojej żony Stanisławy: – Polak został papieżem. Wielkie to wydarzenie dla narodu polskiego i duże komplikacje dla nas.

Pogrzeb Jurija Gagarina, na placu Czerwonym w Moskwie żegnają go tłumy. Radzieckie gazety drukują nekrologi, wszystkie z taką samą treścią: „Jego tragiczna śmierć przepełnia głębokim bólem serca milionów ludzi naszego kraju i całej kuli ziemskiej. Świetlana pamięć o pierwszym na świecie zdobywcy kosmosu, wspaniałym komuniście, przyjacielu i towarzyszu walk na zawsze pozostanie w naszych sercach”

ROZDZIAŁ 12

Gwiezdne Miasteczko utonęło w ciemnościach

12 kwietnia 1978 roku w Gwiezdnym Miasteczku święto. Po wyczyszczonych uliczkach paradują piloci w galowych mundurach obwieszonych orderami. Z głośników leci muzyka. Na fasadzie Domu Oficera wisi ogromny portret Jurija Gagarina. Wszyscy zbierają się przed jego pomnikiem. Orkiestra gotowa, żołnierze ustawiają się w szyku paradnym do defilady. Potem wiec i uroczysta akademia. W pierwszym rzędzie zasiądzie Anna Timofiejewna, matka pierwszego kosmonauty, jego żona i córki. W dalszych kosmonauci i goście. Polacy w stalowych mundurach, Czesi w granatowych, Niemcy w popielatych. Najlepsi radzieccy artyści przyjadą z Moskwy. Będą recytować wiersze i śpiewać pieśni.

Tak jest zawsze w rocznicę lotu pierwszego człowieka w kosmos, w Światowy Dzień Kosmonautyki.

Pod pomnikiem Gagarina jak co roku można usłyszeć:

– Pamiętam, jak zginął. Ludzie płakali. Miał tylko trzydzieści cztery lata. Smutna i żałobna była wtedy Moskwa.

– Dlaczego pozwolili mu latać? Powinni zabronić!

– Przychodził codziennie do dowódcy i prosił: „Generale, przecież ja dam sobie radę. Nie bójcie się o mnie". Nie mogli mu odmówić.

– No tak, zabronić pilotowi latać to tak, jak zabronić rybie pływać.

– Powinien być wśród nas jak symbol, jak relikwia.

A w Polsce?

Kto jeszcze pamięta o Hermaszewskim? Władza ma większe zmartwienia. Kardynał Stefan Wyszyński odwiedza Gierka i oświadcza, że episkopat zaprosił Jana Pawła II do Polski. Gierek ma żal, bo papież to także głowa suwerennego państwa, z którym Polska nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych. Jest w potrzasku. Wybór papieża Polaka to jedno z najważniejszych wydarzeń w naszej historii. Odmowa oznacza obrazę całego narodu.

Leonid Breżniew dzwoni do Gierka: – Co zamierzacie?

– Przyjmiemy go godnie.

– Radzę wam, nie przyjmujcie go, będziecie mieli z tego wielkie kłopoty.

– Jak mam nie przyjąć papieża Polaka, skoro większość rodaków jest wyznania katolickiego i ten wybór jest dla nich wielkim świętem? Jak sobie wyobrażacie, co powiem ludziom – że zamykamy przed nim granice? – pyta Gierek.

– Powiedzcie papieżowi, on mądry człowiek, żeby oświadczył publicznie, że nie może przyjechać, bo zachorował – radzi Breżniew.

Gierek kręci głową: – Ja, niestety, towarzyszu Leonidzie, nie mogę tego zrobić. Muszę Jana Pawła II przyjąć.

– Gomułka był lepszym komunistą, bo Pawła VI nie przyjął w Polsce i nic się strasznego nie stało. Polacy już raz przeżyli brak zgody, to przeżyją raz jeszcze, jak i tego papieża nie wpuścicie.

– Rozum polityczny każe mi zrobić inaczej – mówi Gierek.

Breżniew poirytowany: – Róbcie, jak uważacie, ale żebyście i wy, i wasza partia później nie żałowali.

Ojciec Święty ląduje 2 czerwca 1979 roku w Warszawie. Trasa Łazienkowska, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście i Aleje Ujazdowskie ludzie zamieniają w niekończący się dywan kwiatów. W oknach biało-żółte i biało-niebieskie chorągiewki. Obok nich flagi biało-czerwone. Na spotkanie z papieżem przyjeżdżają miliony Polaków z całego kraju. Na Krakowskim Przedmieściu z myślą o pielgrzymach już dzień wcześniej organizatorzy pielgrzymki rozstawili metalowe zbiorniki z wodą do picia. Na placu Zwycięstwa staje ogromny krzyż.

Telewizja transmituje wizytę. Pokazuje, jak papież klęka na płycie lotniska i całuje ziemię, jak papieski orszak rusza w stronę miasta, że Jan Paweł II stoi na otwartej platformie ogromnego stara pomalowanego na biało i zamienionego w papamobile, że na trasie witają go tłumy, że w Belwederze Edward Gierek wyraźnie podenerwowany czytał z kartki. Niebywałe! Telewizja pokazuje sromotną klęskę komunistów!

Podczas transmisji mszy świętej na placu Zwycięstwa tylko bliskie plany, tłumów nie widać. Ale władza nie może już nic zrobić.

Papież podczas homilii mówi o zniszczeniu Warszawy podczas wojny i że stolica na próżno oczekiwała pomocy z drugiej strony Wisły.

Stanisław Kania wpada w histerię. Domaga się od Gierka natychmiastowej dymisji Macieja Szczepańskiego, szefa Radiokomitetu, i przerwania transmisji. Gierek odmawia, wyjaśnia Kani, że taka decyzja wywołałaby międzynarodowy skandal i potężny kryzys wewnętrzny. Dzwoni do Szczepańskiego i mówi: – Maćku, uczyniłeś bardzo dobrze. Rób dalej swoje jak dotychczas.

Miliony Polaków mogą więc usłyszeć, jak polski papież stoi pod ogromnym ołtarzem i woła: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi".

Już wszyscy rozumieją, że to koniec Polski, jaką do tej pory znali.

Hermaszewski ma dość. Wspomina: „Z czasem dotarło do mnie, że wiele osób zaczęło dysponować moim czasem, systematycznie pozbawiono mnie możliwości decydowania o sobie. Urzędnicy wyższego szczebla szczycili się moim sukcesem, jakby to było ich dzieło. Uważali, że muszę być do ich dyspozycji o każdej porze, by uświetniać różne uroczystości, zasiadać w komitetach honorowych, przecinać wstęgi, czyli być ozdobą".

– Nie pojechaliśmy na Wybrzeże, które znowu powoli buntowało się przeciwko władzy ludowej – mówi Zenon Jankowski. Na Hel jedzie za to prywatnie. – Widziałem tam poprzebijane plakaty z polskim kosmonautą.

Hermaszewski chce wrócić do dawnego życia, do jednostki. – Nie mógł wytrzymać bez latania – mówi profesor Jan Terelak. – Jak go uziemili, przyjeżdżał na wojskowe lotnisko i oglądał nocne loty.

Rozpoznawał samoloty po światełkach. Zabierał mnie czasami ze sobą, potem szturchał i mówił: „Patrz, jak ten pięknie wylądował. A ten? Co on wyprawia, o kurwa, zaraz się zabije!”.

Hermaszewski pisze raporty: nie ma jeszcze czterdziestki, dlaczego nie może znowu usiąść za sterami myśliwca? Dowódcy rozkładają ręce. Jest zakaz i koniec. Przecież wiadomo, dlaczego.

Gagarin pilotem pierwszej klasy jest tylko na papierze. Podróżuje po świecie, wygłasza odczyty, ściska dłonie. Przyjęcia, rauty, kobiety. Nie ma czasu się szkolić. Pilot pierwszej klasy musi mieć wylatanych co najmniej pięćset godzin na samolotach ponaddźwiękowych. Gagarin ma dwieście godzin mniej. Ale koniecznie chce wrócić za stery, lata z instruktorem Władimirem Sierioginem, pilotem frontowym. W czasie wojny to pilot szturmowego Ił-2, bierze udział w dziewiętnastu walkach powietrznych, strąca trzy samoloty wroga. Bohater Związku Radzieckiego.

Ranek 27 marca 1968 roku. W kabinie miga-15 z numerem bocznym 18 czekają na pozwolenie startu na lotnisku czkałowskim. O dziesiątej osiem włączają silnik, osiem minut później wzbijają się w powietrze. Pierwszych jedenaście minut lotu przebiega normalnie.

O dziesiątej trzydzieści Gagarin pod radiowym kryptonimem „sześćset dwadzieścia pięć” melduje przez radio: Sześćset dwadzieścia pięć wykonał zadanie w strefie dwudziestej. Proszę o zgodę na zakręt na kurs trzysta dwadzieścia (powrót).

Kierownik lotów: – Sześćset dwadzieścia pięć, zezwalam.

– Zrozumiałem, wykonuję.

Potem cisza. Samolot Gagarina znika z ekranu radiolokatora.

Operator łączności nieustannie: – Sześćset dwadzieścia pięć, sześćset dwadzieścia pięć! Podaj swoją pozycję! Sześćset dwadzieścia pięć! Odpowiadaj!

Cisza.

Dowództwo podrywa śmigłowce i samoloty Ił-14.

„Gwiezdne Miasteczko utonęło w ciemnościach, zapanowała przygniatająca cisza – napisze we wspomnieniach kosmonauta Gieorgij Bieriegowoj. – Wiadomość o wypadku szybko rozeszła się po salach wykładowych, laboratoriach, pomieszczeniach treningowych. Ludzie zaczęli się zbierać przed gabinetem Gagarina. Nikołaj Kuzniecow, szef Centrum Wyszkolenia Kosmonautów, kazał nam wracać do swoich kwater, ale nikt się nie ruszył. Gubiliśmy się w domysłach. Może silnik przestał pracować, nastąpiło nagłe oblodzenie, może samolot z czymś się zderzył? Generał Nikołaj Kamanin, organizator programu lotów załogowych, wskoczył do śmigłowca, na olbrzymiej zaśnieżonej przestrzeni wypatrywał śladów katastrofy albo czaszy spadochronu, która dawałaby nadzieję ocalenia”.

Około godziny szesnastej pod moskiewską wsią Nowosiołowo ekipy poszukiwawcze odnajdują miejsce katastrofy. Czarna jama okolona błotem. Teren otacza kordon żołnierzy.

Informacja o śmierci Jurija Gagarina była szokiem. Mieszkańcy Moskwy czytają o światowych echach tego tragicznego wypadku. Dowiadują się na przykład, że „londyńskie popołudniówki – co się prawie nigdy nie zdarza – poświęciły całe pierwsze kolumny i rozkładówki relacjom, wspomnieniom i zdjęciom związanym z człowiekiem, którego nazwisko oznacza rozpoczęcie ery podróży kosmicznych”

Walentin Samarin, były pułkownik KGB: – Samolot spadł w lesie pokrytym śniegiem grubym na dwa metry. Ściął korony drzew i wbił się w ziemię na głębokość pięciu metrów. Dwa oddziały żołnierzy wydobywały szczątki ze skruszonej zmarzliny na zmianę, co piętnaście minut. Zebraliśmy więcej niż dwa wiadra mięsa i odzieży rozrzucone po lesie. Kawałki ciał, a także kożuchów i butów, zawisły na gałęziach drzew. Na śniegu znalazłem fragment szczęki ze złotym zębem, która należała do Jurija Gagarina. Pracowaliśmy trzy dni bez odpoczynku. Pełzaliśmy po śniegu.

Zebraliśmy wszystkie szczątki i fragmenty samolotu, aż po ostatnią śrubkę. Zgromadziliśmy wszystko, co zostało ze zmasakrowanych ciał, aż po krople krwi na śniegu.

Radzieckie gazety 29 marca drukują nekrologi Gagarina i Sieriogina z krótką informacją: „Zginęli w katastrofie samolotu treningowego".

Potem przez dwadzieścia lat ani słowa.

Dlatego plotki: Gagarin pił, za sterami usiadł nietrzeźwy. Kazał go zabić Leonid Breżniew, był zazdrosny o popularność Jurija. Albo że wcale nie zginął, tylko zwariował od nadmiaru sławy i zamknęli go w psychuszce.

Igor Kuzniecow, członek komisji badającej okoliczności katastrofy, po latach: – Mogło dojść do rozhermetyzowania się kabiny, Gagarin i jego towarzysz natychmiast obniżyli wysokość lotu i wskutek gwałtownej zmiany ciśnienia stracili przytomność.

Inni: – Zderzyli się z balonem meteorologicznym.

Jak było naprawdę?

Dopiero po trzydziestu latach można oglądać dokumenty ze śledztwa.

– Na pewno nie był to akt terroryzmu ani sabotażu.

– Zarzuty o niedostateczne przygotowanie pilotów należy odrzucić.

– Podejrzenia o brak dyscypliny pilotów, ich nieostrożność czy nietrzeźwość są wykluczone.

– Samolot był sprawny, silnik pracował aż do momentu uderzenia w ziemię, radiostacja była włączona.

– Lotnicy nie próbowali się katapultować.

– Badania odcisków palców i podeszew butów wykazały, że piloci trzymali stopy na pedałach, a Gagarin lewą dłonią trzymał dźwignię regulacji obrotów silnika.

– Samolot uderzył w ziemię z prędkością sześciuset osiemdziesięciu czterech kilometrów na godzinę.

Przyczynami katastrofy mogły być:

– zderzenie się samolotu z gromadą ptaków,

– wznoszący się, pionowy prąd powietrza, który mógł gwałtownie zmienić siłę nośną samolotu i wytrącić go z równowagi.

Aleksiej Leonow, przyjaciel Gagarina, leci na miejsce katastrofy, rozmawia z mieszkańcami wioski. Opowiadają mu o samolocie, który leciał nisko, pod pokrywą chmur, a potem dopalił i wleciał pionowo w chmury. Jakie miał skrzydła, jaki dziób? Wieśniacy mówią, że miał skrzydła jak bałałajka. Na pewno nie mig-15 Jurija. Leonow sprawdza. Tego dnia w tym samym rejonie latał eksperymentalny Su-15. Opis skrzydeł pasuje jak ulał. Ale miał zadaną wysokość powyżej dziesięciu tysięcy metrów. Co robił tak nisko, pod pułapem chmur?

Od przełożonych słyszy: – Nie interesuj się, nie drąż. Sprawa zamknięta.

W 1991 roku Leonow czyta odtajniony raport komisji. Oficjalna przyczyna: zaraz po Gagarinie i Sierioginie z lotniska startuje para odrzutowych migów-21, a także mig-15 z kryptonimem „sześćset czternaście". Maszyna była po remoncie, pilot miał ją oblatać. Podczas manewru skrętu Gagarin za bardzo zbliża się do „sześćset czternaście". Wlatuje w strugi powietrza odrzutowca. Wiry

powietrza, które spływają z końcówek skrzydeł, tworzą małą trąbę powietrzną. Samolotu, który w nią wleci, nie da się opanować. Mig-15 radzieckiego kosmonauty traci sterowność, wpada w korkociąg. Dla Gagarina to nie problem, potrafi przecież wyprowadzić maszynę, dlatego jest spokojny. Ale nie wie, że chmury są niżej, niż sądzi. Jest przekonany, że ma dużo czasu. Przedziera się przez chmury, widzi ziemię. Jest za nisko. Brakuje dwustu pięćdziesięciu, najwyżej trzystu metrów wysokości i dwóch sekund lotu.

Gabinet Jurija Gagarina w Gwiezdnym Miasteczku do dzisiaj został zachowany w niezmienionym stanie. Jest jedną z największych atrakcji muzeum lotów kosmicznych urządzonego w Domu Kosmonauty. Obcokrajowcy mogą tutaj wejść tylko za okazaniem specjalnej przepustki

Leonow kręci głową. A może to nie drugi mig-15, tylko nagły poryw wiatru zmienił kąt natarcia samolotu Gagarina i wytrącił go z równowagi? Tego dnia zbliżał się zimny front. A może

jednocześnie zadziałały zła pogoda i smuga z drugiego samolotu? Albo ten tajemniczy, eksperymentalny Su-15, o którym w oficjalnych dokumentach nie ma ani słowa? Co naprawdę się stało?

Leonow w 2013 roku występuje w telewizji. Publicznie prosi Władimira Putina: – Minęło czterdzieści pięć lat, pokażcie wszystkie dokumenty. Wszystkie!

Putin spełnia prośbę. Leonow otwiera zalakowaną kopertę z utajnionymi dokumentami. Czyta i wzdycha. Pilot testowego Su-15 zszedł w dół, a następnie na dopalaczu, niemal z prędkością ponaddźwiękową, przeleciał w chmurach w odległości dziesięciu-piętnastu metrów od samolotu Gagarina, który w wyniku turbulencyjnego zaburzenia wpadł w głęboką spiralę. Po pięćdziesięciu pięciu sekundach samolot zderzył się z ziemią. Załoga zginęła.

Władze proszą Leonowa, żeby nie podawał nazwiska tego pilota, bo on wciąż żyje, dobiega dziewięćdziesiątki, a w 1988 roku został odznaczony tytułem Bohatera Związku Radzieckiego.

A teraz najgorsze. Od początku wszyscy wiedzieli o tym nielegalnym locie: Nikołaj Kamanin, szef oddziału kosmonautów, i konstruktor samolotów Andriej Tupolew. A najbardziej winny był Nikołaj Strojew, w 1968 roku zastępca przewodniczącego komisji do spraw wojskowo-przemysłowych Rady Ministrów ZSRR. To on kazał wymazać z akt materiały dotyczące samolotu Su-15. Wyjaśniał, że nie ma potrzeby, aby narażać karierę „absolutnie niewinnego lotnika".

Su-15 wystartował 27 marca 1968 roku z bazy Instytutu Lotnictwa im. Gromowa. Strojew był dyrektorem tego instytutu.

Leonow nie ma zgody władz na podanie nazwiska pilota, przez którego zginął Gagarin. Ale generałowie przekonują: „On to zrobił

nieumyślnie”.

Mirosław Hermaszewski przedstawia kosmonautom w Gwiezdnym Miasteczku (Borisowi Wołynowowi, Pawłowi Popowiczowi i Georgijowi Bieriegowojowi) swoją córeczkę Emilkę

ROZDZIAŁ 13

Kosmonauta ma odpowiadać za dostawy mleka w proszku

Hermaszewski nie może tak dalej. Nie chce spędzić reszty życia przy biurku. Prosi przełożonych o skierowanie na studia do Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie. Jesienią 1980 roku wyjeżdża z całą rodziną do Moskwy. Syn Mirek chodzi tam do szkoły przy polskiej ambasadzie, córka do przedszkola, a żona pracuje w Biurze Korespondencji Polskiego Radia i Telewizji.

Hermaszewski studiuje w grupie dwunastu polskich oficerów, jest drugim lotnikiem kosmonautą, po Giermanie Titowie, w historii uczelni. Znowu może spać spokojnie.

Moskwa jeszcze żyje olimpiadą. Krawężniki wciąż są pomalowane świeżą, białą farbą, witryny sklepów błyszczą w słońcu. Na półkach zachodnie towary: amerykańskie papierosy, coca-cola, fanta, amerykańskie gumy do żucia i fińskie soczki owocowe. Moskwianie nie potrafią ich otwierać.

Władysław Kozakiewicz, tyczkarz, wspomina: – Radziecka propaganda była taka, że oni nas żywią, a sami nie mają co do gęby

włożyć. Na każdym produkcie, który można było wtedy kupić w Moskwie, była podana cena, na przykład dwa ruble, a na dole dopisek „30 kopiejek dla Polski".

Zachód bojkotuje igrzyska. Do Moskwy nie przyjeżdżają zawodnicy m.in. z USA, RFN, Kanady, Norwegii, Izraela, Argentyny, Turcji czy Kenii. Brakuje aż sześćdziesięciu trzech reprezentacji. To protest przeciwko radzieckiej inwazji na Afganistan.

Mimo to igrzyska się odbywają. 30 lipca na stadionie olimpijskim na Łużnikach rozpoczyna się konkurs w skoku o tyczce. Na trybunach kilkadziesiąt tysięcy kibiców. Murowanym faworytem do złota jest Konstantin Wołkow, reprezentant gospodarzy. Organizatorzy robią wszystko, aby wygrał. Gdy staje na rozbiegu, zamykają bramy stadionu, dzięki czemu nie ma wiatru. Inni zawodnicy skaczą w przeciągu. Ale Polak Władysław Kozakiewicz skacze jak natchniony. Najpierw 5,7 metra, w kolejnej próbie bije rekord świata – 5,78 metra. Kibice wściekli, gwiżdżą i wyją. Polak nie pozostaje im dłużny. Po zwycięskim skoku wstaje z materaca i kieruje w stronę trybun rękę zgiętą w łokciu. Ten gest przechodzi do historii.

– Wyzwoliłem złość, która się we mnie kłębiła. Wtedy chyba każdy Polak marzył o tym, żeby coś takiego pokazać – wspomina Kozakiewicz.

30 lipca 1980 roku, podczas konkursu skoku o tyczce na igrzyskach olimpijskich w Moskwie, Władysław Kozakiewicz dwukrotnie pokazał obraźliwy gest

radzieckiej publiczności, która go za każdym razem wygwizdywała. Polak skoczył na wysokość 5,78 metra, ustanowił rekord świata i zdobył złoty medal

Rosyjskie władze oburzone. Wściekły Breżniew dzwoni do Warszawy. Traktuje ten gest jako antysowiecki. Rosjanie naciskają na Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Domagają się dyskwalifikacji Kozakiewicza i odebrania mu złotego medalu. Zawodnik się broni: – Zawsze tak robię, jak wygrywam.

Polskie władze wyjaśniają: Kozakiewicz miał skurcz mięśni.

Juan Antonio Samaranch, szef MKOl, decyduje: – Nie było w tym nic zdrożnego, wynik konkursu nie zostanie podważony.

Amerykański magazyn lekkoatletyczny „Track & Field" pisze na pierwszej stronie: Kozakiewicz pokazał moskiewskim zwierzętom, co naprawdę o nich myśli.

Rosjanie coraz bardziej zaniepokojeni. Co się dzieje w tej Polsce?

W Polsce gorące lato. PZPR nie jest już przewodnią siłą narodu. Do „Solidarności" zapisuje się dziesięć milionów Polaków. Wszyscy wierzą w zmiany.

Ale w partii też toczy się walka. Przeciwnicy Gierka czują, że to dobry moment, by sięgnąć po władzę. Najpierw uderzają w premiera Piotra Jaroszewicza. Wymuszają na Gierku, by go zdymisjonował. Premierem zostaje Edward Babiuch. Sparaliżowany nową pozycją, stremowany, nieskuteczny, ciągnie Gierka w przepaść. Gospodarka ledwo dyszy. Eksport towarów (trzeba zdobywać dewizy, by spłacać długi) ogołaca sklepowe półki, za wysokimi płacami nie nadąża wydajność pracy. Już niemal wszystko jest na kartki.

Stanisław Kania, członek Biura Politycznego KC PZPR, czeka na moment, by przejąć władzę. Pod koniec lipca 1980 roku Gierek jedzie z rodziną na Krym. W książce Janusza Rolickiego „Edward Gierek. Życie i narodziny legendy" Piotr Kostikow, szef sektora polskiego w KC KPZR, opisuje ich spotkanie na lotnisku w Symferopolu.

– Piotr, jestem strasznie zmęczony – zaczyna Gierek. Kostikow zauważa u niego zmarszczki, sińce pod oczami, bladą skórę, przygarbioną sylwetkę. Gierek mówi powoli, waży słowa, widać, że jest kłębkiem nerwów, spięty i zdekoncentrowany. Rozklejony, stary człowiek. – Traci pewność siebie i to jest groźne – myśli Kostikow.

Gierek nie dostrzega intryg towarzyszy z KC. Nie dopuszcza myśli o zdradzie, więc szef polskiej sekcji przy KC KPZR rozmawia z Adamem Gierkiem, jego synem. Wypływają daleko w morze, odpoczywają, trzymając się boi. Kostikow pyta: – Czy zdajesz sobie sprawę, że Kania będzie coraz bardziej zdecydowanie zmierzał do obalenia ojca?

Adam długo milczy, wreszcie odpowiada: – Jestem o tym przekonany, ale ojciec, niestety, uwierzył, że nikt go nie ruszy.

Kiedy na Wybrzeżu wybuchają strajki, Gierek z rodziną wraca z Krymu do kraju. Chce jechać do stoczniowców, ale Kania odradza. Robi wszystko, by 15 sierpnia o godzinie dwudziestej przemówienie do narodu wygłosił premier Babiuch. To katastrofa, bo Babiuch zacina się co chwilę. Dukając i stękając, prosi Polaków o jedność w trudnym momencie. Strajkujący stoczniowcy żądają podwyżek, a Babiuch im mówi, że Polski na to nie stać.

Kania zaciera ręce. Staje na czele wewnątrzpartyjnego, nieformalnego sztabu antykryzysowego. W odróżnieniu od załamanego Gierka tryska energią. 23 sierpnia dochodzi

do przewrotu. Wszyscy członkowie Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR mają złożyć na ręce Gierka dymisje. Ten ruch ma mu pozwolić wybrać sobie ludzi, z pomocą których opanuje sytuację.

Gierek wybiera nowe władze partii, całkowicie powolne Kani. Dopiero teraz zauważa, że wszyscy go opuścili. Nie wytrzymuje napięcia. Z objawami zawału trafia do szpitala w Aninie.

Biuro Polityczne 5 września decyduje o odwołaniu Edwarda Gierka z funkcji I sekretarza KC PZPR. Jego miejsce zajmuje Stanisław Kania. Leonid Breżniew przysyła Gierkowi najserdeczniejsze życzenia powrotu do zdrowia.

Kryzys gospodarczy narasta. Półki w sklepach świecą pustkami. Powstają komitety kolejkowe, ludzie stoją w nich całymi nocami. Towar pojawia się rano i znika w mgnieniu oka. Na początku 1981 roku rząd wprowadza kartki na mięso. Trzeba je rejestrować w sklepie w miejscu zamieszkania lub zakładzie pracy. Zakupy nie są proste, trzeba się uczyć wielu zasad. Można na przykład wymienić wędliny na mięso w proporcji jeden do jednego, ale nie wolno wymieniać mięsa na wędliny. Kto woli kotlety, może poświęcić szynkę na rzecz schabu lub cielęciny, ale nie na odwrót. Na kartki jest też masło (pół kilograma miesięcznie dla osoby dorosłej), mąka, ryż i kasza (po dwa i pół kilograma co miesiąc na głowę). Reglamentowane są nawet zeszyty szkolne, mydło i proszek do prania. Matki, które kupują mleko w proszku, muszą przynieść książeczki zdrowia dzieci. Papier toaletowy staje się dobrem luksusowym. Można go zdobyć za pokwitowaniem z punktu skupu surowców wtórnych. Przelicznik: jedna rolka

za kilogram makulatury. Na pralki, telewizory, lodówki i meble obowiązują trzyletnie przedpłaty. Bez problemu można dostać ocet.

Zachodnie banki domagają się spłaty zaciągniętych przez Gierka kredytów. Kwota powala: dwadzieścia cztery miliardy dolarów i trzy miliardy rubli transferowych, a zyski z eksportu to tylko pięć miliardów dolarów. PRL-owska gospodarka to bankrut. Władzy nie potrzeba więcej kłopotów.

Przewrót w partii nie ma już żadnego znaczenia. W niemal każdym polskim zakładzie działa „Solidarność". Władza już przestaje liczyć, gdzie jeszcze trwa strajk, gdzie się skończył, a gdzie się dopiero rozpoczął. Stoi ponad siedemset zakładów, kilkaset tysięcy ludzi przyłącza się do protestu. Postulaty wszędzie takie same: podnieść pensje, obniżyć wiek emerytalny, wprowadzić urlopy macierzyńskie i wolne soboty.

Strajkujący stoczniowcy ze Szczecina mają postulat specjalny. W punkcie czternastym piszą: „Zlikwidować niepotrzebne dla PRL wydatki typu Hermaszewski i pomoc dla Trzeciego Świata".

W marcu 1981 roku partia nie zgadza się na rejestrację rolniczej „Solidarności". Jan Rulewski, Mariusz Łabentowicz i Michał Bartoszcze okupują salę obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy. Do akcji wkracza milicja. Działacze zostają pobici. „Solidarność" domaga się ukarania winnych funkcjonariuszy. Komuniści odmawiają. Jeśli się ugną, mundurowi wypowiedzą posłuszeństwo władzy. Pat.

„Solidarność" pokazuje siłę. W całym kraju strajk ostrzegawczy. 27 marca 1981 roku na cztery godziny stają pociągi, autobusy, tramwaje. Górnicy przestają fedrować, stoczniowcy nie budują

statków, a włókniarki wyłączają krosna. Polska zamiera. Związek oznajmia, że to tylko przygrywka przed strajkiem generalnym.

Wściekły Breżniew dzwoni do Stanisława Kani. – Widzę, towarzyszu, że sytuacja u was weszła w krytyczną fazę.

Kania mokry ze strachu. W Warszawie ląduje zastępca szefa KGB. Rosjanie naciskają na pacyfikację rebelii i wprowadzenie stanu wojennego. Minister obrony narodowej generał Wojciech Jaruzelski dogaduje się z Wałęsą. Związek rezygnuje ze strajku generalnego, a rząd obiecuje ukarać milicjantów z Bydgoszczy. Nie dotrzymuje słowa.

Wrzesień 1981 roku, do hali Olivia w Gdańsku przyjeżdża ośmiuset dziewięćdziesięciu ośmiu delegatów na pierwszy zjazd „Solidarności", jedynego w krajach komunistycznych niezależnego związku zawodowego. Działacze uchwalają „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej": „Naszym celem jest walka o poprawę bytu wszystkich ludzi pracy. Popieramy tych z was, którzy zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy".

Rosyjska agencja TASS nazywa dokument „antysowiecką orgią", a Leonid Breżniew po raz kolejny domaga się wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. PZPR zarzuca „Solidarności" awanturnictwo polityczne i prowokację wobec sojuszników Polski. Kierownictwo partii ostrzega: „Socjalizmu będziemy bronić tak, jak się broni niepodległości Polski. Państwo dla tej obrony użyje takich środków, jakich wymagać będzie sytuacja".

Stanisław Kania podaje się do dymisji. Pierwszym sekretarzem KC PZPR, premierem, ministrem obrony narodowej i szefem

Komitetu Obrony Kraju zostaje Wojciech Jaruzelski. Nikt wcześniej nie skupiał takiej władzy w swoich rękach.

Jaruzelski to oficer z kartą frontową, służbista, ma silne poparcie w wojsku, ale „Solidarność" się nie boi. Moskwa się niecierpliwi. Breżniew domaga się zamknięcia sprawy z niezależnymi związkami zawodowymi. Uważa, że to kontrrewolucja. Lecha Wałęsę i innych przywódców polskiej opozycji widzi w gułagach na Syberii. Jest nawet gotowy użyczyć pociągów do ich wywózki.

Polskie władze uspokajają Kreml, że same poradzą sobie z kryzysem. Rosjanie nie wierzą, decydują się na demonstrację siły. Przygotowują manewry „Sojuz 80". Plan ćwiczeń zakłada wkroczenie do Polski piętnastu dywizji radzieckich, dwóch czechosłowackich oraz jednej enerdowskiej. Warszawa nie ma wątpliwości, że bratnie manewry zamienią się w interwencję. Jak ją powstrzymać?

Pomoc przychodzi z najmniej oczekiwanej strony. CIA ma szpiega w polskim Sztabie Generalnym. Jimmy Carter, prezydent USA, dostaje informacje o radzieckich planach. Ostrzega Kreml, że interwencja w Polsce negatywnie wpłynie na stosunki amerykańsko-sowieckie. Zbigniew Brzeziński, sekretarz stanu, rozmawia z papieżem Janem Pawłem II.

Jaruzelski zapowiada: – Musimy przywrócić wewnętrzny ład.

Najpierw wyłączono telefony. Nie można wezwać pogotowia ani milicji. Wojsko zamyka przejścia graniczne. Do Polski nie można wjechać ani z niej wyjechać. Telewizja i radio przestają nadawać program. O północy 13 grudnia 1981 roku na zasypane śniegiem ulice polskich miast wjeżdża niemal dwa tysiące czołgów

i transporterów opancerzonych, siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy i kilka tysięcy milicyjnych patroli. Służba Bezpieczeństwa zatrzymuje tysiące działaczy „Solidarności" z Lechem Wałęsą na czele. Za wieloma ukrywającymi się rozesłane są listy gończe.

O świcie radio i telewizja nadają orędzie generała Wojciecha Jaruzelskiego. Ubrany w wojskowy mundur ogłasza wprowadzenie stanu wojennego. W całym kraju do odwołania, od godziny dwudziestej drugiej do szóstej rano, obowiązuje godzina milicyjna. W tym czasie bez specjalnego pozwolenia nikomu nie wolno wychodzić z domu. Władzę w Polsce przejmuje Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. Administracja państwa i strategiczne sektory gospodarki, jak komunikacja, energetyka, górnictwo, zostają zmilitaryzowane, a nadzór nad nimi obejmuje wojsko. Zostaje wprowadzona cenzura korespondencji. Bez zgody władz nie wolno zmieniać miejsca pobytu.

Edward Gierek jest internowany. Pisze o tym w „Przerwanej dekadzie": „W nocy wkroczyli do mojego domu w Katowicach milicjanci wraz z oficerem. Obudzili mnie, waląc pięściami w drzwi. Żona, gdy zorientowała się, że chcą mnie zabrać, zadbała o ciepłą bieliznę i ubranie dla mnie. Cały czas byłem poganiany. Ledwie się ubrałem, zapakowano mnie do samochodu i przewieziono do komendy miasta, do budynku, z którego w swoim czasie chciałem zrobić hotel. Po kilku minutach zaczęli przyjeżdżać inni towarzysze, wśród nich Janek Szydlak. Przez cały tydzień przerzucali nas z miejsca na miejsce, aby w końcu zawieźć do stałego miejsca pobytu. Było to koło Drawska, w miejscowości Głębokie. Po drugiej stronie jeziora, w lepszych zresztą warunkach, osadzeni byli działacze »Solidarności«. Budynek, który odtąd miał być nam domem niedoli, był zdewastowany. Czynny był w nim jeden pisuar i jeden klozet. Mieszkałem w małym pokoiku z Janem Szydlakiem.

Dom był nieopalany, spaliśmy w łóżkach w ubraniu, we wszystkim, co mieliśmy".

Wiesław Kiczan, były wiceminister górnictwa i energetyki, w książce „Gierek, Jaroszewicz, Wojtyła... Sekrety spisane podczas internowania" wspomina, że milicjanci, którzy pilnowali więźniów, udawali, że ich nie znają. Wchodzili do pokoju Gierka i mówili: – Nazwisko!

– Nie poznajecie mnie, towarzyszu? – pytał były pierwszy sekretarz, znany z czołówek gazet i dzienników telewizyjnych.

– Nazwisko!

– Gierek.

Na Śląsku bunt. Stają kopalnie i huty. Robotnicy domagają się zwolnienia zatrzymanych przywódców „Solidarności". Wierzą, że strajkiem dopną swego. Stoją też zakłady Gdańska, Lublina, Warszawy czy Krakowa. Ale unieruchomione kopalnie to wyjątkowy cios dla gospodarki. Ciepłownie potrzebują węgla, aby ogrzać miasta. Bez węgla elektrownie nie wyprodukują prądu. Milicja i wojsko dostają zielone światło. Pacyfikują kopalnię po kopalni. 15 grudnia w kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu-Zdroju ZOMO strzela do górników. Dzień później czołgi forsują mur kopalni Wujek w Katowicach. Od kul milicjantów ginie dziewięciu górników, kilkudziesięciu zostaje rannych. Przywódcy strajku zostają skazani na wieloletnie więzienie.

Władze ogłaszają podwyżki. Jedzenie drożeje o dwieście czterdzieści jeden procent, a opał i energia o sto siedemdziesiąt jeden procent. WRON rządzi twardą ręką. WRON, czyli kto?

Większość redakcji jest zamknięta. W kioskach można kupić tylko dwie gazety: „Trybunę Ludu” oraz „Żołnierza Wolności”. Na pierwszych stronach proklamacja Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. W jej skład wchodzą: przewodniczący – generał armii Wojciech Jaruzelski, członkowie – generałowie broni: Florian Siwicki, Tadeusz Tuczapski, Eugeniusz Molczyk, admirał Ludwik Janczyszyn, generałowie dywizji: Czesław Kiszczak, Tadeusz Hupałowski, Czesław Piotrowski, Józef Baryła, Włodzimierz Oliwa, Henryk Rapacewicz, Józef Użycki, Tadeusz Krepski, Longin Łozowicki, generałowie brygady: Michał Janiszewski, Jerzy Jarosz, pułkownicy: Tadeusz Makarewicz, Kazimierz Garbacik, Roman Leś, dwaj podpułkownicy: Jerzy Włosiński i Mirosław Hermaszewski.

Hermaszewski zapewnia nas, że nie za bardzo wiedział, co się wtedy działo w Polsce. W Moskwie można było złapać tylko nadawaną z Warszawy radiową Jedynkę. Z gazet docierał jedynie „Żołnierz Wolności”. Czysta propaganda.

12 grudnia 1981 roku dostaje rozkaz: musi natychmiast wracać do kraju. Nikt mu nie tłumaczy, o co chodzi, wiadomo tylko, że sprawa jest pilna. Rozkaz wydaje osobiście generał Wojciech Jaruzelski.

Profesor Terelak: – Mirek wsiadł w ruski samolot wojskowy. Myślał, że wyląduje w Mińsku Mazowieckim, a stamtąd samochodem dojedzie do Warszawy. Ale kiedy podchodzili do lądowania, oficer na wieży oświadczył pilotom, że nie dopuści do lądowania. Zagroził, że jak nie posłuchają, to każe otworzyć ogień. Zaskoczeni rosyjscy piloci próbują wyjaśniać, że mają

na pokładzie polskiego kosmonautę. Wieża nieugięta. Pewno się bali, że to początek sowieckiej inwazji.

Maszyna z pułkownikiem Hermaszewskim ląduje w radzieckiej bazie lotniczej Krzywa pod Legnicą.

– Rosyjscy żołnierze w pełnym wyposażeniu, kałachy, granaty, ostra amunicja, maski przeciwgazowe – wspomina Hermaszewski. – Niezłe ćwiczenia, myślę. Pod samolot podjeżdża wołga, podwozi mnie do sztabu armii w Legnicy. Rozsuwa się żelazna brama, z budynku dowództwa zbiega rosyjski generał w lotniczym stroju. „Mirosław, wypilibyśmy po kielichu, ale nie możemy, bo mamy tu alarm. W Polsce wprowadzili *wojennoje położenije*".

– Stan wojenny!? – dziwi się Hermaszewski.

Nie ma czasu na wyjaśnienia. W radzieckiej jednostce czeka już polski oficer. – Przyjechałem po pana – mówi.

Przesiadają się do helikoptera i lecą do Warszawy.

– Mirek opowiadał, że jak leciał, widział wiele czołgów i transporterów, które leżały w rowach – mówi profesor Terelak. – Wojskowi specjalnie je psuli, żeby nie musieli ich używać.

Na początku lat 80. Mirosław Hermaszewski wyjechał na studia do Moskwy, w latach 1987-1990 był komendantem Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie, zastępcą dowódcy Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej (1991-1992) oraz szefem bezpieczeństwa lotów WLiOP (1992-1995). Od 1995 roku do emerytury był inspektorem do spraw sił powietrznych w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego

Dopiero w Warszawie Hermaszewski dowiaduje się z radia, że został członkiem Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego.

– Siedzimy z żoną w domu, jest późny wieczór, obowiązuje godzina milicyjna. Nagle słyszymy walenie do drzwi – wspomina Mariusz Kukliński. – Otwieram, a na progu stoi wzburzony Hermaszewski, w krótkim kożuszku, z pistoletem wetkniętym w cholewę buta. Blady jak ściana powtarza: „Kurwa, jak mogli mi to zrobić!?". Informacja o wpisaniu go na listę członków WRON

dogłębnie nim wstrząsnęła. Próbowaliśmy go uspokoić, ale się nam nie udało. Hermaszewski miał ogromne wyczucie wojskowej dyscypliny, nie wyobrażał sobie, że mógłby odmówić wykonania rozkazu. Po locie w kosmos miał też ogromny dług wdzięczności wobec generała Jaruzelskiego.

Kosmonauta nie bierze udziału w pierwszym posiedzeniu WRON. Przed drugim generał Florian Siwicki wyjaśnia mu, że znalazł się w składzie rady, bo taka była potrzeba.

– Jest stan wojenny, szkoły są zamknięte, młodzież wyrwana z toku zajęć. Trzeba pomyśleć, jak zorganizować jej czas. Jesteście znani i akceptowani, zajmiecie się tym – rozkazuje generał. Na posiedzeniu rady Hermaszewski siedzi, słucha, nie wypowiada ani jednego słowa. Zdjęcie ze spotkania publikuje „Trybuna Ludu". Ludzie śmieją się, że kosmonauta ma odpowiadać za dostawy mleka w proszku.

Profesor Jan Żaryn, historyk: „Hermaszewski mógł być listkiem figowym, który był potrzebny WRON z powodów propagandowych, bo dobrze się kojarzył i uosabiał osiągnięcia socjalistycznej ojczyzny".

Ale w styczniu 1982 roku generałowie mówią mu, że już nie jest potrzebny. Wraca do Moskwy. Akademię kończy z drugą lokatą. Awansuje na stopień pułkownika i dostaje etat w szefostwie Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Kraju. Krótko potem zostaje zastępcą dowódcy korpusu OPK na warszawskim Bemowie. Opinia służbowa nienaganna.

„W okresie stanu wojennego był członkiem WRON. Jest też przewodniczącym krajowym Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Jako kosmonauta bierze częsty udział w różnych sympozjach, spotkaniach, zarówno w kraju, jak i za granicą. Jest zaangażowanym członkiem partii, swoją postawą pobudza innych

do działania. Oficer o wysokim poczuciu godności osobistej, wzorowej postawie wojskowej, o wysokiej kulturze i wyrobieniu towarzyskim. Postawa etyczno-moralna bez zastrzeżeń. Posiada duże zdolności organizacyjne i predyspozycje dowódcze. Energiczny, szybko podejmuje decyzje. Jest towarzyski, dowcipny, taktowny. Posiada umiejętności analitycznego myślenia, zwięzłego i zrozumiałego formułowania wniosków i propozycji, wyłaniania istotnych problemów. Pewny siebie i konsekwentny w działaniu, trochę zarozumiały. Potrafi dbać o własne interesy" – piszą przełożeni Hermaszewskiego.

W 1984 roku wraca tam, gdzie zaczynał. Szkoła Orląt w Dęblinie to kolebka polskiego lotnictwa. Kosmonauta zostaje najpierw zastępcą dowódcy szkoły, a potem jej komendantem. Najważniejsze: znowu może latać.

W 1988 roku awansuje na generała brygady, choć ma tylko czterdzieści siedem lat. W wojsku fala komentarzy: za szybko, dzięki układom, niezasłużenie. Szepty, że lot w kosmos też załatwił mu brat, generał Władysław Hermaszewski.

Mirosław oburzony. „Mój brat nigdy ze mną nie latał. Nie pomagał mi znosić potwornych przeciążeń w wirówce, nie podawał mi tlenu w komorze niskich ciśnień, nie oddawał za mnie krwi do analizy. Nie połykał za mnie sztywnych sond, nie wymiotował za mnie po wyczerpujących ćwiczeniach. Zawdzięczam mu tylko to, że zaraził mnie miłością do lotnictwa" – odpowiada w gazetach.

Generał Władysław Hermaszewski to legenda polskiego lotnictwa. Eskortuje przylatujące do kraju samoloty, które na swoich pokładach wiozą prezydenta Francji Charles'a de

Gaulle'a, szacha Iranu Mohammada Rezę Pahlawiego, prezydenta Meksyku Lópeza Mateosa. Najmłodszy generał w historii Ludowego Wojska Polskiego. W 1960 roku, podczas uroczystości na polach Grunwaldu, prowadzi formację sześćdziesięciu czterech myśliwców, sześć lat później kieruje lotniczą defiladą z okazji tysiąclecia państwa polskiego.

Władysław Hermaszewski mieszka w segmencie szeregowców przy ulicy Rajców w Warszawie. Budowę inicjują Janusz Przymanowski, autor „Czterech pancernych", oraz pisarz i scenarzysta Zbigniew Załuski. Mieszkają tam oficerowie wracający z placówek dyplomatycznych lub misji rozjemczych ONZ. Śmietanka polskiej armii. W połowie lat siedemdziesiątych na Rajców wprowadza się pułkownik Ryszard Kukliński, pracownik zarządu operacyjnego Sztabu Generalnego. Zapalony żeglarz, uczestnik misji wojskowej w Wietnamie. Rodziny się przyjaźnią. Syn Kuklińskiego był przyjacielem córki Władysława Hermaszewskiego.

Kukliński pracuje w sztabie nad planami manewrów wojskowych z udziałem sojuszniczych wojsk Układu Warszawskiego, dobrze zna radziecką doktrynę wojenną, wie, co planują Sowieci, jeśli wybuchnie trzecia wojna światowa. Zna kierunki uderzeń na Europę Zachodnią, rozmieszczenie wojsk i baz zaopatrzeniowych. W 1980 roku zostaje członkiem niewielkiej grupy oficerów, którzy pracują nad wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego.

Oczywiście nikt nie wie, że Kukliński współpracuje z amerykańskim wywiadem. Ma kryptonim „Jack Strong" i jest perłą w koronie szpiegów CIA. Mikrofilmy ze zdjęciami tajnych dokumentów zostawia w szpiegowskich skrzynkach. Pilne informacje przekazuje za pomocą „Iskry". To urządzenie wielkości

paczki papierosów z klawiaturą i miniaturowym monitorem. Pozwala wysyłać krótkie wiadomości, namiastkę SMS-ów.

Pilna narada w Sztabie Generalnym zostaje zwołana na 2 listopada 1980 roku. – Mamy przeciek – informują przełożeni. Do dziś nie wiadomo, jak wojskowy kontrwywiad wpadł na trop szpiega. Wiele wskazuje na to, że informacje zdobywa agent KGB działający w Watykanie, w otoczeniu Jana Pawła II.

Służby wiedzą, że w Sztabie Generalnym mają „kreta", ale nie znają jego tożsamości. Zaczyna się polowanie. Życie „Jacka Stronga" wisi na włosku. Kukliński rozmawia z żoną i synami. Przyznaje się do pracy dla CIA. – Jak mnie złapią, popełnię samobójstwo. Mam pigułkę z cyjankiem – zapowiada. Rodzinna narada i krótka decyzja: trzeba uciekać.

Mirosław Hermaszewski (w kokpicie) ze swoim starszym bratem, generałem Władysławem Hermaszewskim, legendą polskiego lotnictwa, pilotem I klasy, który spędził w powietrzu 5 tysięcy godzin, w tym ponad 3,5 tysiąca w samolotach odrzutowych i ponaddźwiękowych. W 1960 roku, w 550. rocznicę bitwy pod Grunwaldem, Władysław Hermaszewski prowadził szyk „tafla", złożony z 64 samolotów odrzutowych, co było światowym rekordem

Kukliński po raz ostatni wychodzi ze swojego domu na Rajców, spotyka Władysława Hermaszewskiego. Serdecznie macha mu ręką. Amerykanie przerzucają swojego najcenniejszego agenta i jego rodzinę do Berlina Zachodniego.

Szczegóły ucieczki rodziny Kuklińskich są tajne. Według amerykańskiego dziennikarza Benjamina Weisera „ewakuacja" pułkownika odbywa się na raty. Kiedy za pierwszym razem pojawia się w ustalonym wcześniej miejscu, samochody amerykańskiej ambasady są śledzone, więc Kuklińscy do nich nie wsiadają. Drugie podejście udane. Po Kuklińskich przyjeżdżają Tom i Lucille Ryanowie, pracownicy ambasady. Hanna Kuklińska wraz z synami siada na tylnej kanapie ich volvo, pułkownik kładzie się w bagażniku. W ambasadzie ukrywają ich w pudłach opatrzonych pieczęciami poczty dyplomatycznej. Kartony jadą furgonetką do bazy wojskowej w Berlinie Zachodnim. Polscy i enerdowscy celnicy nie mieli prawa do nich zajrzeć. Pisarka Maria Nurowska, przyjaciółka Kuklińskich, twierdzi z kolei, że żona i synowie pułkownika wyjechali do Berlina Zachodniego dyplomatycznymi samochodami. Kukliński czeka w Warszawie na potwierdzenie, że ucieczka jego bliskich się powiodła. Przychodzi nawet na przyjęcie do ambasady radzieckiej z okazji rocznicy wybuchu rewolucji październikowej. Wymyka się stamtąd po kilku kieliszkach, na Mokotowie przejmuje go ekipa CIA. Błyskawicznie farbują mu włosy, zmieniają kształt brwi i nakładają na nos okulary. Pułkownik wylatuje z Okęcia ostatnim samolotem do Londynu. Na odprawie pokazuje oryginalny paszport współpracującego z CIA Anglika.

Kuklińscy spotykają się w bazie lotniczej w stanie Maryland. CIA nigdy nie skomentowała tych relacji.

Komunistyczne władze uznają Kuklińskiego za zdrajcę i zaocznie skazują na śmierć.

Znajomość ze szpiegiem CIA odbija się Władysławowi Hermaszewskiemu czkawką. „Pojawiła się nieufność do mnie jako zaprzyjaźnionego z nim sąsiada" – żali się w książce „Moje przestworza". Wie, że w armii kariery już nie zrobi. W czerwcu 1982 roku zostaje prezesem Aeroklubu PRL. Ma się zająć szkoleniem cywilnych pilotów. Pięć lat później jeden z instruktorów kradnie samolot i w towarzystwie kilku osób ucieka do Berlina Zachodniego. To definitywny koniec kariery generała Władysława Hermaszewskiego. Zostaje odwołany z funkcji prezesa i wysłany na emeryturę. – Od dawna jest nam znana wasza nieprzeciętna inteligencja, ale i przebiegłość, dzięki której nigdy dotąd nie daliście się nam złapać – mówią mu w oczy przełożeni.

Wojskowe Służby Wewnętrzne to wojskowy kontrwywiad. Szukają szpiegów, trzymają pod lupą wszystkich żołnierzy i dowódców. O Mirosławie Hermaszewskim: „Wobec nas daje wyraz szczerości i lojalności tak w sprawach służbowych jak i osobistych. Właściwie reaguje na przekazywane przez nas informacje. Postanowienia Statutu WSW przestrzega bez żadnych zastrzeżeń. Na jego rodzinę materiałów obciążających nie posiadamy. Żona nadal zamieszkuje w Warszawie. Pracuje w Polskim Radio na stanowisku administracyjnym. Mają dwoje dzieci. Syn jest studentem I roku na WSOL na kierunku lotnym. Zachowanie syna bez zastrzeżeń. Córka jest uczennicą 5 klasy szkoły

podstawowej. Z posiadanego przez nas rozeznania wynika, że pułkownik Hermaszewski odcina się od spraw dotyczących jego brata generała Hermaszewskiego. W rozmowach z kierownictwem tutejszego oddziału WSW wyrażał obawy, czy z powodu zastrzeżeń do jego brata nie będzie miał przeszkód w osobistej karierze wojskowej".

W 1997 roku prokuratura wojskowa wznawia postępowanie w sprawie Ryszarda Kuklińskiego. Śledczy uznają, że pułkownik szpiegował dla Amerykanów, działając w stanie wyższej konieczności. Umarzają postępowanie. Kukliński zostaje zrehabilitowany i przyjeżdża do Polski w glorii bohatera.

Do generała Ryszarda Michałowskiego, naczelnego prokuratora wojskowego, dociera list z nagłówkiem: „Czekamy na całą prawdę o pułkowniku Kuklińskim". Autorzy domagają się ujawnienia uzasadnienia umorzenia śledztwa przeciwko agentowi CIA i kwestionują dokonania pułkownika. Podważają powszechne przekonanie, że jego dezercja spowodowała „wstrząs" w moskiewskich i warszawskich dowództwach i sztabach. Twierdzą, że to blef, a reakcja Moskwy była wręcz zadziwiająco wstrzemięźliwa. Plany ofensywy wojsk Układu Warszawskiego nie zostały zmienione. Apelują, by prokuratura nie zaostrzała historycznych podziałów, ale w sposób wyważony przedstawiła rzetelny obraz sprawy Kuklińskiego.

Pod listem podpisuje się trzydziestu emerytowanych generałów Ludowego Wojska Polskiego, w tym Wojciech Jaruzelski i Władysław Hermaszewski.

Media obiega informacja, że pierwszy polski kosmonauta nie chce rehabilitacji Kuklińskiego. Popełniają błąd. Mylą Mirosława z jego starszym bratem.

Mirosław Hermaszewski nic nie wie o apelu, jest za granicą. Potem przyzna: – Ja bym tego listu nie podpisał.

Co innego jego brat. Jest bardzo krytyczny wobec Kuklińskiego. O swoim byłym sąsiedzie pisze tak: „To, co kiedyś było dobre, dziś uchodzi za złe, a to, co kiedyś było wysoce naganne, dziś uznawane bywa za wyczyn bohaterski". Uważa, że „dawny zdrajca bezwstydnie stroi się dziś w piórka patrioty, a obecna władza czyni zeń bohatera narodowego, nawet nie zadając sobie pytania: gdzie na świecie, w jakim kraju i w jakiej armii, kiedykolwiek uznano bohaterem swojego oficera, który szpiegował na rzecz innego kraju?".

Stan wojenny to początek końca PRL-u. USA ogłaszają sankcje gospodarcze wobec Polski. Gwarancje kredytowe zostają zawieszone, polskie statki nie mogą prowadzić połowu na amerykańskich wodach, Amerykanie wstrzymują też dostawy produktów i sprzętu dla polskiego rolnictwa. Zawieszona zostaje współpraca naukowa, zablokowano dostęp do nowych technologii.

Komunistyczna gospodarka ledwo zipie. W 1988 roku inflacja wynosi ponad sześćdziesiąt procent. Zdesperowane władze drastycznie podnoszą ceny żywności. W Magdalence rozmawiają przedstawiciele rządu, opozycji i Kościoła. Komuniści zgadzają się na częściowo wolne wybory do Sejmu (zapewniają sobie co najmniej sześćdziesiąt pięć procent miejsc) i w pełni wolne do nowo stworzonego Senatu, rejestrację „Solidarności", utworzenie

Senatu, reaktywowanie „Tygodnika Solidarność” oraz powstanie opozycyjnego dziennika – „Gazety Wyborczej”.

Mirosław Hermaszewski z żoną Emilią z domu Łazar. Gdy poleciał w kosmos, byli małżeństwem od 12 lat

Generał Mirosław Hermaszewski startuje w wyborach do Senatu. Jest kandydatem PZPR. Nie ma szans, wszystkie mandaty zdobywają kandydaci związani z opozycją. Zgromadzenie Narodowe na prezydenta Polski wybiera generała Wojciecha Jaruzelskiego,

a nowy gabinet formuje wywodzący się z „Solidarności" Tadeusz Mazowiecki. Krótko potem parlament nowelizuje konstytucję. Wykreśla z niej zdanie o kierowniczej roli PZPR, zmienia nazwę państwa z Polska Rzeczpospolita Ludowa na Rzeczpospolita Polska. Komunizm upada.

Mirosław Hermaszewski odwiedza jeden z zakładów pracy na Śląsku. Robotnicy pytają, czy nie powinien przeprosić za stan wojenny.

– Osobiście za to przepraszam – odpowiada.

Jako były członek WRON nie może zostać w wojsku, zostaje wysłany na przymusową emeryturę. W jego obronie stają członkowie Międzynarodowego Stowarzyszenia Uczestników Lotów Kosmicznych. Piszą list do prezydenta Lecha Wałęsy, który nakazuje Sztabowi Generalnemu „uszanować i przywrócić do służby znanego na świecie naszego pierwszego kosmonautę".

Hermaszewski zostaje szefem Biura Bezpieczeństwa Lotów Dowództwa Wojsk Lotniczych. W ramach zbliżenia z NATO polscy generałowie uczą się angielskiego. Skoszarowani w szkole językowej w Łodzi mają wkuwać słówka. W grudniu 1994 roku Mariusz Szczygieł, reporter „Wyborczej", szuka kontaktu z polskim kosmonautą.

– Wyjechał na kurs językowy – mówią mu jego podwładni. Szczygieł dzwoni więc do Łodzi. – Przykra sprawa, bo w nowym roku akademickim generał Hermaszewski jeszcze się na lekcje nie zgłosił – mówi recepcjonistka oficerskiego hotelu.

Polski kosmonauta na oficjalnych zdjęciach nie mógł czytać przypadkowych pism. „Kraj Rad”, wydawany od 1958 do 1990 roku, był tygodnikiem, w którym propagowano wiedzę o Związku Radzieckim i kreowano pozytywny obraz tego kraju w Polsce

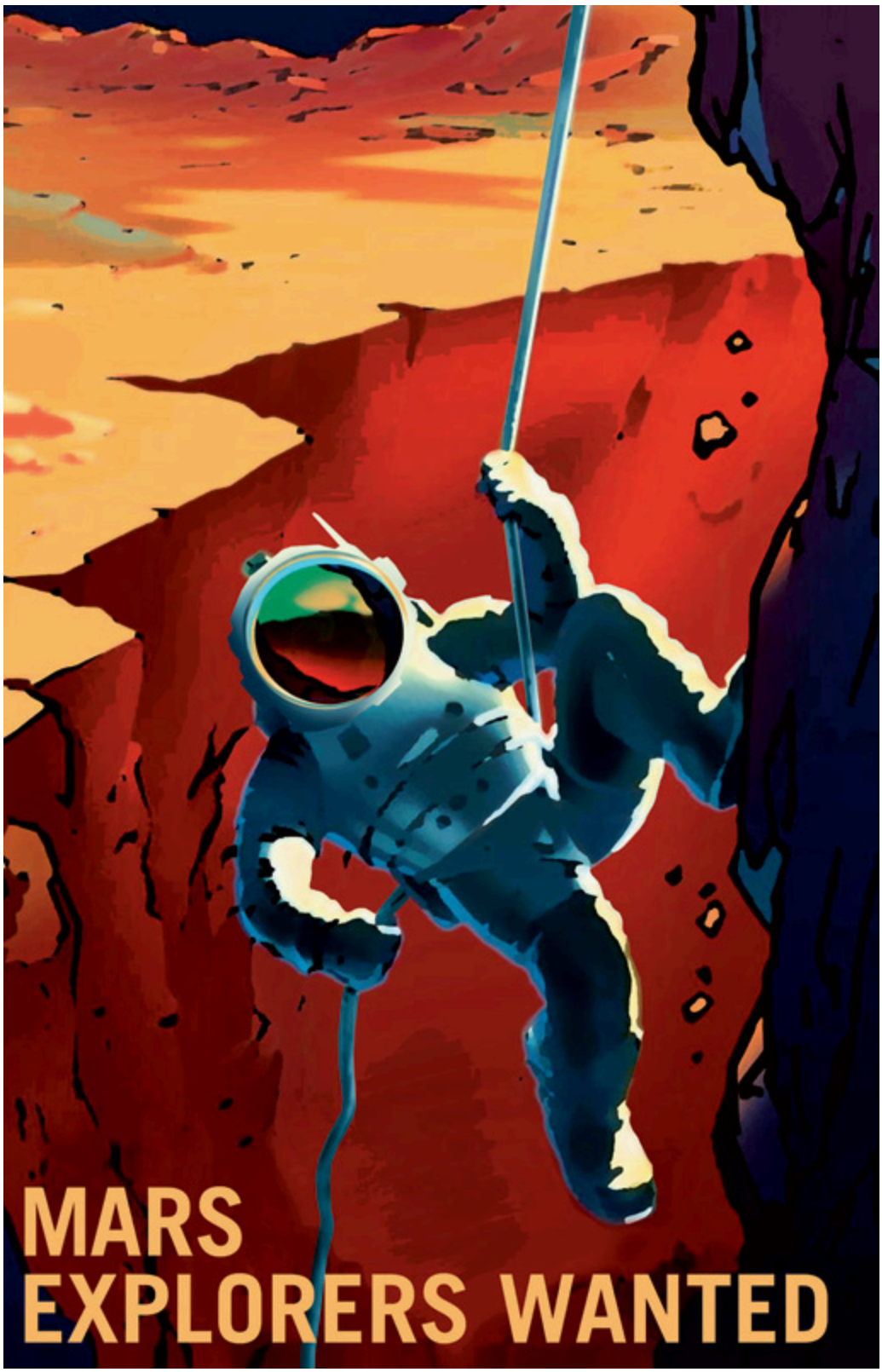
MARS
EXPLORERS WANTED

Po lądowaniu na Księżycu kolejnym wielkim wyzwaniem jest załogowy lot na Marsa i kolonizacja tej planety

ROZDZIAŁ 14

My jeszcze w kosmosie tak naprawdę nie byliśmy!

Statek szkolno-towarowy „Antoni Garnuszewski” cumuje przy Nabrzeżu Kościuszkowskim w Gdyni. Nowiutki, pływa ledwie cztery lata. Sto dwadzieścia dwa metry długości, siedemnaście metrów szerokości. Na pokład razem z załogą może zabrać sto siedemdziesiąt dziewięć osób. Z nadbudówki wystają anteny i urządzenia namiarowe. Można go pomylić ze statkiem szpiegowskim, ale to nieprawda.

Najważniejszego nie widać – „Garnuszewski” ma wzmocniony kadłub i klasę lodową L2. Może pływać w rozrzedzonych i drobno pokruszonych lodach albo na zamarzającym morzu, za lodołamaczem.

Początek grudnia 1978 roku. Na nabrzeżu ruch. Dziesiątki mężczyzn w pomarańczowych kurtkach przytulają żony, synów, córki. Syrena, ostatnie pocałunki i po trapie na statek.

Głosy z pokładu: – Do zobaczenia za rok.

Życzenia z nabrzeża: – Bądźcie zdrowi, wracajcie szczęśliwie!

Trasa: przez Kilonię, obok Madery i Wysp Kanaryjskich do Montevideo. Stamtąd już prosto na Szetlandy Południowe. Wyspa Króla Jerzego. W 1977 roku Polska założyła tam własną Stację Antarktyczną imienia Henryka Arctowskiego. „Garnuszewskim" płynie kolejna zmiana. Część załogi zostanie tylko do końca antarktycznego lata, dwadzieścia jeden osób spędzi na stacji zimę: rybak, kucharz, lekarz, dwóch techników, stolarz, kierowca, chemik, dwóch meteorologów, ichtiolog, magnetolog, sejsmolog, dwóch biologów, elektryk, radiotelegrafista, elektronik, mikrobiolog, parazytolog i psycholog – Jan Terelak z Instytutu Medycyny Lotniczej. Rozdaje ankiety z setkami pytań, koledzy nadają mu ksywę „Psychiczny".

Śmieje się z tego i macha ręką. Ma ważne zadanie. Kilka miesięcy temu na orbitę okołoziemską został wysłany pierwszy polski kosmonauta. Rosjanie myślą o Księżycu i lotach międzyplanetarnych. Liczy się nie tylko technika, ale i psychologia. Ważne, by znaleźć odpowiedź na pytanie, jak zachowuje się grupa skazana przez długi czas na swoje towarzystwo. Jak się zachowa w nieprzyjaznym otoczeniu? Czy kosmonauci będą ze sobą współpracowali? A może konflikt jest wpisany w ludzką naturę? Jak wybrać lidera, który zagwarantuje sobie posłuch?

Takie obserwacje można prowadzić w zamkniętych, odizolowanych społecznościach: na dalekomorskich statkach, platformach wiertniczych, więzieniach albo odciętych od świata stacjach arktycznych.

Latem w Stacji Arctowskiego sporo się dzieje. O dwanaście minut lotu śmigłowcem stacja radziecka, niedaleko bazują polarnicy

z Chile. Do Zatoki Admiralicji wpływają statki rybackie z Dalmoru, amerykańskie badawcze, niemieckie wycieczkowce, prywatne holenderskie i francuskie łodzie żaglowe. Wizyty, rewizyty, biesiady. Nowe krajobrazy i zapachy. Dyżury w kuchni i przy sprzątaniu bazy, nakrywaniu do wspólnego stołu, zmywaniu naczyń, zamiataniu korytarzy. Konieczne badania naukowe, rozmowy. Słońce cały czas na niebie, męczy brak nocy. Mnóstwo się dzieje, wszystko ekscytujące, ale w grupie i tak widać podziały na „technicznych" i „naukowców".

Kierownik bazy ma pretensje o brak dyscypliny. Jedni chętnie poddają się rygorom, inni z oporami. „Technicznych" nie trzeba namawiać do obierania ziemniaków, dla „naukowców" to zajęcie poniżające. Kierownik zwołuje zebranie, pora wylać żale i oczyścić atmosferę. Terelak obserwuje kolegów. „W tonie hurraoptymizmu odzywał się ten, do którego było najwięcej zastrzeżeń" – notuje w dzienniku. Nic szczególnego, zachowanie typowe.

W siedemdziesiątym dziewiątym dniu widać nieco więcej. Ludzie stają się drażliwi, częściej okazują niezadowolenie, kłócą się. Tworzą się małe grupki: radiowa, medyczna, biologiczna. Jest kilku samotników, którzy nie integrują się z nikim.

W sto drugim dniu Terelak może zapisać pierwsze wnioski: izolację społeczną lepiej znoszą zrównoważeni emocjonalnie ekstrawertycy. Ale na wszystkich pobyt w odciętej od świata bazie wpływa bardzo źle. Lęki, depresja, fobie – aż po objawy psychosomatyczne. Jeden z polarników skarży się, że jest źle traktowany przez grupę. Nikt mu nie proponuje wycieczki, lotu śmigłowcem, zwiedzania statków, które wpływają do zatoki. Czuje się przezroczysty.

„Psychiczny" pyta kolegów, kto jest dla nich najważniejszy. Spodziewa się takiej odpowiedzi: „Kucharz, bez niego byśmy nie

przeżyli".

Czy sześciu naukowców czuje się zagrożonych takim wyborem? Ostentacyjnie zaczynają się spóźniać na wspólne posiłki. Reszta grupy komentuje: chcą podkreślić, że są jednak ważniejsi.

Interweniuje kierownik bazy, ale nie wiadomo, czy reprymenda poskutkuje. Terelak notuje: „Ciekawe, czy staną się źródłem dalszych konfliktów?".

Na początku marca kończy się lato. „Garnuszewski" zabiera większość polarników, podnosi kotwicę i odpływa na północ. Dla tych, którzy zostają, to symboliczny moment. Przez dziesięć miesięcy będą odcięci od świata. Zimą do stacji już nikt nie dopłynie.

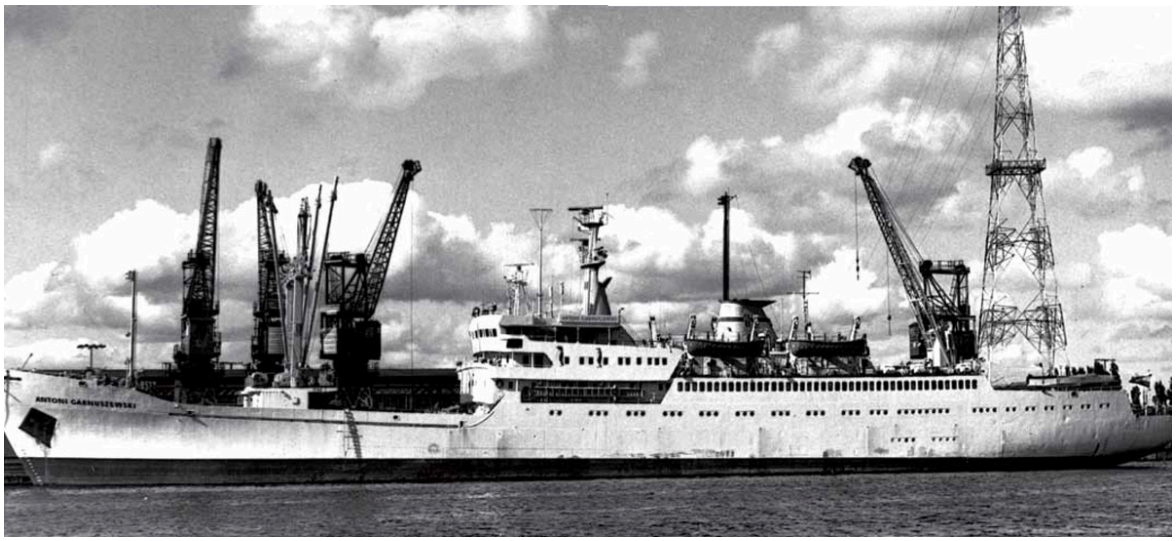

Statek szkolno-towarowy „Antoni Garnuszewski" został zbudowany w 1974 roku w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego. Ponieważ był wyposażony w liczne urządzenia antenowo-namiarowe, uważano, że to statek szpiegowski

Wspólna niedola przynajmniej na chwilę łączy ludzi. „Psychiczny" zauważa, że kierownik bazy jest zdenerwowany

i zaniepokojony. Czuje się odpowiedzialny za kolegów, przypomina, że muszą się wspierać, bo mogą liczyć tylko na siebie. Wszyscy to czują, podczas pierwszych samotnych kolacji starają się być dla siebie uczynni i uprzejmi. Potem znowu kłótnie.

Ważna jest rozrywka. W soboty seanse. Francuska komedia „Nieszczęście Alfreda" wszystkim się podoba. Dramat psychologiczny Krzysztofa Zanussiego „Bilans kwartalny" – porażka. Postulat: więcej komedii i przygody!

Niestety, centrala w Polsce uparta i głucha, wciąż dostarcza dramaty. Nie poprawiają atmosfery w bazie. Ludzie zaczynają się publicznie oceniać i wytykać sobie błędy. Nowe podziały: starsi rywalizują z młodymi, naukowcy z technicznymi. Dwóch „dziwaków" trzyma się z boku.

Dzień sto trzydziesty szósty. Terelak zauważa, że w izolowanej grupie, która ma do wykonania jakieś zadanie, najważniejsza jest kompetencja zawodowa. Ludzie kompetentni są chętniej naśladowani. „Naukowcom" imponują umiejętności „techników". Uczą się obsługiwać dźwig, koparkę, spychacz, prowadzić amfibię i kuter. Czują, że im osoba jest bardziej wszechstronna, tym chętniej jest akceptowana przez innych członków grupy. A gdy „rzeczywistość fizyczna" jest bardziej niepewna, na przykład w czasie antarktycznej zimy, ludzie zaczynają polegać na „rzeczywistości społecznej". Są bardziej skłonni dostosować się do tego, co robią inni. Nie dlatego, że boją się kary, ale łatwiej im się wtedy zorientować, czego się od nich oczekuje.

Sen, dyżur w kuchni, badania, sen, jedzenie, badania, sen. Monotonia wszystkich dobija i może być niebezpieczna. Jeden

z botaników i elektronik zakładają się o wynik meczu ping-ponga. Ten, kto przegra, ma w samych majtkach i kaloszach przebiec z głównego budynku bazy do latarni. Kilometr w mrozie i zamieci. Jest remis, więc biegną razem. Niebezpieczny zakład, ale nikt nie protestuje. Nie ma ceny za przełamanie monotonii.

Terelak wykorzystuje nudę do badań. Goli głowę „na pałę" i obserwuje reakcje. Jedni żartują, inni zniesmaczeni. – Taki poważny człowiek, a głupi – mówią. Jeszcze inni szydzą: – Nie tylko „psychiczny", ale „psychiatryczny".

Psycholog zapisuje: „Dwie osoby przyjęły [ogolenie głowy] z politowaniem, dwie ze zrozumieniem, że mógł to być zwykły kaprys albo próba wzmocnienia włosów".

Reszta z trudem hamuje agresję, ale jeszcze tego samego dnia trzech z nich idzie w ślady „Psychicznego". Podczas posiłku najgłośniej przekonują, że ogolenie głowy to doskonała decyzja i wcześniej nie mieli racji.

W dniu sto sześćdziesiątym „Psychiczny" może dopisać, że w grupie zaczyna działać surowa kontrola społeczna. Dyżury w kuchni pełnione są staranniej. Grupa rozumie, że wszyscy jadą na tym samym wózku. Niesolidność jednej osoby obciąża innych dodatkową pracą.

Ciekawostka: w grupie „naukowców" jest mniej kłótni niż wśród „techników". Naukowcy mają mniej więcej podobne wykształcenie i wysokie kompetencje w swoich specjalnościach. Technicy są bardziej różnorodni. Są wśród nich osoby w różnym wieku, jedni tylko po maturze, inni z tytułami naukowymi. W takiej grupie łatwiej o poczucie wyższości i niedowartościowanie. Drażni ich, gdy naukowcy zaczynają gadać hermetycznym językiem.

Ujawniają się „katastrofiści". Zaczynają krytykować położenie stacji, przewidują, że zostanie zniszczona przez wiatry, a wiosną

podmyta przez wodę lub zmieciona przez krę spływającą z lodowca. „A więc istnieją już dwa poważne czynniki stresu: społeczna izolacja i potencjalne zagrożenie życia związane z warunkami bytowania" – notuje Terelak.

W sto siedemdziesiątym ósmym dniu i jego dopada nuda. W dzienniku przyznaje: „Pierwszy raz nie mam specjalnie o czym pisać. Dni stały się podobne: praca, odpoczynek, posiłki...". Dwa dni później dodaje: „Zaczyna dochodzić do głosu deprywacja seksualna. Obserwuję nasilenie się tzw. jawnego humoru seksualnego oraz zainteresowanie pismami pornograficznymi, które krążą po pokojach".

W książce George'a Bidwella „Admirał jego królewskiej mości G.B. Rodney" Terelak czyta: „Spotkasz kapitanów, którzy dezynfekują swój okręt z kobiet, jak ze szczurów, do ostatniej spódniczki. I mają słuszność! Jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć kobiet, które by nie narobiły kłopotów na okręcie. Zawsze jest dwakroć więcej bójek przez nie, często noże idą w ruch".

W Stacji imienia Arctowskiego nie ma kobiet, ale dużo się o nich opowiada, na przykład że Rosjanie i Amerykanie mają statki, które przez cały rok pływają z tą samą załogą. Możliwe, bo na statkach trzymają piękne dziewuchy, wynajęte przez armatorów prostytutki.

Albo o tym, że nie wolno umieszczać na takim statku par zakochanych, bo będzie zbrodnia. Zazdrośni mężczyźni szybko rozprawią się z taką kobietą. Skoro nie mogą jej mieć, nikt inny też jej miał nie będzie.

Opowiadają o polskiej lekarce, która się uparła, żeby zimować w bazie na Antarktydzie. Jej kandydatura została odrzucona, ale

kobieta miała plecy w Polskiej Akademii Nauk. Na ostrzeżenia kolegów, że źle się to dla niej skończy, reagowała lekceważeniem. – Jestem już po pięćdziesiątce, nie taka znowu atrakcyjna – mówiła.

Nie brała pod uwagę, że istnieje tak zwana uroda antarktyczna. Na miejscu popełniła błąd, bo związała się z jednym mężczyzną. Inni byli zazdrośni. W bazie antarktycznej lekarz jest szczególnie chroniony, bo jak coś mu się stanie, to znikąd ratunku. Ale napięcie musiało być tak duże, że zaatakowali lekarkę. Za dużo wypili i strasznie ją pobili, połamali jej ręce. Uznali, że to ona jest źródłem ich frustracji, i jak ją zlikwidują, to powód tego nieznośnego stanu zniknie. Trzeba ją było awaryjnie ewakuować.

Albo ta historia, jak do Zatoki Admiralicji przypłynął statek i do kierownika polskiej stacji przyszła kobieta z prośbą: – Nie wracam na pokład, chcę zostać z wami.

– Ale my tu gwałcimy kobiety – próbował ją w żartach zniechęcić kierownik.

– Nie szkodzi. To już wolę z wami niż z nimi – odparła.

Stacja polarna Polskiej Akademii Nauk, położona nad Zatoką Admiralicji na Wyspie Króla Jerzego, została otwarta w lutym 1977 roku. Całoroczna stacja była potrzebna, by Polska mogła zostać sygnatariuszem traktatu antarktycznego i korzystać z bogatych łowisk w tym rejonie świata

Kierownik pogadał z kapitanem statku. Dziewczyna była młoda, mąż ją zdradził, więc zaciągnęła się na statek dalekomorski. Same chłopy i ona jedna. Kapitan poparł jej prośbę. – Już nie wiem, co robić, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo – powiedział. – Dałem jej kajutę, drzwi żelazne, ale chłopcy cały czas tam chodzą, całą noc stukają. Proszą, żądają, żeby ich wpuściła. Walą siekierami. Ona tego nie przetrzyma...

Nie wiadomo, jak się skończyło. Wróciła na pokład? Została w bazie, skąd zabrał ją inny statek? Faktem jest, że w Stacji Arctowskiego żadna kobieta nie zimuje.

Każda grupa prędzej lub później znajduje „kozła ofiarnego". Jest niezbędny, można na nim bez wyrzutów sumienia wyładowywać swoje lęki i frustracje. W wojsku to zwykle kucharz, ale w bazie polarnej to osoba bezcenna, niezastąpiony fachowiec. Agresja skupia się na dyżurnych pomocnikach. Słuchają docinków i zgryźliwych uwag. Im gorsza pogoda i ogólny nastrój, tym agresja większa.

Ratunkiem jest poczucie humoru, w przeciwnym razie konflikt jest nieuchronny. Terelak przypomina sobie wnioski z obserwacji radzieckich polarników: Arktyka nie lubi smutnych, naburmuszonych ludzi. Takim trudno wytrzymać wśród lodowców i jeszcze trudniej wytrzymać z nimi innym. W kosmosie musi być podobnie.

W sto osiemdziesiątym ósmym dniu monotonia dopada nawet najbardziej radosnych. „Zauważyłem, że ludzie mówią coraz mniej, bojąc się narazić na ripostę rozdrażnionych kolegów" – pisze Terelak. Coraz częściej milczy w towarzystwie. „Jałowe" rozmowy go drażnią. Czyta zapiski norweskiego polarnika Fridtjöfa Nansena. Uderza go, że tygodniami nie notował niczego poza suchymi danymi o temperaturze powietrza, sile wiatru i opadach. „Codziennie nachodziły mnie te same myśli, były tak samo monotematyczne jak nasze sprawy. Wszystkie tematy naszych rozmów już dawno się wyczerpały, nie zostało nam już nic z żadnych oryginalnych myśli, którymi moglibyśmy się zainteresować nawzajem".

Jeszcze myśl amerykańskiego polarnika i pilota Richarda Byrda: „Pokażcie mi grupę ludzi, która żyłaby tak jak my i wśród których w ciągu całego roku panowałaby pełna harmonia, a z ust do ust

płynęłyby tylko słodkie słówka, a powiem, że były to tylko dziecinne marionetki, a nie ludzie z krwi i kości i z nerwem".

Terelak wie, co się wkrótce stanie. U Byrda jest o tym wprost: „Przyszedł wreszcie taki dzień, że już każdy wiedział o wszystkich dosłownie wszystko". Psychologowie nazywają ten stan deprywacją informacyjną, a to oznacza, że ludzie są ciągle rozdrażnieni i napięci emocjonalnie, przestają być też dla siebie ciekawi, stają się dla siebie przezroczyści.

Załoga bazy potrzebuje nowych bodźców. Kierownik częściej wyświetla filmy, ale tym razem dzieje się coś niepokojącego. Terelak: „Po kolacji kilkunastoosobowa grupa w oczekiwaniu na projekcję filmu siedziała przez 25 minut w całkowitym milczeniu. Nigdy dotąd tego nie było. Zawsze gwar, kawały, rozmowy. Czyżby pierwsze oznaki znudzenia się sobą?".

Radziecki dramat „Zbrodnia i kara" według Fiodora Dostojewskiego nie pomaga. Nikomu się nie podoba.

Polarnicy przestają mówić, każdy używa mniej więcej kilkudziesięciu słów w ciągu doby. Ale człowiek nie może nie mówić! Tylko że każde słowo, które nie niesie już nowej informacji, zaczyna drażnić. Trzeba uważać na słowa.

Tylko alkohol może pomóc. Z pamiętnika Terelaka: „Dyskusja była bardzo żywa, humory wspaniałe. Do swoich pokoi udaliśmy się, gdy była już późna noc, ale czuliśmy się wyśmienicie. Wytrąciło nas to z monotonii, która zaczęła nam już ostatnio dokuczać".

Kto się odważy zarekomendować alkohol na statkach kosmicznych?

Coraz gorzej. Ludzie nie chcą ze sobą przebywać, nikt nie lubi – jak kiedyś – przesiadywać w świetlicy. Po posiłku każdy czym prędzej zamyka się w swoim pokoju. Samotność przynosi ulgę – byle nie patrzeć, nie słuchać pozostałych.

Coraz więcej awantur. Wystarczy powiedzieć:

– Widziałem krabojada w odległości dwóch-trzech metrów od laboratorium biologicznego.

Zaraz ktoś odwarknie: – To niemożliwe, bo brzeg kończy się co najmniej dziesięć metrów od laboratorium.

To wystarcza, by usłyszeć: kłamca, ignorant, wariat!

W dwieście pięćdziesiątym dniu pobytu w bazie Terelak doznaje oczyszczającego uczucia. Doświadczeni polarnicy, jak Alina i Czesław Centkiewiczowie, nazywają to „zmierzchem bogów". Ich zdaniem baza polarna sprawia, że łatwiej poznać prawdziwe charaktery współtowarzyszy.

W normalnym świecie zakładamy maski, łatwiej dopiąć swego przy odrobinie bezczelności. Zwykle nikt nie zagląda pod maskę, nie ma na to czasu, a najczęściej ochoty. Kupujemy ludzi po ich własnej cenie. W bazie polarnej pozory nic nie znaczą, liczy się tylko wewnętrzna wartość człowieka. Skromni zajmują miejsce tych, których uważaliśmy za świętych.

Terelak notuje: „Już na statku wiele osób imponowało mi swoimi rolami, jakie pełnili w kraju, i podług tego oceniali ich inni. Jakże inaczej wygląda to dzisiaj. Ci wspaniali dość szybko skarłowacieli, szczególnie gdy zaczęli pokazywać swe własne egocentryczne postawy. Jedyną uznawaną w grupie wartością jest koleżeństwo i kompetencje zawodowe. To doskonały trening społecznej wrażliwości, z którego należy skorzystać, bo druga taka okazja może się już w życiu nie zdarzyć".

Monotonia, deprywacja informacyjna, zmierzch bogów, nuda – wszystko wpływa na ciało. Kucharz narzeka, że kiedyś był jak „żywe srebro", teraz nie nadąża z przygotowaniem posiłków. Każdy zmęczony i ospały. Nikt już się rano nie gimnastykuje, podczas obiadów nie ma chętnych na dokładki. Mięśnie robią się wiotkie, skóra blada, pomarszczona. Worki pod oczami. Skargi na zaburzenia krążenia, zawroty głowy, bezsenność. A to dopiero dwieście pięćdziesiąty piąty dzień pobytu w bazie.

Psychiatrzy, którzy badają marynarzy okrętów podwodnych, opisują charakterystyczne zachowania. Syndrom połowy drogi można rozpoznać po obniżonym nastroju, poczuciu depresji, głośnym narzekaniu, zaburzeniach żołądkowych, trudnościach z koncentracją uwagi, zaburzeniach snu. Ludzie zamykają się w sobie.

Polarnicy mają ten etap za sobą. W dwieście siedemdziesiątym pierwszym dniu na stacji bardziej pasuje syndrom trzech czwartych drogi, a więc wyraźna poprawa nastroju, powrót humoru seksualnego, bo wszyscy już sobie wyobrażają, co będą robili po powrocie do domów. Poza tym każdy planuje podróże, zakupy, remonty, spotkania towarzyskie.

Tymczasem kierownik zaprasza na film. Starannie zakłada taśmę na rolkę i włącza projektor. Przy okazji cenna obserwacja. Izolacja powoduje wzrost liczby zachowań terytorialnych. W bazie widać to jak na dłoni. Niektóre osoby w czasie projekcji filmu mają ustalone „swoje" miejsca i „swoje" fotele. Każda próba zajęcia tych miejsc wywołuje agresję.

Na ekranie rumuński film „Babuszka" o przyjaźni dwóch małych chłopców.

Dzień trzysta siedemnasty. Ludzie są już coraz bardziej sobą zmęczeni. Terelak: „Posiłki przy stole przypominają milczące małżeństwo tuż przed rozwodem. Nie słyszy się kawałów, rozmów i utarczek słownych. Wszystko to już znamy na pamięć. Nikt nie może błysnąć intelektem, bo trafia w pustkę. Każdy wie, czego się można po nim spodziewać i jakiej oczekiwać reakcji".

Coraz więcej agresji. Popularna zabawa przy kartach to rozdrażnić przeciwnika. Jak wybuchnie, jest punkt. Wszyscy się z tego cieszą. Może jest tak, że agresja odgrywa ważną rolę stymulującą i neutralizuje monotonię?

Terelak: „Szereg osób wyraźnie szuka zaczepki, traktując tę grę jako skuteczny sposób dostymulowania się. Wszystkich nas dużo kosztuje to stałe kontrolowanie swoich zachowań, stąd wybuchy agresji traktujemy dość wyrozumiale. Ale właśnie ten element współżycia jest jednym z najbardziej stresowych". Kilka dni później dopisze: „Przestałem ostatnio chodzić na wspólne kawy, chętnie teraz uciekam w samotne spacery. A przecież jestem człowiekiem z natury towarzyskim. Coś się we mnie odmieniło".

– Czego się pan dowiedział o człowieku? – pytamy trzydzieści osiem lat później profesora Jana Terelaka. Wnioski są smutne. Po pierwsze, grupa ludzi zamknięta w ciasnym statku kosmicznym to zbiorowy mózg, który nie znosi pustki informacyjnej, wymaga ciągłej stymulacji.

– Jaka jest najbardziej okrutna tortura? – pyta profesor. Nie mamy pojęcia, więc wyjaśnia: – Wymyślili ją dawno temu Chińczycy.

Unieruchamiali głowę delikwenta, zawiązywali mu oczy i zatykali uszy, żeby nie dopływały do niego żadne bodźce zewnętrzne. Straszna rzecz, mózg tego nie wytrzymuje, jest w ogromnym stresie, panikuje. Człowiek w krótkim czasie może oszaleć – mówi profesor.

Kolejna informacja jeszcze gorsza: – Gdybyśmy w tym pokoju zostali zamknięci w trójkę, gwarantuję, że po niecałym roku pozabijalibyśmy się. Szybko przestalibyśmy być dla siebie ciekawi, stalibyśmy się dla siebie przezroczyści. Nie ma pana, pan jest powietrzem. I wzrokowo, i mentalnie. Żeby coś naprawić, musi wystąpić agresja, bo to doskonały stymulator. Nie trzeba się od razu bić, może to być agresja werbalna, emocjonalna. Ale pojawi się na pewno, jako ostatnia deska ratunku. Niestety, to zły prognostyk dla długich lotów.

Pojawia się także proces zamykania się ludzi w sobie. Po roku ekstrawertyk może się stać introwertykiem. To nieuniknione. Podczas długiej izolacji ludzie zamykają się w sobie, żeby żyć wspomnieniami. Ale i wspomnienia też się kiedyś kończą. Nie ma telewizji, nie ma SMS-ów, książek, nie ma nic. Pustka. Nie ma żadnych nowych bodźców, wszyscy dookoła są przezroczyści. Klops!

Ktoś zaproponował, żeby wysyłać w kosmos pary. Będą się podczas lotu rozmnażać, dzieci to nowe bodźce. Nic z tego. Komórki, żeby się prawidłowo dzielić, potrzebują grawitacji. Muszą mieć informację, gdzie góra, gdzie dół. Bez tego dzielą się chaotycznie, jak nowotwory. Organizm je zabija.

Kosmos jest fantastyczny, pragniemy go poznawać, ale biologicznie jest trudny. Nie ma szans, by człowiek mógł przez dłuższy czas przebywać w kosmosie.

Przede wszystkim technika. Nie potrafimy konstruować statków, które mogłyby wytwarzać sztuczną grawitację. Nie mamy też jeszcze takich osłon, które zatrzymałyby promieniowanie kosmiczne. – Już podróż na Marsa tak naświetli ewentualnych śmiałków, że nie dożyją końca podróży. A gdy już uda się je skonstruować, na Czerwoną Planetę najpierw trzeba będzie wysłać roboty, bo po długiej podróży kosmicznej człowiek nie będzie w stanie sam wysiąść z pojazdu. Nie będzie miał mięśni, połamie sobie kości. Ktoś będzie musiał załogę wynieść i zaopiekować się nią – opowiada profesor Terelak.

Największą przeszkodą jest jednak sam człowiek. – Wojskowi przeprowadzili badania i już wiedzą. Okręty podwodne, które mogłyby nie wynurzać się nawet przez trzy lata, muszą zawijać do portów co sto dwadzieścia dni. To górna granica, do jakiej grupa żeglarzy może bezpiecznie przebywać ze sobą. Potem kończy się to degradacją psychiczną i moralną załogi – wyjaśnia profesor.

Armatorzy co roku publikują tzw. białą księgę – zapis przestępstw popełnianych na statkach dalekomorskich. Nie było jeszcze przypadku zabójstwa w kosmosie. – Ale my jeszcze w kosmosie tak naprawdę nie byliśmy! – przypomina psycholog. To tylko loty orbitalne, na wysokość stu trzydziestu kilometrów, żaden problem. Możemy korzystać z nieważkości, poznawczo jesteśmy trochę zaspokojeni i tyle.

– W 2030 roku planowana jest wyprawa na Marsa – przypominamy.

Profesor stanowczo: – Bujda! Nie ma na to żadnych szans.

– Nie polecimy w kosmos? – pytamy.

– Kiedyś może polecimy, ale jeszcze nie teraz.

– Śmieszy mnie termin „podbój kosmosu” – mówi profesor Paweł Moskalik z Centrum Astronomicznego PAN w Warszawie. – To tak jakby ktoś wziął ponton, wypłynął sto metrów od brzegu i ogłosił, że to podbój oceanu. Od zakończenia programu Apollo w 1972 roku ludzie nie byli od Ziemi dalej niż sześćset kilometrów. Promień naszej planety to ponad sześć tysięcy kilometrów. Latamy więc bardzo blisko.

Zdaniem profesora Moskalika największą barierą nie jest człowiek, lecz pieniądze. – Gdyby chodziło tylko o miliard dolarów, nie byłoby sprawy. Amerykański program lotów księżycowych Apollo, w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze, kosztował około czterystu trzydziestu miliardów dolarów. Prosta powtórka, czyli lądowanie na Księżycu, nie miałaby sensu. Ciekawym pomysłem byłoby umieszczenie stacji na orbicie księżycowej, z której można by latać na powierzchnię satelity Ziemi. Ale koszty wciąż są olbrzymie – mówi profesor. Uważa, że powinniśmy podbijać kosmos tak, jak niegdyś Amerykę. Ludzie nie płynęli tam po to, żeby ją odkrywać, ale żeby zdobyć jej mityczne bogactwa. Tam, gdzie jest perspektywa zarobku, tam kręci się biznes. Naturalna kolejność: najpierw trzeba stworzyć na orbicie gospodarkę, dać prywatnemu biznesowi możliwość zarabiania pieniędzy, ceny zaczną spadać, powstaną środki transportu, dopiero wtedy będzie można poważnie myśleć o eksploracji kosmosu.

A dzisiaj?

– Nawet jak chcielibyśmy polecieć na Księżyc, to nie mamy czym – mówi profesor Moskalik. – Pół wieku po Neilu Armstrongu loty załogowe wciąż stoją w miejscu.

Nadzieję daje amerykański wizjoner i miliarder Elon Musk. Buduje nowe rakiety wielokrotnego użytku, chce założyć bazę

na Księżycu i powtarza, że ostatecznym celem jest kolonizacja Marsa. Jak chce to zrobić?

Statek kosmiczny ma najpierw zostać wyniesiony na orbitę, gdzie zatankuje zbiorniki w „kosmicznej stacji paliw" i będzie mógł odlecieć w stronę Marsa. Musk zakłada, że do 2022 roku wyśle na Czerwoną Planetę dwie misje bezzałogowe. Maszyny sprawdzą, czy jest tam woda i czy na miejscu będzie można wyprodukować paliwo potrzebne astronautom na powrót do domu. Ludzie – zdaniem Muska – mogą polecieć na Marsa już w 2024 roku.

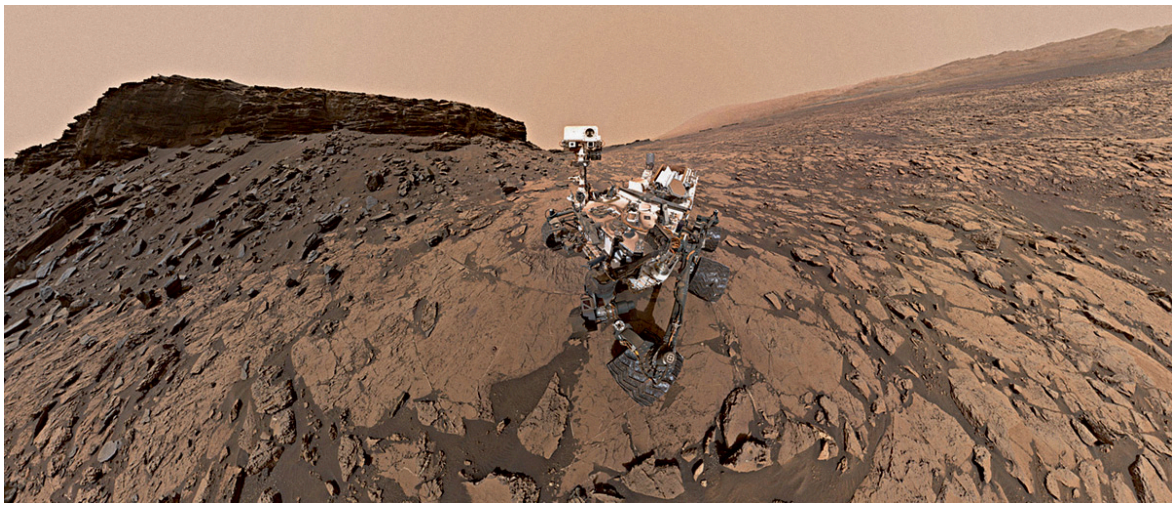

Łazik Curiosity zaczął badać powierzchnię Marsa w sierpniu 2012 roku. Na zdjęciu krater Gale, na północ od góry Aeolis Mons, która znajduje się w jego środku

Podpułkownik Zenon Jankowski, pilot z jednostki w Powidzu niedaleko Poznania,
w kabinie nowoczesnego, szturmowego samolotu Su-20

ROZDZIAŁ 15

Trzymaj się, Zenek!

Telewizja Polska w maju 1995 roku nadaje program z serii „Bezlitosna kamera". Lektor zapowiada: – Będzie to historia Zenona Jankowskiego – człowieka, którego los, przypadek, a może kaprys władz skazał na zapomnienie.

W reportażu pułkownik Jankowski opowiada o kulisach wyboru pierwszego polskiego kosmonauty. Sugeruje, że nie był to proces przypadkowy, lecz wcześniej zaplanowany i na różnych etapach wspomagany. Przykłady?

– Z piątki kandydatów wyeliminowany został major Andrzej Bugała z powodu wysokiego wzrostu (Hermaszewski był od niego wyższy). Spełniał wszystkie kryteria zdrowotne, latał na samolotach odrzutowych, skończył akademię w Monino pod Moskwą i doskonale znał język rosyjski. Może był bardzo groźnym konkurentem dla Hermaszewskiego?

– Dzień przed decyzją o kompletacji załóg, czyli kto z kim ma polecieć, Gwiezdne Miasteczko odwiedził generał Władysław Hermaszewski, starszy brat Mirosława. Towarzysko spotkał się

w profilaktorium z władzami Centrum Wyszkolenia Kosmonautów. Następnego dnia na odprawie generał Władimir Szatałow publicznie odczytywał nazwiska par. Jankowskiego sparował z Klimukiem, ale po chwili namysłu poprawił: Jankowski dołączy do inżyniera cywila Walerija Kubasowa, a z Klimukiem poleci Hermaszewski.

Zenon Jankowski i Walerij Kubasow stanowili rezerwową załogę Sojuza 30

– Podobnie było u Czechów. Vladimíra Remka, syna ministra obrony Czechosłowacji, dołączyli do wojskowego, pułkownika Aleksieja Gubariewa, a drugiego Czecha, Oldřicha Pelčáka, przydzielili do cywilnego inżyniera Nikołaja Rukawisznikowa.

– Niemcom, żeby nie było skandalu, Rosjanie przydzielili dwóch wojskowych kosmonautów ze starej gwardii, żeby obydwaj kandydaci mieli równe szanse i nie było skandalu.

– Wszyscy wiedzieli, że cywilni inżynierowie kosmonauci, zatrudnieni w biurze generalnego konstruktora rakiet i pracujący przy tworzeniu techniki kosmicznej, nigdy wcześniej nie byli dowódcami załóg; to była funkcja zastrzeżona dla wojskowych. Kto został sparowany z cywilem, praktycznie nie miał szans na lot. Dopiero w kolejnych lotach cywile wywalczyli stanowiska dowódców załóg.

– Pułkownik Piotr Klimuk był członkiem Komsomołu i zastępcą do spraw politycznych komendanta Centrum Wyszkolenia Kosmonautów imienia Jurija Gagarina w Gwiezdnym Miasteczku. Już dwa razy był na orbicie jako dowódca załogi. Kto był z nim w parze, ten leciał.

– Hermaszewski miał kłopoty zdrowotne, kilka razy był hospitalizowany i operowany.

Właśnie dlatego Jankowski uważa, że wybór Hermaszewskiego to nie zasługa jego nadzwyczajnych walorów fizycznych i umysłowych, ale ludzi z aparatu władzy PRL, którzy zadbali o to, aby znalazł się w składzie załogi z Klimukiem – najwyżej notowanym kosmonautą radzieckim w historii programu Interkosmos.

Ryszard Badowski, dziennikarz i podróżnik, nie może uwierzyć w to, co słyszy. Jest bardzo dobrym kolegą Hermaszewskiego, jako jeden z niewielu mógł oglądać na Bajkonurze start rakiety z polskim kosmonautą. Po emisji „Bezlitosnej kamery" pisze polemikę. O Jankowskim mówi, że to „dubler pierwszego polskiego kosmonauty, czyli jego awaryjny zastępca". Podpowiada, że program powinien się raczej nazywać „Ocalić od zapomnienia", bo kto jeszcze

pamięta drugiego kandydata do lotu w kosmos. Pyta, na jakiej podstawie Jankowski sądzi, że był lepszy niż Hermaszewski.

Rozprawia się z tezą, że do końca nie było wiadomo, który z Polaków poleci. Wspomina o wizycie, jaką w listopadzie 1977 roku złożył w Moskwie jednemu z ojców radzieckiej kosmonautyki. Profesor Ary Szternfeld pokazał mu kartki pocztowe z życzeniami, jakie dostał od polskich kandydatów na kosmonautów. Kartka Jankowskiego była czytelnie podpisana. Profesor Szternfeld już wtedy miał podpowiedzieć Badowskiemu: „Pan oczywiście wie, że ten drugi nazywa się Mirosław Hermaszewski?".

Badowski nie ukrywa, że z Hermaszewskim łączy go przyjaźń, a Jankowskiego poznał, gdy „mocno sfrustrowany przyleciał do Moskwy z Bajkonuru".

Wreszcie oskarża dziennikarza z TVP, że wyrządził „dublerowi" krzywdę, bo „wyzwolił gniotące go jeszcze wspomnienia o doznanym zawodzie i skłonił do zwierzeń zawierających aluzję, że w kosmos nie poleciał lepszy, ale lepiej ustawiony". Ma pretensje, że o Hermaszewskim mówił z pogardą: „konkurent". Swój tekst kończy stwierdzeniem: „Kosmiczne przeciążenia pozostawiają trwały ślad w psychice ludzi, którzy dotarli na orbitę. Kto wie, czy nie większe są zadry w pamięci tych, którzy chcieli tam dotrzeć, lecz przegrali rywalizację".

Honor nie pozwala Jankowskiemu milczeć. Nie rozumie, skąd taka reakcja Badowskiego. Co takiego zrobił, że znany dziennikarz go obraża? W programie telewizyjnym nikogo nie oceniał, opowiedział wyłącznie o faktach. Nie naruszył niczyich dóbr

osobistych, ale miał przecież prawo opowiedzieć swoją wersję wydarzeń.

Nie chciał występować przed kamerą, przekonywał autora programu, żeby znalazł sobie innych rozmówców albo inny temat, ale dziennikarz nie chciał słuchać. „Z właściwym młodości uporem zrealizował swój wcześniej zamierzony cel. Tacy są właśnie młodzi: uparci, konsekwentni, niepokorni, ze sportowym podejściem do życia. Ponieważ doceniam te cechy, gdyż były i są mi bliskie, stąd po powrocie z Bajkonuru nie mogłem być tak »mocno sfrustrowany«. Przegraną traktowałem zawsze po sportowemu i lotniczemu".

Jankowski przypomina Badowskiemu, że słowo „konkurent" nie jest pogardliwe. Pochodzi z łacińskiego *concurrens*, co znaczy biegnący razem, i „jest absolutnie adekwatne do naszej sytuacji w Gwiezdnym Miasteczku".

Zenon Jankowski i Walerij Kubasow podczas treningu w makiecie stacji Salut 6 w Gwiezdnym Miasteczku. W pamiętniku Jankowski napisał: „Dopiero tam, będąc zamkniętym w bardzo maleńkiej powierzchni ze swoim dowódcą statku, przekonałem się, że być kosmonautą, przygotowywać się i wykonywać loty kosmiczne to nie jest to samo, co wykonać lot jako pilot samolotu”

Wyjaśnia: „Nigdy nie powiedziałem, że byłem lepszy. Stwierdziłem natomiast, że byłem tak samo dobrze przygotowany do lotu z Kubasowem, jak Hermaszewski z Klimukiem". Żałuje, że niektórzy ludzie wciąż nie chcą tego przyjąć do wiadomości.

Zapewnia, że żadnej zadry w sobie nie nosi. Nie rozumie jednak, dlaczego Badowski nazywa go „dublerem" i „awaryjnym zastępcą". Przypomina raz jeszcze, że to nie „awaryjny zastępca" przebywał w sumie przez kilka tygodni przed startem w moskiewskich klinikach.

Ostatnia sprawa. Przed wejściem na pokład Sojuza 30 Hermaszewski krzyczy do Jankowskiego: „Trzymaj się, Zenek!".

Badowski uważa, że to nic złego. Jankowski wręcz przeciwnie: „Okrzyk skierowany do mnie, człowieka spokojnie stojącego razem z innymi ludźmi w pobliżu gotowego do startu kompleksu kosmicznego przez podekscytowanego, jeśli nie zestresowanego Mirka, stojąca obok polska dziennikarka nazwała »okrzykiem pod publiczkę«. Rzeczywiście trudno to inaczej przyjąć".

Badowski znów odpowiada artykułem. Nie wie, jak inaczej mógłby nazwać człowieka, który był gotów, ale nie poleciał na orbitę. Jeśli nie „dubler", to jak? Kpi, że skoro Jankowski widział swój fotel w kabinie Sojuza, to skąd się tam wziął fotel przygotowany dla Hermaszewskiego? A może konstruktorzy statku odlali fotele dla każdego potencjalnego uczestnika lotu?

„Szukanie we wszystkim złej woli oraz intryg zakrawa na manię prześladowczą" – sugeruje Badowski.

Podważa wersję o protekcji. Przypomina, że to Jankowski dołączył do grupy polskich kandydatów, gdy była już

skompletowana. „Czyja ręka dołączyła go do finałowej czwórki?" – pyta. A może pułkownik Jankowski uwierzył, że po ćwiczeniach „Tarcza 76", na których się wyróżnił, „reszta kolegów będzie stanowiła dla niego jedynie tło?".

Jankowski: – Wiele razy zastanawiałem się, dlaczego redaktor Badowski tak nerwowo i prymitywnie zareagował na próbę ujawnienia w telewizji prawdy o Interkosmosie i Hermaszewskim. Może dlatego, że miałem być „uległy i cichy"?

Jankowski słyszy tę sugestię podczas rozmowy telefonicznej z szefem departamentu kadr Ministerstwa Obrony Narodowej przed powrotem do kraju. Przełożony proponuje, by został w Moskwie na studiach? Drzwi do słynnej Akademii Generalskiej, tzw. Woroszyłowki, stoją otworem. Jankowski odmawia, jeszcze na Bajkonurze wzbudza niechęć Rosjan. Każe poprawić swoje nazwisko na kombinezonie kosmicznym. Ma brzmieć po polsku – Jankowski, a nie „z rosyjska" Jankowskij. Może stąd ta sugestia bycia „uległym i cichym"?

Na sugestię nie odpowiada, propozycję zostania w Moskwie odrzuca. Chce jak najszybciej wracać do kraju.

– A wracając do Badowskiego. Dziwiło mnie, że jako jedyny dziennikarz mógł przebywać w tajnym centrum kontroli lotów. W polemice napisał, że widziałem swój fotel w kabinie Sojuza 30. Widziałem, bo dla każdego członka załogi Rosjanie przygotowali indywidualnie wykonane i dopasowane fotele, które bardzo łatwo można było zmieniać w kabinie statku przed startem – mówi Jankowski.

Najbardziej dotyka go słowo „dubler", które Badowski w swoich artykułach niemal odmienia przez przypadki. – To słowo ma sens w teatrze, odnosi się do aktorów – wyjaśnia Jankowski. – W kosmos lecą skompletowane i nierozerwalne załogi, które mogą być

zamieniane w szczególnych sytuacjach. Z Kubasowem przeszedłem taki sam kurs szkolenia jak druga załoga. Zdałem te same egzaminy, dostałem taki sam certyfikat, że jestem zdolny do lotu w kosmos. Merytorycznie w niczym nie byłem gorszy.

W telewizji kolejny program, z udziałem komentatorów. Krzysztof Czabański, prawicowy dziennikarz, nie owija w bawełnę. Mówi, że „na pewno poleciał nie ten, kto powinien polecieć, tylko ten, kto sobie to załatwił". O Hermaszewskim, że „jego bratem był dowódca wojsk lotniczych", więc plecy były mocne. Inni goście przypominają, że w czasie lotu Polaka w Argentynie trwał mundial. Hermaszewski miał w kosmosie bronić honoru polskiej piłki. Na koniec, że na pokład Sojuza „zatachał" trzydzieści kilogramów dzieł Lenina.

Badowski zauważa, że Czabańskiemu pomylił się brat Hermaszewskiego z ojcem Remka. Ale i tak największe pretensje ma do Jankowskiego, który „pierwszy trącił kamień brudnych sugestii".

Zenon Jankowski z wizytą w szkole swojej córki Kasi

Pytamy o pułkownika Jankowskiego.

Hermaszewski: – Z nikim nie utrzymuje kontaktu. Gdy organizowałem w Polsce kongres i przyjechali koledzy kosmonauci, wysłałem do niego list i zaproszenie. Nie odpowiedział.

Profesor Terelak: – Trudno mu się dziwić, uciekło mu sprzed nosa coś bardzo ważnego. No ale taki jest los dublerów. W Stanach Zjednoczonych czy w Rosji jest inaczej, bo dubler ma szansę polecieć przy kolejnej okazji. A w Polsce? To już się więcej nie zdarzy.

Profesor Klukowski: – Dwa, trzy lata po locie byłem u niego w domu. Pokazywał mi bloczek ze zdjęciami, foldery i znaczki, na których on też był pierwszym polskim kosmonautą. Siedzieliśmy przy gorzałce i rozmawialiśmy. Nie krył rozgoryczenia. Źle się stało, że nie mógł polecieć w kolejnych misjach. Był do tego doskonale przygotowany.

Piotr Klimuk: – No cóż, bywają sytuacje, gdy trudno jest zapanować nad swoimi ambicjami. Ktoś się sposobił do lotu, przeszedł przez wszystkie etapy szkolenia, uzyskał dobre wyniki, a potem w skład załogi zostaje włączony ktoś inny. Dlaczego!? Taka decyzja bardzo boli. Nie jest łatwo porzucić marzenia. W pierwszym momencie jest się gotowym wytknąć rywalowi mnóstwo braków. Dąsamy się w duchu niemal jak dzieci – bo w czymże on jest lepszy? I wtedy właśnie konieczna jest silna wola, trzeba wziąć się w karby, rozważyć na trzeźwo: jeśli wytypowany został kolega, to znaczy, że on się bardziej nadaje do wykonania tego zadania.

– Z przykrością stwierdzam, że nie dostałem żadnego listu i zaproszenia od Hermaszewskiego na kongres – zaprzecza Jankowski. – Chętnie pojechałbym, mógłbym się spotkać z Walerijem Kubasowem, który w lipcu 1978 roku nie został

zaproszony na uroczystości związane z naszym powrotem do kraju. Myślę, że w scenariuszu propagandowym opracowanym przez MON nie było miejsca dla cywilnego kosmonauty. Zamiast Kubasowa przyleciał generał Szatałow, który pełnił wtedy funkcję zastępcy dowódcy lotnictwa do spraw kosmicznych i nie był w składzie żadnej załogi. Jego obecność rozwiązywała problem, bo gdyby do Polski przyleciał Kubasow, władze musiałyby przedstawić dwie załogi: Klimuk – Hermaszewski i Kubasow – Jankowski. Zdejmowałoby to cząstkę chwały z Hermaszewskiego, który zawsze i wszędzie miał być przedstawiany jako jedyny Polak związany z kosmosem.

Pułkownik Zenon Jankowski jest już na emeryturze, mieszka na małym osiedlu pod Poznaniem

Pułkownik Jankowski mieszka pod Poznaniem, na małym, zamkniętym osiedlu. Jest emerytem, odpoczywa, zajmuje się wnukami. O locie w kosmos nie chce nawet słyszeć.

– Nie, nie, nie... Nie spotkam się, to dla mnie zamknięta karta – mówi.

Wyjaśnia, że nie chce po raz kolejny słuchać oskarżeń, że jest sfrustrowany i że nawet po czterdziestu latach nie potrafi odpuścić. Właśnie dlatego, że już o tym nie myśli, na pewno się nie spotka.

Rozmawiamy tygodniami. Wciąż te same argumenty. Nie, nie i nie.

I tak będzie jednym z bohaterów tej opowieści, nie da się go pominąć. Może to go przekonuje?

Szczupły, niewysoki, wyprostowany jak struna. Wszystko zaplanowane: obiad, kawa, przeglądanie zdjęć. Tłumaczy, że nie chciał się spotkać, bo minęło tyle lat i o Hermaszewskim mówi już niechętnie. Ale z pewnych stwierdzeń nie może się jednak wycofać. Nie może i już. Honor i przyzwoitość są ważniejsze. Zawsze będzie podtrzymywał swoją opinię, że choć razem startowali, nie był to wyścig równych szans.

– Ale może dobrze się stało, że to nie ja znalazłem się w kabinie Sojuza 30? – mówi. – Komercjalizacja kosmosu zabiła pierwotny romantyzm lotów orbitalnych. Obserwowałem zmiany mentalne u ludzi, którzy byli powiązani z kosmosem. Z czasem ubywało entuzjastów, a przybywało koniunkturalistów. Nie akceptowałem tego, zawsze unikałem ludzi, którzy sporo zawdzięczali swoim oportunistycznym życiowym wyborom. Ja nigdy nic nie chciałem

ugrać. Moją pasją było latanie. Tylko tyle i aż tyle. Dzisiaj nie śledzę już tego tak uważnie. Chętniej słucham Sławy Przybylskiej, która śpiewa teksty Bułata Okudżawy:

Co było, nie wróci, szaty rozdzierać by próżno.
Cóż, każda epoka ma własny porządek i ład. (...)
A przecież mi żal, że jak dawniej śnią nam się bożyszcza,
I jakoś tak jest, że gotowiśmy czołem im bić.

Hermaszewski: – Każdy chciał lecieć na orbitę, ale trzeba umieć panować nad nerwami. Być dublerem to wielki zaszczyt. Można było sporo na tym ugrać... A zresztą nie... Nie będziemy o tym mówić. Niech zostanie tak, jak jest.

Zamiast gadać o niesnaskach, woli nam pokazać zdjęcia swojego wnuczka Stasia. Opowiada o nim z zachwytem. Rezolutny, zwinny, zgrabny. Zakochany w dziadku z wzajemnością. Razem chodzą po lesie, bawią się i uczą. Świata poza sobą nie widzą.

Pokazuję zdjęcia swoich córek. Też mądre i śliczne. – Podobne do tatusia – mówię z dumą.

Generał Hermaszewski ogląda fotografie i pyta jakby od niechcenia. – A wie pan, dlaczego jestem od pana lepszy?

– Nieee... – odpowiadam ostrożnie, wyczuwając podstęp.

Generał już nie potrafi utrzymać powagi. – Bo w odróżnieniu od pana ja znam swojego dublera!

Jankowski: – Nie mam żalu do Hermaszewskiego, nigdy nie życzyłem mu źle. Teraz musi się mierzyć z problemami, które są wynikiem jego wcześniejszych wyborów. Nikt tego za niego nie

zrobi. Każdy ma swój honor żołnierski i indywidualnie się z niego rozlicza.

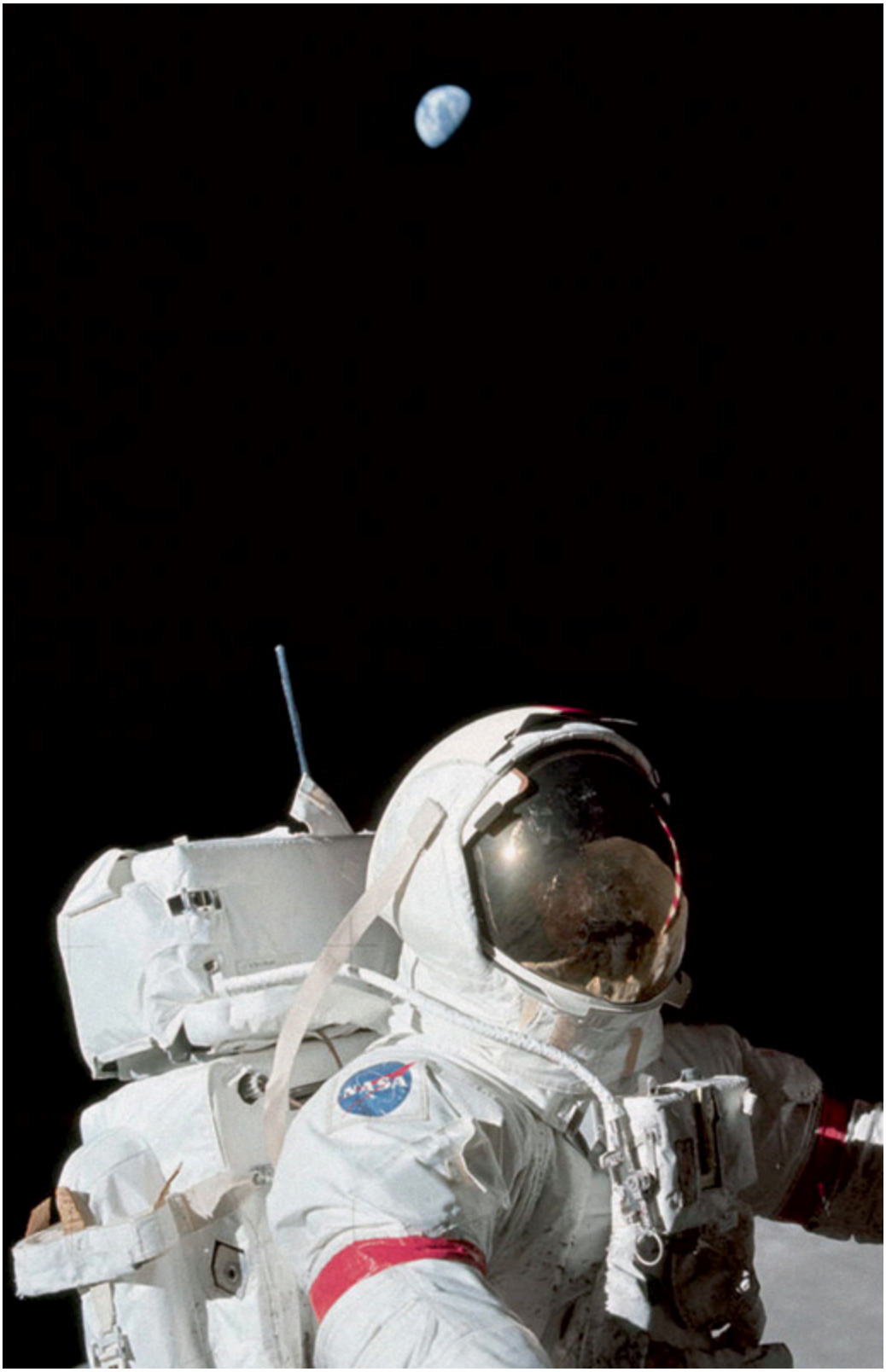
NASA

Astronauta Eugene A. Cernan w trakcie kosmicznej misji Apollo 17. Jest ostatnim człowiekiem, który w grudniu 1972 roku chodził po powierzchni Księżyca

ROZDZIAŁ 16

Generalnie proszę: nie zaśmiecajmy kosmosu!

Pytamy Piotra Klimuka, dlaczego chcemy latać w kosmos.

Odpowiada, że taka jest ludzka natura. – Jeden człowiek lubi normalne, spokojne życie, a drugi kocha ryzyko i nie może bez niego żyć, potrzebuje go jak powietrza. Kosmonautą nie może zostać ktoś, kto się boi – wyjaśnia. – Potrzeba ryzyka sprawia, że organizm jest bardziej przygotowany do ekstremalnych sytuacji, potrafi się szybciej przystosować i skoncentrować.

– Pan wydaje się spokojnym człowiekiem – zauważamy.

– Zawsze byłem cholerykiem, dopiero teraz się uspokoiłem – zapewnia. – Wcześniej nie mogłem być spokojny. Przez dwadzieścia sześć lat kierowałem Centrum Wyszkolenia Kosmonautów, potem przez ponad dwanaście lat byłem doradcą prezydenta Białorusi do spraw nauki, a wiecie, jakie to ryzyko pracować z Łukaszenką. – Klimuk śmieje się.

– Jak pan dzisiaj żyje? – pytamy.

– Bardzo dobrze! Zresztą sami zobaczycie – mówi Klimuk. Każe się ubierać, wsiadamy do jego czarnego lexusa, wiezie nas drogą, która z Gwiezdnego Miasteczka prowadzi do Moskwy. Przy stacji elektryczki, podmiejskiej kolejki, skręca w prawo. Nieduże osiedle ukryte w lesie. Dom generała Klimuka piętrowy, z czerwonej cegły, z dużym ogrodem i lasem.

Drogie meble, dywany, na ścianach obrazy. Dzieła sztuki wymieszane z portretami gospodarza. Widać, że kocha to miejsce.

– No i co, może być? – pyta.

– Może być, ale skąd pan ma na to wszystko?

– Objechałem z odczytami i wykładami sto pięćdziesiąt krajów świata – mówi. – Przez piętnaście lat byłem deputowanym do naszego parlamentu, mógłbym tam siedzieć dalej, ale mam już siedemdziesiąt pięć lat i chciałem odpocząć. Cieszę się dużymi przywilejami, odpowiadam za remonty i inwestycje w Gwiezdnym Miasteczku, Władimir Władimirowicz Putin dał mi wysoką emeryturę. Nie narzekam. I towarzystwo wesołe. Obok mnie mieszka Aleksiej Leonow, dwa domy dalej Wala Tierieszkowa. Nie ma czasu się nudzić.

Amerykańscy astronauci wraz z rodzinami mieszkają na przedmieściach Houston. Razem z technikami, naukowcami i pracownikami NASA. Dziennikarze nazywają to miejsce „Togethersville", od słowa *together*, czyli razem. Turyści płacą grube pieniądze, żeby zobaczyć ich domy. Codziennie wycieczki, przewodnicy objaśniają: „Na prawo mieszka John Glenn, na lewo dom »Gusa« Grissoma, a czerwona corvetta to auto Donalda

Slaytona. Właśnie przygotowuje się do kolejnej misji". Sukces zawsze rozpala wyobraźnię Ameryki.

W 1960 roku amerykański robotnik za godzinę pracy dostaje dolara, galon benzyny kosztuje trzydzieści centów, za siedemdziesiąt jeden dolarów można wynająć dom. Magazyn „Life" płaci pół miliona dolarów rodzinom siedmiu pierwszych amerykańskich astronautów. W zamian chce mieć wyłączność na historie o ich życiu.

Amerykanie chcą czytać nie tylko o wyczynach pilotów latających w kosmos. Ich żony też stają się celebrytkami. Gdzie się ubierają, jakiej muzyki słuchają, co gotują, jak wychowują dzieci i radzą sobie ze stresem? Mówi się o nich „astrożony". Dla świata szczęśliwe, uśmiechnięte, dobrze ubrane, uczesane, perfekcyjnie zorganizowane. Idealne panie domu. NASA zastrzega: w trakcie misji nie wolno im mówić, że boją się o mężów. Przed startami wszystkie powtarzają: jesteśmy szczęśliwe, dumne i podekscytowane. Po udanych misjach razem z mężami wizytują szkoły, bywają w Białym Domu, piją herbatki z Jackie Kennedy, podróżują po świecie. Kto nie chciałby tak żyć?

Wzorem astrożony jest Anne Glenn. Jej mąż jest pierwszym Amerykaninem, który dotarł na orbitę. Śliczna, doskonale ubrana, z olśniewającym uśmiechem i skromna. Cudownie wypada na zdjęciach, ale prawie nic nie mówi. Na zakupy chodzi z listą, którą bez słowa podaje sprzedawcom. Dla dziennikarzy to ekstrawagancja. Nie wiedzą, że Glenn się jąka i próbuje ukryć tę wadę.

NASA pilnuje, żeby na wizerunku kosmicznych bohaterów nie pojawiła się żadna rysa. Wszystko musi być wzorowe. Gordon Cooper jest w cichej separacji z żoną, ale o kryzysie w małżeństwie nie wie nawet najbliższa rodzina. Kiedy NASA wybiera go

do programu Mercury, Trudy Cooper wraca do męża. Separacja przekreśliłaby jego szanse na lot w kosmos. Przez kilka lat udają szczęśliwą rodzinę.

Żona Jamesa Lovella, dowódcy słynnej misji Apollo 13, przez kilka miesięcy ukrywa ciążę. Nawet mężowi nie mówi, że spodziewa się dziecka. Boi się, że NASA wykreśli go z listy startowej.

Powrót z orbity zawsze zmienia życie astronautów. Telewizja płaci im za wywiady, mogą testować najnowsze modele samochodów za dolara, luksusowe hotele oferują darmowe noclegi. Każdy chłopak w Ameryce marzy o kosmicznych podróżach.

Kobiety szaleją na punkcie zdobywców kosmosu. Przez Amerykę przetacza się rewolucja seksualna. Astronauci czerpią z niej pełnymi garściami. Przed każdą misją przeprowadzają się na Florydę, do lotów przygotowują się bez obecności rodzin. Wokół hotelu zawsze kręcą się fanki. Astronauci mogą wybierać do woli. Czasami *groupies* zamieniają się w stałe kochanki, co rodzi problemy, bo NASA nie toleruje rozwodów. Utrzymanie romansów w tajemnicy to kwestia bezpieczeństwa narodowego. Kiedy jeden z tabloidów zdobywa zdjęcia ze schadzki Alana Sheparda, Agencja w ostatniej chwili wstrzymuje publikację. Ale NASA ma dość wybryków. Astronauci zostają wezwani na dywanik.

– Każdy, kto ma problem z utrzymaniem „zapiętych spodni", zagraża powodzeniu misji i może zniweczyć szanse Ameryki na pokonanie Rosjan nie tylko w kosmicznym wyścigu, ale także w kwestii moralnej wyższości. Spoczywa na was odpowiedzialność względem całego kraju i musicie zachowywać się jak bohaterowie – mówią im szefowie NASA.

Nie wszystkim udaje się utrzymywać moralną wyższość. Astronauta Donn Eisele zakochuje się w jednej z *astrogroupies*. Żona nie wytrzymuje i składa papiery rozwodowe. Przez kilkanaście

dni wszystkie amerykańskie gazety piszą o pierwszym kosmicznym rozwodzie. NASA nie jest już w stanie zatuszować skandalu. Eisele zostaje uziemiony, już więcej w kosmos nie poleci.

Spośród trzydziestu pierwszych amerykańskich astronautów tylko ośmiu się nie rozwodzi.

John Glenn jest bohaterem narodowym. W 1962 roku jako pierwszy Amerykanin leci na orbitę i trzykrotnie okrąża Ziemię. Przez kilka miesięcy jeździ po kraju i opowiada o swojej kosmicznej podróży. Na Manhattanie witają go cztery miliony ludzi. Zaraz potem dostaje zakaz lotów. – To polecenie prezydenta Kennedy'ego. Jesteś symbolem naszego kraju, nie możemy ryzykować – mówią mu przełożeni.

Glenn jest zły. Nie po to trenował, żeby rezygnować z lotu na Księżyc. Irytuje go, że to inni polecą w stronę Srebrnego Globu. Porzuca karierę astronauty i angażuje się w politykę. W 1974 roku jako kandydat Demokratów wygrywa wybory w Ohio. Zostaje senatorem, w Kongresie zasiada przez kilka kadencji. Jest członkiem senackiej komisji do spraw starości. W 1984 roku stara się o nominację Demokratów w wyborach prezydenckich. Chce walczyć z Ronaldem Reaganem. Nic z tego, partia stawia na Waltera Mondale'a. Reagan wygrywa wybory.

Zajęty polityką Glenn nie przestaje myśleć o kosmosie. Czyta powieści, wspomnienia astronautów, prace naukowe. Nieważkość wywołuje zmiany we krwi, układzie naczyniowo-sercowym, prowadzi do zaburzeń błędnika, osłabienia kości oraz utraty koordynacji ruchów. Podobnie jak u starzejących się ludzi na Ziemi. Może warto sprawdzić, co jest przyczyną tych zmian? Narodowy

Instytut Starzenia w 1995 roku organizuje dwie naukowe konferencje. Naukowcy przyznają, że proces starzenia i zmiany zachodzące w nieważkości trzeba dokładniej zbadać.

Daniel Goldin, szef NASA, jest przekonany, że wizyta Glenna jest kurtuazyjna. Posiedzą, wypiją kawę i powspominają stare czasy.

– Ponad trzydzieści cztery miliony Amerykanów skończyło sześćdziesiąt pięć lat, a w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat ta liczba się potroi. Trzeba wysłać w kosmos kogoś starszego i dokładnie zbadać reakcje jego organizmu – oznajmia Goldinowi senator Glenn.

– Jak to kogoś starszego? – pyta zdumiony szef NASA.

– Mnie – precyzuje senator.

W styczniu 1998 roku NASA wpisuje siedemdziesięciosiedmioletniego Glenna na listę członków misji STS-95. Prom kosmiczny Discovery wyniesie na orbitę satelitę do obserwacji korony słonecznej. Senator będzie najstarszym człowiekiem, który poleci w kosmos. Agencja stawia warunki. Glenn przejdzie takie same testy medyczne jak pozostali członkowie załogi. I nie będzie tylko pasażerem, ma aktywnie brać udział w misji. – Będziesz słuchał rozkazów dowódcy, który jest w wieku twojego wnuka – mówią szefowie NASA.

Siedemdziesięciosiedmioletniego astronauty nic nie jest w stanie zniechęcić. Przez dziesięć miesięcy wbity w pomarańczowy kombinezon trenuje starty i lądowania, skacze na spadochronie, kręci się w centryfudze. Przeciążenia znosi zdumiewająco dobrze. Uczy się wahadłowca. Kiedy w 1962 roku leciał w kosmos, jednoosobowa kapsuła statku Mercury nie miała komputera i tylko jedno małe okienko. Kosmiczny pojazd obsługiwało się za pomocą pięćdziesięciu przełączników. Discovery ma dziesięć okien, osiemset pięćdziesiąt przełączników, osiem foteli dla członków załogi.

W Mercurym jedynym pożywieniem Glenna był sok jabłkowy. W wahadłowcu może zamówić sobie krewetki, suszonego łososia, a nawet spienione latte.

– Dlaczego wysyłacie siedemdziesięciosiedmioletniego Glenna, skoro są jeszcze czynni astronauci w wieku sześćdziesięciu lat? – pytają dziennikarze w NASA.

– John Glenn jest tylko jeden. To bohater narodowy, żywa legenda amerykańskiej astronautyki. Kiedy wystartuje, nasza historia podboju kosmosu zatoczy pełne koło – wyjaśnia Daniel Goldin.

Przed startem senator połyka miniaturowy termometr, który bez przerwy mierzy temperaturę jego ciała. Na orbicie pobiera sobie krew, przypięte do ciała czujniki wysyłają do komputerów informacje o ciśnieniu krwi, tętnie i oddechu.

W 1962 roku start Glenna obserwują jego mała córka oraz syn. 29 października 1998 roku na przylądek Canaveral na Florydzie przyjeżdżają jego wnukowie. Razem ze stu dwudziestoma tysiącami ludzi obserwują, jak Discovery z ich dziadkiem na pokładzie wzbija się w niebo.

Kosmiczna misja trwa osiem dni. Glenn znosi ją wzorowo. Lekarze są zdumieni wynikami. – Przeczą powszechnemu mniemaniu o rzekomo słabym zdrowiu starszych ludzi – mówi doktor David William z NASA. Organizm Glenna sprawuje się w kosmosie równie dobrze jak organizm czterdziestolatka. Ubytek masy mięśni i osłabienie kości nie są większe niż u młodszych członków załogi wahadłowca. A tętno miał od nich lepsze.

– Czuję się spełniony – mówi Glenn po powrocie na Ziemię. Umiera w 2016 roku w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat.

Większość astronautów po powrocie na Ziemię odchodzi z NASA, ale raczej nie zrywają związków z przemysłem kosmicznym. Pracują w prywatnych firmach, piszą wspomnienia i odcinają kupony od przeszłości.

„Buzz" Aldrin gra w kilku filmach („Transformers 3", „Simpsonowie", „Futurama") i serialach („Wzór", „Teoria wielkiego podrywu" czy „Rockefeller Plaza 30"). Postać Buzza Astrala z kreskówki „Toy Story" otrzymuje imię na jego cześć. Astronauta bierze też udział w amerykańskiej edycji programu „Taniec z gwiazdami". Zajmuje przedostatnie miejsce. Od lat doradza kolejnym amerykańskim prezydentom w sprawach kosmosu. Jest wielkim orędownikiem misji na Marsa. – Na Księżycu nie mamy już czego szukać – powtarza.

Po zakończeniu kosmicznej kariery cierpi na depresję, dwukrotnie się rozwodzi.

Eugene Cernan to ostatni człowiek, który chodził po powierzchni Księżyca. Po powrocie na Ziemię zostaje wiceprezesem firmy Coral Petroleum, a potem kieruje własnym biznesem, oczywiście z branży kosmicznej. Przez kilkadziesiąt lat jest medialnym ekspertem od spraw podboju kosmosu. Komentuje w telewizji starty i lądowania wahadłowców, pisze biografię „Ostatni człowiek na Księżycu".

Charles Conrad do śmierci prowadzi firmę zajmującą się komercjalizacją lotów kosmicznych. Marzy, żeby każdy Amerykanin mógł polecieć na orbitę.

Gordon Cooper, uczestnik dwóch kosmicznych misji, umiera na chorobę Parkinsona. NASA spełnia jego ostatnią wolę. W 2012 roku prochy astronauty zostają wystrzelone na orbitę okołoziemską.

Ze schematu wyłamuje się tylko Scott Carpenter. Po odejściu z NASA zostaje dyrektorem operacji podwodnych Marynarki

Wojennej USA. Kiedy zrzuca mundur, zakłada firmę Sea Sciences i zajmuje się ochroną środowiska morskiego. Przez lata współpracuje z oceanografem Jakiem Cousteau.

20 lutego 1962 roku John Glenn został pierwszym amerykańskim astronautą, który poleciał w kosmos. W 1998 roku, w wieku 77 lat, ponownie został wysłany na orbitę. Jest najstarszym człowiekiem, który dokonał tego wyczynu

A w Rosji?

Każdy kosmonauta po powrocie na Ziemię dostaje tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. To nie tylko order, który po śmierci rodzina niesie za trumną, ale wysoki dodatek do emerytury. Rosjanie wykorzystują też kosmonautów do celów propagandowych, ale

w przeciwieństwie do Amerykanów nie „sprzedają" ich życia. Kosmiczne misje owiane są mgłą tajemnicy. Ludzie radzieccy nie muszą znać zbyt wielu szczegółów. Amerykanie też czytają radzieckie gazety.

W ZSRR nie ma prywatnych firm, więc kosmonauci nie robią kariery w biznesie, ale władze wykorzystują ich doświadczenie. Aleksiej Leonow, pierwszy człowiek, który wyszedł w otwartą przestrzeń kosmiczną, przez dwie dekady jest zastępcą dyrektora Gwiezdnego Miasteczka. Szkoli pilotów, którzy marzą o kosmicznych lotach. W wolnych chwilach maluje. Jedyny motyw jego twórczości to kosmos. Władze nieufnie patrzą na jego hobby, KGB konfiskuje niektóre jego prace, bo zbyt realistycznie przedstawia radzieckie statki kosmiczne. Leonow niczego nie upiększa, na wielu obrazach pojazdy wyglądają żałośnie, jakby się miały rozpaść. Wielu kolekcjonerów ceni sobie jego twórczość, a płótna Leonowa sprzedawane są w galeriach na całym świecie. Kosmonauta nie ukrywa jednak, że tęskni za epoką pierwszych lotów.

– Kiedyś po powrocie z wyprawy czekano na nas z czerwonym dywanem. Byliśmy bogami, tytanami. Dzisiaj nikt nas już nie podziwia. Jestem emerytem, tak jak inni. Żal tu nic nie pomoże. Można od tego tylko zwariować – wyznaje francuskiej dziennikarce. Ale nie siedzi w domu. Jest wicedyrektorem jednego z największych banków w Moskwie i mieszka na ekskluzywnym osiedlu w pobliżu Gwiezdnego Miasteczka.

Jego sąsiadką jest Walentina Tierieszkowa, pierwsza kobieta w kosmosie. Kosmonautka aż do 1991 roku jest członkinią Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Na wojskową emeryturę przechodzi w 1997 roku w stopniu generała lotnictwa. W Rosji jest żywą legendą. Swoje siedemdziesiąte

urodziny świętuje w rezydencji Władimira Putina w Nowo-Ogariowie. Życzenia składają jej rosyjscy aktorzy, sportowcy, politycy i kosmonauci. – Chciałabym umrzeć na Marsie – mówi im Tierieszkowa. W 2014 roku, podczas ceremonii otwarcia Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Soczi, wnosi na stadion flagę Rosji. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi wstaje z miejsc i bije jej brawo.

A uczestnicy programu Interkosmos?

Czech Vladimír Remek, który w kosmos leci tuż przed Hermaszewskim, po powrocie na Ziemię pracuje w Wojskowym Instytucie Naukowo-Badawczym w Pradze, potem kieruje Wojskowym Muzeum Lotnictwa i Astronautyki. Z armii odchodzi w stopniu pułkownika. To nietypowe, bo większość kosmonautów otrzymuje generalskie szlify. W 2004 roku z listy Komunistycznej Partii Czech i Moraw zostaje wybrany do Parlamentu Europejskiego. W Brukseli spędza dwie kadencje. Od 2013 roku jest ambasadorem Republiki Czeskiej w Moskwie.

Imieniem Sigmunda Jähna w NRD nazywano szkoły, obronił doktorat z fizyki. Po zjednoczeniu Niemiec został konsultantem Niemieckiej Agencji Kosmicznej, a potem Europejskiej Agencji Lotów Kosmicznych. Odpowiada za przygotowanie misji na stację kosmiczną Mir. W zjednoczonych Niemczech nikomu nie przeszkadza, że został wyszkolony przez Rosjan.

Bułgar Georgi Iwanow ma mniej szczęścia. W 1986 roku uczestniczy w kolejnym naborze do lotu w kosmos, ale nie dociera nawet do półfinału. Z wojska odchodzi w stopniu generała majora. Kieruje firmą lotniczą Air Sofia. W 2001 roku Dmitrij Miedwiediew, prezydent Rosji, nadaje mu medal „Za zasługi w podboju kosmosu".

Arnaldo Tamayo Méndez to jedyny Kubańczyk w kosmosie. Po powrocie na Ziemię awansuje na wiceprzewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni Kubańsko-Radzieckiej, przez cztery kadencje zasiada w parlamencie. W 1997 roku zostaje generałem brygady i szefem zarządu stosunków międzynarodowych Ministerstwa Obrony Narodowej Kuby. Dzisiaj jest emerytem.

Mongoł Dżügderdemidijn Gürragczaa jest generałem. Był ministrem obrony narodowej, teraz na emeryturze.

Tylko afgański kosmonauta Abdul Ahad Mohmand, który poleciał na orbitę w 1988 roku, musiał uciekać z kraju. Osiedla się z rodziną w Niemczech. Pomaga mu w tym Association of Space Explorers, czyli Stowarzyszenie Odkrywców Kosmosu, które powstaje w 1985 roku. Do starego opactwa w Cernay pod Paryżem przyjeżdża dwudziestu pięciu astronautów i kosmonautów, wśród nich uczestnicy programu Interkosmos z Polski, Czechosłowacji, NRD, Bułgarii, Rumunii, Kuby i Węgier. Nieufni, spoglądają na siebie z byka. Lody przełamuje toast za Jurija Gagarina. – W końcu jesteśmy garstką ludzi, którzy widzieli Ziemię z orbity – podkreślają.

Członkowie ASE co roku spotykają się w innym kraju: na Węgrzech, w Meksyku, Bułgarii, Arabii Saudyjskiej, Holandii, Niemczech, USA, Rosji, Kanadzie, Kostaryce, Rumunii, Belgii, Austrii, Szkocji, Japonii. W Polsce kongres ASE odbywa się w Sali Balowej Zamku Królewskiego w Warszawie. Przyjeżdża osiemdziesięciu zdobywców kosmosu. Stowarzyszenie liczy czterystu członków z trzydziestu siedmiu krajów. Mirosław Hermaszewski jest jego aktywnym członkiem.

– Kosmonauci sobie pomagają? – pytamy Piotra Klimuka.

– Kiedyś wszyscy byli razem. Pracowało się dla idei. Teraz pracuje się za pieniądze – wzdycha.

Żałuje, że w kosmosie nic wielkiego się ostatnio nie dzieje. Przeszkodą są pieniądze. – Lądowanie na Księżycu kosztowało dwadzieścia pięć miliardów dolarów. W tamtych czasach! Takich pieniędzy żaden kraj dzisiaj nie może wyłożyć. Potrzebna jest międzynarodowa współpraca – mówi. – Ale nie ma na nią szans, bo świat oszalał.

– Może się pan skusi i znowu odwiedzi Polskę? – zapraszamy.

Generał zdecydowanie kręci głową. – Nie. Już nigdy tam nie pojadę. A właśnie, my tu o Polsce, a co słychać u Mirosława? Jak mu się wiedzie?

Hmm... Naprawdę musimy to opowiedzieć?

Restauracja Multi Pub na warszawskiej Saskiej Kępie to jeden z ulubionych lokali członków mafii pruszkowskiej. Spotykają się tam i omawiają bandyckie interesy. W marcu 1994 roku w lokalu wybucha bomba. Dach rozpada się na tysiące drobnych kawałków, w okolicznych budynkach wylatują wszystkie szyby. Nikt nie ginie, to tylko ostrzeżenie.

Kilka dni później w powietrze wylatuje dyskoteka w alei Waszyngtona. Tam też bywają ludzie „Pruszkowa". Kolejny wybuch niszczy trzy piętra, osiem mieszkań, windę i klatkę schodową kamienicy przy Ostrobramskiej. Mieszka w niej Zygmunt R. pseudonim „Bolo", jeden z przywódców mafii pruszkowskiej. Cudem wychodzi cało z zamachu.

W Warszawie trwa wojna. Gangi z Pruszkowa i Wołomina walczą o wpływy. Wybuchy, strzelaniny, egzekucje. Panoszą się gangsterzy o pseudonimach: „Pershing", „Wariat", „Kiełbasa", „Dziad", „Wańka", „Rympałek", „Klepak".

Na Śląsku strach sieje „Krakowiak", w Szczecinie „Oczko", a w Gdańsku „Nikoś". Gangsterzy przemycają narkotyki, spirytus, kradną samochody, napadają na tiry, występują w filmach. Żyją jak królowie. Policja jest bezradna, a Kazik Staszewski śpiewa: „Trzeci grosik dla żołnierzy na straży macierzy, /Pruszków kontra Wołomin, sędzia od obu bierze".

Wstępu do bazy 42. Pułku Lotnictwa na warszawskim Bemowie broni rozpadająca się brama. Teren jest ogrodzony płotem z drutem kolczastym. Dziura na dziurze. W nocy 20 lipca 1995 roku na teren jednostki wdziera się trzech zamaskowanych mężczyzn. Do wojskowych pomieszczeń wchodzą przez otwarte okno szatni. Nikt im nie przeszkadza. Chorąży, który pełni dyżur, śpi, podobnie jak dyżurny pilot. Trzej wartownicy bawią się w pobliskiej dyskotece.

Bandyci obezwładniają chorążego. Podoficer oddaje im klucze do szafy pancernej. W środku siedemdziesiąt pięć pistoletów, sto czterdzieści osiem magazynków oraz osiemset dwadzieścia osiem sztuk amunicji – cała broń kadry oficerskiej jednostki. Sprawcy pakują łup do toreb i znikają pod osłoną ciemności.

Armia upokorzona, Sztab Generalny wydaje oświadczenie: „Ten wypadek odbieramy jako naruszenie świętości, jaką są koszary i przebywający w nich żołnierze". Urząd Ochrony Państwa wszczyna śledztwo w sprawie ataku terrorystycznego na jednostkę wojskową.

– Nasza jednostka to był jeden wielki burdel na kółkach – opowiada o 42. Pułku Lotnictwa napadnięty chorąży. Mówi, że bez problemu można było z niej ukraść nawet śmigłowiec. Krótko po napadzie jednostka zostaje rozwiązana.

Prokuratura o kradzież broni oskarża Krzysztofa A., właściciela sklepu warzywnego z Targówka, i notowanego przez policję rolnika Grzegorza K. Śledczy twierdzą, że to oni na zlecenie jednego ze stołecznych gangów włamali się do jednostki. Służby specjalne odzyskują dwadzieścia dwa pistolety skradzione z Bemowa. Urząd Ochrony Państwa forsuje tezę, że bandyci mieli w jednostce wojskowej wspólnika. Skąd wiedzieli, jaki jest rozkład pomieszczeń i gdzie przechowywana jest broń?

Bomba wybucha w 1998 roku. Żandarmeria zatrzymuje porucznika Mirosława Hermaszewskiego, syna pierwszego polskiego kosmonauty. Prokuratura zarzuca mu współpracę z bandytami. – To on przekazał sprawcom informacje o rozstawieniu służb wartowniczych i położeniu magazynu z bronią – twierdzą śledczy. Porucznika obciążają zeznania czterech świadków incognito. Zostaje zamknięty w areszcie.

Proces syna kosmonauty to pokaz siły państwa. Uzbrojeni w broń maszynową żandarmi na sali rozpraw, na okolicznych budynkach snajperzy. Jakby sądzono szefa mafii. Porucznik Hermaszewski przyznaje w sądzie, że znał Grzegorza K.

– Kupiłem od niego radio, spirytus i skaner. Chciałem słuchać korespondencji w paśmie lotniczym w języku angielskim. Normalnie taki sprzęt kosztuje tysiąc złotych, a Grzegorz K. mógł go załatwić za trzysta złotych – zeznaje.

– Czy oskarżony zdawał sobie sprawę, że to paserstwo? – dopytuje sąd.

– Zakładałem, że te rzeczy pochodzą z legalnych źródeł. Gdybym wiedział, kim jest ten człowiek, nie popełniłbym tego błędu z radiem i spirytusem – odpowiada syn kosmonauty.

Porucznik zaprzecza, aby Grzegorz K. kiedykolwiek wypytywał go o jednostkę lub znajdujący się w niej sprzęt.

– Pytał mnie raczej o to, dlaczego samoloty latają – wyjaśnia Hermaszewski junior.

Grzegorz K. przed sądem uściśla: – Raz zapytałem go, jak działa kibel w rakiecie, bo wiedziałem, że jego tatuś w kosmos jeździł. Ale o przejażdżce samolotem nie było mowy, bo ja nawet na huśtawce wymiotuję.

I po chwili wahania dodaje: – Oficer UOP naciskał na mnie, żebym obciążył porucznika Hermaszewskiego.

Generał Mirosław Hermaszewski uczestniczy w każdej rozprawie syna. Proces jest szybki, a kara surowa. W 1998 roku porucznik Hermaszewski zostaje skazany na pięć lat więzienia. – Jako funkcjonariusz wojskowy złamał tajemnicę i zdradził, gdzie jest broń. Wskazał też drogę do magazynu wojskowego. Musiał wiedzieć, że udzielając takich informacji, otwiera drzwi złodziejom – uzasadnia wyrok kapitan Jarosław Bolek, sędzia Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie.

Generał Hermaszewski załamany, ale nie składa broni. – Absolutnie nie zgadzam się z tym wyrokiem. Będę walczył o syna tak długo, dopóki starczy mi sił. Będę walczył o honor mojej rodziny – zapowiada.

Sprawa dociera do Sądu Najwyższego. Obrońcy podnoszą, że porucznik Hermaszewski został skazany w procesie kapturowym. Obciążali go czterej świadkowie incognito, ale ich zeznania znają

tylko sędziowie oraz prokurator. Adwokatom ujawniono zaledwie parę zdań z protokołów przesłuchań.

– Czy w Polsce można dzisiaj skazać człowieka, nie przedstawiwszy mu dowodów winy? – pyta mecenas Radosław Baszuk, obrońca syna kosmonauty.

W marcu 1999 roku Sąd Najwyższy odpowiada: nie można! Sędziowie nie mają wątpliwości, że prawo Hermaszewskiego do obrony zostało naruszone. Wyrok skazujący zostaje uchylony. Prokuratorzy muszą ujawnić obronie pełne zeznania świadków i nakłonić ich do złożenia zeznań przy otwartej przyłbicy. Spełnienie tych warunków dla prokuratury jest niemożliwe. W 2002 roku sprawa porucznika Mirosława Hermaszewskiego zostaje umorzona. Gangsterzy oskarżeni o kradzież pistoletów zostają uniewinnieni. Kompromitacja organów ścigania. Oczyszczony z zarzutów syn kosmonauty domaga się pół miliona złotych zadośćuczynienia za niesłuszny areszt i bezpodstawne oskarżenie. W 2004 roku sąd przyznaje mu sto dwanaście tysięcy złotych. Nie wraca już do służby w wojsku.

W wojsku musi być porządek. Przepisy określają kolor umundurowania, liczbę żołnierzy w poszczególnych oddziałach, ich uzbrojenie, wartość odżywczą racji polowych, a także wysokość odszkodowania w przypadku śmierci. Ustawa o służbie żołnierzy zawodowych reguluje też sposób odwoływania ich ze służby. Jednym z warunków jest przeprowadzenie rozmowy z wysyłanym na emeryturę żołnierzem.

Janusz Onyszkiewicz, minister obrony narodowej, w 1999 roku podpisuje rozkaz o zwolnieniu ze służby generała Mirosława

Hermaszewskiego. Nie podaje przyczyny. Pierwszy polski kosmonauta zdaje wojskowe buty, mundur wiesza w szafie, potem siada przy biurku i pisze odwołanie. Zarzuca przełożonym, że wysyłając go do cywila, złamali prawo. Nie przeprowadzili z nim rozmowy. Resort się broni, że generała wezwano do ministerstwa. Ale miał wtedy trzydzieści dziewięć stopni gorączki i zameldował, że jest chory. Poszedł do lekarza. Pracujący w MON urzędnicy sporządzają jednak notatkę: „Rozmowa przeprowadzona".

– To kara za sprawę mojego syna oskarżonego o napad na jednostkę wojskową na Bemowie – wyjaśnia generał w nieoficjalnych rozmowach z dziennikarzami. Oficjalnie mówi tak: – Nie chcę być na siłę w wojsku, ale jeśli się mnie zwalnia, to trzeba to zrobić zgodnie z prawem.

W listopadzie 1999 roku Naczelny Sąd Administracyjny uznaje, że szef MON, wysyłając Hermaszewskiego do cywila, złamał prawo. Decyzja zostaje uchylona, generał wraca do armii. – Oprócz powodów prawnych warto zauważyć, że rozstanie wojska z Mirosławem Hermaszewskim było nieeleganckie – zauważają sędziowie.

Generał na emeryturę odchodzi dopiero w 2001 roku. Przełożeni nie zgadzają się, żeby odbył pożegnalny lot. W siłach powietrznych to wieloletnia tradycja. Kosmonauta nie dostaje też statuetki Ikara, choć należy się każdemu pilotowi, który w powietrzu spędził ponad dwa tysiące godzin. Boli, ale co zrobić?

W 2005 roku Hermaszewski jedzie na Air Show do Radomia. Widzi, jak politycy SLD latają nad lotniskiem w bojowych maszynach. Pisze skargę do Jerzego Szmajdzińskiego, ministra obrony narodowej. – Dlaczego oni mogli, a ja nie? – pyta.

5 października 2005 roku po raz ostatni wsiada do kabiny miga-29. Towarzyszy mu podpułkownik Stefan Rutkowski, jego

wychowanek z dęblińskiej Szkoły Orląt. Ostatni lot trwa czterdzieści minut.

– Czuję się jak po powrocie z kosmosu. Cieszę się, że moja przygoda z lotnictwem kończy się szczęśliwie. Tylko żal, że to już koniec – mówi generał, wysiadając z kabiny wojskowego odrzutowca. W powietrzu spędził dwa tysiące czterdzieści siedem godzin. Na koncie ma trzy tysiące czterysta siedemdziesiąt trzy starty oraz lądowania. I jeden lot w kosmos.

– Nie zrobiłem niczego, co splamiłoby mój oficerski honor – podkreśla.

Generał wyznaje zasadę, że serce jest po lewej stronie, więc jest wierny lewicy. Z listy tej w roku 2001 i 2005 stara się o mandat poselski. Bezskutecznie. W 2014 roku myśli o starcie do Parlamentu Europejskiego. W ostatniej chwili rezygnuje.

– Powody rodzinne – tłumaczy dziennikarzom. Złośliwi twierdzą, że nie chce rywalizować z Ryszardem Czarneckim, politykiem PiS-u. W 2010 roku jego córka Emilia wychodzi za mąż. Czarnecki to zięć kosmonauty.

– Jeśli o niego chodzi, zastrzeżeń nie mam. Jest mężem mojej córki, więc jesteśmy rodziną i najwięcej rozmawiamy o sprawach rodzinnych, o wnuczku Stasiu. Córka zakochała się w Ryszardzie, a nie w polityku PiS-u. Poza tym żadna kobieta nie zakochuje się z rozsądku – mówi Hermaszewski w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej".

Dziennikarze pytają, czy nie boi się, że rząd PiS za udział we WRON odbierze mu stopień generalski.

– Władzą się bywa, a generałem się jest! – odpowiada kosmonauta.

„Newsweek” w 2013 roku publikuje okładkę z Antonim Macierewiczem. Forsujący tezę zamachu smoleńskiego poseł PiS-u na pierwszej stronie tygodnika dryfuje na orbicie w stroju kosmonauty. Generał Hermaszewski nie wytrzymuje i pisze list do redakcji: „Rozumiem, że pokazując na okładce tygodnika »Newsweek« postać znanego posła, kierowali się Państwo znanym powiedzeniem o wysłaniu w Kosmos ludzi bez możliwości powrotu; ludzi, którzy na naszej Ziemi się nie sprawdzili, którzy się skompromitowali, ośmieszyli, którzy są nam Ziemianom niepotrzebni. Ja w Kosmosie byłem, wiem, że jest piękny i użyteczny dla nas. Jest on także miejscem pracy dla wybrańców, ludzi światłych, wytrwałych i zdrowych. W Kosmos wysyła się ludzi nie za karę, ale w nagrodę, jako naszych wysłanników, aby tam spożytkowali swoje umiejętności i zdolności. Aby cieszyli się potęgą Kosmosu, jego nieskończonością, absolutną harmonią, niepowtarzalnym urokiem, ciszą i tajemniczością.

My, mieszkańcy Ziemi, jesteśmy z pracy takich ludzi dumni. Dzięki nim możemy przeżywać nie tylko wrażenia estetyczne, cieszyć się nieważkością, ale także czerpać materialne korzyści. Nasza przyszłość, przyszłość kolejnych pokoleń będzie związana z Kosmosem. Nie należy więc go zaśmiecać. Jeżeli jednak Państwo już chcą koniecznie wysłać w daleką przestrzeń posła, to pod jednym warunkiem – nie w stroju kosmonauty, bowiem strój ten jest efektem pracy wielu wybitnych specjalistów, jest symbolem postępu i sukcesu nauki, jednak skomplikowanym w obsłudze.

Generalnie jednak proszę: nie zaśmiecajmy Kosmosu!”.

Pytamy generała Klimuka, co dał mu kosmos.

– Dał? Kosmos zabiera. Nawet pół życia – odpowiada.

– Warto?

– Jak człowiek jest zakochany w tym, co robi, to warto.

– Niczego pan nie żałuje?

– Tylko jednego. Po naszym długim locie obiecaliśmy sobie z Siewastjanowem, że za premię kupimy naszym żonom futra z norek. No i nie kupiliśmy, bo wszystko przepiliśmy. Musieliśmy potem nadrabiać. Żona już futro ma, pomagam więc teraz mojej wiosce, Komarowce. Drugiej takiej wsi na świecie nie widziałem. Zbudowałem tam centrum targowe, muzeum kosmonautyki, sztuczne jezioro, jest nowa szkoła, hotel, baseny. W każdym domu gaz, nowe drogi, fabryka daje pracę stu osobom. Sto pięćdziesiąt milionów zostało tam włożone. Pojedźcie, zobaczcie!

– Musi się pan czuć człowiekiem spełnionym.

Klimuk: – Pytaliście, czy wciąż śni mi się kosmos. Otóż nie. Prześladuje mnie sen, że zdaję jakieś ważne egzaminy i ich nie mogę zdać. Jak to możliwe, przecież ja zawsze wszystko wiedziałem, dlaczego teraz mam z tym taki problem? Nie potrafię rozwiązać zadania. Koszmar! Nie mogę spać spokojnie, może to znak, że jeszcze coś powinienem w życiu zrobić? Że dopiero potem zyskam spokojny sen? Tylko co to miałoby być?

No nic, żegnajcie, pozdrówcie ode mnie Mirosława!

Na stacji kolejki podmiejskiej wychodzimy z samochodu Klimuka. Jeszcze jedno pytanie: – Gdyby pan mógł, poleciałby pan w kosmos?

– Przyjaciele, natychmiast!

Generał Mirosław Hermaszewski mieszka pod Warszawą, jeździ po Polsce z odczytami, opowiada o swoim życiu i o kosmosie. Sporo czasu spędza z wnukiem Stasiem. Tęskni za kosmosem.

– Powtarza mi się jeden sen – mówi. – Jestem na stacji orbitalnej i chcę wyjść na zewnątrz. Nie ma tego w programie lotu, we śnie płynę więc do przedziału przejściowego, mocno wstrzymuję oddech, otwieram luk na zewnątrz i wypływam w przestrzeń. Kurczowo trzymam się barierki i rozkoszuję się widokiem Ziemi. Kiedy brakuje mi oddechu, zatrzaskuję luk i... wtedy się budzę.

EPILOG

Krzysztof Ziemiec, dziennikarz Telewizji Polskiej, rozmawia z generałem Hermaszewskim w Muzeum Techniki w Warszawie. Na początku rozmowa jest miła, generał opowiada o przygotowaniach do lotu, życiu na orbicie.

– Pan wiele razy podkreślał, że jest dumny z polskiego munduru – mówi Ziemiec. – Nie przeszkadzało to panu, że pan służył w armii, która nie do końca była polska?

Hermaszewski tężeje. Koniec miłej atmosfery. – Jest pan po prostu niegrzeczny w stosunku do tych wszystkich oficerów i żołnierzy, którzy wtedy bronili polskiego nieba czy w ogóle służyli w wojsku. Dlaczego pan mówi, że to była niewłaściwa armia?

– Wchodziła w skład Układu Warszawskiego – mówi Ziemiec.

Hermaszewski: – My służyliśmy armii czy narodowi? Wyobraża pan sobie, że mieliśmy nie mieć wojska? A moi koledzy, ponad trzydziestu, którzy zginęli w katastrofach lotniczych, zginęli niesłusznie? To niezręczne, niech się pan z tego wycofa.

– Gorzej, gdyby zginęli w ataku na Danię – brnie Ziemiec.

– Pan był w wojsku? – pyta go Hermaszewski.

– Nie. Na podstawie telepisma „Zamek” zostałem zwolniony ze służby. Byłem pierwszym rocznikiem po studiach, który nie poszedł do wojska.

Hermaszewski: – Kiedyś do wojska nie szli tylko nieudacznicy. Żadna dziewczyna nie wyszłaby za mąż za faceta, który nie byłby w armii.

Widzowie bronią generała. „Kurwa, zero szacunku dla człowieka. W każdym wojsku są takie same zasady, broni się terytorium, a nie ideologii”. Albo: „Urodziłem się w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Czy to znaczy, że jestem gorszym Polakiem?”.

Ale są i takie opinie: „Hermaszewski należał do WRON, przestępczej organizacji nawet na gruncie ówczesnego prawa. Powinien za to odpowiedzieć”.

Paul Johnson, brytyjski historyk, w książce „Bohaterowie” przypomina, że jednym z istotnych kryteriów bohaterstwa jest powszechne i entuzjastyczne uznanie w oczach opinii publicznej. Niestety, werdykt nie zawsze można przewidzieć. Często bywa on arbitralny, dziwaczny, często irracjonalny i bardzo zmienny. Jeden czyn może sprawić, że uznanie i podziw ludzi zamienia się w potępienie i wyrzut.

Johnson wspomina żydowskiego króla Heroda, jednego z najbogatszych w imperium rzymskim. Filantropa, budowniczego portów morskich, stadionów i teatrów. Ale Herod dopuszcza się rzezi niewiniątek. Ten czyn przekreśla wszystkie jego dokonania. Był bohaterem, staje się potworem.

A Hermaszewski? Jakie są jego winy?

Rząd Mateusza Morawieckiego na początku 2018 roku przyjmuje projekt ustawy o pozbawianiu stopni wojskowych osób i żołnierzy rezerwy, którzy w latach 1943-1990 swoją postawą sprzeniewierzyli się polskiej racji stanu oraz o zmianie ustawy o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej.

– Przywracamy podstawowy porządek moralny. Chcemy nazwać rzeczy po imieniu: zło – złem, dobro – dobrem, zdradę – zdradą, bohaterstwo – bohaterstwem. W naszym panteonie powinni być prawdziwi bohaterowie, jak rotmistrz Witold Pilecki, który nie może być zestawiany z generałem Kiszczakiem czy generałem Moczarem, którzy byli po ciemnej stronie mocy – ogłasza premier.

Stopnie wojskowe stracą wszyscy, którzy w latach 1943-90 sprzeniewierzyli się polskiej racji stanu, zwalczali niepodległościowe podziemie, wydawali rozkazy użycia broni przeciwko ludności cywilnej, zasiadali w wojskowym wymiarze sprawiedliwości i wydawali wyroki wobec opozycjonistów, a także prześladowali żołnierzy za ich przekonania religijne. Decyzję o degradacji podejmuje prezydent lub minister obrony narodowej po analizie akt zgromadzonych w Instytucie Pamięci Narodowej.

W ustawie jest jeden wyjątek. „Członkowie Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego tracą z mocy prawa stopień wojskowy". Generał Mirosław Hermaszewski ma zostać zdegradowany do stopnia szeregowca.

– W latach komunizmu mówiło się, że „WRON-a orła nie pokona". Tak, teraz orzeł zwyciężył – mówi z satysfakcją Mariusz Błaszczak, minister obrony narodowej.

A Hermaszewski? Co zamierza? I dlaczego milczy? Nie ma go w programach telewizyjnych, radiowych, portalach i gazetach.

Wyłącza telefon komórkowy.

Powie nam, jak wrzawa nieco ucichnie: – Myślałem, że sprawa została załatwiona już dziesięć lat temu, obniżyli mi wtedy emeryturę. A teraz chcieli ją obciąć drugi raz i zabrać mi stopień. Najpierw się zdenerwowałem, bo na paskach w telewizji informacyjnej: Jaruzelski, Kiszczak, Hermaszewski. No kurwa! Kumple, co nie? I może razem stan wojenny wprowadzaliśmy? Dzwonię do redaktora w tej stacji: – Co wy robicie!?

– No tak, ma pan rację, porozmawiam...

Włączam telewizor, a na pasku znów: Jaruzelski, Kiszczak, Hermaszewski...

Machnąłem na to wszystko ręką. A zabierajcie sobie, co chcecie. Dla świata i tak jestem generałem. Musielibyście powyrzucać wszystkie pamiątki z muzeów, rozbić pamiątkowe tablice, wydrapać mnie z książek i z gazet. Dacie radę? A jak przyjdzie do mnie list zatytułowany: generał Hermaszewski. Poczta Polska nie dostarczy? Mam taki list odebrać czy nie? Nawet w procesach norymberskich nie zabierano nazistom stopni wojskowych. W domu żartuję, że gdyby u nas do tego doszło, byłoby to „ostateczne rozwiązanie kwestii Hermaszewskiego".

Oświadczenie wygłasza córka generała Emilia. – Mój ojciec zasługuje i zawsze będzie zasługiwał na najwyższy szacunek. Był, jest i będzie polskim patriotą. Wszystko, co robił, zawsze było poświęcone Polsce. Pozostanie dla mnie człowiekiem honoru, pasji, oddania Polsce i polskiemu lotnictwu – podkreśla.

Ryszard Czarnecki, eurodeputowany PiS-u, prywatnie zięć generała, jest rozdarty. Nie chce krytykować swojej partii, ale z teściem spotyka się na niedzielnych obiadach. Mówi tylko tyle: – Stawianie generała Hermaszewskiego na jednej płaszczyźnie z ludźmi odpowiedzialnymi za stan wojenny, panem Jaruzelskim

i panem Kiszczakiem, uważam za rzecz bardzo dyskusyjną. Mogę powiedzieć, że jest człowiekiem przyzwoitym, świetnym ojcem, bardzo dobrym dziadkiem, co dla mnie jest dość istotne. Uważam, że jest polskim patriotą.

W Wielki Piątek 2018 roku prezydent Andrzej Duda oświadcza, że nie podpisze ustawy degradacyjnej. Mówi, że jest niesprawiedliwa.

Ludzie w internecie dodają: „I głupia".

Hermaszewski: – Nie wierzę, że „prawdziwi patrioci" odpuszczą.

Przypominamy sobie jedno ze spotkań. Generał opowiada nam, co myślał, gdy w czerwcu 1978 roku wsiadał do rakiety Sojuz 30. Położył wtedy na jednej szali lot w kosmos i niedostępne na Ziemi doznania. Na drugiej los żony i małych dzieci. Co z nimi będzie, jak coś mu się stanie? Rakieta wybuchnie, kapsuła spłonie w atmosferze?

Szala przechyla się jednak w stronę kosmosu, bo przecież to pewne, że nawet przy najgorszym scenariuszu Polska na pewno nie da zginąć rodzinie swojego kosmonauty.

Hermaszewski: – I tu bym się, kurwa, pomylił.

Mirosław Hermaszewski w Gwiezdnym Miasteczku ze swoją rodziną: żoną Emilią, synkiem Mirosławem i córką Emilką

BIBLIOGRAFIA

ROZDZIAŁ 1. Takich pilotów trzeba nam było

Książki:
Bohdan Świątkiewicz, „Polak w kosmosie", Nasza Księgarnia, Warszawa 1978.

Internet:
www.forum.krzesiny.org.pl

Filmy:
„Droga w kosmos", reż. Bohdan Świątkiewicz, Wytwórnia Filmowa „Czołówka", 1978.

Rozmowy własne:
– Z pułkownikiem. Zenonem Jankowskim.
– Z generałem Mirosławem Hermaszewskim.
– Z generałem Tadeuszem Kuziorą.
– Z profesorem Krzysztofem Klukowskim.
– Z profesorem Janem Terelakiem.
– Z Grażyną Kuziorą.

ROZDZIAŁ 2. Kosmonauta idealny dźwiga ciężar sławy

Książki:
Jamie Doran, Piers Bizony, „Gwiezdny bohater. Prawda i legenda o Juriju Gagarinie", Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.

Artykuły:
Jurij Gagarin, „Jestem wdzięczny za zaproszenie do okrytej chwałą Polski", „Trybuna Ludu", 21.07.1961.
Jurij Gagarin, „Droga w kosmos", „Przyjaźń", 11.06.1961; 18.06.1961; 25.06.1961; 2.07.1961; 6.07.1961; 9.07.1961; 6.08.1961.
M.Ł., „Jurij Gagarin na Śląsku", „Trybuna Ludu", 22.07.1961.

Dokumenty:
„W niedługim czasie nastąpią kolejne loty w Kosmos, Przemówienie majora J. Gagarina na akademii w Katowicach", „Trybuna Ludu", 22.07.1961.
„Gagarin i Titow piszą do polskich harcerzy", „Trybuna Ludu", 30.12.1961.
„Jurij Gagarin do Czytelników »SM«", „Sztandar Młodych", 19.07.1961.

ROZDZIAŁ 3. Jak odpowiadać na pytania, żeby było dobrze?

Książki:
Mirosław Hermaszewski, „Ciężar nieważkości. Opowieść pilota-kosmonauty", Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych Universitas, Kraków 2009.

Filmy:
„Polak w kosmosie", reż. Bohdan Świątkiewicz, Wytwórnia Filmowa „Czołówka", 1979.

ROZDZIAŁ 4. Marzę o tym, żeby pojechać z mężem do Moskwy

Książki:
Irina Głuszczenko, „Sowiety od kuchni. Mikojan i radziecka gastronomia", Krytyka Polityczna, Warszawa 2012.

Artykuły:
Andrzej Zawistowski, „To nie wstyd – bony, wstyd to kolejki. Reglamentacja cukru w PRL w latach 1976-1981", „Kwartalnik Historyczny", 5/2016.

Rozmowy własne:
– Z Anielą Jankowską.

ROZDZIAŁ 5. Jesteście chorzy, bardzo chorzy

Książki:
Paweł Elsztein, „Polska w kosmosie", Wydawnictwa Komunikacji i Łączności, Warszawa 1978.
Piotr Klimuk, „Życjo i podzwig kasmanauta, Adukacja i wychawanje", Mińsk 2017.

Andrzej Marks, „Polak w kosmosie”, Książka i Wiedza, Warszawa 1978.

Artykuły:
Sławomir Cenckiewicz, „Towarzysz Kosmonauta”, „Do Rzeczy”, 9-15 kwietnia 2018.
Andrzej Gołębiowski, „Praska wiosna”, „Głos Wybrzeża”, 30.05.1977.
Przemysław Rejer, „Będę szkolił polskich kosmonautów”, „Sztandar Młodych”, 25.08.1976.
Krzysztof Tomaszewski, „Kosmos i propaganda”, „Dziennik Łódzki”, 26.06.1998.
Marcin Zaremba, „PRL w kosmosie”, „Polityka”, 2.05.1998.

Internet:
www.national-geographic.pl; Polak w kosmosie – Mirosław Hermaszewski, 3.04.2009.

Filmy:
„Mirosław Hermaszewski”, reż. Bohdan Świątkiewicz, Wytwórnia Filmowa „Czołówka”, 1978.
„Zenon Jankowski”, reż. Bohdan Świątkiewicz, Wytwórnia Filmowa „Czołówka”, 1978.

Rozmowy własne:
– Z generałem Piotrem Klimukiem.

ROZDZIAŁ 6. Myśliwce mają pierwszeństwo przed bombowcami

Książki:
Colin Burgess, Bert Vis, „Interkosmos. The Eastern Bloc’s Early Space Program”, Springer Praxis Books, Switzerland 2016.

Internet:
nto.pl; Marek Jarosiński, „Poleciał i co z tego”, 27.06.2003.
technet.idnes.cz; Karel Pacner, „Před třiceti lety: jak se dostal první Čechoslovák do vesmíru”, 29.02.2008.
plus.rozhlas.cz; Petr Sobotka, „Jak probíhal let Vladimíra Remka”, 29.02.2008.

Rozmowy własne:
– Z Mariuszem Kuklińskim.

ROZDZIAŁ 7. Nasza Ojczyzna potrzebuje atomowej tarczy

Książki:

Aleksiej Leonow, „Wriemia pierwych. Sud'ba moja – ja sam...", Izdatelstwo ACT, Moskwa 2017.
Andrzej Trepka, „Wizjoner kosmosu", Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1974.
Tom Wolfe, „Najwięksi kowboje, którzy polecieli w kosmos", Agora, Warszawa 2018.

Artykuły:

Wiktor Adamski, „Ziemia ma dwóch satelitów", „Życie Warszawy", 9.10.1957.
Wiktor Adamski, „Księżycowa sensacja", „Życie Warszawy", 7.11.1957.
Maciej Bielicki, „Radziecki statek przestrzenny sprawdza warunki lotu człowieka w kosmos", „Życie Warszawy", 28.05.1960.
Nikita Chruszczow, „Wielki czyn będzie żył wiecznie", „Kraj Rad", 23.04.1961.
Siergiej Chruszczow, „Heros z mitologii rosyjskiej", „Forum", 29.04.2001.
(Autor niepodpisany), „Yuri Gagarin. First man to fly in space", „Times", 29.03.1968.
Andriej Iwachnow, „Gagarin, Ziemia, wszechświat", „Nowe Czasy", 12.04.1986.
Marek Jarosiński, „Rosjanie na Księżycu", „Dziennik Zachodni", 22.09.2000.
Włodzimierz Kalicki, „Biip, biip, biip!", „Gazeta Wyborcza", 4.10.2004.
Wiera Ketlinskaja, „Sczastliwyj dień", „Izwiestia", 29.06.1967.
Janusz Księski, „Lot majora Gagarina w filatelistyce", „Problemy" nr 9, 1961.
Jerzy Lebiedziewicz, „Prawdziwa historia lotów księżycowych", „Nie z Tej Ziemi" 5/1997.
Bartosz Lewicki, „Jak długo żyła Łajka", „Trybuna", 2.11.2002. Jolanta Micel, „My żyjemy, oni zginęli...", „Głos Szczeciński", 27.02.1992.
Zuzanna Piechowicz, „Nieziemsko dobre żony astronautów", „Gazeta Wyborcza" („Wysokie Obcasy"), 29.03.2014.
Lech Pietrzak, „Mleczna droga i ziemskie ścieżki", „Kurier Polski", 26.03.1959.
Jan Suchecki, „Z życia mieszkańca satelity", „Trybuna Ludu", 6.11.1957.
Daniel Wasilewski, „Coraz śmielej w kosmos", „Sztandar Młodych", 31.12.1980.
Krystyna Wyhowska, „Neil Armstrong – zdobywca Księżyca", „Życie Warszawy", 8.10.1993.

Internet:

focus.pl; Neil Armstrong: Małgorzata Brączyk, „Człowiek, który nie chciał być bohaterem", 16.02.2018.

Filmy:

„Pojedynki gigantów: Korolow kontra von Braun. Kosmiczny wyścig", reż. Laurent Portes, Planete+, 2015.

ROZDZIAŁ 8. Śmierć czai się wszędzie, ale warto ryzykować

Książki:

Filip Czekała, „Miasto nie do Poznania”, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2017.
Andrzej Pągowski, Dorota Wellman, „Być jak Pągowski”, Agora, Warszawa 2017.

Artykuły:
Marek Bartosik, „Na kosmicznej trampolinie”, „Gazeta Krakowska”, 24.12.2002.
W. Fomin, „Ziemnyje dorogi kosmonawta”, „Prawda”, 30.06.1978.
Mirosław Hermaszewski, Misja „Kaukaz”, „Polska Zbrojna”, 26.06.1998.
Włodzimierz Kalicki, „Polak z Sojuza”, „Gazeta Wyborcza”, 23.06.2008.
Zbigniew Kot, „Polak w Kosmosie”, „Perspektywy”, 28.06.1978.
Jerzy Korejwo, „Tak było”, „Panorama”, 16.08.1978.
Bogdan Mikołajczyk, „Tuż przed startem”, „Trybuna Ludu”, 28.06.1978.
Mariusz Szczygieł, „Mirosław Hermaszewski”, „Gazeta Wyborcza”, 23.12.1994.
Jarek Szubrycht, „Przez trupy do gwiazd”, „Przekrój”, 20.03.2008.

Internet:
tvn24.pl; Maciej Kucharczyk, „Katastrofa Nedelina”, 24.10.2015.

Filmy:
„Lotnik kosmonauta”, reż. Bohdan Świątkiewicz, Wytwórnia Filmowa „Czołówka”, 1980.

ROZDZIAŁ 9. Twarz się nadyma, skóra napina, oczy nabiegają krwią

Książki:
Piotr Klimuk, „Szturm na nieważkość”, Książka i Wiedza, Warszawa 1983.
Krzysztof Kwarecki, Jan Terelak, „Medycyna i psychologia kosmiczna”, Wiedza Powszechna, Warszawa 1980.

Artykuły:
Marek Twaróg, „Ziemia jest piękna”, „Dziennik Zachodni”, 24.12.2002.
Krzysztof Bień, „Droga w kosmos”, „Kultura”, 9.07.10.1978.

ROZDZIAŁ 10. Gwiazdy to tylko dziurki w starym kocu

Książki:
Praca zbiorowa, „Interkosmos znaczy współpraca”, Wydawnictwa Komunikacji i Łączności, Warszawa 1985.

Artykuły:
Zbigniew Bożek, „Spotkania serdeczne”, „Trybuna Robotnicza”, 1.06.1979.
Jakub Chełmiński, „Gówno nie kosmici”, „Gazeta Wyborcza”, 3.07.2002.
Andrzej Chmielewski, „HgCdTe z kosmosu”, „Życie Gospodarcze”, 9.07.1978.

Ireneusz Czyżewski, „Zdać kosmiczny egzamin”, „Żołnierz Wolności”, 30.12.1978.
Barbara Dróżdż, „Z Kamilą Hermaszewską o mądrej miłości”, „Życie Warszawy”, 3.07.1978.
Jacek Fąfara, „Syn zawsze chciał latać”, „Express Wieczorny”, 28.06.1978.
Jacek Fąfara, „Jeden z nas – Hermaszewski”, „Express Wieczorny”, 28.06.1978.
Kazimierz Kasprzak, „Pierwszy był Twardowski”, „Dziennik Wschodni”, 26.06.1998.
Zbigniew Kot, „Sukces polskiej nauki. Korespondencja z Centrum Kierowania Lotami Kosmicznymi”, „Perspektywy”, 7.07.1978.
Andrzej Koźmiński, „Kiedy wystartuje polska rakieta kosmiczna?”, „Życie Warszawy”, 22.03.1959.
Jolanta Kroner, „Matczyna duma i radość”, „Żołnierz Wolności”, 29.11.1978.
Krystyna Lubelska, „Kto może być kosmonautą”, „Życie Warszawy”, 3.07.1978.
Ewa Łuszczuk, „Kłopoty, sposoby, możliwości”, „Sztandar Młodych”, 7.07.1978.
Tomasz Miecik, „Kosmos patrzy na Ziemię”, „Trybuna Ludu”, 3.07.1978.
Bogdan Mikołajczyk, „Ostatni dzień”, „Trybuna Ludu”, 6.07.1978.
Zbigniew Siedlecki, „Witamy na Ziemi”, „Trybuna Ludu”, 6.07.1978.
Jerzy Sieradziński, „Połączenie nad Bajkałem”, „Życie Warszawy”, 29.07.1978.
„Zestaw eksperymentów planowanych w orbitalnej stacji załogowej Salut 6 w czasie lotu polskiego kosmonauty”, „Polityka”, 1.07.1978.

Internet:
youtube; (autor nieopisany), „Jan Wolski, Emilicin 1978 r. Najsłynniejsze lądowanie UFO w Polsce”.
web.archiv.com; Mariusz Fryckowski, „Legenda z Emilcina”.

Dokumenty:
„Pierwszy Polak w kosmosie” (zapis dźwiękowej relacji z Bajkonuru), Naczelna Redakcja Informacji i Publicystyki, 27.06.1978.

Rozmowy własne:
– Z profesorem Robertem Gałązką.
– Z profesorem Piotrem Wolańskim.
– Z profesorem Pawłem Moskalikiem.

ROZDZIAŁ 11. Wsiąść do rakiety Hermaszewskiego, nie dbać o szynkę z komercyjnego

Książki:
Władysław Hermaszewski, „Masakra w Lipnikach. Wołyń 1943”, Bellona, Warszawa 2015.
Mieczysław F. Rakowski, „Dzienniki polityczne 1976-1978”, tom 6, Iskry, Warszawa 2002.

Janusz Rolicki, „Edward Gierek. Przerwana dekada”, Fakt, Warszawa 1990.
Janusz Rolicki, „Edward Gierek. Replika”, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1990.

Artykuły:

Zbigniew Bożek, „Spotkania serdeczne”, „Trybuna Robotnicza”, 1-3.06.1979.
Zbigniew Figat, „Górnictwo to wielka polska sprawa – podobnie jak nasz kosmiczny lot”, „Trybuna Robotnicza”, 25.05.1979.
Andrzej Gorzym, Jerzy Sieradziński, „Konferencja prasowa załogi Sojuza-30”, „Trybuna Ludu”, 8.07.1978.
Zbigniew Kot, „Powrót”, „Perspektywy”, 14.07.1978.
Tomasz Miecik, „Radziecko-polska załoga powróciła na statku Sojuz-30 z 8-dniowej wyprawy kosmicznej”, „Trybuna Ludu”, 6.07.1978.
Janusz Przybyłowicz, „Saga rodu Hermaszewskich”, „Gazeta Robotnicza”, 28.06.1978.
Zbigniew Siedlecki, „Witamy na Ziemi”, „Trybuna Ludu”, 6.07.1978.
Paweł Szulc, „Mirosław Hermaszewski – kosmiczna ikona propagandy sukcesu”, „Dzieje Najnowsze”, r. 44, z. 4, Warszawa 2012.
Daniel Wasilewski, „Coraz śmielej w kosmos”, „Sztandar Młodych”, 31.12.1980.
„Warszawiacy witają lot kosmonautów”, „Życie Warszawy”, 28.06.1978.

ROZDZIAŁ 12. Gwiezdne Miasteczko utonęło w ciemnościach

Artykuły:

Ryszard Badowski, „Śmierć bohatera kosmosu”, „Żołnierz Wolności”, 29.03.1968.
Siergiej Biełocerkowski, Aleksiej Leonow, „Ostatni lot”, „Skrzydlata Polska”, 26.07.1987.
Gieorgij Bieriegowoj, „Jak zginął Gagarin?”, „Przegląd Tygodniowy”, 3.06.1984.
Marek Jarosiński, „Tajemnica ściętych brzóz”, „Dziennik Zachodni”, 30.03.1998.
Roman Samsel, „Kto zabił Gagarina?”, „Gentleman”, styczeń 1999.
Aleksandr Żylin, „Gagarin-Sieriegin – posliednij polot”, „Moskowskije Nowosti”, 28.01.1996.

ROZDZIAŁ 13. Kosmonauta ma odpowiadać za dostawy mleka w proszku

Książki:

Władysław Hermaszewski, „Na ziemi i na niebie”, Bellona, Warszawa 2001.
Władysław Hermaszewski, „Moje przestworza”, Bellona, Warszawa 1995.
Wojciech Jaruzelski, „Stan wojenny. Dlaczego...”, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1992.
Władysław Kozakiewicz, Michał Pol, „Nie mówcie mi, jak mam żyć”, Agora, Warszawa 2013.

Franciszek Puchała, „Kulisy stanu wojennego”, Bellona, Warszawa 2016.

Artykuły:
Jerzy Andrzejczak, „W cieniu czerwonej jarzębiny”, „Tygodnik Powszechny”, 14.12.2006.
Jerzy Andrzejczak, „Wrona z kosmosu”, „Express Wieczorny”, 13.12.1996.
Mirosław Hermaszewski, „Ja bym tego nie podpisał”, „Gazeta Wyborcza”, 13.10.1997.
Piotr Lipiński, „Wujek Gierek, ścieżki zdrowia i Duch Święty”, „Ale Historia”. „Na jeden temat; Biografie. Lech Wałęsa”, 12.12.2017.
Maciej Marosz, „Kosmonauta Mirosław Hermaszewski: WRON-a bezprawna”, „Bibuła Pismo Niezależne”, 4.08.2009.
Marek Wąs, „CIA już zna najnowszą wersję wprowadzenia stanu wojennego”, „Gazeta Wyborcza”, 5.02.2014.

Internet:
Sportowefakty.wp.pl; „Grzegorz Wojnarowski, Władysław Kozakiewicz wspomina igrzyska w Moskwie. »To był mój gest wyzwolenia«”, 11 listopada 2017.

ROZDZIAŁ 14. My jeszcze w kosmosie tak naprawdę nie byliśmy!

Książki:
George Bidwell, „Admirał jego królewskiej mości G.B. Rodney”, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1975.
Jan Terelak, „Introspekcje antarktyczne”, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1982.

Artykuły:
Lesław Peters, „Roboty nie zastąpią ludzi w otwartym kosmosie”, „Gazeta Krakowska”, 13.04. 1995.
Aneta Polak, „Kosmiczne pieniądze”, „Życie Warszawy”, 3.06.2003.
Marcin Szymaniak, „Na Marsa? Popieram”, „Życie Warszawy”, 15.01.2004.

Internet:
spidersweb.pl; Rafał Gdak, „Tak wygląda nowy plan Elona Muska na podbój kosmosu”, 29.09.2017.

ROZDZIAŁ 15. Trzymaj się, Zenek!

Artykuły:
Ryszard Badowski, „Trzymaj się, Zenek”, „Trybuna”, 2.05.1995.

Ryszard Badowski, „Polecieć w kosmos mógł tylko jeden”, „Trybuna”, 3.08.1995.
Zenon Jankowski, „Trzymaj się, Zenek! – polemika”, „Trybuna”, 19.05.1995.
Stanisław Jaremczak, „Kto miał być pierwszy – Hermaszewski czy Jankowski?”, „Polska Zbrojna”, 22.12.1995.

ROZDZIAŁ 16. Generalnie proszę: nie zaśmiecajmy kosmosu!

Artykuły:
Krzysztof Czart, „John Glenn (1921-2016) – pierwszy Amerykanin na orbicie”, „Urania – Postępy Astronomii”, styczeń-luty 2017.
Katarzyna Bonda, „Osądzony, zdegradowany, wsadzony”, „Super Express”, 26.11.1998.
Danuta Frey, „Generał Hermaszewski pozostaje w armii”, „Rzeczpospolita”, 20.11.1999.
Mirosław Hermaszewski, „Proszę nie zaśmiecać Kosmosu”, newsweek.pl, 25.10.1013.
Dorota Kania, Wojciech Czuchnowski, „To moja osobista tragedia”, „Super Express”, 19.02.1998.
Dorota Kania, Grażyna Zawadka, Bertold Kittel, „Syn kosmonauty pomagał bandytom”, „Super Express”, 15.04.1998.
Andrzej Walentek, „Ostatni lot Hermaszewskiego”, „Życie Warszawy”, 6.10.2005.
Bogusław J. Witkowski, „Dęblin-Kosmos-Dęblin”, „Skrzydlata Polska”, 26.06.1988.

Filmy:
„The Last Man On The Moon”, reż. Mark Craig, Mark Stewart Productions, 2015.

Epilog

Książki:
Paul Johnson, „Bohaterowie”, Świat Książki, Warszawa 2009.

Artykuły:
Wojciech Czuchnowski, „Zerwać pagony za PRL”, „Gazeta Wyborcza”, 2.03.2018.
Paweł Kośmiński, „Senat przyjął ustawę degradacyjną”, „Gazeta Wyborcza”, 9.03.2018.
Paweł Wroński, Agata Kondzińska, „Prezydent wetuje degradację”, „Gazeta Wyborcza”, 31.03.2018.

Internet:
youtube.pl; Rozmowa Krzysztofa Ziemca z generałem Hermaszewskim w Muzeum Techniki w Warszawie.